

Reginald Hill

Okrutna Miłość

Dalziel i Pascoe

Tytuł oryginału: A Killing Kindness

Przełożył Wojciech Szypuła

ISBN 978-83-7534-033-4

Wydanie I

Wydawnictwo Nowa Proza 2011



Danowi i Pat

Mężczyzna, który tknie kobietę inaczej niż w czułym geście, jest nędznikiem, któremu pochlebiałoby miano „tchórza”.

John Tobin, *Miesiąc miodowy*

Rozdział 1

... zielona, cała zielona, cała, nade mną, dusi mnie, woda jest wzburzona, wrząca, spieniona, hucząca, aż w końcu wszystko się uspokaja, woda stygnie, staje się przejrzysta i moje spojrzenie wędruje ku górze wraz z ostatnimi bąbelkami powietrza, przez szklaną powierzchnię wody wyraźnie widzę niebo, słońce jasne jak cytryna, kołujące dookoła niego ptaki o skrzydłach szerokich jak skrzydła wiatraka, a nad brzegu wychylają się drobne śniade buzie, płochliwe jak zwierzęta przy wodopoju, węszące w obawie przed zagrożeniem, czujnie typiące ślepiami, a potem nurt wody porywa mnie i odwraca, i unosi, płynę tak bezwolnie i...

Co tu się dzieje, do diabła?! Przestańcie! To chore...

Proszę. O Boże! Proszę uważać, bo...

Jack! Nie!

Ooooooch...

Widzi pan?! Światło proszę...

... szarlataneria... Nie chcę...

... światło! Pani Stanhope? Pani Stanhope, dobrze się pani czuje?

... ciociu, nic ci nie jest? Ciociu, proszę...

... dziękuję, skarbie, jestem trochę... za chwilę... czy udało mi się...

... wredna szantażystka! Już ja dopilnuję...

– Przepraszam. – Sierżant Wiold wyłączył kieszonkowy magnetofon. – To już było tam wcześniej nagrane.

– Szkoda. Myślałem, że ta kobieta zaraz udowodni, że Sinatra naprawdę nie żyje. – Pascoe odłożył na stół spisana odręcznie przez sierżanta kopię zapisu na taśmie. – Pan to wyłączył w tym momencie, czy jak?

– Raczej „czy jak?”. Mikrofon miałem dyskretnie schowany w kieszeni. Kiedy poderwałem się, żeby złapać panią Sorby, musiał mi wypaść i przewód się odłączył. Bardzo żałuję, panie komisarzu.

– Nie, wcale nie. Pożałuje pan dopiero, kiedy przez te drzwi wejdzie pan Dalziel z najświeższym numerem „Evening Post” pod pachą.

Wiold smętnie pokiwał głową, na znak, że zgadza się z komisarzem, który wczytywał się w jego raport, jakby szukał w nim jakiegoś drugiego dna.

Raport – jak wszystkie sporządzone przez sierżanta Wiela – był wręcz kryształowo przejrzysty i klarowny.

Kiedy sierżant odwiedził panią Winifred Sorby w ramach śledztwa w sprawie morderstwa jej córki, Brendy, zastał u niej sąsiadkę, panią Annie Duxbury. Wkrótce zjawiała się również pani Rosetta Stanhope w towarzystwie swojej siostrzenicy Pauline. Sierżant słyszał już wcześniej o pani Stanhope: była samozwańczym medium i jasnowidzem. Okazało się, że pani Sorby poprosiła ją o skontaktowanie się w jej imieniu z duchem nieżyjącej córki. Kobiety nalegały, żeby sierżant został z nimi i wziął udział w seansie. Zgodził się, ale pod błahym pretekstem wymknął się jeszcze na chwilę do samochodu, gdzie trzymał mały magnetofon. Ukrył go teraz pod marynarką i wrócił do kobiet, które tymczasem zasiadły przy okrągłym stole w zaciemnionej sypialni nieżyjącej dziewczyny. Po niedługim czasie pani Stanhope weszła w trans i po chwili zaczęła mówić zmienionym, zupełnie nie swoim głosem. Jednakże zaraz potem do pokoju wparował z impetem rozzłoszczony pan Sorby, ojciec zamordowanej dziewczyny, i zakończył imprezę.

Jego gniew w pierwszym momencie skupił się na głupiej żonie, kiedy jednak pan Sorby zorientował się, że w pokoju znajduje się sierżant policji, znalazł sobie nowy obiekt do wyładowania złości. Dziennikarze z lokalnej prasy okazali daleko idące zrozumienie dla jego skarg i zanim skarcony Wiel wrócił na komisariat, Pascoe zdążył już odebrać kilka telefonów z pytaniem o decyzję w sprawie skorzystania z pomocy jasnowidza.

– Jego żona ma słabość do spirytyzmu – tłumaczył Wiel. – Ale on tego nie aprobuje. Tym razem ją zaskoczył, bo nie spodziewała się jego powrotu jeszcze przez dobre dwie godziny.

– Może sam jest jasnowidzem – mruknął Pascoe.

Znów zagłębił się w lekturze zapisu. Wiel przez blisko godzinę słuchał nagrania, żeby wyłowić i oddzielić nakładające się głosy.

– Zaraz, czegoś tu nie rozumiem – powiedział Pascoe. – Pani Stanhope mówi głosem medium, to jasne. Zjawia się Sorby i zaczyna wrzeszczeć. Zgadza się?

– Tak. Potem to „Proszę. O Boże!” i tak dalej to słowa Pauline, siostrzenicy pani Stanhope. „Jack! Nie!”, to krzyczy pani Sorby.

– A ten przeciągły jęk?

– To pani Stanhope wybudza się z transu. Potem znowu słyhać siostrzenicę, dalej Sorby wyjeżdża z szarlatanerią, pani Sorby pyta panią Stanhope, czy dobrze się czuje.

– A ona rzeczywiście dobrze się czuje i odpowiada swoim normalnym głosem, tak?

– Tak. Dalej znów jest pan Sorby. Siostrzenica zapaliła światło. Sorby ją odepchnął i

wtedy ja wkroczyłem, bo miałem wrażenie, że za chwilę rzuci się z pięściami na panią Stanhope.

– Reszta jest milczeniem... Jakże stosownie.

– Ja tam bym wołał, żeby wszystko było milczeniem, od początku do końca – mruknął Wiel.

Sierżant miał wyjątkowo paskudną twarz, brzydką w taki sposób, że nie sposób było do niej przywyknąć, bo za każdym razem jej widok odrzucał człowieka na nowo, nawet jeśli oglądało się ją po zaledwie półgodzinnej przerwie. Niezwykłe rysy miały pewną niezaprzeczalną zaletę: zazwyczaj skutecznie maskowały wszelki ślad trawiących sierżanta emocji. W tej chwili jednak na chropowatym, pomarszczonym obliczu wyraźnie malował się niepokój.

Zadzwoił telefon.

Dzwonił sierżant dyżurny.

– Przyszedł pan Dalziel – zameldował. – Idzie na górę.

Ledwie Pascoe odłożył słuchawkę, drzwi otworzyły się z impetem.

W progu stanął podinspektor Andrew Dalziel. Długotrwała, choć w kratkę przestrzegana dieta pomogła mu jako tako zapanować nad potężnym brzuszyskiem, w tej chwili miało się jednak wrażenie, że złość rozdyma go do granic możliwości: oczy groziły wyskoczeniem z czaszki przypominającej porośnięty szczecina pęcherz, a napięte mięśnie omal nie rozdarły garnituru w kurzą stopkę.

Zaraz się zmieni w Hulka, pomyślał Pascoe.

– Dzień dobry – powiedział, lekko unosząc się z krzesła.

Wiel wyprężył się na baczność jak dotknięty stężeniem pośmiertnym.

– Spotkanie się udało?

– Nadzwyczajnie – odparł Dalziel, unosząc wielką jak bochen prawą pięść. Ścisnął w niej zrolowaną gazetę, z taką siłą, jakby chciał wycisnąć z niej cały tusz. – Przynajmniej dopóki nie wróciłem tutaj i nie wysiadłem z pociągu.

Udając, że dopiero teraz zauważył sierżanta Wielda, podszedł do niego i przytknął usta do jego ucha.

– Sierżant Wield... – mruknął. – Ma pan dla mnie jakąś wiadomość?

– Nie, panie inspektorze. Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nie ma nic z zaświatów?! – ryknął Dalziel.

Wyglądało na to, że ma ochotę dzielić sierżanta gazetą.

– To pomyłka, panie inspektorze – wtrącił pośpiesznie Pascoe.

– Pomyłka, powiadasz... Z pewnością, do ciężkiej cholery! Jadę sobie do Birmingham na konferencję. Cześć, Andy, witają mnie. Jak się miewa ten wasz Dusiciel? Doskonale, odpowiadam. Panujemy nad sytuacją, dodaje. I to dopiero był błąd! Wicie, co piszą w tym szmatławcu?!

Dalziel rozwinął gazetę, chociaż nie przyszło mu to łatwo.

– Amerykańscy policjanci od dawna korzystają z usług jasnowidzów, by przy rozwiązywaniu trudnych spraw nie pogubić się wśród mylnych tropów” – przeczytał. – Wyjeżdżam, zostawiam w komisariacie normalną angielską ekipę dochodzeniową, wracam... I nagle ląduję na amerykańskim posterunku, zabłąkany wśród „mylnych tropów”! Nie dziwię się Kojakowi, że wyłysiał.

Pascoe zaryzykował uśmiech. Łatwo było wkurzyć Dalziela – chociażby tym, że nie docenia się jego żartów.

Ogromnym jak kajak butem grubas przyciągnął sobie krzesło i opadł na nie z ulgą.

– Dobra – powiedział. – Mówcie.

Pascoe bez słowa podał mu raport Wielda.

Dalziel przeczytał go szybko.

– Sierżancie?

– Tak, panie inspektorze?

– Stoi pan tak, jakby nawalił pan w gacie – rzucił znużonym tonem Dalziel.

– To nie jest wykluczone, panie inspektorze – odparł Wield.

Wyobraźnia musiała podsunąć Dalzielowi jakiś ciekawy obraz, bo uśmiechnął się i beknął głośno. W pociągu na pewno był wagon restauracyjny.

– Jak to się stało, że miał pan w samochodzie dyktafon? To chyba nie jest standardowe wyposażenie policjanta?

– Nie, panie inspektorze. To magnetofon mojego siostrzeńca. Zepsuł się, więc zawiozłem go do naprawy.

– Bardzo to miłe z pańskiej strony – przyznał Dalziel z aprobatą. – Do serwisu?

– Niezupełnie, panie inspektorze. – Wield niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. – Percy Lowe naprawia radia w naszych radiowozach. Zna się na takim sprzęcie.

– Jasna sprawa... I na pewno zrobił to własnymi narzędziami, w czasie wolnym od pracy.

– Panu też kiedyś naprawił czajnik elektryczny – wtrącił Pascoe.

Dalziel przysunął się do biurka i poczochnął się brzuchem o kant blatu.

– No to posłuchajmy, co duchy miały do powiedzenia – zaproponował.

Słuchając nagrania, na bieżąco śledził sporządzony przez sierżanta zapis.

– No i pięknie... Bardzo nam to pomogło. Warto było się postarać. Myśmy tu sobie wykombinowali, że Brendę Sorby zamordowano po zmroku, a tymczasem cały czas świeciło słońce. W dodatku wydumaliśmy, że ktoś ją wrzucił do starego kanału, który jest tak zamulony, że nawet Judasz Iskariota mógłby w nim chodzić po wodzie, gdy w rzeczywistości chodziło o krystalicznie czysty strumień, w którym wprost roi się od pstrągów.

– Panie inspektorze... – próbował mu przerwać Pascoe, ale sarkazm Dalziela bynajmniej się jeszcze nie wyczerpał.

– W takim razie, sierżancie, nie pozostaje nam nic innego, jak wytypować najbardziej prawdopodobne miejsce gniazdowania albatrosów w Yorkshire. Albo może kondorów. Czy to nie kondory widziano niedawno, jak przysiadły na hałdzie żużlu niedaleko Barnsley? Ależ tak, naturalnie! A te ciemnoskóre skurczybyki to na pewno górniczy związkowcy po wyjściu z kopalni.

Pascoe się roześmiał – nie dlatego, że rozbawił go „żart” podinspektora, ale z ulgi, że mówiąc w ten sposób, Dalziel wprowadzał się w dobry nastrój. Znali się od lat i z biegiem czasu wykształcił się między nimi specyficzny amalgamat emocji i zachowań, w którym niepoślednią rolę odgrywała zdrowa ostrożność.

– No dobrze, Peter, mniejsza o te brednie... Co naprawdę się dziś wydarzyło?

– Niewiele. Chodzimy po domach i wypyтуjemy ludzi, ale domy powoli nam się kończą.

– A ten chłopak? Co z nim?

– Tommy Maggs? Dzisiaj znów się z nim spotkałem, kiedy sierżant poszedł do Sorbych. I też niewiele wskórałem. Upiera się przy swojej wersji. Jest bardzo spięty, ale to rozumiiałe.

– Niby dlaczego?

– No wie pan, zamordowali mu dziewczynę, policja przepytuje go dwa razy dziennie...

– No tak... – przytaknął z powątpiewaniem Dalziel. Spojrzał na zegarek. – Powiem ci, co zrobimy. Jak się miewa twoja żonka?

Ellie, żona Pascoe, była w piątym miesiącu ciąży z ich pierwszym dzieckiem.

– Dobrze. Wszystko w porządku.

– To świetnie. Tego ci właśnie trzeba, Peter: dzieciaka w domu. To cię usatkuje. – Dalziel pokiwał z namaszczeniem głową, jak średniowieczny biskup besztający młodego,

rozhukanego giermka. – Mój zegarek sugeruje, że „Black Buli” jest już otwarty, więc skoro w domu wszystko gra, dam ci się zaprosić na piwo.

– Z przyjemnością, panie inspektorze. Ale tylko na jedno.

– Nie bądź taki nieśmiały, możesz mi postawić, ile zechcesz.

Mijając Wiolda, Dalziel szturchnął go palcem pod żebro.

– Na waszym miejscu, sierżancie, też bym poszedł – powiedział. – Kto wie, może i my zainteresujemy się spirytyzmem. – Parsknął śmiechem i wyszedł.

Pascoe i Wiold pocierpieli chwilę w milczeniu, a potem ruszyli za inspektorem.

Rozdział 2

Brenda Sorby była trzecią ofiarą morderstwa w czasie niespełna czterech tygodni.

Pierwszą była Mary Dinwoodie, czterdziestoletnia wdowa. Tragedia pani Dinwoodie rozegrała się w tradycyjnych trzech etapach. Jeszcze niecały rok wcześniej pani Dinwoodie wraz z mężem i siedemnastoletnią córką prowadzili centrum ogrodnicze w Shafton, bardzo przyjemnej wiosce leżącej kilka mil na wschód od centrum miasta. Wtedy to na Wystawie Rolniczej Hrabstwa Yorkshire, podczas parady starych ciągników parowych zdarzył się makabryczny wypadek: jeden z kierowców dostał zawału, jego pojazd zjechał w tłum, Dinwoodie się pośliznęła i sekundę później na ziemi leżało jego zmiażdżone ciało.

Pięć miesięcy później córka państwa Dinwoodie zginęła w wypadku samochodowym na oblodzonej drodze w Szkocji. Ta druga tragedia omal nie zabiła pani Dinwoodie, która zostawiła sklep pod opieką ogrodnika i przepadła bez wieści. Upłynęły ponad trzy miesiące, zanim znów się pojawiła – blada, jakby schorowana, ale zdecydowana wrócić do normalnego życia. Jak na ironię, to właśnie pierwsze nieśmiałe kroki na drodze ku normalności dopełniły tragicznego tryptyku.

Państwo Dinwoodie nie mieli wprawdzie wielu znajomych, ale też nie byli odludkami. Ich życie towarzyskie kręciło się wokół Shafton Players, lokalnego amatorskiego zespołu teatralnego. Po śmierci męża Mary całkowicie wycofała się z aktorstwa, teraz jednak, za namową życzliwej sąsiadki, zgodziła się wziąć udział w dorocznej „nocy plenerowej”. Shafton Players zjedli kolację w „Cheshire Cheese”, małym pubie na południowym skraju miasteczka, po czym wyszli przed lokal i zaczęli się rozchodzić do samochodów. Pani Dinwoodie uparła się, że przyjedzie własnym autem, żeby móc wymknąć się wcześniej, gdyby naszła ją taka ochota – tymczasem została do samego końca i doskonale się bawiła. Około dwudziestu pozostałych biesiadników dobrało się w trójki, czwórki i większe grupy i rozjechało do domów. Wszyscy zakładali, że Mary Dinwoodie również wróciła do siebie.

Ale rano jej mini nadal stał na parkingu.

Niedługo potem robotnik czyszczący rów melioracyjny na tyłach „Cheshire Cheese” znalazł jej ciało złożone schludnie, z niemal nabożną czcią, wśród przykurzonych pokrzyw.

Została uduszona, o czym robotnik z zapalem informował wszystkich, którzy chcieli go słuchać. I chociaż z biegiem dni słuchaczy ubywało, Sammy Locke, dziennikarz lokalnego „Evening Post”, wziął sobie jego słowa do serca i temat „Dusiciela z »Cheshire

Cheese«” nie schodził z pierwszej strony, dopóki publika nie straciła nim zainteresowania (a to, jak mógł zaświadczyć znalazca zwłok, nastąpiło bardzo szybko).

Dziesięć dni później doszło do kolejnego morderstwa. June McCarthy – lat dziewiętnaście, panna, zatrudniona w fabryce konserw w kompleksie Avro Industrial Estate – w niedzielny poranek wysiadła z firmowego autobusu na końcu Pump Road, długiej, zakrzywiającej się łukiem ulicy, przy której od dziecka mieszkała z rodzicami, a ostatnio, po śmierci matki, już tylko z ojcem. Koledzy z pracy nigdy więcej nie zobaczyli jej żywej. Kiedy Dennis Ribble, siedemdziesięcioletni ogrodnik, otworzył drzwi szopy na swojej działce przy Pump Street, znalazł June martwą na podłodze. Była dziewięć lat trzydzięci.

Ona również została uduszona. Nie znaleziono śladów, które sugerowałyby napaść na tle seksualnym. Ciało zostało schludnie ułożone: nogi były złączone, bezwładny język wepchnięty do ust, ręce skrzyżowane na piersi i jeden makabryczny dodatek – ktoś włożył jej w dłoń bukietek miętywanych gałązek, których zapach wypełnił szopę.

Nie było żadnych oczywistych podejrzanych. Ojciec June jeszcze nie wstał z łóżka i spodziewał się, że córka po powrocie z nocnej zmiany poszła spać, a jej narzeczony – żołnierz z miejscowej jednostki – dzień wcześniej skończył tygodniowy urlop i wrócił do Irlandii Północnej.

W poniedziałek Sammy Locke przeczytał krótkie notki w krajowych dziennikach, pokombinował, co by z tego zrobić, i dał nagłówek „DUSICIEL UDERZA PONOWNIE?”.

Ledwie go złożył, gdy zadzwonił telefon.

– Żadnych dalszych małżeństw, powiadam – powiedział bez zbędnych wstępów jakiś mężczyzna.

Locke nie był przesadnie oczytany, ale jego sekretarce, która dopiero co rzuciła nudną szkołę po nudnym rocznym kursie angielskiego na poziomie rozszerzonym, wydało się, że rozpoznaje jeden z dwóch nudnych tekstów, przez które kazano jej przebrnąć (drugim było *Miasteczko Middlemarch*).

– To z *Hamleta* – powiedziała. – Tak mi się wydaje.

Miała rację.

Akt 3, scena 1:

„Słyszałem ja niejedno i o tym, jak wy się malujecie; Bóg dał wam jedną twarz, a wy robicie sobie drugą; fyrtacie się, stąpacie dumnym krokiem, szeplenicie, przezywacie dziwacznie boskie

stworzenia, a pokrywacie swą płochość rzekomą nieświadomością. No no, dość mam tego; to mnie doprowadziło do szaleństwa. Żadnych dalszych małżeństw, powiadam, a ci, co już się poženili, niech sobie dalej żyją – z wyjątkiem jednego. Reszta może zostać tak, jak jest. Do klasztoru, idź!

Sammy Locke mógł się nie znać na Shakespearze, ale na pewno znał się na wydawaniu gazet. Po krótkim zastanowieniu usunął pytajnik z nagłówka i zadzwonił do Dalziela, który był jego kumplem od kieliszka.

Dalziel beznamiętnie przyjął te rewelacje do wiadomości, a następnie porozmawiał z Pascoe, któremu dyplom absolwenta ukończonej z wyróżnieniem socjologii zapewnił na wpół ironiczny status konsultanta do spraw kulturalnych. Pascoe wzruszył ramionami i dokonał wpisu w dzienniku służbowym.

Następna była Brenda Sorby.

Zaledwie osiemnastoletnia śliczna długowłosa blondynka była kasjerką w oddziale Northern Banku na przedmieściu. Z informacji na tej temat wyłaniał się obraz młodej kobiety o nadmiernie uproszczonym światopoglądzie, który potrafi budzić zarówno ogromną naiwność, jak i wielką determinację. Brenda uprzedziła matkę, że w czwartek wieczorem nie wróci do domu na popołudniową herbatkę – i rzeczywiście nie wróciła. Po pracy wybierała się do fryzjera, a potem zamierzała skorzystać z wprowadzonego niedawno w centrum zwyczaju późniejszego zamykania wybranych sklepów i zrobić zakupy, zanim spotka się ze swoim chłopakiem.

Chłopakiem tym był Thomas Arthur Maggs (dla przyjaciół Tommy), dwudziestolatek, mechanik samochodowy z zawodu i lekkoduch z natury. W młodości miał małe kłopoty z prawem, ale nie było to nic poważnego, w dodatku od tamtej pory był czysty. Ojciec Brendy kręcił nosem na Tommy'ego i prawie wszystko, co wiązało się z nim i jego kumplami, ale pani Sorby powstrzymywała go od przesadnie gwałtownych sprzeciwów, ponieważ uważała, że należy po prostu poczekać, aż wszystko samo się ułoży. I rzeczywiście się układało, aż do dnia osiemnastych urodzin Brendy, które obchodziła w towarzystwie kolegów i koleżanek w najfajniejszej dyskotecie w mieście. Wróciła do domu cała w skowronkach, z dość krzykliwym pierścieniem zaręczynowym na palcu. Jack Sorby się wściekł: na nią za głupotę, na Tommy'ego za dwulicowość, na żonę za złe rady, a na siebie za to, że ich posłuchał. Uspokoił się dopiero, gdy groźby wyrzucenia córki z domu spotkały się z jej spokojną i stanowczą odpowiedzią, że w takim razie jeszcze dziś wyprowadzi się do

1 Cytaty z *Hamleta* Williama Shakespeare'a w przekładzie W. Tarnawskiego (przyp. tłum.).

Tommy'ego.

Zawarto rozejm, niepewny i nieprecyzyjny, który w dodatku – zdaniem Jacka Sorby'ego – został jednostronnie zdradziecko pogwałcony zaledwie cztery dni później: w piątkowy rano pan Sorby wstał i odkrył, że córka nie wróciła na noc do domu. Pani Sorby znowu musiała użyć wszystkich swoich talentów dyplomatycznych, żeby powstrzymać go od szturmu na odległy zaledwie o milę dom Maggsów i wymierzenia Tommy'emu stosownego dla angielskiej niższej klasy średniej odpowiednika chłosty. Co ciekawe, w swojej szczerej, choć może przesadnej trosce o córkę pan Sorby nie dopuszczał innego wytłumaczenia jej nieobecności niż kontekst czysto seksualny.

Winifred Sorby lepiej znała córkę. Gdy tylko mąż wyszedł do biura (był naczelnikiem lokalnego Wydziału Podatków i Opłat), zadzwoniła do banku. Zwykle o ósmej trzydzieści Brenda była już w pracy, ale tego dnia jeszcze się nie pojawiła. O dziewiątej pani Sorby zadzwoniła ponownie, a potem narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy, (mimo że dzień zapowiadał się ciepły i słoneczny, dziwny chłód przenikał ją do szpiku kości) i poszła do domu Tommy'ego Maggsa.

Nie zastała w nim żywej duszy.

Jak poinformowała ją przyjaźnie sąsiadka, wszyscy Maggsowie byli w pracy. Tak, na własne oczy widziała, jak wychodzą z domu. Tommy też.

Pani Sorby poszła na policję.

A tam nazwisko Tommy'ego Maggsa wzbudziło spore zainteresowanie.

Ubiegłej nocy, o dwudziestej trzeciej piętnaście uwagę patrolu w radiowozie zwrócił stary mini, pomalowany w tęczowe kolory i stojący z podniesioną maską na poboczu drogi. Pochylony nad silnikiem młody człowiek usiłował zmusić go do uległości za pomocą klucza nastawnego.

Szybkie dochodzenie wykazało, że samochód należy do niego, że się zepsuł i że mimo profesjonalnych zabiegów (właścicielem auta był Tommy Maggs) uparcie odmawia współpracy. Wyraźna woń alkoholu dała policjantom do myślenia i postanowili zapytać Tommy'ego, jak spędził wieczór. „Z dziewczyną”, odpowiedział. „Zirytowała się awarią wozu, a ponieważ miała stąd do domu najwyżej pół mili, poszła dalej pieszo”.

Byli w pubie?

„Nie”, zapewnił Tommy. „W żadnym pubie”.

„Ale coś jednak piłeś”, zasugerował jeden z policjantów, wyciągając z samochodu prawie pustką butelkę po szkockiej.

Badanie alkomatem częściowo wyjaśniło wątpliwości i Tommy został przewieziony

na komisariat, gdzie pobrano mu krew. Jego protesty i wyjaśnienia, że nie wypił ani kropelki, dopóki samochód się nie zepsuł, skwitowano uprzejmą sugestią, żeby zachował je dla sędziego. Lekarz policyjny był akurat nieobecny (opatrywał ochroniarza, który oberwał po głowie od włamywaczy), toteż zrobiło się dobrze po pierwszej, zanim Tommy został wreszcie zwolniony (zwłoka zadziałała zresztą później na jego korzyść). Lało jak z cebra i posterunkowi z nocnej zmiany mogli się po raz kolejny wykazać uprzejmością, odwożąc chłopaka radiowozem do domu.

Kiedy następnego dnia policjanci przyszli do niego do Wheatsheaf Garage – warsztatu, w którym pracował – spodziewał się kontynuacji nocnych perypetii i poczęstował ich tą samą historyjką, może tylko nieco bardziej ugrzecznioną: romantyczna przejażdżka z ukochaną, awaria samochodu, decyzja Brendy o powrocie na piechotę, jego własna frustracja, szybki łyk z butelki dla ukojenia skołatanych nerwów, zanim porzuci tego przekłętego grata i też piechotą wróci do domu. Kiedy jednak zrozumiał prawdziwy cel ich wizyty, był ogromnie poruszony.

Policjanci spisali jego zeznanie i udali się do banku, gdzie nikt nie widział Brendy ani z nią nie rozmawiał od kiedy poprzedniego dnia wyszła z pracy. Za to od rana były do niej dwa telefony – nie licząc tych od matki.

W porze obiadowej policja zaczęła na serio przejmować się jej zaginięciem. Jack Sorby dostarczył im nieco rozrywki: wybrał się do Wheatsheaf Garage, żeby przenieść buzię Tommy'emu Maggsowi, który był tak przybity, że nie miał siły się bronić. Na szczęście, policjanci zjawili się w warsztacie niemal równocześnie z panem Sorbym i szybko zaprowadzili spokój. Tommy na dobrą sprawę ograniczał się do mechanicznego powtarzania swojej wersji wydarzeń, za to przynajmniej udało się rozwikłać tajemnicę dwóch porannych telefonów do banku – bo to właśnie on dzwonił. Zapytany, po co telefonował do Brendy, ożywił się na chwilę.

– Jak to po co, kurna? Żeby potwierdziła, że nie piłem!

Zdaniem Pascoe tłumaczenie to brzmiało całkiem sensownie. Po pierwszych dwóch przypadkach uduszenia Dalziel przykazał mu mieć szczególne baczenie na wszystkie napady na kobiety i przypadki zaginięcia. Oczywiście, takie wyjaśnienie w żaden sposób nie potwierdzało słów Tommy'ego, ale znacznie je uprawdopodobniało.

Chyba, że po prostu był dziesięć razy bardziej cwany, niż wyglądał.

Tym, co ostatecznie oczyściło Tommy'ego z zarzutów, było zdarzenie, którego nikt nie pragnął: znaleziono ciało. Nie był to miły widok. Przez środek miasta prosto jak strzała, w przybliżeniu równoległe do płytkiej, meandrującej rzeki, biegł stary kanał – relikw z

poprzedniego stulecia, od wojny praktycznie nieużywany, przynajmniej dopóki w latach sześćdziesiątych biura turystyczne nie zaczęły wciskać klientom rozkoszy żeglugi śródlądowej, a dekadę później firmy transportowe w obliczu gwałtownego wzrostu cen paliwa nie zainteresowały się transportem wodnym. Jedna z kursujących po kanale barek dosłownie wyciągnęła zwłoki na światło dzienne. Mocno obciążona ładunkiem metalowych odlewów sunęła środkiem toru wodnego, gdy nagle beztroski stateczek wycieczkowy zmusił ją do odbicia w stronę brzegu. Szyper zaklął szpetnie, gdy barka uderzyła o coś dnem i śruba zgubiła rytm. Przekonany, że zarył w jakiś kawał śmiecia zalegający w mętnej wodzie, wyłączył silnik, pobiegł na rufę i wyjrzał za burłę.

Najpierw rzuciła mu się w oczy plama intensywniejszego koloru w brunatnej cieczy, a potem, kiedy zobaczył, co wypływa na powierzchnię, znów zaczął złorzeczyć – z tą różnicą, że teraz jego przekleństwa miały wyraźną religijno-ochronną wymowę.

Patolog potwierdził, że przyczyną wszystkich obrażeń ciała dziewczyny było działanie śruby napędowej i że nie mają one nic wspólnego z jej śmiercią: została przyduszona i jeszcze żywa, – choć zapewne konająca – wrzucona do wody. Zapytany o czas, jaki upłynął od chwili zgonu, wzbraniał się przed sprecyzowaniem go bardziej niż „od dwudziestu do dwunastu godzin”, a przyciśnięty zirytował się i zaczął narzekać na pewne szczególne okoliczności, takie jak wysoka temperatura wody w kanale i rozdarcie przez śrubę klatki piersiowej i płuc denatki. Pascoe, od dawna już oswojony z nieprecyzyjnością nauk ścisłych, postanowił poszukać innych wskazówek.

Dwadzieścia godzin wcześniej był czwartek, godzina osiemnasta trzydzieści. Od razu mógł przeskoczyć do godziny dwudziestej, ponieważ dopiero wtedy Brenda spotkała się z Tommym. Umówili się w „Bay Tree Inn”, dawnym zajeździe znajdującym się niedaleko centrum miasta, który przeszedł w ręce dużej kompanii piwowarskiej słynącej z nieprzeciętnego instynktu handlowego i wyjątkowo podłego piwa beczkowego. Historia „Bay Tree” przyciągała turystów, dwie restauracje (jedna droga, druga astronomicznie droga) wabiły smakoszy, a dyskoteka w piwnicy cieszyła się popularnością wśród młodzieży, toteż na brak gości nigdy nie narzekano. Świadkiem spotkania był Ron Ludlam, kolega Tommy’ego z pracy, jeden z tych jego kumpli, których pan Sorby tak szczerze nie znosił. Pili we dwóch z Tommym, czekając na Brendę, ta jednak, kiedy przyszła, powiedziała, że nie chce siedzieć w „Bay Tree”. Zdaniem Rona, który odwiózł zrozpaczonego Tommy’ego do domu po tym, jak usłyszeli o śmierci dziewczyny, Brenda sprawiała wrażenie, jakby chciała poważnie porozmawiać ze swoim narzeczonym o perspektywach małżeństwa. W cztery oczy. Wsiedli więc do jazgoczącego kolorowego mini

i odjechali.

Tommy utrzymywał, że przez cały wieczór po prostu jeździli po różnych miejscach. Tak bez przerwy? Nie, no, bez przesady: zatrzymali się za miastem na papierosa, pogadali trochę. To wszystko? No, może trochę się pomigdalili. Ale to nie było nic poważnego.

Patolog potwierdził to „nic poważnego”: Brenda była *virgo intacta*.

Po jednej stronie kanału ciągnęły się magazyny. Dałoby się zejść na brzeg, ale trzeba by po drodze pokonać strzeżone ogrodzenie i bramę. W dodatku po godzinie dwudziestej trzeciej na Sunnybank (przypominającej wąwóz ulicy dochodzącej do magazynów) zjawily się spore siły policyjne, ponieważ to właśnie tam oberwał po głowie strażnik, którego opatrywanie nie pozwoliło lekarzowi od razu pobrać próbki krwi od Tommy'ego Maggsa.

Drugi brzeg – po tej stronie, gdzie znaleziono ciało – stanowił trawiasty przesmyk obsadzony wierzbami i brzoza, które miały zasłonić przemysłowy krajobraz przed wzrokiem spacerowiczów zażywających relaksu w sympatycznym Charter Park. W noc zabójstwa park rozbrzmiewał muzyką i odgłosami zabawy: świętowano właśnie zakończenie pierwszego tygodnia dwutygodniowego jarmarku miejskiego. Ojcowie miasta w przypływie zgoła nieangielskiej rozrzutności zgodzili się, żeby miejska przystań była podczas jarmarku czynna do północy, dzięki czemu goście zmęczeni karuzelami i innymi atrakcjami lunaparku mogli wypożyczyć łódź i popłynąć na przesmyk, gdzie wśród obwieszonych lampkami drzew rozstawiły się dwa stragany z hot dogami i innymi niezbędnymi składnikami dobrego pikniku. W okolicy panował taki ruch, że nie było mowy o dyskretnym porzuceniu zwłok przed godziną dwudziestą trzecią trzydzieści, kiedy to chmury, od dawna gromadzące się na południu, nagle ruszyły na północ, połknęły księżyc i gwiazdy i splunęły ciężkimi kroplami deszczu w duszną noc. Po dwudziestu minutach z przesmyku zwinęli się ostatni rozbawieni piknikowicze i klnący, na czym świat stoi sprzedawcy hot dogów, a przemierzające kanał stateczki wycieczkowe albo z klekotem udały się w dół jego biegu, by tam szukać sympatycznego kotwicowiska, albo przygotowały się do spędzenia nocy na miejscu.

I wtedy można było zrzucić do kanału choćby i wywrotkę zwłok, nie zwracając niczyjej uwagi.

Jednakże Tommy Maggs zdążył się przez ten czas wdać w konwersację z policjantami, w towarzystwie, których przebywał aż do pierwszej trzydzieści, kiedy to odstawili go pod dom; jego ojciec oglądał western w telewizji i potwierdził późny przyjazd syna. Dlatego – zakładając, że nie wykradł się potem z domu, żeby spotkać się z Brenda, zwabić ją nad kanał pięć mil od domu (bez samochodu!) i tam zabić – Tommy był czysty.

Nikt jednak nie wiedział, co się działo z Brenda po tym, jak zostawiła narzeczonego

dłubiącego przy zepsutym mini.

Chociaż nie, był ktoś taki.

O szóstej rano w piątek wydawca „Evening Post” odebrał telefon.

– Miłość kazała mi, bym był okrutny – usłyszał w słuchawce.

Połączenie zostało przerwane.

Dziennikarz zawołał sekretarkę.

Rozdział 3

Intensywne i wielce satysfakcjonujące doświadczenie ciąży jakoś nie zachwycało Ellie Pascoe.

Mniej więcej połowę miała za sobą, tymczasem nie dość, że nadal dręczyły ją poranne mdłości, których od miesiąca nie powinna była odczuwać, to jeszcze zaczęły się zgagi i bóle pleców, które – gdyby miały choć odrobinę przyzwoitości – spokojnie mogły jeszcze miesiąc poczekać.

– Na litość boską, daruj sobie te kojące pomruki! – burknęła, wróciwszy błada do stołu, przy którym jedli śniadanie. – Ja tylko noszę w sobie dziecko, nie staję się nim.

Skarcony Pascoe skupił się na swojej misce płatków.

– Nie trzeba było kupować biletu, skoro nie miałaś ochoty na wycieczkę – zauważył lekkim tonem.

– Nie wiedziałam, że ta wycieczka będzie oznaczała kres wszelkiej cywilizacji – odparła ponuro Ellie.

– Przynajmniej nie musisz chodzić do pracy.

Lipiec zaczął się już jakiś czas temu i w college’u Ellie trwały wakacje.

– To studenci mają wakacje, nie my – odparowała.

To było stare sporne terytorium, pełne lejów po bombach. Pascoe zdecydował się na taktyczny odwrót.

– Możesz mi podać masło? Proszę...

– Jeżeli chciałeś mi dać do zrozumienia, że gdybym cię posłuchała i odeszła z college’u na początku semestru, to nie musiałabym się martwić kursami, które zaczną się od września, pozwól, że przypomnę ci trzy fakty: po pierwsze, ta praca jest mi potrzebna; po drugie, potrzebujemy pieniędzy; i po trzecie, kobiety od dziesięcioleci walczyły o uzyskanie tych żalonych praw, które im dzisiaj przysługują, włączając w to prawo do nietracenia pracy tylko przez to, że jakiś nieodpowiedzialny fagas je puknął, i nie zamierzam się tych praw wyrzekać tylko z tego powodu, że w tobie obudził się duch patriarchalno-opiekuńczy. A teraz przepraszam.

Ellie wstała od stołu.

– Chwała Bogu, że nie poprosiłem o marmoladę – zauważył Pascoe, kiedy wróciła.

Nie odpowiedziała.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał, dopijając kawę.

– Pójdę sobie porzygać do aeroklubu.

– Na Boga! – zaniepokoił się Pascoe. – Chyba nie zamierzasz się zapisać na kurs szybowniczy?

– Nie, idę tam tylko na obiad. Podają kurczaka z frytkami. Jak dobrze pójdzie, to zaraz po kurczaku zobaczą pawia.

– Daj spokój, nie może być aż tak źle... No, chyba żeby było. Ale dlaczego w aeroklubie? Rzadko tam grasujesz.

– Umówiłam się z Thelmą.

– Lacewing? Zaskakujesz mnie coraz bardziej. Do niej też mi to miejsce nie pasuje.

– A jakie by ci pasowało? Co ty w ogóle o niej wiesz?

– Ja? Niewiele. Właściwie nic – odparł bez cienia zainteresowania Pascoe.

Miał dobre powody, żeby nie interesować się Thelmą Lacewing. Po pierwsze, była czołową aktywistką GOPK, czyli Grupy Obrony Praw Kobiet, dla której prawo znaczyło o wiele mniej niż jej własne zasady. Po drugie, całkiem niedawno doprowadził do aresztowania jej wuja, szanowanego miejscowego biznesmena, zamieszanego w aferę pornograficzną. A po trzecie, podobała mu się (w sensie czysto estetycznym, naturalnie) i czasami wyobrażał sobie, że i on jej się podoba.

– Pasuje czy nie, to był jej pomysł – mówiła tymczasem Ellie. – Obiecałam jej, że kiedy zaczną się wakacje i będę miała więcej czasu, odciążę zawałoną obowiązkami sekretarkę Lorraine Wildgoose.

– Przed chwilą powiedziałaś, że to studenci mają wakacje, nie wy.

– Idź już do pracy, dobrze? – Ellie była wyraźnie zniesmaczona. – Może uda ci się powstrzymać tego świra przed zabiciem półtuzina kobiet.

Pascoe dojadł tosta.

– Wildgoose – powtórzył, prychając okruszkami. – Jakbym to już kiedyś słyszał... Znam ją?

– Nie sądzę. Chociaż jest uosobieniem wszystkich cnót, jakich szukasz u kobiet: czterdziestka, zawzięta, uczy francuskiego i przechodzi paskudny kryzys małżeński.

Pascoe wzdrygnął się i wstał od stołu.

Kiedy zajrzał do kuchni z teczką w ręce, gotowy do wyjścia, Ellie czytała gazetę.

– Posłuchaj, piszą coś o tym, że gruby Andy wezwał na pomoc jasnowidza.

– O Boże... Pokaż. – Pascoe zajrzał do gazety i odetchnął z ulgą. – Wszystkiego dwie linijki... Zresztą, Andy i tak nie kupuje „Guardiana”.

– Może nie, ale pomyśl, jak wielkie jest w takim razie prawdopodobieństwo, że

napiszą o tym brukowce! To ciekawa historia. Przynajmniej ja miałam takie wrażenie, słuchając cię wczoraj.

– Przestań. – Pascoe pocałował żonę.

– Peter? – odezwała się z namysłem, kiedy skończył. – Ten zapis nagrania z taśmy, który mi pokazywałeś... Mogłabym go pożyczyć?

– Po co, na litość boską?

– Mam pewien pomysł. Obudziłam się w środku nocy, leżałam tak, myślałam i nagle doznałam olśnienia. Wiesz jak to bywa. Pomyślałam o tej kobiecie w transie. Wiem, że mówiłeś, że jej wizja nie może mieć nic wspólnego z faktami, ale przypomniałam sobie, jak w zeszłym roku muzeum prowadziło wykopaliska w Charter Park, pamiętasz? Tam, w głębi, za pomnikiem ofiar wojny. Nasi historycy brali w nich udział. Archeologów interesowały głównie pozostałości z czasów rzymskich, ale w jednym miejscu z czystej ciekawości pogłębili wykop i znaleźli ślady ludzkich osiedli z najdawniejszych czasów, z samych początków osadnictwa.

– Fascynujące. Co z tego wynika?

– Wyobraź sobie, że po twojej śmierci następuje... przesunięcie w czasie. Właściwie, dlaczego nie? Z pewnością można powiedzieć, że dla zmarłej czas się zatrzymuje. W chwili zgonu dziewczyna na chwilę przenosi się w przeszłość. Słyszałeś o tym, że podobno, kiedy toniesz, całe życie przelatuje ci przed oczami? Wiem, to oklepany tekst, ale tak właśnie mówią niedoszli topielcy. Przypuśćmy jednak, że widzisz nie tylko to jedno swoje życie, ale historię całego życia na Ziemi. Tylko, że kiedy twoje życie przeleci w całości, jesteś już nie do odratowania.

– No dobrze... – mruknął Pascoe, zaniepokojony nietypowym dla Ellie porywem fantazji. – I co?

– Dziewczyna na chwilę wypada z naszego czasu i ląduje na przykład we wczesnym mezolicie. Woda jest czysta. Na skutek przesunięcia w czasie panuje dzień. A te twarze... jak ona je nazwała...? „Jak zwierzęta przy wodopoju”? Małe, czujne, ciemnoskóre ludziki, może ludzie z Cresswell, może jakieś inne prehistoryczne plemię... A ptaki, które widziała? To by mogły być pterodaktyle.

– Jezus Maria!

– Jak chcesz. Zlekceważ mnie. Ale mnie się wydaje, że ten słynny otwarty umysł, którym w kółko się przechwalasz, jest tak samo otwarty jak bank w sobotę.

– Ja tylko wyraziłem zdumienie głębią twojej wiedzy prehistorycznej – zaprotestował pokrętnie Pascoe.

Ellie się zmieszała.

– Wiem tyle samo, co i ty – przyznała. – Dlatego właśnie chciałam pożyczyć ten zapis. Thelma śledziła wtedy te wykopaliska; archeologia to jeden z jej koników. Pomyślałam, że może mi coś wyjaśni.

– Skomplikowana kobieta... W dodatku nietknięta ręką ludzką. Przynajmniej na taką pozuje.

– Co ty znowu kombinujesz? – Ellie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Dobrze. – Pascoe wyjął zapis z teczki. – Proszę. Tylko nie zgub. Mamy wprowadzić kopię w komisariacie, ale mimo wszystko... Nawet, jeśli nie jest to żaden oficjalny dokument, może być jeszcze potrzebny. Tylko obiecaj mi coś: nie daj się tym jędzom zrobić w coś, z czym mogłabyś sobie nie poradzić, dobrze?

– Tak jest, panie komisarzu.

Pocałował ją jeszcze raz, surowo, po ojcowsku, i wyszedł.

Cofając spod domu, przypomniał sobie „ptero daktyla” i dostał takiego ataku śmiechu, że omal nie rozjechał mleczarza.

A jednak coś w słowach Ellie musiało podrażnić jego podświadomość, bo kiedy pełził samochodem w tradycyjnym porannym korku (była dziewiąta i zanosilo się na to, że przed dziesiątą korek się nie skończy), odruchowo skręcił w boczną uliczkę i dziesięć minut później wjechał na teren Charter Park.

Upały i susza spiekły ziemię na beton, tak, że nawet zdarzające się od czasu do czasu burze nie były w stanie jej zmiękczyć i jakoś przetrwała najazd uczestników jarmarku. Park był jednak zaśmiecony jak po przejściu niewidomych sprzątaczy. Ciekawe, pomyślał Pascoe, jak długo jarmark jeszcze będzie przyciągał ludzi – bo nawet w tym relatywnie krótkim czasie, jaki on sam ogarniał pamięcią, impreza bardzo się zmieniła.

Przed pierwszą wojną światową odbywały się tu jedne z największych targów koni. Żyli jeszcze ludzie, którzy pamiętali dni, gdy z całej północy kraju zjeżdżali się poganiacze i Cyganie; pobocza prowadzących do miasta dróg na długości wielu mil były zastawione wozami – nie opływowymi, błyszczącymi samochodami, lecz prawdziwymi wozami z drewna, malowanymi na złoto i zielono, czerwono i niebiesko. Z biegiem lat targowisko coraz bardziej upodabniało się do wędrownego wesołego miasteczka, ale końmi handlowano jeszcze na początku lat sześćdziesiątych. Nasilały się jednak skargi, także od regularnych bywalców targu, którzy uważali się za ludzi lepszego rodzaju niż Romowie, których obecności sprzeciwiali się pod wszelkimi możliwymi pretekstami – głównie zarzucając, zarówno im, jak i ich koniom, niedostatki natury higienicznej. Do protestów dołączył także

Cech Artystów Scenicznych i gdy stadko cygańskich kuców uciekło z parku i przecwałowało przez środek miasta, powodując kilka wypadków i ogromne oburzenie, koniom ostatecznie zabroniono wstępu do Charter Park. Nieliczni Romowie bywali jeszcze na jarmarku, ale ich główny tabor znajdował się na starym lotnisku na południe od miasta, a handlowali, najczęściej chodząc po domach.

Rozrywka zatem zwyciężyła, ale gust gawiedzi się zmienia, a lunaparki mają ograniczone możliwości nadążania za tymi zmianami. Poza tym, dawniej całe miasto tradycyjnie brało dwutygodniowy urlop na czas jarmarku. Wielu ludzi do dziś hołdowało tej tradycji, ale znacznie więcej było takich, którzy nie życzyli sobie, by ktokolwiek dyktował im, kiedy mają sobie robić wolne. Jeszcze dziesięć lat, pomyślał Pascoe, i jarmark stanie się kolejną ofiarą wojny o prawa jednostki.

Na razie jednak otwarte na czas jarmarku wesołe miasteczko zajmowało ładny kawał parku. W tej chwili panował w nim spokój (większy ruch był na parkingu, wśród wozów), ale Pascoe oczami wyobraźni widział tłumy zaludniające je w gorącą letnią noc. Po dwudziestej drugiej trzydziści, kiedy zamykano puby, do lunaparku napływała nowa fala hałaśliwych i niezbyt uważnych amatorów miłego spędzenia czasu. Samotna dziewczyna, a nawet para, mogła z łatwością pozostać niezauważona. Ale jak Brenda Sorby w ogóle się tu znalazła?

Szedł nieśpiesznie, pogrążony w rozmyśleniach. Może, wracając do domu, spotkała kogoś znajomego, kto zaprosił ją na jarmark? Było jednak po jedenastej, więc ten ktoś musiałby być bardzo przekonujący. Może po prostu jakiś przygodny kierowca zaproponował, że ją podrzuci, i dopiero podczas rozmowy w samochodzie wypłynął temat jarmarku. Zanim dojechali do parku, rozpętała się burza i goście zaczęli się związać. Zostali jednak pracownicy, którzy musieli posprzątać, pozmywać podłogi, zliczyć pieniądze z biletów i tak dalej – co na pewno trwało dobrą godzinę. Czy Brenda przez ten czas po prostu siedziała w samochodzie? A może już była nieprzytomna? Albo martwa? Może...

Przechodząc obok namiotu wróżki, przypomniał sobie niedawne przeżycia sierżanta Wiolda. Półzartem opowiedział o nich Ellie, która wcale nie była rozbawiona. „Odnoszę wrażenie, że potrzebujecie wszelkiej dostępnej pomocy”, powiedziała. Bardzo przejęła się tymi morderstwami. Czyżby to był efekt uboczny jej specyficznego stanu? Na szczęście miał dość rozumu, żeby nie powiedzieć tego na głos!

Stanął na przystani wypożyczalni łodzi.

Joe, pracownik wypożyczalni, jeszcze nie przyszedł do pracy, z czego Pascoe w zasadzie się ucieszył. Joe był prawdziwym mieszkańcem Yorkshire – gburowaty i

podejrzliwy, zaraz po narodzinach pewnie długo taksował matczyną pierś nieufnym wzrokiem, zanim zdecydował się spróbować jak smakuje. Ale przynajmniej był rzetelnym świadkiem.

Nie rozpoznał Brendy Sorby na zdjęciu. Nie, nie zginęła mu ani jedna łódka. Nie, nikt nie wrócił sam. Kiedy mu wypomniano, że na skutek nagłej burzy piknikowicze wracali do przystani w niejakim pośpiechu, przyznał niechętnie, że może w którejś z łodzi przyplłynęły trzy osoby zamiast czterech, ale upierał się, że nie było żadnych samotnych wioślarzy – a osobiście odbierał wszystkie łódki, co do jednej, i mimo ulewy sprawdzał dokładnie cały wypożyczony sprzęt przed zwróceniem dwóch funtów kaucji. A kaucję zwrócił za wszystkie łodzie.

Dusiciel musiał jednak mieć *łódź*. Najbliższy most łączący przesmyk z resztą lądu znajdował się o milę od tego miejsca – za daleko, żeby ryzykować przeniesienie ciała. Zresztą, po co ktoś miałby je wyrzucać tak daleko?

Jedyna alternatywna teoria zakładała, że Dusiciel mieszka na którejś z barek. Ta teoria bardzo przypadła do gustu Andy'emu Dalzielowi, chętnie wrzucającemu wszystkich ludzi prowadzących wędrowny tryb życia do jednego worka, opatrzonego etykietką „brudne cygany”. Jednakże Pascoe, który pisał na uczelni pracę semestralną o edukacji angielskich „wędrujących dzieci”, zdawał sobie sprawę, że przedstawiciele różnych społeczności bardzo się między sobą różnią pod względem postaw i stylu życia. I tak, na przykład, cyrkowcy i pracownicy lunaparków często przykładali ogromną wagę do wykształcenia dzieci i jeśli tylko mogli sobie na to pozwolić, posyłali je do prywatnych szkół z internatem. Zupełnie inaczej postępowali Romowie, z natury podejrzliwi wobec „systemu” i znacznie bardziej świadomi swojej niezależności, która bardzo utrudniała ich dzieciom integrację w szkolnym środowisku. Pod tym względem mieszkańcy barek byli nawet gorsi od Romów; na szczęście, z upływem czasu ten styl życia wyraźnie stracił na popularności, gdy z powodów ekonomicznych transport wodny stał się nieopłacalny. Ostatnio jednak kanały wyraźnie wracały do łask i Pascoe spodziewał się, że wkrótce problem znów się pojawi.

Na razie zaś dopilnował, żeby odszukano i przesłuchano wszystkich, którzy tamtej nocy przebywali w okolicy. Okazało się, że nikt na barkach nie spędził tego wieczoru sam, wszyscy mieli sensowne alibi i nikt nic nie słyszał. Zresztą, wszystko wskazywało na to, że dziewczynę zrzucano do wody z brzegu, nie z łodzi. Sukienkę miała pobrudzoną ziemią – taką samą ziemię znaleziono w płytkim zagłębieniu na brzegu nieopodal miejsca wypłynięcia zwłok.

Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że wystarczy tego dumania. Robota czeka.

Zawrócił.

Wesołe miasteczko trochę się przez ten czas ożywiło. Interes miał się na dobre rozkręcić dopiero później, ale wcześniej trzeba było zająć się różnymi drobiazgami: sprawdzić i naoliwić maszynę, zdjąć płócienne przykrycia, wypolerować okucia. Na strzelnicach i straganach do rzucania kólkami ktoś musiał wyłożyć tandetne nagrody, sprawdzić celowniki (na wypadek, gdyby same się naprostowały) i wykrzywić kółka, żeby przypadkiem nie weszły na butelkę whisky.

Przed namiotem wróżki młoda kobieta w dżinsach i żółtej koszulce na ramiączkach rozmawiała z mężczyzną w kraciastej koszuli, butach z demobilu i szarych sztruksach wpuszczonych u dołu w wojskowe ochraniacze. Mężczyzna miał około czterdziestu lat, ściągnięte brwi i posępną, pobrużdżoną zmarszczkami twarz Heathcliffa.

Spojrzeni na Pascoe. Mężczyzna coś powiedział.

Chwilę później Pascoe zatrzymał się i odwrócił, słysząc kobiecy głos:

– Halo! Proszę pana?!

Kobieta w żółtej koszulce szła za nim. Mężczyzna przez chwilę za nią patrzył, a potem ruszył w stronę placyku, gdzie stały przyczepy.

– Pan jest z policji, prawda? – spytała dziewczyna.

Każda kobieta poniżej dwudziestu pięciu lat to już teraz „dziewczyna”, pomyślał smętnie Pascoe. Ta przynajmniej faktycznie wyglądała dziewczęco: młoda skóra, błyszczące piwne oczy, bujne kasztanowe włosy wymykające się spod biało-zielonej chustki.

– Owszem. To aż tak widać?

– Ja chyba już wcześniej pana widziałam – powiedziała dziewczyna, unikając odpowiedzi.

Pascoe skinął głową. Nie byłoby w tym nic dziwnego: w piątek po południu spędził na jarmarku sporo czasu.

– Pani tu pracuje?

– Tak. Ma pan chwilę?

Nie czekając na odpowiedź, dziewczyna zawróciła w stronę namiotu wróżki i odgarnęła płachtę przy wejściu. Pascoe zatrzymał się przed namiotem – chciał w ten sposób podkreślić swoją niezależność, a przy okazji przeczytać szyld. Napis brzmiał: *Madame Rashid czyta z gwiazd. Wstęp: 50p.* Naśladujące arabskie pismo litery były ozdobione konstelacją geometrycznych kształtów w różnych kolorach.

– Przyszłość podrożała – zauważył Pascoe.

– Powinien pan zamówić sobie horoskop – odparła całkiem poważnie dziewczyna. –

Nam zresztą i tak nie wolno przepowiadać przyszłości.

– Wiem o tym.

– Naturalnie. Nie wejdzie pan?

Pascoe wszedł do namiotu – i poczuł ukłucie zawodu. Wnętrze kojarzyło się raczej z obozem harcerskim niż Orientem i egzotyką, której podświadomie oczekiwał. Zalaatywało wilgotnym płótnem i zdeptaną trawą, a jedyne wyposażenie stanowił stolik na kozłach i dwa składane krzesła.

Na stole leżała walizka. Dziewczyna, jakby wyczuwając rozczarowanie gościa, wskazała na nią i wyjaśniła:

– Lepiej to wygląda, kiedy już wyjmę rekwizyty.

– Z pewnością. O czym chciała pani ze mną porozmawiać, panno... eee... Rashid?

Roześmiała się.

I to w bardzo atrakcyjny sposób.

– Nie, nie Rashid. Jestem Pauline Stanhope.

Pascoe uściśnął podaną mu rękę. Nazwisko brzmiało znajomo.

– Komisarz Pascoe, wydział kryminalny - przedstawił się.

– Domyśliłam się. Chodzi o wczorajszy dzień, panie komisarzu. Proszę usiąść.

Pascoe rozłożył oba krzesła i usiedli naprzeciwko siebie przy stole, jak podczas przesłuchania. Albo wróżenia. Wszystko jest kwestią punktu widzenia.

– Wczorajszy dzień?

– Tak. Ciocia Rose bardzo się zdenerwowała, kiedy przeczytała gazetę.

– Doprawdy?

Ciocia Rose? No tak, oczywiście: Rosetta Stanhope. A to jej siostrzenica.

– Rosetta – mruknął Pascoe. Olśnienie zataczało coraz szersze kręgi. – Rashid.

– Otóż to. Przepraszam, myślałam, że już wszystko o nas panowie wiecie. Było tyle pytań...

– I tyle odpowiedzi, panno Stanhope. Trzeba umieć wybrać te ważne.

Oczywiście, wszyscy pracownicy wesołego miasteczka zostali przesłuchani. Podobnie jak wszyscy, którzy bawili się w nim w czwartkowy wieczór. Oraz wszyscy mieszkańcy ulicy, przy której stał dom Sorbych. A także sąsiedniej. Wszyscy współpracownicy Brendy. Wszyscy mieszkańcy ulic, którymi mogła przechodzić po drodze od zepsutego samochodu do domu. Wszyscy właściciele barek, stateczków, łódek i wszelkich innych kryp, które tamtej nocy mogły znajdować się w pobliżu.

Przesłuchania zresztą trwały i zanosilo się na to, że potrwać do Bożego Narodzenia.

Albo do następnego morderstwa.

– Mój sierżant wspominał mi o pani ciotce – zaczął ostrożnie Pascoe. – Ale nie o jej związku z lunaparkiem.

– Ma pan na myśli pana Wiolda? Przemily z niego człowiek, prawda? Widzi pan, to wszystko jest trochę skomplikowane. Jak to często bywa z rodzinnymi historiami.

– W takim razie może poproszę o streszczenie... O ile pani zdaniem na coś się przyda. No i pod warunkiem, że nie będzie musiała pani cofać się dużo dalej w przeszłość niż do najazdu Normanów.

Pauline uśmiechnęła się szeroko.

– Teraz rozumiem, skąd u pana Wiolda taki tupet. Rzecz w tym, że przodkowie cioci Rose ze strony ojca pochodzili z rodziny Lee, a ze strony matki – Petulengro.

– To rromskie nazwiska, prawda?

– Co pan wie o Cyganach?

– Czytałem Borrowa² – odparł z uśmiechem Pascoe.

– Prawdziwy z pana ekspert! Ta wiedza na pewno bardzo się wam przydaje, kiedy przepędzacie Cyganów z jednego miejsca w drugie.

Zdumiony Pascoe uniósł brwi. Dziewczyna miała dość przyzwoitości, żeby lekko się zarumienić, nim zaczęła mówić dalej.

Otóż przed laty Rosetta Lee, podówczas dziewiętnastoletnia, poznała, pokochała i poślubiła byłego sierżanta armii Herberta Stanhope'a, świeżo zdemobilizowanego z Yorkshire Rifles, który po pięciu latach ryzykowania życia w obronie swoich starszków nie miał ochoty słuchać ich melancholijnych przestroóg. Pobrawszy się, żyli szczęśliwie i bezdzietnie do czasu, gdy dwanaście lat później zjawiła się u nich w domu młodsza siostra Stanhope'a – ciężarna, niezamężna i bez cienia skruchy. Odkupiła jednak swój grzech w zgodzie z najlepszą dziewiętnastowieczną tradycją: zmarła w połogu, zostawiając Stanhopeom malutką Pauline. Razem z nią przeżyli szczęśliwie następne dwanaście lat, do dnia, w którym Stanhope zginął w wypadku na stacji rozrządowej, gdzie pracował.

– Ciotka Rose wiedziała, że tak się stanie – powiedziała Pauline.

– To dlaczego nie powstrzymała go przed pójściem do pracy? – spytał Pascoe, usiłując nie zabrzmieć zbyt ironicznie.

– Jeżeli się o czymś wie, to to coś już się praktycznie wydarzyło i nie można temu zapobiec – odparła Pauline, na pozór całkiem rozsądnie.

² George Henry Borrow (1803—1881) — angielski autor powieści i dzienników podróży, zafascynowany kulturą rromską (przyp. tłum.).

– A pani? Pani też ma ten... hmm... dar?

– Skądże! – zaprzeczyła poruszona dziewczyna. – Jestem wykwalifikowanym astrologiem, całkiem niezłe wróżę z ręki, ale nie mam żadnych nadnaturalnych mocy. Ciocia Rose jest inna; zawsze miała prawdziwy dar. Jej babka była *chovihani*, taką jakby cygańską wiedźmą. Nawet tak wyglądała. Ciocia nie wygląda na wiedźmę, ale talent ma jeszcze większy: jest prawdziwym medium! To jest właśnie w niej fascynujące. To coś więcej niż zwykle przepowiadanie przyszłości, ona naprawdę nawiązuje kontakt. Zresztą, sam pan już wie.

Pascoe pokiwał głową z całym przekonaniem, jakie potrafił udać.

– Właściwie to dziwne, że taki talent rozwinął się w społeczności gadziów. Niewykluczone, że romskie przesady i cała ta ceremonialna otoczka w pewien sposób blokują jego rozwój: pojawia się, rozwija, ale zostaje powstrzymany przed pełnym rozkwitem. Tak w każdym razie powiedział jeden z naukowców z Towarzystwa Badań Parapsychologicznych.

– O, to znaczy, że pani ciotka jest sławna?

– Wcale nie. Po prostu ci, którzy się tym interesują, słyszeli o niej. Ona sama wolałaby żyć sobie cicho i spokojnie, ale pomaga przyjaciołom, jeśli o to poproszą.

– Za darmo?

– Kiedyś tak, ale z czasem inflacja zaczęła zjadać rentę po wuju Bercie i ciocia musiała wprowadzić opłaty, żeby jakoś związać koniec z końcem. Za to bardzo starannie wybiera sobie klientów.

Zapewne łatwowierność jest ważnym kryterium doboru, pomyślał Pascoe.

– W normalnych warunkach pewnie by się nie zainteresowała taką sprawą jak zabójstwo panny Sorby, gdyby nie to, że znają się z panią Sorby od lat, od czasu śmierci jej matki. Panu Sorby’emu się to nie podobało, ale ona i tak przychodziła. No i kiedy zdarzyła się ta tragedia, ciocia nie mogła jej odmówić pomocy.

– To zrozumiałe. A jaka jest w tym wszystkim pani rola, panno Stanhope?

Pauline wzruszyła ramionami.

– Kiedyś pracowałam w biurze, ale to było piekielnie nudne. Sporo nauczyłam się od ciocie Rose, przecież mnie wychowała. Nie jestem Romką, więc nie odziedziczyłam jej daru, za to wciągnęło mnie układanie horoskopów. To niemal jak nauka ścisła, nie wymaga prawie żadnej wrażliwości psychicznej. Tak samo wróżenie z ręki. Zdobyłam odpowiednie wykształcenie, rzuciłam pracę biurową i zajęłam się wróżbiarstwem razem z ciocią. To o niej zresztą chciałam z panem porozmawiać, panie komisarzu. Ten artykuł naprawdę bardzo ją

zdenerwował.

Pascoe trochę się zdziwił, bo jego zdaniem „Evening Post” zachował daleko idący umiar.

– Mój podinspektor też nie był zachwycony – przyznał.

– Ciocia nie ma nic przeciwko współpracy z policją, ale po takim tekście wychodzi na jakąś łowczynię sensacji.

Pauline podała Pascoe gazetę i tajemnica od razu się wyjaśniła: nie był to „Evening Post”, lecz poranne wydanie jednego z bardziej agresywnych krajowych brukowców. Najwyraźniej któryś z miejscowych reporterów dorabiał sobie w nim jako wolny strzelec i dobrze wiedział, że prowincjonalne wiadomości podane w prowincjonalny sposób kiepsko się sprzedają. Pascoe przebiegł wzrokiem artykuł. Głównym informatorem dziennikarza była pani Duxbury, sąsiadka pani Stanhope, która szczegółowo zrelacjonowała wypowiedzi medium w transie. W tabloidowej oprawie graficznej cały seans budził skojarzenia z klasyką literatury okultystycznej. Mocno uwypuklono fakt, że Rosetta Stanhope jest także Madame Rashid (czyżby znowu pani Duxbury?), wróżką z tego samego wesołego miasteczka, w którym zginęła Brenda.

Bez żadnego „być może”, pomyślał Pascoe. Ciekawe, czy Dalziel już to widział.

– Ciocia jest do tego stopnia poruszona, że nie przyjdzie dziś do pracy. Przez cały dzień będę sama.

– Przykro mi z tego powodu – odparł pojednawczym tonem Pascoe.

– Niech pan nie będzie głupi! – wybuchnęła dziewczyna. – Nie o to chodzi, że posiedzę sama. W grę wchodzi reputacja ciotki! Może pan sobie być z policji, ale nie macie prawa tak wykorzystywać jej nazwiska!

– Reputacja? – Pascoe zaczynał się irytować. – Nie wydaje się pani, że przeceniacie państwo swoją profesję? Proszę spojrzeć chociażby na szyld, przecież to jest samo dno przemysłu rozrywkowego.

Nie chciał przesadzić z szyderczą nutą w głosie i Pauline chyba doceniła jego wysiłek, bo jej odpowiedź była w podobny sposób powściągliwa:

– Ciocia Rose jest Romką. Przeżyła wiele lat wśród gadziów, ale nigdy nie wyrzekła się swoich romskich korzeni. Kiedyś to był głównie cygański targ, panie komisarzu. Tak, tak. Cóż, czasy się zmieniły i z tłumu Cyganów zostało parę biednych straganów i paru robotników zatrudnionych w lunaparku. Na przykład, dziadek Dave’a Lee...

– Kto to jest Dave Lee?

– Przed chwilą z nim rozmawiałam. Można by chyba powiedzieć, że jest kuzynem

cioci Rose. Jego dziadek był poważnym handlarzem, przywoził tu na targ po dwa, trzy tuziny koni. Dziś Dave pomaga przy samochodzikach elektrycznych, a jego żona dorabia sprzedawaniem wieszaków i koronek. Dave ma nawet kilka kuców, ale nie wolno mu ich przyprowadzić nawet w okolice parku! Ten namiot to ostatnie ogniwo łączące dzisiejszy jarmark z targiem, który odbywał się tu przez stulecia. Namiot wróżki stawał tu co roku, zanim jeszcze powstała policja, panie komisarzu. Nikt nie waży się go tknąć, nawet ci ważniacy od karuzel. Babka cioci Rose urzędowała w nim przez prawie pięćdziesiąt lat. Kiedy cztery lata temu zmarła, wyglądało na to, że to będzie koniec. Oczywiście nie brakłoby hochsztaplerów gotowych przejąć interes, ale Lee są na to zbyt dumni. Dlatego ciocia Rose postanowiła się tym zająć. Na dwa tygodnie w roku odkurza rodowe tradycje i wraca do starego świata.

– A pani, panno Stanhope? W którym świecie pani żyje?

– Pomagam jej w miarę możliwości. Zbieram pieniądze, pilnuję rekwizytów, czasem powrózę z ręki, kiedy ciocia musi odpocząć. Tak, panie komisarzu, rekwizytów. To nie przejęzyczenie. Wiem, większość gości wesołego miasteczka przychodzi do wróżki dla zabawy, ale my traktujemy wróżenie bardzo poważnie. I to jest najważniejsze.

Pauline mówiła wyzywająco i buntowniczo. Pascoe odparł więc z powagą:

– Mam nadzieję, że to wszystko prawda. Mówi pani, że chce chronić ciotkę przed wykorzystywaniem. Mnie również płacą za to, żebym zapobiegał wykorzystywaniu jednych ludzi przez innych.

Dziewczyna poczerwieniała z gniewu.

– Ciocia chciała po prostu pocieszyć tę nieszczęsną kobietę. Na pół dnia zwinęliśmy interes, straciliśmy pieniądze, ciocia nie wzięła ani pensa od pani Sorby. Nie uważa pan, że to my na tym straciliśmy, panie komisarzu? Nikt inny?

– Zyskać można na różne sposoby, panno Stanhope – zauważył prowokacyjnie Pascoe. – Bądźmy szczerzy: w branży rozrywkowej nie ma czegoś takiego jak zła prasa, nieprawdaż?

Teraz naprawdę ją rozzłościł.

– Niech mi pan powie jedno, panie komisarzu – wycodziła ostrym tonem. – Jest pan chyba młodszy od sierżanta Wiolda?

– Trochę.

– Sierżant jest o wiele sympatyczniejszy od pana. Odnoszę wrażenie, że w policji, im ktoś bardziej wredny, tym wyżej wespnie się po szczeblach kariery. Mam rację? Założę się, że tak. Żegnam, panie komisarzu.

Powinnaś poznać mojego szefa, pomyślał Pascoe na odchodnym. Bez tego nawet nie przypuszczasz, ile masz racji.

Odjeżdżając, zobaczył w lusterku wstecznym Dave'a Lee, który szedł z powrotem w stronę namiotu. Czyżby pilno mu było usłyszeć relację z tej rozmowy?

Właściwie to nic dziwnego: morderstwo wszystkich fascynuje.

Zapomniał o Davie i dodał gazu. Chciał jak najszybciej poinformować sierżanta Wiolda, że ma admiratorkę.

Rozdział 4

Alistair Mulgan powoli sączył sok pomidorowy. Wolałby wypić duży dzin – nie dość, że to nie on płacił, to jeszcze jego organizm w ostatnim czasie wyjątkowo łaskawie przyjmował duże dziny. Niestety, Northern Bankowi nie podobał się pomysł, żeby jego pracownicy zionęli alkoholem na klientów, a Mulgan, odkąd został p. o. dyrektorem oddziału w Greenhill – po tym, jak poprzedni kierownik trzy tygodnie wcześniej wpadł pod autobus (co oczywiście nie miało nic wspólnego z alkoholem) – zamierzał świecić przykładem. Dobiegał czterdziestki i przebył długą drogę z wioski w Derbyshire, ale w ostatnich latach miał wrażenie, że jego kariera utknęła w martwym punkcie. Każdy kolejny tydzień w roli p. o. dyrektora dawał mu nadzieję, że ta nominacja się utrwali, a w nadziei tej utwierdzali go klienci, którzy po niedługim czasie zaczęli go zapraszać na obiady – chociaż i w tym wypadku fortuna (jak zwykle) niechętnie rozdawała swoje dary i zamiast wyczekiwanego soczystego steku w „White Rose Grill” miał wybór między kurczakiem i krewetkami (jedno i drugie z frytkami) w barze aeroklubu.

– Pierwszy raz tutaj, Mulgan? – spytał jego współbiednik. – Jak ci się podoba?

Mulgan się rozejrzył. Grupa młodych, hałaśliwych mężczyzn wymieniała się przy piwie doświadczeniami szybowniczymi. W kącie, pod neonem zapowiadającym piątkowe i sobotnie dyskoteki, siedziały trzy kobiety. Na pokrytych niebieską emulsją ścianach eskadra spitfire’ów, klucząc wśród zdjęć uśmiechniętych chłopaków w mundurach lotniczych, kierowała się w stronę starego szkolnego zegara o tarczy pomalowanej w barwy RAF-u. Wskazówki w kształcie połówek śmigieł wskazywały dwunastą piętnaście.

– Bardzo ładnie – odparł uprzejmie Mulgan.

– Dlatego pomyślałem, żeby się tu z tobą spotkać. Obaj mamy blisko, a ja nie cierpię nadętych knajp i ich wygórowanych cen. Poza tym, niedługo mam lot, więc i tak musiałbym tu przyjechać. Próbowaleś tego kiedyś, Mulgan?

W roli gospodarza występował Bernard Middlefield – współwłaściciel (do spółki z bratem, Johnem) niedużej fabryki urządzeń elektrycznych na terenie Avro Industrial Estate. „Middlefield Electric” boleśnie odczuła skutki ograniczenia akcji kredytowej i Mulgan domyślał się, że gesty przyjaźni ze strony Middlefieldów są z ich punktu widzenia perspektywiczną inwestycją na przyszłość. Nie czuł się tym urażony. Middlefield był szorstki i pyskawy, ale na pewno nie był głupi; kurczak z frytkami oznaczał, że widzi w Mulganie człowieka, który jutro może być wart postawienia mu steku. Mieszkańcy

Yorkshire tacy właśnie byli: przy nich człowiek zawsze wiedział, na czym stoi.

– Nie, nigdy – odparł. – Jakim samolotem latasz?

– Samolotem? Ja nie latam samolotem, Mulgan. Czy ty nigdy nie podnosisz głowy znad tego swojego biurka? My tu latamy na szybowcach. Chociaż prawdą jest, że czasem lądują tu samoloty, prawda, Austin? Alistair Mulgan – Austin Greenall, nasz GIL, czyli główny instruktor lotniczy, a także sekretarz i człowiek od wszystkiego.

– Co widać na załączonym obrazku – dodał mężczyzna, który zastąpił za barem stojącą tam wcześniej kobietę w średnim wieku. – Tylko do gotowania się nie mieszam. Mamy dzisiaj braki kadrowe. Letnia grypa, kto by pomyślał! Jenny musi mieć oko na kuchnię, więc jeśli potrzebujecie czegoś z baru, ja się wami zajmę.

– Nie, dzięki, sok wystarczy. Ja mam niedługo lot, a pan Mulgan musi mieć klarowny umysł, żeby mu się w banku sumy nie pokiełbały.

– Tak mi się właśnie wydawało, że skądś pana kojarzę... – przyznał Greenall. – Aeroklub ma u was rachunek.

– Uważaj... – ostrzegł Middlefield Mulgana. – Jeśli dasz mu szansę, spróbuje wysepić od ciebie kasę na następne samoloty.

– To znaczy, że aeroklub jakieś samoloty już ma? – upewnił się Mulgan.

– Jeden, małego cuba. Używamy go do holowania szybowców, ale najlepsze lata ma już dawno za sobą. Jest jeszcze cherokee, własność konsorcjum utworzonego przez miejscowych biznesmenów, w tym pana Middlefielda, ale to szybowce nas utrzymują. Ledwo, ledwo.

– Wszystko wyglądałoby inaczej, gdybyś mógł tu naprawdę porządzić, co, Austin? Facet jest u nas od pięciu minut i już ma ambicje zrobić tu drugie Heathrow.

– Bynajmniej. Po prostu uważam, że trzeba – i można – zdobyć lepszy sprzęt i przyciągnąć nowych członków.

– Tylko pamiętaj, że tu nie Surrey. My wiemy, co jest dobre, i nie lubimy przepłacać. A jak tam się miewa nasze żarcie? Bądź tak dobry i zerknij...

Greenall uśmiechnął się przyjaźnie i poszedł do kuchni.

W kącie Ellie Pascoe zwróciła się do Thelmy Lacewing:

– Czemu ten wasz sekretarz nie wyrznie go butelką w łeb?

– Middlefield jest członkiem komitetu i sędzią pokoju – wyjaśniła Thelma. – Ale poza tym, to zwykle reakcyjne ścierwo. Na przykład próbuje utracić weekendowe dyskoteki jako demoralizujące. Uwierz mi, mam oko na skurczybyka.

We dwie tworzyły uderzający kontrast. Ellie była smukła, długonoga, żywa z natury,

wysportowana i tylko trochę zaokrąglona w ciąży. Czarne włosy, szare oczy i opatrzona wyrazistym podbródkiem twarz, którą po trzydziestu paru latach należałoby raczej nazwać przystojną niż ładną, zdradzały determinację, której rzeczywiście nie zabrakło w jej charakterze. Twarz Thelmy i szczerze, szeroko otwarte oczy emanowały melancholijnym pięknem, jakie pasuje do anielskich skrzydeł i powłóczyстых białych szat, o których mnich mógłby śnić bez grzechu. Thelma była higienistką w przychodni dentystycznej.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedziała. – Posłuchaj, Ellie: zamierzasz jak powolna krowa wejść gładko w spokojną i zadowalającą mężczyzn rolę przyszłej matki, czy raczej wolisz oddzielić mózg od brzucha i zrobić coś konkretnego dla GOPK?

– To zależy, co rozumiesz przez „coś konkretnego”.

Tu wtrąciła się trzecia z kobiet – Lorraine Wildgoose, nauczycielka francuskiego w miejscowej szkole średniej. Miała niezwykle wyraziste rysy twarzy, wydatne kości policzkowe i oczy o przeszywającym spojrzeniu, a na głowie pozostałości dawno zrobionej odważnej fryzury. Była szczupła w ten specyficzny sposób, który bierze się raczej z nadmiaru stresów niż stosowania diety.

– Mamy braki na wszystkich frontach – powiedziała. – Maszynopisanie, odbieranie telefonów, parzenie herbaty.

– Propaganda, protesty, profanacje – wtrąciła półgłosem Thelma.

– A także przekupstwo, perswazja i podpalenia – dodała Lorraine.

– Myślałam raczej o napadach, nękanii i nachodzeniu – odparła Ellie, nie chcąc być gorsza. – Posłuchajcie, prawda jest taka, że chętnie pomogę, ale chcę mieć też czas na pisanie. Zaczynam nową powieść. Otrząsnęłam się już z przygnębienia po porażce mojej pierwszej książki; dwudziestu dwóch wydawców nie może się mylić, do licha! Naprawdę chciałabym się z tym uwinąć, nim się zacnie to.

Poklepała się z niesmakiem po brzuchu.

– Nie ty jedna masz jakieś plany – zachnęła się Lorraine. – Dwoje dzieci, rozwód w toku i niezrównoważony psychicznie mąż wymagają chyba więcej czasu niż napisanie trzech zgrabnych akapitów na krzyż.

Ten niespodziewany wybuch spowodował w konwersacji przerwę, którą wypełniło pojawienie się Greenalla, niosącego jedzenie.

Dyskusja przy barze również się zaogniała.

– No cóż, podejrzewam, że sam najlepiej znasz swoich pracowników – mówił właśnie Middlefield. – Ale, za pozwoleniem, ja też swoje wiem. Jak człowiek powłóczy się trochę po sądach, uczy się czytać między wierszami. Fakty mówią same za siebie: pole na tyłach pubu, szopa na pustej działce, a teraz kanał. W takich miejscach nie spotyka się raczej żonek pastorów, prawda?

– Zapewniam cię, że Brenda Sorby była przemiłą i przyzwoitą dziewczyną – sprzeciwił się Mulgan. Jego nalana twarz poróżwiała z oburzenia lub zakłopotania. – Każdy chciałby taką poznać.

– One wszystkie tak wyglądają – prychnął Middlefield. – Śmiem twierdzić, że w moim fachu ma się szerszy ogląd świata niż w twoim.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że te biedne kobiety na to zasłużyły?

– Nie pleć! Po prostu, jak ktoś ryzykuje, nie powinien się skarżyć, kiedy sprawy ułożą się nie po jego myśli.

– Te kobiety na pewno się nikomu nie poskarżą – wtrąciła Thelma wyraźnym, donośnym głosem.

– Słucham? – Middlefield okręcił się na stołku i spojrzał na nią. – A, to pani, panno Lacewing.

– Przyniosę jeszcze sos tatarski – mruknął Greenall i wycofał się do kuchni.

– Tak samo można by chyba powiedzieć, że samotne kobiety bywające w takich lokalach jak ten, same narażają się na wysłuchiwanie prostackich, seksistowskich uwag z ust hałaśliwych, niedouczonej mężczyzn – ciągnęła tymczasem Thelma.

– Śmiem twierdzić, że lepiej znam ten temat niż pani, młoda kobieto – odburknął Middlefield.

– Doprawdy? Może w takim razie powinien się pan skontaktować z policją? Tak się szczęśliwie składa, że jedna z moich przyjaciółek jest żoną funkcjonariusza prowadzącego tę sprawę. Ellie, daj znać mężowi, że pan Middlefield wie więcej, niż był łaskaw do tej pory ujawnić.

Ellie uśmiechnęła się niepewnie. Niewielu zostało ludzi na świecie, którzy potrafili ją wprawić w zakłopotanie, ale Thelma z pewnością się do nich zaliczała. Pewnie dlatego, jak utrzymywał Peter, Ellie tak chętnie uznawała moralną słuszność jej racji.

Greenall przyniósł z kuchni dwa kolejne dania.

– Proszę – powiedział, stawiając je na barze przed Mulganem i Middlefieldem. – Uwaga, gorące!

Niewzruszona Thelma odwróciła się do przyjaciółek. Tego też jej zazdroścąc, pomyślała Ellie. Ja od razu zrobiłabym się czerwona i zaczęła bluzgać.

– Twój mąż naprawdę prowadzi tę sprawę? – zainteresowała się Lorraine Wildgoose. Ellie skinęła głową.

– I co? Jak im idzie? – dopytywała się natarczywie Lorraine.

– Nie wiem... Chyba nieźle – odparła ostrożnie Ellie.

Lorraine sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć coś więcej. Ellie naprawdę nie miała ochoty wysłuchiwać utyskiwań na policję, bez względu na to, jaką formę miałyby przyjąć, ale w tym samym momencie Thelma, jakby wyczuwając zagrożenie, wtrąciła swobodnym tonem:

– Jak to było z tą pomocą jasnowidza?

– Czytałaś o tym? – spytała z ulgą Ellie. – Posłuchajcie, mam pewną teorię. Podwędziłam Peterowi zapis słów tej kobiety. Może was zainteresuje jako archeologów.

Wyjęła kartkę z zapisem seansu i położyła ją na stole. W tej samej chwili zjawił się Greenall z sosem tatarskim.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział i postawił sosjerkę na kartce.

– Tak się nie robi, Austin! – burknęła Thelma. – Mogłeś urazić duchy.

– Bawicie się w spirytystki? Lepiej uważajcie. Duchy duchami, ale to przede wszystkim Middlefieldowi nie należy się narażać.

– To nic takiego – uspokoiła go Thelma. – Sprawa policyjna. Moja przyjaciółka jest żoną komisarza z dochodzeniówki. To oficjalne dokumenty śledztwa.

Greenall podniósł zapis ze stołu i udał, że wyciera go rękawem.

– Skoro już o Middlefieldzie mowa... – mruknął półgębkiem. – Odgraża się, że w piątek wpadnie na dyskotekę. Na zwiady.

– Tak? Może ja też przyjdę... Dzięki, Austin. Napijesz się z nami później?

– Bardzo chętnie, ale nie tym razem. Mam masę pracy, a po obiedzie trzeba będzie wystrzelić jego lordowską mość. *Per ardua ad astra*, jak to mówią.

Greenall odszedł. Ellie spojrzała znacząco na Thelmę.

– Bardzo fajny facet, Thelmo.

– Znośny – odparła niezobowiązująco panna Lacewing. – Kiedy pół roku temu zaczął tu pracować, pomyślałam „O Boże, magik z RAF-u; następna szowinistyczna Świnia”, ale miło mnie zaskoczył. Mam wrażenie, że szczerze sympatyzuje z nami feministkami.

– Nie wątpię. – Ellie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nie gniewaj się, Ellie, ale ta uwaga jest oczywistą pochodną twojego nazbyt

bliskiego związku z rasistowskim i seksistowskim funkcjonariuszem policji.

– Czyżby? A mogłabyś mi wyjaśnić, jak to się dzieje, że z taką przyjemnością tarzasz się w bloku tego męskiego szowinistycznego chlewa?

Thelma wybałuszyła oczy ze zdziwienia.

– Myślałam, że to oczywiste: staram się przezwyciężyć strach przed lataniem. No dobrze, jedzmy. Ellie, widzę, że już prawie dopiłaś. Wziąć ci coś jeszcze? Może ciepłe mleko?

Ellie zachichotała jak pensjonarka.

– Pewnie pomyślisz, że jestem głupia – przyznała onieśmielona. – Ale w moim obecnym stanie miewam dziwne zachcianki, wiesz, jak to przyszła matka. Kiedy ktoś mnie upokarza przy krewetkach, to muszę, po prostu muszę się napić Dom Perignon. Najlepiej od razu dwa kieliszki. Świetnie się po nim beka.

Rozdział 5

Zdaniem wielu znajomych Andy Dalziel miał bardzo proste podejście do życia – wszystko postrzegał w dwóch kolorach: czarnym i granatowym. Ci, którzy tak twierdzili, byli w błędzie. Życie miało dla grubego policjanta intensywne barwy – owszem, najczęściej mroczne, gdyż na co dzień obcował ze złem i okrucieństwem, ale nie brakowało w nim odcieni wyrazistych jak z hoghartowskich obrazów Renoira.

Pascoe doskonale go rozumiał.

– On wszystko odczuwa jądrami – wyjaśnił kiedyś ponuro w rozmowie z Ellie.

Racjonalny umysł Pascoe wciąż jeszcze nie był przekonany, czy morderstwo Brendy Sorby łączy się z dwoma poprzednimi przypadkami uduszenia.

– Po śmierci nie została tak pieczołowicie upozowana jak tamte dwie ofiary – podkreślił. – Przeciwnie, ciało zostało ukryte. W poprzednich dwóch wypadkach sprawcy zależało na tym, by zwłoki zostały znalezione. Poza tym, skoro o tak później porze zgodziła się wsiąść do cudzego samochodu (samochód musiał gdzieś po drodze być; nie przeszłaby pieszo pięciu mil nad kanał!), musiał go prowadzić ktoś, kogo znała.

Jego wynurzenia niespecjalnie interesowały Dalziela, który wiedział – po prostu wiedział, – że te trzy morderstwa się łączą. Co nie przeszkadzało mu drwić z podwładnego.

– Może próbowała uciec i wpadła do kanału. Przecież nie wskoczyłby za nią, prawda? A może ją zostawił, bo myślał, że nie żyje, ładnie ułożoną w krzakach, a ona jednak się ocknęła, przeturlała i wpadła do wody. Chlup! Albo coś mu przeszkodziło i zepchnął ją do kanału, bo nie chciał, żeby ktoś ją znalazł, dopóki on jest w pobliżu. A co do samochodu... Może wciągnął ją siłą, postraszył nożem albo ogłuszył. Albo zaufała facetowi, którego wcale nie znała, bo, na przykład, był gliną. Właśnie, Peter, co ty wtedy porabiałeś?

Śmiech (Dalziela). Koniec rozmowy.

Co ciekawe, ślad, który miał najdobitniej potwierdzać związek śmierci Brendy z poprzednimi dwoma, Dalziel potraktował wyjątkowo lekceważąco.

– Każdy może zatelefonować – powiedział. – Tak jak każdy ma w domu „Dzieła wszystkie” Shakespeare’a. Nawet ja!

Pascoe usiadł u siebie w pokoju i wczytał się w raporty patologa, które znał już prawie na pamięć. We wszystkich trzech przypadkach morderca dusił ofiarę oburącz; wskazywały na to zasinienia szyi. Uszkodzenia chrząstek głosni dowodziły znacznej siły użytej podczas ataku. Patolog stanowczo twierdził, że Brenda Sorby jeszcze żyła, gdy

wpadła do wody ... *nade mną, dusi mnie, woda jest wzburzona, wrząca, spieniona, huczająca...*

Wyrzucił z pamięci słowa medium i czytał dalej. Lekkie zasinienie na lewym boku było nietypowe dla zwłok wyłowionych z wody, ale dałoby się je wytłumaczyć faktem, że ciało zaklinowało się w śmieciach zalegających przy brzegu i zostało unieruchomione, zamiast dać się swobodnie nieść nurtowi. Wystąpiły również (i to była kolejna różnica w porównaniu z poprzednimi dwoma morderstwami) zasinienia wokół piersi i pod nimi, co mogło sugerować seksualny kontekst napaści; niestety, śruba barki poważnie uszkodziła ten fragment zwłok, co utrudniało dokładniejsze jego zbadanie. Nigdzie poza tym nie znaleziono śladów wskazujących zabójstwo na tle seksualnym.

Pascoe westchnął. Co ten przeklęty patolog mógł wiedzieć o prawdziwych problemach?

Wszedł sierżant Wield.

– Poprosiłem o przeszukanie naszych archiwów – wyjaśnił. – Liczyłem na to, że może znajdziemy coś na tych ludzi z wesołego miasteczka.

– Na pannę Stanhope również?

Kiedy Pascoe wcześniej żartował z zainteresowania Pauline Stanhope osobą sierżanta, dziobata i pożłobiona bruzdami twarz Wiolda nawet nie drgnęła. Teraz się wykrzywiła.

– Jest tylko jej zeznanie i zeznanie ciotki, tak jak i wszystkich pozostałych. Nic nowego. Ale mam też ciekawostkę. David Lee wielokrotnie miał do czynienia z policją. Zapłacił pół tuzina mandatów za zakłócanie porządku publicznego. W 1974 roku otrzymał dozór sądowy za pobicie konkubiny. W 1976 roku zaliczył trzy miesiące za napaść na urzędnika miejskiego odpowiedzialnego za przeniesienie cygańskiego taboru. Dwa lata później – dwa razy dłuższy wyrok za pobicie policjanta, który usiłował przeszkodzić mu w pobiciu kolejnej konkubiny. I w 1979: zarzut gwałtu, z którego Lee został oczyszczony większością głosów ławy przysięgłych.

– Dlaczego pan się nim zainteresował, sierzancie? – spytał Pascoe. – Chyba nie dlatego, że widziałem, jak zagadywał pannę Stanhope?

– Jest jeszcze kilku – burknął Wield. – Zechce pan spojrzeć.

– Tak sobie pomyślałem, sierzancie... – odezwał się Pascoe po chwili zadumy. – Skoro pani Sorby tak lubi zaglądać w zaświaty, to może wciągnęła w to także Brendę?

– Która mogła w ten sposób poznać prawdę o Madame Rashid – dodał Wield.

– I poznać Dave'a Lee, hmm? – Już wypowiadając te słowa, Pascoe kręcił głową. – Trochę to naciągane, chociaż chyba warto sprawdzenia. Co pan na to, żeby wybrać się na

jarmark? Może pozwoli pan sobie powróżyć?

Wield wzruszył ramionami.

– Jadę tam, gdzie mi każą.

– To świetnie. Jest w tej chwili dwunasta... Proszę zjeść obiad, a potem z nowym zapasem sił udać się do wesołego miasteczka i kupić sobie przepowiednię. Niech pan sam wybierze wrózkę, w zależności od tego, czy woli pan baraninę, czy jagnięcinę.

Powinienem darować sobie te żarciki, pomyślał Pascoe, kiedy sierżant wyszedł. Z każdym dniem coraz bardziej upodabnam się do Dalziela!

Zadzwoił sierżant dyżurny.

– Jest u mnie pani, która chce rozmawiać z kimś z wydziału kryminalnego. Nazywa się Rosetta Stanhope.

– Naprawdę? Proszę posłuchać, sierżant Wield na pewno też chętnie z nią porozmawia; niech się tym zajmie. Powinien właśnie wychodzić...

– Przed chwilą wyszedł, panie komisarzu, ale chyba nie zauważył pani Stanhope. Śpieszył się.

– A to drań! Wybrał jagnięcinę. No dobrze, dajcie mi ją tutaj.

Rosetta Stanhope świetnie się zaaklimatyzowała w obcym środowisku. Pod sześćdziesiątkę, z mocną trwałą w delikatnie fioletowym odcieniu, ubrana w modnie skrojony szary kostium i dopasowane do niego buty, z dobrze dobraną torebką – z powodzeniem mogłaby przewodniczyć zebraniu Instytutu Kobiet albo otwierać wystawę kwiatów. Tylko jakieś dyskretne dostojeństwo w sposobie bycia i śniady odcień skóry, którego nie maskował nawet starannie położony makijaż, zdradzały jej pochodzenie.

Mówiła cicho, może z lekką chrypką. Ciekawe, czy to przez zmuszanie strun głosowych do udawania głosów duchów, pomyślał Pascoe.

– Poznałem dziś rano pani siostrzenicę – zagaił. – Pewnie się z nią pani nie widziała?

Przetrawiła jego słowa i uśmiechnęła się.

– Słuszna uwaga, panie Pascoe: nie wystąpiłabym w takim stroju jako Madame Rashid. Tak jak nie wróciłabym do domu specjalnie po to, żeby się przebrać i zrobić wrażenie na policjancie.

Rzeczywiście, był pod wrażeniem. Domyśliła się prawdziwej treści jego pytania i od razu przeszła do rzeczy. Nie trzeba w tym celu czytać w myślach, ale Pascoe umiał docenić talent, który przydałby się każdemu dobremu policjantowi.

– Zatem zostawiła pani przyszłość w rękach siostrzenicy?

Farciarz z tego Wielda.

– Dzisiaj nie czułam się na siłach, żeby się nią zająć. Nigdy nie odstawiam szopki. To trzeba robić porządnie.

– Tak jak Pauline?

Pani Stanhope zbyła pytanie zupełnie nie angielskim grymasem ust.

– Ona czyta z ręki. To rzemiosło, którego można się nauczyć.

Pascoe postanowił też od razu przejść do rzeczy.

– Obawiam się, że nie doczeka się pani przeprosin z naszej strony, pani Stanhope. To nie nasza wina. Moglibyśmy ewentualnie pokusić się o dementi, ale wczoraj tego próbowałem i sama pani widziała z jakim skutkiem. Przykro mi, że artykuł tak panią wzburzył.

– Wcale nie jestem wzburzona, panie komisarzu. Proszę nie słuchać naszej Pauline. Pewnie panu powiedziała, że jestem za mało pragmatyczna? Jestem wystarczająco pragmatyczna, żeby pozwolić jej tkwić w takim przeświadczeniu. Ona potrzebuje kogoś, kim mogłaby się opiekować. Pewnie przez to, że nie miała matki.

– Wychowała ją pani od niemowlęcia, o ile mi wiadomo. Aż dziw, że nie uważa pani za matkę.

– Na początku tak właśnie było. Ale kiedyś musiałam jej powiedzieć prawdę, bidulce. Pamiętam, miała wtedy dwanaście lat, robiła sobie horoskop i nic jej się w nim nie układało. Bo nie mogło się układać, prawda? Już dawno ustaliliśmy z Bertem, że kiedyś jej powiemy. Nawet nam ulżyło.

– Dlaczego?

– I tak wiedziała, kim jestem i z jakiej rodziny się wywodzę. Jestem z tego dumna, nie kryję się z tym... A Bert zawsze żartował, że ukradł mnie Cyganom. Bardzo się zżyliśmy z Pauline, ale widziałam, że dziewczyna ma problem: no bo niby matka Cyganka, a ona tej krwi w sobie nie czuje, rozumie pan? O dziwo, kiedy jej powiedzieliśmy, jeszcze bardziej się zbliżyliśmy.

– Aż w końcu postanowiła się włączyć w rodzinny interes?

– Wie pan, nie bardzo mogła zostać maszynistą lokomotywy – odparła beztrąsko pani Stanhope. – Czasy się zmieniły, ale nie aż tak.

– A ja myślę, że to możliwe. – Pascoe wyobraził sobie Thelmę Lacewing, jak stoi na schodku lokomotywy ekspresu Londyn-Edynburg i brudną od smaru szmatą ociera por z czoła. – Proszę mi w takim razie powiedzieć, pani Stanhope, skoro nie zamierza się pani skarżyć, grozić nam ani rzucać cygańskich klątw, to co właściwie panią sprowadza?

Pochyliła się na krześle i znacząco postukała paznokciami w blat biurka. A może

odpukiwała w niemalowane?

– Wczoraj bardzo się zdenerwowałam, panie komisarzu, ale nie tym artykułem w gazecie, chociaż, przyznaję, zirytował mnie. Zdenerwowałam się nawiązaniem kontaktu z tamtą biedną dziewczyną. Nie mogłam spać, bo ciągle odbierałam jakieś wrażenia... Nie wizje, nie słowa, nic konkretnego, to bardziej przypominało kolory, odczucia... Pauline pomyślała, że to artykuł mnie tak rozdrażnił, a mnie to było na rękę. Chciałam sobie wszystko spokojnie przemyśleć.

– Czego w takim razie chce pani od nas, pani Stanhope?

Ze zdziwienia Rosetta Stanhope szeroko otworzyła oczy, ciemne i błyszczące jak u młodej dziewczyny.

– Chcę zrobić to, co według „Evening Post” już robię. Chcę wam pomóc w śledztwie.

Rozdział 6

Kiedy sierżant Wiold dotarł do Charter Park, w lunaparku panował już spory ruch. Dzień był piękny i słoneczny, lekki wietrzyk delikatnie chłodził zapalczywe głowy i popychał chmurki, (których malowniczość prawie załatwywała sztucznością) po intensywnie błękitnej cykloramie nieba. Zieleń drzew i trawy, mieniąca się światłem rzeka i jazgotliwe dźwięki organów parowych budziły w piersi sierżanta przyjemnie euforyczne odczucia, które pozwalał sobie uzewnętrznić w postaci niesłyszalnego pogwizdywania przez leciuteńko wydęte usta.

Na widok namiotu wróżki – był zamknięty, a na opartym o płachtę przy wejściu składanym krzeselku ktoś przyczepił karteczkę z napisem ZARAZ WRACAM – odczuł wprawdzie rozczarowanie, ale to uczucie miało charakter czysto zawodowy. Czynione przez Pascoe aluzje o sympatii ze strony panny Stanhope padały jak ziarna na skamieniałą glebę. Wbrew temu, co mógłby domniemywać jakiś psycholog-amator, powściągliwość Wiolda nie wynikała bynajmniej z jego przerażającej powierzchowności. Ich źródłem było dawno uzyskane przekonanie, że najlepszym sposobem na ukrycie jednej rzeczy jest ukrycie wszystkich; posiadanie tak wielu tajemnic, że istnienia tej najważniejszej nikt się nawet nie domyśli. A w przypadku sierżanta Wiolda sekretem takim był jego całkowity i bezwzględny homoseksualizm. W policji zaś homoseksualiści wpadali w tradycyjne błędne koło: nie ufano im, ponieważ byli podatni na szantaż; byli podatni na szantaż, ponieważ byli skryci; byli skryci, ponieważ im nie ufano...

Przed dziesięciu laty sierżant złapał się na tym, że coraz bardziej podoba mu się niejaki Maurice Eaton, wysoko postawiony urzędnik pocztowy, który jeszcze bardziej niż Wiold bał się wpływu ewentualnego ujawnienia łączącego ich związku na przyszłą karierę. Kiedy osiągnęli stadium, w którym zaczęli rozważać wspólne zamieszkanie w Yorkshire, Eaton dostał propozycję awansu, który wiązał się z przeprowadzką na północny wschód Anglii. Z początku przeprowadzka Eatona wydała się Wioldowi życiowym dramatem, szybko jednak wypracowali praktykę spędzania wspólnych weekendów w Newcastle i urlopów za granicą, która to praktyka – choć niepozbawiona emocji i ryzyka – sprawdzała się przez całą dekadę. Stałe oddalenie ośrodka życia emocjonalnego o sto mil zapewniło Wioldowi „bezpieczeństwo”. Niestety, jego zachowanie nieraz wydawało się kolegom zagadkowe, a że instytucje nie lubią tego, czego nie rozumieją, utknął na dobre w randze sierżanta i patrzył bezradnie, jak młodszy, tacy jak Pascoe, awansują nad jego głową.

Intuicyjnie wyczuwał, że prędzej czy później coś musi się zmienić – a tymczasem koncentrował się na pracy.

Najbliżej namiotu wróżki znajdował się stragan ze staroświeckim penny-rollem, w którym monety staczały się po pochylni z wyżłobieniami i lądowały na szachownicy o ponumerowanych polach; wygrywało się tyle pensów, jaka liczba widniała na polu – pod warunkiem, że moneta wylądowała dokładnie na środku kwadratu, nie dotykając linii. Pilnujący interesu mężczyzna wzruszył ramionami, ale jego asystentka o ostrych rysach twarzy powiedziała, że Pauline wyszła przed dwudziestoma minutami. W takim razie „ZARAZ WRACAM” równie dobrze mogło oznaczać jeszcze godzinę.

Wiedział, że powinien wrócić na komisariat – zwłaszcza, że miał lekkie wyrzuty sumienia po tym, jak udał, że nie widzi czekającej przy wejściu Rosetty Stanhope. Uznał jednak, że zabawnie będzie podsyć u Pascoe przekonanie, że bardziej interesuje go ładniutka siostrzenica niż jej podstarzała ciotka.

Słońce grzało tak przyjemnie, że postanowił zapytać kobietę od penny-rolla, gdzie znajdzie Dave’a Lee.

Posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

– Może być przy samochodzikach – odparła. – Albo na karuzeli z falą. Czasem tam pomaga, jeśli jest duży ruch.

– To znaczy, że nie ma nic swojego? Jakiejś... strzelnicy?

– To prawdziwy *didikoi* – prychnęła pogardliwie. – Tacy jak on są inni niż obsługa miasteczka, nie lubią stałej pracy. Ale jest taki jeden stragan z cygańską tandetą, tam, nad rzeką. Jest pan glina, nie?

– Nie – odparł śmiertelnie poważnie Wield. – Jestem bogatym wujem Dave’a. Przyjechałem z Australii.

Nie znalazłszy Lee przy samochodzikach ani przy karuzeli, skierował się w stronę kramu, na którego widok musiał przyznać rację asystentce od penny-rolla. Nawet tutaj, w tej świątyni tandety, kramik wyglądał wyjątkowo tandetnie. Śniadoskóra kobieta o arystokratycznie wydatnych kościach policzkowych (na jednej z nich widniał szeroki krwiak) nie starała się specjalnie zachęcać klientów.

– Szukam Dave’a Lee – powiedział Wield.

– Po co? Chce pan aresztować skurczybyka?

– Nie, chcę tylko porozmawiać.

– Szkoda. Może byście go przymknęli na chwilę?

Jej propozycja brzmiała całkiem szczerze.

– Ale dlaczego? Co takiego zrobił?

– On? Czego on nie zrobił...

Nagle kobieta wydała się zmęczona rozmową, jakby nawet żal i nienawiść nie były w stanie na dłużej jej ożywić.

– Tu go nie ma – powiedziała beznamiętnie.

– A gdzie może być?

Wzruszyła ramionami.

Wield zajrzał do notesu.

– Nie trzymacie tu przyczep, prawda? Może wrócił do taboru?

Kolejne wzruszenie ramion. Sierżant zaczynał tracić cierpliwość.

– No dobrze. Idziemy.

– Dokąd?

– Na komisariat.

– Ja? Co ja zrobiłam?

A jednak się ożywiła.

– Pani? Czego pani nie zrobiła... – odparł Wield, przedrzeźniając ją.

Zakłęła. Sierżant nie znał romskiego, ale nie miał wątpliwości, jak go nazwała.

– Wziął furgonetkę i gdzieś pojechał. – Kobieta wskazała pobliski parking. – Pół godziny temu, pewnie do taboru. Czy on mi się spowiada, gdzie jedzie? Jak go pan spotka, proszę mu powiedzieć, że może mnie...

– Co może? – zainteresował się Wield.

Twarz kobiety ponownie spochmurniała i straciła wyraz. Tylko siniak na policzku lśnił w słońcu.

– Nic.

Wield zszedł spacerkiem na brzeg rzeki. Wypożyczalnia łodzi przeżywała oblężenie, na przesmyku było tłoczno. Przez dwa dni, kiedy dwudziestu policjantów przeczesywało go na kolanach, był zamknięty dla spacerowiczów, ale jedyny skutek tych wysiłków był taki, że policja przeprowadziła najskuteczniejsze sprzątnięcie w dziejach miasta. Piknikowicze wrócili, i to zapewne ze zdwojonym apetytem na myśl o tym, że ktoś tu – być może – zabił dziewczynę. A gdyby ta świadomość im się znudziła, mogli przespacerować się sto jardów brzegiem kanału i spojrzeć na stojący po drugiej stronie gładki mur Spinks Electrical Depository, gdzie w tę samą noc ktoś rozbił ochroniarzowi głowę, żeby bezkarnie wynieść parę tanich jak barszcz hongkońskich radyjek tranzystorowych.

Wield miał bardzo klarowne poglądy na ideę zbrodni i kary, chociaż rzadko się nimi

z kimkolwiek dzielił. Jego zdaniem powinno się zadać napastnikowi dokładnie taki sam ból, jaki on zadał swojej ofierze; należałoby starannie pomierzyć cierpienie i naukowo nadzorować cały proces wymierzania kary. Sierżant odrzucał barbarzyńskie rozwiązania w rodzaju odrąbywania dłoni i odcinania uszu. Tylko ból. Nie wiedział jeszcze, jak zmierzyć udrekę i zgrozę tych pomordowanych kobiet, ale był przekonany, że potrzebne jest jakieś nowe rozwiązanie, lepsze od dotychczasowych.

Wrócił do namiotu Madame Rashid. Karteczka była na swoim miejscu. Zerknął na zegarek: wpół do drugiej. Wracać na komisariat? Czy jeszcze się wyłgać od powrotu i poszukać Dave'a Lee? To mu zajmie kwadrans, nie więcej.

– Chrzanić to – mruknął i poszedł do samochodu.

Prowadził szybko i pewnie, jadąc w przybliżeniu wzdłuż rzeki. Wyjechał za miasto i dotarł do rozpościerającego się na południowy wschód od niego starego lotniska. W dawnych dobrych czasach premiera Macmillana, u schyłku lat pięćdziesiątych, lotnisko miało zadatki, żeby stać się portem lotniczym z prawdziwego zdarzenia, ale niepowtarzalna chwila minęła i dziś dwie trzecie terenu leżały odłogiem, a na pozostałej jednej trzeciej gospodarował miejscowy aeroklub. Czasem lądowały tu jakieś małe prywatne samolociki, zwłaszcza przy okazji ważnych wyścigów konnych na miejskim torze, ale na co dzień ciszę mąciło tylko ledwie słyszalne *szszszuuu* szybowców.

W tej chwili też dwa krążyły w powietrzu. Wielki śledził ich lot, podziwiał ich wolność i swobodę, ale wcale nie miał ochoty jej zaznawać. Był zapalonym motocyklistą: czarna skóra, autostrada i sto mil na godzinę – to był jego żywioł.

I kolejna tajemnica, którą nie dzielił się z nikim w komisariacie.

W nieużywanej części lotniska, gdzie namolne zielsko zmieniło pas startowy w zwariowaną mozaikę, a dwa zrujnowane budynki ziały pustką jak rozdziawione martwe usta pod obojętnym na wspomnienia niebem, rozłożył się nieoficjalnie-oficjalny tabor cygański.

Obóz był „nieoficjalny”, ponieważ rada miasta od lat opierała się argumentom za wyznaczeniem mu oficjalnego miejsca; oficjalności zaś przydawał mu fakt, że podczas surowych miesięcy zimowych oraz w dwutygodniowym okresie jarmarku rada i policja starały się nie zawracać głowy jego mieszkańcom. Kiedy jednak przychodziła wiosna lub jarmark dobiegał końca, odcinano dopływ wody do obozu i zapraszano wędrowny lud do dalszej wędrówki. Wpływowe lobby w klubie szybowcowym najchętniej na stałe pozbyłoby się nieproszonych gości, twierdząc, że nie tylko zatrują ściekami pobliską rzekę, ale w dodatku ich kuce (te same, którym zabroniono wstępu do Charter Park) zagrażają szybownikom i małym samolotom lądującym zaledwie ćwierć mili od nich. Miasto zleciło

wybudowanie parkanu z siatki, który miał utrudnić kucom swobodne przemieszczanie się po lotnisku. Ogrodzenie jednak nie do końca spełniało swoją rolę, o czym Wiel przekonał się w chwili, gdy wysiadł z samochodu nieopodal krzykliwie pomalowanych wozów.

W normalnych okolicznościach pojawienie się intruza wzbudziłoby podejrzliwe zainteresowanie, ale w tej chwili cała uwaga mieszkańców taboru koncentrowała się na głośnej (i potencjalnie brutalnej) konfrontacji, która trwała w środku utworzonego przez wozy kręgu.

Z jednej strony zebrała się grupa Cyganów pod wodzą Dave'a Lee. Naprzeciwko nich stało dwóch mężczyzn: jeden blondyn, niski, drobny, ale żyłasty, w sportowych spodniach i koszuli, drugi krępy, barczysty, w kurtce przeciwwiatrowej i hełmie lotniczym. Obie grupy otaczał krąg zachowujących dyskretny dystans kobiet i dzieci.

Większy z dwójki wygrażał Lee na wpół zacisniętą pięścią.

– Słuchajcie no – wychrypiął z ostrym yorkshirskim akcentem. – Jak jeszcze kiedyś zobaczę któregoś z tych waszych zasranych kuców na lotnisku, to go zastrzelę. Zrozumiano? A potem przyjdę tutaj i zastrzelę właściciela.

Dave Lee uśmiechnął się szyderczo, odsłaniając brudnożółte zęby, i odparł monotonnym, dość wysokim głosem:

– Posłuchaj no pan co to ma znaczyć przychodzisz pan gadasz i grozisz pieprzysz coś o jakimś kucu jaki kuc pokaż nam pan tego kuca a poza tym co pan sobie wyobrażasz, że te kuce to jakieś głupie są i nie uciekną przed samolotem to ja coś panu powiem te kuce mają więcej rozumu niż ci kretyni co latają tymi samolotami!

Pięść zacisnęła się do końca, a Wiel rozpoznał mężczyznę w hełmie: Bernard Middlefield, sędzieja pokoju. Sierżant za nim nie przepadał, ale z policyjnego punktu widzenia Middlefield nie był wcale taki najgorszy: nie odpuszczał niekaranym, wierzył w słowa policji jak w Biblię i wychodził z użytecznego założenia, że wszelkie opinie pracowników opieki społecznej są głównie warte.

Ciekawie – choć niedyplomatycznie – byłoby zobaczyć, jak spuszcza lanie Cyganowi. Blondyn wyglądał na zdeterminowanego rozjemcę, ale jego sukces wcale nie był pewny.

Wiel podszedł bliżej, trzymając w pogotowiu legitymację policyjną.

– Panie Lee... – wtrącił się. – Mogę pana prosić na słówko?

Cygan prychnął pogardliwie i rzucił pod adresem Middlefielda:

– Nic dziwnego, że chce się bić, jak już wezwał gliny!

– Pan jest z policji? – zainteresował się Middlefield. – W samą porę!

Wield nie miał ochoty angażować się w tę sprawę, ale musiał wysłuchać zainteresowanych. Blondyn nazywał się Austin Greenall i był głównym instruktorem aeroklubu. Obsługiwał wyciągarkę, mającą wystrzelić szybowiec Middlefielda, kiedy przed rozpędzającą się maszyną wszedł kuc, który omal nie doprowadził do wypadku. Middlefield z Greenallem prosto z lotniska przyszli do obozu.

– W gruncie rzeczy to wina rady miejskiej, szanowny panie – zauważył Wield. – To miasto jest właścicielem tego terenu, aeroklub tylko dzierżawi swój kawałek, prawda? Czyli to miasto powinno zadbać o stan ogrodzenia.

– Toś mi pan pomógł... – mruknął Middlefield. – Może gdybym zginął, to by się pan przejął, co? Coś panu powiem: ktoś powinien zrobić porządek z tymi łobuzami, i tym kimś będę ja. Są aspołeczni, brudni i kłamliwi. Niecałe ćwierć mili stąd mam fabrykę; kiedy ta swołocz rozkłada się tu taborem, podwajam ochronę. Podwajam, słyszy pan? A to kosztuje!

– Przykro mi, proszę pana, ale jeśli nie doszło do naruszenia prawa...

Wzburzony Middlefield prychnął, okręcił się na pięcie i odszedł. Greenall wzruszył przepaszając ramionami.

– Jak Boga kocham, panie Lee – powiedział. – Pilnujcie tych swoich zwierzaków.

I ruszył w ślad za Middlefieldem.

– Wszyscy w Yorkshire są tacy sami! – powiedział Lee. – Zgrywają twardzieli. Rwą się do bitki.

– Ja nie – zastrzegł się Wield. – Ja chcę tylko porozmawiać.

Wsiadli do samochodu Wielda. Cyganie niechętnie zapraszają obcych – zwłaszcza policjantów – do swoich wozów, a w tak przyjemny dzień było więcej niż pewne, że jeśli będą rozmawiać na otwartym terenie, zaraz otoczy ich wianuszek wścibskich dzieciaków.

Emocje związane z ewentualną bójką opadły i potoczysta wymowa Lee upodobniła się do niechętnie cieknącej strużki.

– Chodzi o czwartkową noc – zaczął Wield.

– Już o niej opowiadałem.

– Czytałem, co pan powiedział.

– No i?

– Twierdzi pan, że od ósmej do jedenastej pracował pan w lunaparku, głównie przy samochodzikach.

– Tak.

– I przez ten czas nie widział pan żadnej dziewczyny, która byłaby podobna do tej zamordowanej.

– Zgadza się.

– Nie nocuje pan w Charter Park, prawda?

– Nie. Od paru lat nie wpuszczają tam naszych kuców. Mówią, że są niebezpieczne.

Tacy sami durnie, jak ten kurdupel.

– Czyli wrócił pan na noc tutaj, do swojego wozu. Jak?

– Mam furgonetkę. Tam stoi. Ma ważny przegląd i ubezpieczenie.

– Nie sugerowałem, że ich nie ma, ale sprawdzę to. Zresztą, i tak sporo już czytałem na pański temat, panie Lee.

– I co?

– Wiem o panu wszystko. Ma pan wredny charakter.

Lee wzruszył ramionami.

– I ciężką rękę do kobiet. Widziałem tę na straganie. Paskudny siniak.

– Niezdarna lafirynda.

– Z pewnością. Jest też zarzut gwałtu... Pewnie na tym się nie skończyło, co?

To pytanie wywołało wreszcie rwący potok słów, ale bynajmniej nie angielskich.

– Stul dziób – odezwał się w końcu Wiel. – Bo ci urwę jaja.

Lee ucichł, ale nie na długo.

– Nikogo nie zgwałciłem! Nie skazali mnie! Zgwałcić tę sukę to jak oblepić kurczaka piórami!

– Dobrze, dobrze... – Wiel zaczynał się niecierpliwie. – Gdzie ta furgonetka?

– Za wozem – odparł ponuro Lee.

– Przyjechał pan prosto tutaj, tak? Do domu? O jedenastej?

– Może wpół do dwunastej, nie wiem. Zaczęło padać. Spakowaliśmy rzeczy ze straganu do wozu, jak co wieczór.

– My?

– Ja z żoną; mówiłeś pan, żeś ją pan widział. Potem przyjechaliśmy tutaj.

– Co ona z pewnością potwierdzi. Tak jak i to, że położył się pan grzecznie spać i spał smacznie do rana?

Lee nawet nie silił się na odpowiedź.

– No dobrze. – Wiel westchnął. – Niech mi pan opowie o Madame Rashid.

Odniósł wrażenie, że Lee nagle zaczął go uważniej słuchać, chociaż nie dał tego po sobie poznać.

– Zna ją pan, prawda? – zapytał sierżant.

– Znam.

– Zdaje się, że jest z wami spokrewniona?

– Wyszła za gadzia. Dawno temu.

– Jej siostrzenicę też pan zna?

– Widuję ją w parku.

Wield się zawahał. Nie bardzo wiedział, po co wdał się w te pytania. Donikąd nie prowadziły.

W tej sytuacji wybrał wariant polegający na wielce znaczącym niespodziewanym zakończeniu rozmowy.

– Dobrze – powiedział. – To wszystko.

– Słucham?

– Spadaj.

Cygan wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiami z taką siłą, że wozem (i Wieldem) aż zatrzęsło. Starszy siwowłosy mężczyzna o szczerzej, rumianej twarzy, który dotąd kręcił się w pobliżu, podszedł do Lee. Zamienili kilka szybkich zdań po romsku.

Wield wychylił się przez okno i skinął na intruza.

– Kim pan jest?

– Ja, brachu? Jestem Silvester. Silvester Herne, brachu.

– Jest pan tu szefem? Królem, czy jak wy to tam nazywacie...

– Ja, brachu? – Herne nie posiadał się ze zdumienia. – Ja tylko stary Cygan jestem, stary Silvester.

– W takim razie, stary Silvestrze, spróbuj przemówić do rozumu swojemu kumpłowi. Nie jestem z niego zadowolony i jeszcze tu wrócę. A tymczasem naprawcie płot, żeby kuce nie wałęsały się po lotnisku. Bo inaczej wszyscy będziecie mieli kłopoty, jasne?

– Jasne, brachu. – Herne się rozpromienił. – Już się robi!

No to im powiedziałem do słuchu, pomyślał Wield.

Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu jednak, że mówienie do Cyganów przypomina mówienie do drzew. Nie miał nic przeciwko samym Cyganom, chociaż bałagan, w jakim żyli, przyprawiał go o dreszcze. Ba, można by wręcz powiedzieć, że darzył ich ukradkową sympatią jako niepokornych wyrzutków. Do tego dochodził zapewne jakiś atawistyczny lęk. Z całą pewnością wczorajszy trans Rosetty Stanhope wywarł na nim większe wrażenie, niż chciałby to przyznać.

Powinien wrócić do komisariatu, ale złapał się na tym, że jedzie prosto do domu. Zaparzył sobie herbatę. Co za smętne miejsce, pomyślał z przygnębieniem. Nawet w najbardziej słoneczne dni malutkie północne okna wpuszczały niewiele światła. Mieszkanie

było w dodatku bezbarwne i bezosobowe. Rzadko miewał gości – czasem tylko odwiedzała go jego zamężna siostra z synem, którego magnetofon przydał mu się podczas seansu. Jednakże tajemnica, z którą żył na co dzień, sprawiała, że tylko w najbardziej osobistych dziedzinach życia pozwalał sobie na coś więcej niż całkowita anonimowość i brak zobowiązań.

Ta myśl mu się nie spodobała. Odruchowo sięgnął po telefon i wybrał służbowy numer Maurice'a w Newcastle – ale kiedy ktoś odebrał, Wield bez słowa odłożył słuchawkę. Zawarli umowę: kontakt bezpośredni tylko w sytuacjach absolutnie wyjątkowych. A ta nie była wyjątkowa, chociaż Wield czuł w kościach, że coś niezwykłego zbliża się równie nieuchronnie jak niż atmosferyczny znad Atlantyku.

Napił się herbaty, która przez ten czas zdążyła wystygnąć, i z przerażeniem skonstatował, że przesiedział tak bezproduktywnie ponad godzinę: było już po wpół do czwartej.

Czym prędzej wybiegł z domu. Pascoe na pewno zapyta, co robił przez ten czas, i nie będzie zachwycony. A Dalziel...

Dobrze by było, gdyby mógł chociaż powiedzieć, że rozmawiał z Pauline Stanhope.

Wrócił do parku i zaklął pod nosem, widząc znajomą tabliczkę ZARAZ WRACAM przed namiotem Madame Rashid. Co właściwie znaczy dla wróżki „zaraz”?

Coś chyba powinno znaczyć.

Zaniepokoił się. Odepchnął krzeselko i odgarnął połę namiotu.

W środku było ciemno. Pachniało pleśnią. Trójkąt światła z wejścia padł na ustawiony na kozłach stół.

– Jezu Chryste... – wykrztusił Wield.

Postąpił dwa kroki naprzód. Spojrzał w dół. Cofnął się.

Zamknął namiot, odstawił krzesło i przyczepił karteczkę na swoim miejscu, kiedy podeszły do niego dwie dziewczynki.

– Czy to pan przepowiada przyszłość?

– Nie – odparł. – Tej pani nie ma.

– A kiedy będzie?

Wield pokazał im karteczkę i popędził do samochodu, żeby wezwać przez radio posiłki.

ZARAZ WRACAM.

Ale skąd?

Na stole – ze zwieszonymi nogami, ale rękami schludnie skrzyżowanymi na piersi –

leżało ciało Pauline Stanhope. Została uduszona.

Rozdział 7

– Kiepska reklama – zauważył Dalziel. – Jakby rzeźnik zatrzał się jedzeniem.

– To prawda, panie inspektorze – przytaknął Pascoe.

Jednakże jego ścisły umysł ocenił analogię jako nieprecyzyjną i – co za tym idzie – niesatysfakcjonującą. Nie powiedział tego na głos, ale zastanawiał się, co napiszą gazety o morderstwie w namiocie wróżki.

Bo prasy, oczywiście, nie da się uniknąć. Odkrycie przestępstwa przez doświadczonego funkcjonariusza daje policji przewagę, można zacząć śledztwo bez przeszkód i dyskretnie, ale kiedy już się zacznie, wieści rozchodzą się z szybkością paniki giełdowej, i to z miejsc znacznie bardziej odludnych niż ruchliwy jarmark miejski.

Namiot został otoczony ogrodzeniem ze sznura, żeby powstrzymać napór gapiów. Lekarz policyjny pobieżnie zbadał ciało, stwierdził zgon, orzekł prawdopodobną przyczynę śmierci (uduszenie) i w przybliżeniu określił czas, jaki od niej upłynął (od dwóch do czterech godzin). Następnie, za radą Pascoe (mającego na uwadze małą przestrzeń) wpuszczono do namiotu tylko jednego funkcjonariusza, który na kolanach, z silną latarką i plastikowym workiem w rękach, przeczesał cal po calu całe podłoże, zanim fotograf i specjaliści od odcisków palców do reszty stratuja i tak już zdeptaną trawę. Dwóch innych ludzi wyznaczono do zbadania gruntu w okolicy namiotu, biorąc jednak pod uwagę, jaki tabun ludzi już po nim przedefilował, był to gest czysto symboliczny.

Miejsce zbrodni obfotografowano ze wszystkich stron, pomierzono i naszkicowano pod różnymi kątami. Chłopcy od odcisków palców, którzy na początku oprószyli białym proszkiem krzesło i kartkę, weszli do środka i posypali drugie krzesło i stół, nie ruszając zwłok. Na zakończenie Dalziel pogapił się przez chwilę na ciało dziewczyny, po czym kazał je zapakować do plastikowego worka i przewieźć do kostnicy, gdzie specjaliści ostrożnie zdejmą z niego ubranie, które następnie zostanie przekazane do laboratorium.

Znowu ruszyli do akcji ludzie od odcisków, którzy przebadali teraz resztę stołu, a potem spakowali go razem z krzesłami i również odesłali do laboratorium.

Przez ten czas do obozowiska sprowadzono policyjną przyczepę kempingową, w której – już drugi raz w tym tygodniu – przesłuchiowano pracowników wesołego miasteczka, ze szczególnym uwzględnieniem tych, których stragany i stoiska znajdowały się w zasięgu wzroku od namiotu wróżki.

Najciekawiej wypadła rozmowa z kobietą od penny-rolla, Eną Cooper.

– Wyszła tuż przed dwunastą, powiedziałam to już temu brzydkiemu. Nie, nie rozmawialiśmy. Wie pan, myśmy nie były ze sobą jakoś bardzo blisko. A poza tym mieliśmy robotę. Niby przed wieczorem ruchu nie ma, ale dzieciaki przychodzą od rana, zwłaszcza na takiego penny-rolla. Nie, nie widziałam, jak wróciła. Poszłam do naszej Ethel, do budki z hot dogami przy diabelskim młynie, żeby coś przekąsić; mogła wtedy wrócić. To było koło drugiej, zaraz po tym, jak ten brzydał pierwszy raz przyszedł. Nie było mnie ze czterdzieści pięć minut. Nie, nie ma sensu go pytać. Jest ślepy jak kret. Krótkowidz, ledwie widzi monety na planszy. Kiedy mnie nie ma w pobliżu, dzieciaki go kantuja, jak chcą!

Cooper – jej mąż – przytaknął melancholijnym skinieniem głowy. Nic nie widział, nic nie słyszał.

Przez głośniki poproszono o kontakt wszystkich, którzy w tym dniu odwiedzili namiot Madame Rashid, ale na razie nikt się nie zgłosił.

Rzucała się w oczy nieobecność Dave'a Lee. Po tym, jak Wiel streścił swoje popołudniowe spotkanie z nim, Dalziel kazał mu go przywieźć na przesłuchanie. Posłał też kogoś do Wheatsheaf Garage, żeby popytał o poczynania Tommy'ego Maggsa.

Pascoe pokiwał z aprobatą głową. Dochodzenie w dziewięćdziesięciu procentach polega na eliminacji. Jego zdaniem Maggs był czysty jak łąka w sprawie śmierci Brendy Sorby i nie wyglądał na psychopatycznego seryjnego zabójcę, ale nie wolno zaniedbywać spraw oczywistych.

Kiedy odważył się podzielić swoimi przemyśleniami z Dalzielem, ten odchrząknął i mruknął:

– Ach tak?

Jedną z policjantek wysłano do Rosetty Stanhope, żeby przekazała jej tragiczną wiadomość. Wcześniej tego popołudnia Pascoe odprowadził ją do wyjścia z komisariatu, zapewniwszy uprzednio, że z całą pewnością rozważą jej uprzejmą ofertę pomocy w dochodzeniu. Nieco później wezwał go do siebie Dalziel, który spotkał się właśnie z nadkomisarzem George'em Headingleyem prowadzącym dochodzenie w sprawie włamania do magazynu Spinksa.

Ze zwykłego włamania zrobiło się tymczasem włamanie z zabójstwem, ponieważ raniony w głowę strażnik zmarł rano w szpitalu, i Headingley potrzebował posiłków. Razem przejrzeni listę personelu i przydziałów, po czym doszli do wniosku, że i tak mają żałośnie mało ludzi. Pascoe wspominał wtedy o propozycji pani Stanhope i półzartem zasugerował, że można by z niej skorzystać.

– Pewnie! – ucieszył się Dalziel. – Na początek niech spróbuje się skontaktować z

naszym nadinspektorem. Skurczybyk jest od lat martwy od szyi w górę!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. A niedługo potem zadzwonił Wield z nową wiadomością.

Pascoe z niepokojem wyczekiwał przybycia ciotki zamordowanej dziewczyny. Trzeba ją będzie zawieźć do kostnicy na oficjalną identyfikację zwłok. Nie była to przyjemna procedura i choć Rosetta Stanhope zaimponowała mu jako osoba może ciut ekscentryczna, ale z pewnością uparta i zdeterminowana, to z doświadczenia wiedział, że niczyjej reakcji w takich okolicznościach nie da się przewidzieć.

Prawie mu ulżyło, kiedy policjantka zadzwoniła z informacją, że nie zastała pani Stanhope w domu i postanowiła na nią zaczekać.

Wkrótce potem wrócił Wield i powiedział, że Dave Lee niedługo po ich rozmowie wsiadł do swojej furgonetki i gdzieś zniknął – nikt nie wiedział gdzie, a przynajmniej nikt nie chciał tego powiedzieć.

Ostatni wrócił posterunkowy wysłany to Tommy'ego Maggsa, również sam. Maggs wyszedł na obiad i po przerwie nie wrócił już do warsztatu. Na długie pukanie do drzwi jego domu nikt nie odpowiadał.

– Popytajcie sąsiadów – polecił Dalziel. – Sprawdźcie, czy nie kontaktował się z rodzicami; są w pracy. Dowiedzcie się, jak się nazywa jego lekarz. Sierzancie Wield, ma pan numer rejestracyjny samochodu Lee? Dobrze. Proszę kazać go szukać. Ty, Peter, zajmiesz się dziennikarzami, dobrze? W opowiadaniu pierdół jesteś z nas wszystkich najlepszy.

– Dzięki. Co mam im powiedzieć?

– To, co wiesz. Czyli, jeśli czegoś przed nami nie zataiłeś, niewiele.

– Będą się dopytywać, czy to Dusiciel.

– A my nie będziemy nic wiedzieć do czasu wykonania sekcji zwłok. A i wtedy dowiemy się tylko tyle, że był to jakiś dusiciel.

– Dla mnie sprawa jest oczywista – zaoponował Pascoe. – Wystarczy porównać z morderstwem Sorby...

– Tak uważasz? Pożyjemy, zobaczymy.

Stary sukinkot ma jakiś pomysł, domyślił się Pascoe. Albo po prostu lubi być w kontrze.

Nie wszyscy dziennikarze, którzy zebrali się w wesołym miasteczku, byli z lokalnych mediów. Wieść się rozeszła i przyjechała nawet jakaś dwójka z Londynu, chociaż ich akurat zwabiła historyjka o jasnowidzu, a śmierć Pauline Stanhope była dla nich niespodziewaną premią. Na parkingu ekipa telewizyjna wyładowywała właśnie kamery z wozu. Przynajmniej

nagrają trochę klimatycznych scenek, pomyślał Pascoe. Po krótkiej przerwie wesołe miasteczko pracowało już pełną parą – wszystko się kręciło, dudniło, błyszczało. Czy w tym śmiechu, muzyce i pokrzykiwaniach podekscytowanej publiki nuta hysterii nie jest przypadkiem wyraźniejsza niż zwykle? – zastanawiał się. Zakrawało to na nieprzyzwoitość, ale było nieuniknione. Śmierć, największy naganiacz świata, przyciągnęła olbrzymi tłum i trudno było oczekiwać, że pracownicy lunaparku przegapią taką okazję.

Przecież Pauline Stanhope nie była nawet jedną z nich. Rosetta zresztą też nie. Raz w roku dołączały do widowiska, to wszystko, a ci ludzie na co dzień tworzyli barwną, lecz zamkniętą społeczność.

Przez dziesięć minut unikał odpowiedzi na pytania. Zgodnie z przewidywaniami, dziennikarze najbardziej chcieli usłyszeć, że Pauline była kolejną ofiarą Dusiciela.

– A te telefoniczne cytaty z *Hamleta*, panie komisarzu? – zapytał jeden z nich. – Ktoś już dzwonił?

– Nie wiem. – Pascoe się uśmiechnął. – Proszę zapytać kolegę z „Evening Post”, zawsze dzwonią najpierw do jego szefa.

Już miał się odwrócić i odejść, gdy jeden z członków ekipy telewizyjnej złapał go za rękaw i poprosił o wywiad za pięć minut.

– Zobaczę, czy będę wolny – powiedział Pascoe.

– Właściwie nie chodzi o pana. Chcielibyśmy porozmawiać z podinspektorem Dalziel.

Zirytowany Pascoe wrócił do policyjnej przyczepy, gdzie zastał Dalziela uwieszzonego na dopiero co podłączonym telefonie.

– Telewizja będzie zaszczycona pańskim przybyciem, panie inspektorze – powiedział, odczekawszy do końca rozmowy.

– A z tobą co jest nie tak, chłopcze? Nie dość fotogeniczny?

– Chyba chodzi o to, że nie wypełniam tak ładnie dwudziestosześcioroecjalowego ekranu – odparował kąśliwie Pascoe.

– Słucham? Uraziłem cię? – Dalziel parsknął śmiechem. – Chodź, mam tu coś, co poprawi ci humor. Rozmawiałem przed chwilą z Sammym Locke'em z „Evening Post”.

– Ktoś do nich dzwonił? – zainteresował się Pascoe.

– Wiedziałem, że to ci się spodoba. Masz nadzieję, że przez te telefony dorwiesz skurczybyka, prawda? Życzę powodzenia. Bo teraz jest ich już dwóch!

Dalziel się pomylił. Zanim Pascoe wrócił wieczorem do domu, doliczyli się nie dwóch, a czterech telefonów z cytatami z *Hamleta*.

Pierwszy był o szesnastej czterdzieści dwie:

– *„Idź do alkierza jejmość pani i powiedz jej, że może malować się na cal grubo, a zawsze dojdzie do takiej urody”*.

Drugi o siedemnastej dwadzieścia trzy:

– *„Można się uśmiechać i uśmiechać, a łotrem być”*.

Trzeci o osiemnastej piętnaście:

– *„Być czy też nie być – oto jest pytanie”*.

I czwarty, o dziewiętnastej dziewięć:

– *„Zwichnięty czas, w przeklętym ja momencie rodzilem się, by leczyć to zwichnięcie”*.

Ellie – dla odmiany – była w doskonałym humorze. Pascoe tak się z tego ucieszył, że na wieść o tym, że została sekretarką do spraw członkostwa w GOPK, tylko lekko przewrócił oczami – o jakieś pół kąta prostego, nie więcej. Wyraźnie też nabrała ochoty do rozmowy o Dusicielu.

– Te telefony... Myślisz, że wam w czymś pomogą?

– Niewiele więcej mamy. – Pascoe wgrzył się w odgrzewaną zapiekankę z wołowiną i grzybami. – I nie wszystkie są od Dusiciela. Sammy Locke nie zapamiętał tamtego pierwszego głosu zbyt dobrze, ale jego zdaniem tylko dwa, najwyżej trzy z tych ostatnich brzmią podobnie.

– Nagraliście je, tak? Przydałby się wam jakiś ekspert, który by je odsłuchał.

– Słuszna uwaga. – Pascoe napomknął już o tym Dalzielowi, ale nie chciał wychodzić na mądralę. – Masz jakiś pomysł?

– Hmm, u mnie w college’u pracują Dicky Gladmann i Drew Urquhart. Popisują się przed studentami tym, że potrafią na podstawie analizy głosu określić pochodzenie społeczne i geograficzne człowieka.

– Celnie?

– Ponoć skuteczność mają stuprocentową. Osobiście podejrzewam, że dla pewności sprawdzają dane w aktach. Ale sądząc po tym, jak niezrozumiale potrafią się wypowiadać, na pewno są dobrymi lingwistami.

Pascoe skończył zapiekankę, odetchnął i rzucił się na szarlotkę z kruszonką, również podgrzaną.

Ha! – pomyślał nagle. Ellie chce, żebym ja też przytył!

– Ja bym ich sprawdził – powiedział. – Chyba, że są akurat na wakacjach w Acapulco. Ale skoro już o tym mowa... Nie powiedziałaś mi, jak panna Lacewing przyjęła twoją teorię o medium.

– Powiedziała, że to bzdet – odparła markotnie Ellie.

– Naprawdę? No popatrz... Oddasz mi zapis seansu?

– Oczywiście. Zresztą omal się przez nią nie zapadłam pod ziemię ze wstydu, kiedy powiedziała, że prowadzisz tę sprawę.

– To dla ciebie powód do wstydu?

– Oczywiście, że nie! Próbowала uciszyć takiego wyszczezanego faceta, niejakiego Middlefielda, który jest bodajże sędzią pokoju i uważa, że wszystkie te zamordowane kobiety to *ipso facto* dziwki. Muszę ci powiedzieć, że to było interesujące. Jeśli dobrze zrozumiałam, Middlefield rozmawiał akurat z kierownikiem z banku, w którym pracowała ta poprzednia dziewczyna. Ta z taśmy. Chyba.

– Brenda Sorby... To naprawdę ciekawe.

Później, kiedy już leżeli w łóżku, Ellie mruknęła sennie:

– A ta biedaczka z lunaparku... Mówiłeś, że była siostrzenicą Rosetty Stanhope?

– Tak.

– Może z nią udałoby się nawiązać kontakt? Musiały być przecież ze sobą bardzo blisko.

– To możliwe. Damy ci znać, gdyby się udało.

Szturchnęła go łokciem w żebra, a niedługo potem jej oddech uspokoił się i wyrównał. Zasnęła.

Pascoe jednak nie mógł zasnąć, a kiedy sen wreszcie przyszedł, był szarpany, nerwowy i rwący jak płytki strumień w kamienistym łożysku. Poniekąd była to wina Ellie, bo to ona skierowała jego myśli ku Pauline Stanhope, ale i bez tego nie byłoby lepiej. Zawsze źle sypiał w noc przed sekcją zwłok, a jutro o dziewiątej rano miał się stawić w kostnicy miejskiej i być świadkiem ostatnich rytuałów sądowych odprawianych nad ciałem panny Stanhope.

Rozdział 8

Policyjny patolog był sprawnym fachowcem, który nie musiał szukać ucieczki w upiornej wylewności, jaką niektórzy jego koledzy po fachu usiłowali oswoić paskudną profesję. Pascoe to odpowiadało. Lubił ten bliski transu stan profesjonalnej obiektywności, który zdarzało mu się osiągać w takich sytuacjach, i zdążył już zrazić do siebie kierownika kostnicy oraz podenerwowanego młodego urzędnika z biura koronera, kiedy oschle zbył ich próby zaprzyjaźnienia się z nim.

Patolog zaczął od zbadania szyi denatki, zanim poprosił kierownika kostnicy o usunięcie ze zwłok ubrania, które następnie – popakowane w osobne woreczki – odesłano do laboratorium. Po dokładnych oględzinach nagiego ciała, odwróceniu go na brzuch, żeby niczego nie przeoczyć, i ponownym ułożeniu na plecach, patolog wykonał nacięcie korpusu. Kiedy skalpel zagłębił się w bladą skórę, pełnomocnik koronera zachwiał się na nogach. Przysłuchując się wcześniej jego nerwowej rozmowie z kierownikiem kostnicy, Pascoe wywnioskował, że to jego pierwszy raz. Wyjął z kieszeni notatnik i stuknął młodego mężczyznę w ramię.

– Mogę na chwilę pożyczyć długopis? – zapytał szorstko.

– Tak, naturalnie.

Pascoe coś sobie zapisał i oddał długopis.

– Dzięki – powiedział. – Lepiej od razu go panu oddam, na pewno bardziej go pan potrzebuje niż ja. Wasz szef jest przeczulony na punkcie wypełniania tych wszystkich formularzy, prawda?

Tamten uśmiechnął się blado i zaczął coś zaciekle notować.

Chwilę później Pascoe wyjął własny długopis i również zabrał się do pisania.

Mniej więcej trzydzieści minut później zrobiło się małe zamieszanie. Z korytarza dobiegły podniesione głosy, a po chwili otworzyły się drzwi i do sali wszedł portier. Zamienił dyskretnie dwa słowa z kierownikiem kostnicy, który przekazał informację Pascoe:

– Przed wejściem czeka jakaś kobieta. Przyszła z mężczyzną. Twierdzi, że jest ciotką tej dziewczyny, i awanturuje się, że chce zobaczyć ciało.

Pascoe spojrział na leżące na stole zwłoki, z których patolog usunął już mostek i przednie części żeber, odsłaniając serce, płuca i część wnętrza, i spokojnie pracował dalej.

– Zajmę się tym – powiedział Pascoe.

Wyszedł z sali sekcyjnej, przeszedł przez magazyn i znalazł się w niedużej recepcji, gdzie sekretarz bohatersko powstrzymywał natarcie Rosetty Stanhope.

W jej towarzyszu Pascoe ze zdumieniem rozpoznał Dave'a Lee.

– Panie Pascoe – odezwała się pani Stanhope. – Podobno mają tu moją siostrzenicę. Wolno mi ją chyba zobaczyć, prawda? Mam do tego prawo. Chcę ją zobaczyć.

Pod wpływem emocji w jej głosie ujawniały się kadencje i rytmy zapamiętane z dzieciństwa, przebijając się przez ciężki osad konwencjonalnej wielkomijskiej angielszczyzny z Yorkshire.

– Nie możecie jej tego zabronić – dodał Lee. – To jej siostrzenica.

– Przykro mi, pani Stanhope – odparł spokojnie Pascoe. – Trwają oględziny ciała. Po ich zakończeniu umożliwimy pani obejrzenie zwłok, obiecuję.

– Nie możecie jej tego zabronić! – powtórzył wojowniczo Lee. – Powiedziała przecież, że ma prawo!

– Wątpię, żeby chciała ją pani oglądać w tej chwili, pani Stanhope. Naprawdę. Lepiej będzie poczekać.

– Chce pan powiedzieć, że właśnie ją kroją? – spytała pani Stanhope.

– Konieczna jest sekcja zwłok – przytaknął łagodnym tonem Pascoe.

Kiedy pani Stanhope skinęła głową, wziął ją za rękę i wprowadził do biura kierownika. Sekretarz nie bardzo wiedział, jak się zachować, ale Pascoe, który miał pewne pojęcie o dynamice procesów społecznych, uspokoił go.

– Zaparzy nam pan herbatę? – poprosił i wrócił do swojego gościa zadowolony, że podbudował własny autorytet. – Próbowaliśmy się wczoraj z panią skontaktować – powiedział, kiedy pani Stanhope usiadła.

W pokoju były tylko dwa krzesła. Pascoe usiadł na tym drugim i Lee musiał zająć miejsce przy oknie w niewdzięcznej i niezręcznej pozycji stojącej.

– Wyjechałam.

– Rozmawialiśmy wczoraj w porze obiadu – przypomniał Pascoe. – Nie wspomniała pani wtedy, że gdzieś się wybiera. To musiał być niespodziewany wyjazd?

– Tak, niespodziewany. W mieszkaniu zostawiłam liścik dla Pauline.

Głos pani Stanhope załamał się, gdy wymówiła imię siostrzenicy. Pascoe przyglądał się jej uważnie. Przyszła w tym samym szarym ubraniu, w którym widział ją wczoraj, tyle, że z czasem zrobiło się mniej eleganckie, bardziej wymięte i niechlujne.

– Od kogo się pani dowiedziała o śmierci siostrzenicy, pani Stanhope?

Zerknęła na stojącego pod oknem Lee.

– Z gazet. Dziś rano.

– Rozumiem...

Pascoe zanotował sobie w pamięci, żeby przejrzeć gazety. Większość dziennikarzy chętnie współpracowała z policją i nie ujawniała nazwisk ofiar, dopóki o ich losie nie powiadomiono ich najbliższych. Z drugiej strony cała sytuacja była na tyle nietypowa i charakterystyczna, że identyfikacja ofiary nie nastęczała trudu.

– Gdzie spędziła pani noc? – spytał łagodnym tonem.

– Była ze mną – wtrącił bezceremonialnie Lee. – Pojechaliśmy na północ, do znajomych.

– To chyba była dość... nagła decyzja, prawda? Dla obojga państwa.

Zatrąkali coś między sobą, czego Pascoe ze swoją akademicką znajomością angielskiego nie rozumiał.

– *Qu'est-ce-que sous voulez cacher de moi?* – zapytał, podnosząc głos.

Nie był pewien, czy użył właściwego zaimka, ale doszedł do wniosku, że to bez znaczenia, kiedy na ich twarzach nie odmalował się nawet cień zrozumienia.

– To po francusku – wyjaśnił spokojnie. – Nie rozumiecie państwo? W takim razie, kiedy tak mówię, stajecie się zapewne poirytowani, urażeni, podejrzliwi i czujecie się głupio. Mam rację?

Twarz Lee nie zmieniła się ani na jotę, za to pani Stanhope uśmiechnęła się przepaszająco.

– To nawyk, panie Pascoe. David powiedział, że jest pan wścibski. To wszystko.

– A pani co mu odpowiedziała?

– Że chciałam po prostu zobaczyć siostrzenicę – odparła pani Stanhope znużonym tonem. – Rzeczywiście, pomysł wyjazdu wyniknął dość niespodziewanie. Po rozmowie z panem wróciłam do domu. Nieco później zadzwonił Dave. Dowiedział się rano od Pauline, że kiepsko się czuję, i zaczął się martwić. Zasugerował, że mała przejażdżka, wypad do starych znajomych, dobrze mi zrobi, a ja pod wpływem impulsu zgodziłam się.

Zdaniem Pascoe wizja zatroskanego Dave'a, który dokłada starań, żeby ukoić skołatanę serce kuzynki, i proponuje jej wyjazd na wieś, zanadto zalatywała drobnomieszczczością, żeby mogła być prawdziwa.

– Co się właściwie wczoraj wydarzyło, panie Pascoe? Czy chociaż tyle może nam pan powiedzieć?

– Po sekcji będziemy wiedzieli coś więcej, ale na razie wydaje się prawdopodobne, że wczesnym popołudniem ktoś wszedł do waszego namiotu na terenie wesołego

miasteczka, udusił pani siostrzenicę i wyszedł, zostawiając przy wejściu kartkę z napisem ZARAZ WRACAM – odparł Pascoe, ostrożnie dobierając słowa.

– Wczesnym popołudniem, mówi pan? – powtórzyła zaskoczona pani Stanhope. – I co, nikt nic nie widział? Nie słyszał?

– Wie pani, w lunaparku zawsze jest głośno. Nie znaleźliśmy nikogo, kto widziałby coś niezwykłego, ale przesłuchania trwają. Z panem również chcielibyśmy porozmawiać, panie Lee.

– Ze mną? Dlaczego?

– Dlatego że pracuje pan w wesołym miasteczku. Sam widziałem, jak wczoraj rano rozmawiał pan z panną Stanhope.

– Ale potem nie byłem w miasteczku, tylko w taborze – odwarknął Lee. – Pana kumpel mnie widział, ten co tak śmiesznie wygląda.

– Tak, słyszałem. To było około trzynastej czterdzieści pięć. O której wyjechał pan z lunaparku?

– Nie wiem, jakoś w porze obiadu.

– Czyli wrócił pan na obiad do taboru, tak?

– No tak.

– Pańska żona została w parku. Sam pan sobie coś ugotował?

– Umiem sobie radzić.

– Ugotował pan sobie coś czy nie? – naciskał Pascoe. – I czy jadł pan sam? Może ktoś pana widział?

– Jeśli koniecznie musisz pan wiedzieć, to wstąpiłem po drodze do pubu na piwko i zapiekanekę – burknął Lee. – Więc mam świadków.

– To świetnie. A ten pub?

– Co „ten pub”? – zaniepokoił się nagle Lee.

– Jak się nazywa? – wyartykułował wyraźnie Pascoe, z zainteresowaniem obserwując swojego rozmówcę.

– „Cheese” – mruknął bez entuzjazmu Lee.

– „Cheshire Cheese”? No proszę...

Nawet Rosetta Stanhope obrzuciła swojego towarzysza zaciekawionym spojrzeniem.

– To nie po drodze – rzucił Pascoe.

– Właśnie, że tak! – zaparł się Lee. – Często wpadam tam na drinka.

– Co pan powie...

To był ciekawy trop, zapewne fałszywy, ale wart przesłedzenia. Tyle, że nie teraz i

nie tutaj.

Sekretarz przyniósł herbatę, ale zawahał się w progu, nie bardzo wiedząc, komu ma ją podać. Pascoe ruchem głowy wskazał panią Stanhope i spojrzął na zegarek.

– Państwo wybaczą, muszę wracać. Jestem pewien, że możecie tu państwo zaczekać, ale musicie mieć świadomość, że to jeszcze potrwa.

Sekretarz wcale nie podzielał jego pewności, Dave Lee też nie wyglądał na szczęśliwego, natomiast pani Stanhope z zapalem pokiwała głową.

– W porządku – orzekł Pascoe.

Wyszedł do sekretariatu, zamykając za sobą drzwi, i z telefonu na biurku zadzwonił do komisariatu i poprosił o połączenie z Dalzielem. Nie zastał go jednak, porozmawiał więc z sierżantem Wioldem, któremu pokrótce streścił ostatnie wydarzenia i zasugerował, żeby zgarnął jakąś policjantkę i razem jak najszybciej przyjechali do kostnicy.

Dopiero wtedy bez entuzjazmu wrócił na salę sekcyjną.

Ellie Pascoe wyciągnęła się wygodnie na szerokiej, sprężystej sofie. Kiedy ją z Peterem wybierali, usiłowali udawanym napaleniem i przesadną zmysłowością wprawić w zakłopotanie sprzedawcę w sklepie meblowym – co zupełnie im się nie udało. Za to sama sofa, zdaniem Ellie, udała się wyśmienicie.

Przewróciła stronę romantycznego thrillera, który aktualnie wykorzystywała do odwlekania pracy nad własną wspaniałą powieścią.

Zadzwonił dzwonek.

Zgodnie z najlepszą podmiejską modą, Ellie najpierw wyrzała przez okno salonu. Na podjeździe stał niebieski morris marina, w którym siedział mężczyzna z dwójką nastoletnich dzieciaków. Nie rozpoznała ani samochodu, ani pasażerów.

Dzwonek zadźwięczał po raz drugi.

Poszła otworzyć.

– Cześć – powiedziała Lorraine Wildgoose.

Była ubrana w dżinsy i luźną koszulę. Widziana od tyłu mogłaby, zdaniem Ellie, ująć za nastolatkę – za to potem, zobaczywszy jej twarz, każdy miałby prawo poskarżyć się na nieuczciwość reklamy. Nie była wcale brzydka, ale umalowane oczy i róż na policzkach nie były w stanie zamaskować czterdziestu paru lat życia.

Pod pachą trzymała trzy grube, sfatygowane tekturowe teczki.

– Obiecałam ci je podrzucić – wyjaśniła. – A ponieważ akurat wtedy przejeżdżałam,

pomyślałam, że wpadnę.

– Świetnie! – Ellie z trudem wykrzesła z siebie odrobinę entuzjazmu. – Proszę, wejdź.

Zaprowadziła Lorraine do salonu, gdzie z trudem powstrzymała się od uporządkowania poduszek na sofie i wepchnięcia pod nie książki, którą czytała.

– Papiery wyglądają niechlujnie, ale są ułożone po kolei – zapewniła ją Lorraine. – Wczoraj chyba wszystko sobie wyjaśniłyśmy... No, ale gdyby był jakiś kłopot, przekręć do mnie.

– Dzięki. Napijesz się kawy? – spytała Ellie.

Zdziwiła się, gdy Lorraine przytaknęła.

– Chętnie. Czemu nie?

No, głównie dlatego, że zostawiłaś przed domem samochód, w którym trzy osoby pieką się teraz na wolnym ogniu, pomyślała Ellie, ale nie знаła swojego gościa wystarczająco dobrze, żeby powiedzieć coś takiego głośno.

– Więc tak wygląda dom policjanta... – Lorraine weszła za nią do kuchni. – Ładny.

– Łapówki się przydają.

– Mówiłaś wczoraj, że twój mąż rozpracowuje tego Dusiciela. Z tego, co słyszałam, musi mieć huk roboty.

– Ma też inne obowiązki.

Ellie potrafiła wprawdzie obudzić Petera w środku nocy i powiedzieć mu, że on i jego koledzy po fachu są głupimi prymitywami z faszystowskim zacięciem, ale podejrzliwie traktowała wszelkie próby wywleknięcia szczegółów jej związku z przedstawicielem prawa na forum publiczne. Lorraine jednak nie drażyła tego tematu, zadowolając się myszkowaniem wzrokiem po szafkach, których Ellie wołałaby przy niej nie otwierać.

– A co z twoimi... znajomymi? – spytała Ellie, wsypując kawę rozpuszczalną do kubków.

– Z kim? A, o nich mówisz... To nie znajomi, to rodzina – odparła Lorraine z cierpkim uśmiechem, który mógł sygnalizować żart. – Moje dzieci i mąż.

– Jesteście w separacji, prawda?

– Na ile to możliwe, kiedy oboje pracujemy w jednej szkole. Na szczęście są wakacje, więc w końcu możemy się naprawdę odseparować. Za tydzień wyjeżdżam do Włoch na trzy tygodnie, a tydzień później Mark znika i nie będzie go do końca wakacji. Dzieciaki jadą do Dales, do znajomych, którzy mają tam domek na wsi.

– Czyli przez jakiś czas nie będziecie się widywać. – Ellie nalała wrzątku do kubków.

– I chwała Bogu! Teraz jedziemy na piknik nad morze, to ma być takie uroczyste pożegnanie. Wszyscy wolelibyśmy zająć się czymś innym, ale nawet dzieci nie chcą tego powiedzieć na głos.

– Są dobrze wychowane – zasugerowała Ellie.

Kiedy wróciły do salonu, udało jej się ukradkiem wyjrzeć przez okno. Kierowca wysiadł i stał teraz przy samochodzie, oparty o drzwi. Był ubrany w szorty i koszulkę z krótkim rękawem z jakimś nadrukiem na piersi.

– Zwykle mówi się, że wina leży po obu stronach – wypaliła zniecka Lorraine Wildgoose. – Ale nie tym razem. Kiedyś lubiłam swój status kury domowej. To było miłe. Równolegle działałam w GOPK i w domu siedziałam cicho. Ale coś się zmieniło.

– Inna kobieta? – domyśliła się Ellie.

– Nie wiem, być może. Drań z dnia na dzień mnie znieckał. Nie miałam pojęcia, o co mu poszło, po prostu nagle zdałam sobie sprawę, że mnie nie znosi! Więc się wyprowadziłam. Kobieta nie powinna być zmuszona do podejmowania takiego ryzyka. Chyba, że jest prostytutką.

Ellie zerknęła tęsknie w stronę swojej porzuconej książki.

– Gdzie teraz mieszkasz? – zapytała, żeby wypełnić przedłużającą się ciszę.

– Teraz to ja już wróciłam do domu, a on się wyprowadził. Poszłam prosto do Thelmy, a ona szybko wszystko załatwiła. Jest niesamowita, nie uważasz? Trzeba Markowi oddać sprawiedliwość: nie stawiał się. Dom na przedmieściu i tak chyba mu nie pasował. Za dużo otwartej przestrzeni. Za dużo wścibskich oczu za koronkowymi firankami. – Lorraine napiła się kawy i znieckała zmieniła temat: – A ten bandzior, którego tropi twój mąż... Wczoraj znowu zabił. Czytałam w gazecie.

– Nie mają pewności, czy to był Dusiciel – zastrzegła się Ellie.

– Mniejsza z tym. – Lorraine z marsem na czole zajrzała do kubka. – Ten facet też musi nas nienawidzić.

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

– To on. Nie mógł poczekać... A my przecież mamy prawo się bronić, prawda? Prawo i obowiązek.

– Tak mi się wydaje.

Ellie wstała.

– Nie zapraszaj go, już kończę. – Lorraine dopiła kawę. – Uważaj, jego widok jest wstrząsający. Oby nie zaszkodził twojemu dziecku. Facet zdziwaczał. Wiesz, jakie ma plany na wakacje? Wybiera się na wycieczkę mikrobusem po Arabii Saudyjskiej! Podejrzewam, że

ich oszukał; nakłamał im, że ma trzydzieści lat. Dzieciaki mało się pod ziemię nie zapadły ze wstydu. Kurczę, sama chętnie bym się zapadła!

Ellie otworzyła drzwi.

Mark Wildgoose stał oparty o framugę i nawet nie próbował się wyprostować. Miał pociągłą, śniadą, ruchliwą twarz, która od biedy mogła ujść za twarz rozpustnego trzydziestolatka. Napis na koszulce brzmiał „Jestem najlepszy!”, ale samą koszulkę wypadałoby już przeprać. Śmierdział potem.

– Dzieci są wkurzone – powiedział, spoglądając ponad ramieniem Ellie. – Ja też. Cholera by cię wzięła, cały dzień zamierzasz tu siedzieć?

– A nie mówiłam? – powiedziała Lorraine. – Facet tak się wyraża, a oni pozwalają mu uczyć angielskiego i teatru w szkole średniej! W Bishop Crump. Kiedyś był moim mężem. Niewykluczone, że zna twojego męża.

– Witam – powiedziała Ellie Pascoe, udając, że Lorraine ich sobie przedstawia. – Jestem Ellie Pascoe.

– Miło mi. Przepraszam, nie chciałem być nieuprzejmy, ale powiedziała, że wpadnie tylko na chwilę, a dzieciakom jest naprawdę strasznie gorąco. A co do pani męża... Pascoe? Pracuje w wydziale szkolnictwa?

– W policji – poprawiła go Lorraine. – Całkiem możliwe, że cię przesłuchiwał. Po zabójstwie tamtej kobiety, pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam, ale nie wiem, jak tamten gość się nazywał. Jedziemy czy nie?

Mark był wyraźnie poirytowany, ale nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, żeby nienawidził żony – nawet jeśli w tej chwili byłby gotów wycisnąć jej połówkę grejpfruta na twarzy, gdyby akurat miał grejpfruta na podorędziu.

– Już idę – odparła Lorraine znużonym tonem. – Dzięki za kawę, Ellie.

– Kawę?! – Mark wzruszył teatralnie ramionami i poszedł do samochodu.

Jego żona zwlekała z wyjściem.

Chce, żebym ją wypytała, domyśliła się Ellie.

– O której kobiecie mówiłaś?

– Zapomniałam nazwisko. O tej, którą znaleźli w szopie na działce. Rozmawiali wtedy ze wszystkimi dzierżawcami działek.

– Twój mąż... ? – zdziwiła się Ellie.

– Tak, tak... W zeszłym roku idea samowystarczalności uderzyła mu do głowy. Chciał sam uprawiać swoje jarzyny. Nie zgodziłam się, żeby zrył nam trawnik, więc zgłosił zapotrzebowanie na działkę rolną. Ale ja wiedziałam, że to słomiany zapal. Teraz już prawie

tam nie jeździ.

– Dlaczego mi o tym mówisz, Lorraine?

– O czym? Tak sobie gadam. Mam taki zamęt w życiu, że rzadko ostatnio w ogóle wiem, co robię. Dlatego tak się ucieszyłam, że weźmiesz tę robotę i mnie odciążysz. Daj znać, gdyby coś było niejasne.

– To bardzo prawdopodobne.

– W porządku.

Zatrąbił klakson: raz krótko, dwa razy długo.

– *Quil est triste, le son du cor, au fond du bois* – powiedziała Lorraine. – Ta Brenda Sorby... Chodziła do Bishop Crump, wiesz?

Mark uruchomił silnik i głośno dodał gazu.

– *Ciao* – rzuciła Lorraine. – Pamiętaj, w razie kłopotów, dzwoń.

– Nie zapomnę – obiecała Ellie. – Na pewno.

Wróciła na sofę, ale długo nie mogła się zmusić, żeby znów sięgnąć po książkę.

Rozdział 9

Sierżant Wield odbył kolejną niesatysfakcjonującą zasiadówkę z Dave'em Lee, który upierał się przy swojej bajeczce o tym, jak to pojechali z Rosettą Stanhope na północ, żeby odwiedzić przyjaciół i „trochę się rozerwać”. Kiedy Wield zaczął się dopytywać o szczegóły, Lee odparł wymijająco:

– Gdzieś w Teesdale, niedaleko Barnard Castle.

I dodał, że ponieważ „przyjaciele” cały czas wędrują, nie umie powiedzieć, gdzie są w tej chwili. Od tego momentu swoją wypowiedź uzupełniał już tylko piętrzącymi się przekleństwami, które miały wyrażać jego narastającą irytację.

Równie wymijająco i obelżywie wypowiadał się na temat swoich przedpołudniowych poczynąń. Nie pamiętał, o której godzinie ostatni raz widział Pauline:

– Wcześniej. Koło dziewiątej.

Nie pamiętał też, o czym rozmawiali:

– Drugi gliniarz, ten przystojniak, dopiero co sobie poszedł, więc może o nim.

Ani kiedy dokładnie wyjechał z lunaparku:

– W porze obiadu, mniej więcej.

Upierał się jednak przy piwku w „Cheshire Cheese” i przy tym, że do obozu na lotnisku dotarł najpóźniej kwadrans po pierwszej, co wszyscy tam obecni mogą potwierdzić.

Wield w to nie wątpił, ale zwrócił się do kierownika „Cheshire Cheese” z prośbą o mniej stronnicze potwierdzenie rozkładu zajęć Lee. Wally Furniss był kragłym, rumianym mężczyzną, który – gdyby został aktorem – zarobiłby duże pieniądze na graniu ról jowialnych angielskich dżentelmenów w dramatach kostiumowych. Zamiast tego zarabiał mniejsze pieniądze, odgrywając taką samą rolę w prawdziwym życiu. Wyglądało na to, że jest za pan brat ze śmiercią. Niedawno owdowiał, co tylko przysporzyło mu rumieńców i jowialności, a tragiczny los znalezionej za jego pubem Mary Dinwoodie wciąż napędzał mu klientów, co jeszcze bardziej poprawiło mu humor.

Sierżant – przyzwyczajony do tego, że właściciele knajp to najczęściej obrazalskie gbury lub obrzydliwi pochlebcy – mile się zdziwił, gdy Furniss powitał go ze szczerą sympatią i postawił mu dużą wódkę z tonikiem.

– Pamiętał pan – powiedział Wield.

Brzmiało to może nie za mądrze, ale Furniss się rozpromienił i postukał palcem w skroń.

– Taki zawód.

Pamięć nie zawiodła go również, gdy Wield zapytał o Lee.

– Ten Cygan? Dwadzieścia pięć po dwunastej. Kufel ciemnego i pasztecik. Poskarżył się, że pasztecik jest nieświeży, no to go zapytałem, skąd ta pewność, i zjadł. Owszem, wpadają do nas czasem, kiedy obozują na lotnisku. To blisko, po drugiej stronie obwodnicy. Nie, nie przeszkadzają mi, dopóki siedzą w sali barowej. A zwykle siedzą.

– Czy któryś z nich był tutaj w noc śmierci pani Dinwoodie?

Furniss wyduł wargi.

– Tak na pewno to nie wiem, dlatego nie powiedziałem. Bo przecież bym powiedział, nie?

Wield musiał się z nim zgodzić.

– Ale kręcili się w pobliżu – dodał Furniss. – Pamiętam, jak niedługo przedtem mówiłem, że w tym roku zjechali się wcześniej. Zwykle zaczynają się zbierać dopiero tydzień przed jarmarkiem. Pewnie mieli pecha i ktoś ich wykopał przed czasem z poprzedniego taboru.

– To ciekawe. A ten Dave Lee, o którego pytałem... Też przyjechał wcześniej?

– Nie jestem pewien – przyznał smętnie Furniss. – A co, myśli pan, że są zamieszani w sprawę tego Dusiciela?

– Ja tylko pytam. Byłoby dobrze, żeby ta rozmowa została między nami.

– Słowa nikomu nie pisnę – zapewnił go Furniss z szerokim uśmiechem, który przeczył jego słowom.

– Ale jest pan pewny, że kręcili się w pobliżu przed śmiercią pani Dinwoodie?

– Owszem. Proszę spytać w aeroklubie, powiedzą panu dokładnie. Tam ich pilnują; nie dość, że mają sporo cennego sprzętu, to jeszcze przecież jest bar. Kiedy ja tu jakiegoś zdybię, zaraz każę mu zmiatać. Klient to klient, ale lepkich łap nie toleruję. Jeszcze raz to samo, sierzancie?

Wield pokręcił głową i odstawił kieliszek.

– Robota czeka. Ale dziękuję.

– Proszę wpaść, jak będzie pan w pobliżu. Niech pan jedzie ostrożnie.

Właściciel odprowadził sierzanta do wyjścia i wyszedł z nim na dwór, w oślepiający blask dnia. Po powrocie do cienistej sali barowej zwrócił się do kelnerki przeliczającej butelkowane piwo:

– Przekłęci gliniarze. Gdyby im pozwolić, opiliby człowieka do zera! Miej oko na Cyganów, Elsie, gdyby się tu któryś napatoczył. Gliny myślą, że mogą mieć coś wspólnego

ze śmiercią tej zdziiry Dinwoodie.

Wield wybrał okrężną drogę powrotną do centrum. Stare lotnisko znajdowało się zaledwie pół mili od pubu, wystarczyło przeciąć obwodnicę. Miało w przybliżeniu prostokątny kształt, który z jednej strony ograniczała rzeka i niezabudowany teren podmiejski, a z pozostałych obwodnica, Avro Industrial Estate i podmiejska dzielnica Millhill. Podczas wojny, kiedy co noc startowały stąd wellingtony i lancastery, lotnisko znajdowało się daleko poza granicami miasta – choć i tak zbyt blisko, zdaniem wszystkich tych, którzy niepatriotycznie woleliby nie mieszać się do wojny. Z czasem jednak miasto rozlało się szerzej, tereny fabryczne i mieszkalne wgrzyły się w łądownisko, a na posiedzeniach rady miejskiej coraz głośniejsze i odważniejsze zaczęto się dopominać o udostępnienie tak cennego skrawka gruntu wszystkim mieszkańcom. Dzierżawa aeroklubu wygasła za trzy lata i Wield spodziewał się, że w obliczu kryzysu finansowego, w jakim znalazły się miejscowe władze, spekulanci nieruchomościami będą mieli używanie.

Jemu samemu ten konflikt był całkowicie obojętny, podobnie jak niedawna scysja budowniczych autostrady z największym klubem golfowym w mieście. Wyobrażenia o rozrywce miał sierzant egzotyczne, i to pod każdym względem. Dżudo, kung-fu, karate... Jego zamiłowanie do tych sztuk walki spotkało się z oficjalną aprobatą zwierzchników; każdy dobry policjant powinien umieć zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Każdy dobry policjant powinien także umieć kojarzyć fakty. Że też Lee musiał podjechać akurat do „Cheshire Cheese”... Czy to na pewno przypadek?

Zjechał na pobocze i zatrzymał się. Z tego miejsca widział cały obszar lotniska. Jaskrawopomarańczowy rękaw wiatrowskazu zwisał bezwładnie ze słupa.

Wyjął plan miasta i okolic, obejrzał go dokładnie i zakreślił kółkami „Cheshire Cheese”, Charter Park i działkę przy Pump Street. Narysował też krzyżyk w północno-wschodnim narożniku lotniska, gdzie znajdował się cygański tabor. Miejsce obozowiska niczym się nie wyróżniało, może poza stosunkowo niedużą odległością od pubu.

Kwadratami zaznaczył miejsca zamieszkania zamordowanych kobiet. Też nic z tego – były rozrzucone daleko od siebie. I tylko June McCarthy zginęła blisko domu.

Zmarszczył brwi. Jeszcze trochę takiej zabawy i skończą mu się figury geometryczne. Trójkątami zaznaczył miejsca pracy ofiar.

Od razu lepiej. To właśnie było to, co nie dawało mu spokoju.

Dwa trójkąty – fabryka McCarthy i bank Sorby – znajdowały się dość blisko lotniska: ta pierwsza na terenie Avro Industrial Estate, ten drugi w Millhill. Centrum ogrodnicze pani Dinwoodie leżało kilkanaście mil za miastem, a miejscem pracy Pauline Stanhope

(przynajmniej z punktu widzenia tego śledztwa) był Charter Park. Czyli dwa celne strzały na cztery. Pięćdziesiąt procent. To już mogło być znaczące.

Tylko, że Cyganie nie słyną z tego, że szukają pracy w fabrykach albo korzystają z banków, pomyślał niewesoło Wield.

Włączył silnik i w tej samej chwili centrala wywołała go przez radio. Zgłosił się i dowiedział, że ma się jak najszybciej skontaktować z komisarzem Pascoe.

Sto metrów dalej stała budka telefoniczna.

– Gdzie pan się podziewa, sierżancie?

Wield wyjaśnił, co robi, a także streścił pokrótce rozmowę z Furnissem i swoje późniejsze rozważania natury geograficznej.

– To może coś oznaczać... – powiedział z powątpiewaniem Pascoe. – Pomyślę nad tym. A na razie proszę w drodze powrotnej zahaczyć o Wheatsheaf Garage. Na pewno słyszał pan o zaginięciu Tommy’ego Maggsa. Wczoraj nie wrócił na noc do domu, a dziś od rana nie ma go w pracy. Może ktoś naprowadzi nas na jakiś trop... Zwłaszcza ten kumpel Tommy’ego, Ludlam. Proszę go mieć na oku. Jeżeli kryje Maggsa, będzie się wił jak piskorz. Zna pan Ludlama, prawda?

– Oj, znam, znam... – przytaknął ponuro Wield.

Ludlam – podobnie jak Maggs – też miał w młodości kłopoty z policją, tyle, że nieco poważniejsze: kradzieże sklepowe, włamanie do automatu w budce telefonicznej, kradzież samochodu, jazda bez uprawnień. Odkąd zmarła mu matka (miał wtedy siedemnaście lat), mieszkał u swojej zamężnej siostry Janey, której jego towarzystwo bardzo się przydało szczególnie dwa lata temu, kiedy jej mąż, Frankie Pickersgill, poszedł siedzieć za współudział w napadzie na monopolowy. Frankie był ostrożny, cwany i nigdy wcześniej nie dał się złapać, policja wpadła więc w zachwyt, gdy go w końcu dopadła, a potem przeżyła gorzkie rozczarowanie, gdy wcześniejsza niekaralność złagodziła mu wyrok.

Mało kto wiedział (z pewnością nie wiedzieli ani Frankie, ani jego żona), że kilka dni przed jego aresztowaniem Ron Ludlam został przyłapany na próbie sprzedaży w pubach jakiejś taniej szkockiej, i po dwóch godzinach sam na sam z Dalzielem zgodził się na pełną współpracę w zamian za gwarancję anonimowości.

Zwykle w porównaniu z obietnicami Dalziela nawet bańka spekulacyjna Kompanii Mórz Południowych wydawała się lita i solidna, ale tym razem udało się zebrać dość dowodów, żeby Ron nie musiał wystąpić w roli świadka.

– Z drugiej strony, jeżeli coś wie o Tommym, wystarczy go trochę nacisnąć i pęknie – ciągnął Pascoe. – Możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Przez to, że taka masa

naszych ludzi jest zaangażowana w sprawę Dusiciela, Headingley sobie nie radzi. W tej chwili głowi się nad listą potencjalnych sprawców włamania do magazynu Spinksa. Oczywiście jest na niej Frankie Pickersgill. Wyszedł na wolność trzy miesiące temu, możliwe, że cienko przedzie... Chociaż taki włam to nie w jego stylu. Zresztą nieważne: Frankie twierdzi, że siedział wtedy w domu z żoną i szwagrem i oglądał telewizję.

– A my wiemy, że wpół do dziewiątej Ron był w „Bay Tree” – wtrącił Wiel.

– Interesuje nas, co robił później, po dziesiątej. Mimo to alibi jest słabiutkie: Janey i Ron... Headingley wprawdzie nie bierze Frankiego poważnie pod uwagę, ale chyba warto leciutko przycisnąć Rona i w tej sprawie, tak przy okazji, gdy go pan zagadnie o Tommy’ego.

– W porządku.

Dotarłszy do Wheatsheaf Garage, chwilę pokręcił się po warsztacie, zagadując przypadkowych pracowników, aż uzyskał potwierdzenie dotychczasowych informacji.

Poprzedniego dnia Tommy normalnie przyszedł rano do pracy. Był trochę nie w sosie, ale w tej sytuacji nikogo to nie zdziwiło. A w południe umył się, wsiadł do samochodu i gdzieś pojechał.

Wiel znalazł Ludlama pólżającego na przednim fotelu austina princess i grzebiącego pod deską rozdzielczą. Dosiadł się na fotel pasażera.

– Piękny wóz – powiedział.

– Myśli pan? Ja tam bym wolał coś z większym kopem.

Ludlam miał około dwudziestu lat, młodzieńczą twarz, sięgające do ramion wypielęgowane blond włosy, szeroko rozstawione niebieskie oczy i mocne zęby. Na policzku był ubrudzony smarem. Przyjemnie się na niego patrzyło, chociaż Wiel nie dał tego po sobie poznać. Miał ochotę wytrzeć mu tę plamę z policzka, ale z łatwością powstrzymał ten odruch.

– Nadal mieszkasz u siostry?

– Owszem.

– Frankie wyszedł, prawda?

– Ano wyszedł. Jest teraz kierowcą. Skrócili mu wyrok, odsiedział tylko szesnaście miesięcy.

– To mało? Jemu się pewnie ten czas dłużył. Jesteście dobrymi kumplami?

Ludlam wygramolił się tyłem z samochodu i usiadł normalnie za kierownicą.

– W miarę. Czemu nie?

– Ja tam miałbym pewien pomysł, Ron... Frankie niczego się nie domyślił? To

dobrze. Ale ty pewnie czujesz, że jesteś mu coś winien, nie? Nawet jeśli dla ciebie to było tylko szesnaście miesięcy, to na pewno coś takiego w tobie siedzi. Że jesteś mu winien przysługę. Swojej siostrze też. Zresztą u Janey to chyba w ogóle masz niezły dług, co?

– Jak to?

– Co robiłeś w tę noc, kiedy zginęła Brenda?

– Nic, wcześniej wróciłem do domu. A potem oglądaliśmy telewizję, we trójkę, z Janey i Frankiem.

– Wyszedłeś z „Bay Tree Inn”, nie poszedłeś na dyskotekę, nie poderwałeś żadnej panny, tylko wróciłeś prosto do domu, żeby tam spokojnie przesiedzieć wieczór, tak? To nie w twoim stylu.

– Taką miałem akurat ochotę – upierał się wzburzony Ludlam.

– Coś ci powiem, synu. Będziemy przesłuchiwać ludzi z „Bay Tree”. Jeśli tylko któryś piśnie choć słówko o tym, że dupczyłeś jakąś niunię gdzieś w ciemnym zaułku, zamiast, jak twierdzisz, siedzieć w domu, będziesz miał poważne kłopoty. Dobrze znałeś Brendę, prawda?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła Ludlana.

– No tak...

– Bywała u ciebie?

– Tak, ale zawsze z Tommym. No i Janey była z nami.

– Ale podobała ci się? Z łóżka byś jej nie wyrzucił?

– Co pan wygaduje?! Była panną Tommy’ego. Tylko się przyjaźniliśmy!

– Przyjaźniliście się... Czyli, gdybyś się wybrał na przejażdżkę i zobaczył ją idącą pieszo, zatrzymałbyś się i zaproponował podwózkę?

– Tak. To znaczy, nie. To znaczy, nie mógłbym, bo cały wieczór przesiedziałem w domu, już mówiłem. Poza tym, ja w ogóle nie mam żadnej bryki!

Wield wyszczerzył zęby w szyderym uśmiechu (Pascoe nazwał go kiedyś „uśmiechem Ozymandiasa”) i szerokim gestem ogarnął warsztat, w którym stało pełno samochodów.

– Martwimy się o Tommy’ego – wyjaśnił niespodziewanie. – Jego mama twierdzi, że to do niego niepodobne, tak zniknąć.

– Ja też się martwię.

Słowa Ludlana zabrzmiały szczerze, chociaż Wield wcale nie był pewien, czy chodzi mu tylko o zniknięcie kumpla.

– Więc, jeżeli coś wiesz, to lepiej nam powiedz. Śmierć Brendy kompletnie go

rozwalila, nie powinien teraz być sam.

– Nie zrobiłby czegoś takiego.

– Czego?

– Nie zrobiłby sobie krzywdy.

– Cieszę się, że tak mówisz, bo na pewno znasz się na rzeczy. Jesteście przecież kumplami. Jak wyglądał wczoraj rano?

– Był taki jakby... cichy. Przyszedł i po prostu zabrał się do pracy. Szef mu powiedział, że może sobie wziąć wolne, ale on chyba wolał mieć jakieś zajęcie. Kiedy nie wrócił po obiedzie, pomyśleliśmy, że po prostu trzyma szefa za słowo.

– Zwykle jadacie razem?

– Często chodzimy na zapiekankę do „Wheatsheaf”, po drugiej stronie ulicy. Ale on w południe po prostu się zwinął i zniknął.

Wield wysiadł z wozu, obszedł go dookoła i stanął przy drzwiach kierowcy.

– Jeśli coś usłyszysz, daj znam znać, Ron. Albo jeśli coś ci się przypomni. Dobrze?

– Pewnie. Odezwę się.

Ludlam nie umiał zamaskować ulgi, jaka odmalowała się na jego chłopięcej twarzy. Aż żał było psuć tak piękny widok, ale Wield zdawał sobie sprawę, że w swoim fachu musi raczej grozić, a nie pocieszać.

– Nie zapomnij, Ron. – Pochylił się nad chłopakiem. – Pomogliśmy ci kiedyś i nadal masz u nas dług. A my lubimy, jak w księgach się wszystko bilansuje. W taki czy inny sposób.

Niepokój jednym uderzeniem postarzył Ludlama o pięć lat.

I tak ma chłopak szczęście, pomyślał Wield, wychodząc z warsztatu. Na takiej buzi nawet biegnący szybko czas nie odcisnie łatwo śladów swoich podkutych buciorów.

Cały czas coś go dręczyło. Pascoe na pewno doceniłby dyskretny sposób prowadzenia przesłuchania, Dalzielowi spodobałyby się groźby, ale sierżant nie był z siebie zadowolony. Spojrzał na zegarek; ciekawe, czy uda mu się dziś wyrwać na tyle wcześnie, żeby wieczorem podjechać jeszcze do Newcastle. Jego przyjaciel miał urodziny i Wield obiecał mu, że wpadnie, ale wiedział też, że w policji nawet najszczersze przysięgi spalają się jak papier w ogniu obowiązków. Zajrzał do notesu: jeszcze tylko wizyta u pani Sorby i na dzisiaj powinien być koniec. Oby.

Ostatecznie wszyscy wyszli tego dnia wcześniej. Nic się nie działo, śledztwo utknęło w martwym punkcie i Dalziel, który zwykle nie miał żadnych oporów przed ściąganiem ludzi z urlopu w środku nocy, jeśli była taka potrzeba, powiedział:

– Kończymy. Spadać stąd, wszyscy. Odpocznijcie trochę, dopóki można.

Wield pognął drogą A1 z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, Dalziel otworzył butelkę glen granta i z ponurą miną zasiadł do czytania raportów i zeznań, które do tej pory ignorował, a Pascoe wrócił do domu, żeby spędzić spokojny, nie-policyjny wieczór – i zastał żonę do głębi przejętą morderstwem.

– Ona mi prawie wprost powiedziała, że to on! – rzuciła podekscytowana. – Naprawdę, Peter, niewiele brakowało, żeby wypaliła: „Szukacie Dusiciela? Siedzi z dziećmiakami w samochodzie!”.

– Wildgoose... – mruknął Peter. – Brzmi znajomo. Sierżant Brady przesłuchiwał wtedy wszystkich dzierżawców działek. To była czysta formalność, chcieliśmy sprawdzić, czy nie kręcił się tam ktoś obcy.

– On jest nauczycielem – dodała Ellie triumfalnym tonem. – Angielskiego i teatru!

– Co z tego?

– *Hamlet!*

– No tak, rozumiem, ale sama przyznasz, że to najświetniejszy angielski dramat. Nawet Andy Dalziel o nim słyszał.

– Na dodatek zdziwaczał.

– Kto, Dalziel?

– Nie, cymbale. Mark Wildgoose. Lorraine mówi, że ją znienawidził. Boi się go.

– Mnie to ona wydaje się dziwna. – Pascoe odchrząknął i wziął do ręki „Radio Times”. – Patrz, będzie dzisiaj *Człowiek, który zabił Liberty Valance’a*. Byliśmy chyba na tym w kinie, w odległych studenckich czasach?

– Tak? Czasem zapominam, że byliśmy kiedyś młodzi.

– A teraz niby jacy jesteście?

– Ty na pewno wykazujesz objawy starzenia się. Na przykład głuchotę. Cały czas mówię ci o Marku Wildgoosie. Jedź minibusem do Arabii Saudyjskiej. Nosi koszulkę z napisem „Jestem najlepszy”. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio się kąpał.

– Na litość boską, kochanie ty moje, co ci się tam w brzuchu zaległo? Toryskie bliźnięta?

– A to co ma znaczyć?

– Ni stąd, ni zowąd zaczynasz mówić jak konserwatywna większość w parlamencie.

– Bardzo śmieszne. A co powiesz na to: wiesz, do której szkoły chodziła Brenda Sorby?

– Ta od pterodaktyli? Przepraszam! Nie, nie wiem.

- Do Bishop Crump! – Ellie znów triumfowała. – Tam właśnie uczy Wildgoose.
- Ją też uczył?
- Nie wiem... Ale dlaczego nie?
- Tam są ponad dwa tysiące dzieci. Te szkoły są tak gigantyczne, że niektórzy uczniowie nie znają nawet kierownika!
- Dyrektora.
- Słucham?
- Dyrektora szkoły, nie kierownika.
- No tak, przepraszam. Dyrektora. Rano podjadę do Thelmy i w ramach pokuty dam sobie przeborować wszystkie zęby bez znieczulenia.
- Kurczę, naprawdę musisz mnie traktować tak protekcyjnie?!
- Wybuch Ellie kompletnie zaskoczył Pascoe.
- Zapadła cisza.
- Przepraszam – powiedział w końcu. – Myślałem, że jestem po prostu sarkastyczny.
- A ja myślałam, że jestem pomocna.
- Jesteś. Obiecuję, że się tym zajmę. Po prostu staram się nie przynosić pracy do domu, zwłaszcza przy tej sprawie...
- Mówisz o mordercy kobiet! To jest właśnie ta sprawa, na której rozwikłaniu najbardziej mi zależy.
- Nie tobie jednej. Ale wracając do tego, jak mi pomagasz, odezwałem się do tych lingwistów, których mi poleciłaś: Urquharta i Gladmanna. Jestem z nimi umówiony na jutro.
- Z oboma naraz? Spodobają ci się. Robią wszystko, żeby przypadkiem nie zgodzić się ze sobą nawzajem.
- Prawdziwa miłość pokona wszelkie przeszkody – odparł sentencjonalnie Pascoe. – Czego najlepszym przykładem jesteśmy my dwoje.
- To prawda. Można tak na to spojrzeć.

Rozdział 10

Dalziel hołdował zasadzie, że odprawy powinny być możliwie jak najkrótsze. Tym razem jednak, po przedstawieniu nowych faktów i rozdzieleniu zadań przysłuchiwał się przez chwilę swobodnie rzucanym pomysłem, drapiąc się po tych częściach obfitego ciała, które akurat wydały się atrakcyjne jego wędrującym palcom. Koniec drapania, koniec gadania.

Główna piątkowa nowina była taka, że należący do Tommy'ego Maggsa mini – z wymontowanym korbowodem – został znaleziony na parkingu przy autostradzie M1, przy Watford Gap, na południe od miasta.

– Prawdopodobnie dalej pojechał okazją – powiedział Dalziel. – Złapał jakąś ciężarówkę i teraz jest pewnie w Londynie. Sprawdzamy, czy ktoś go widział w Watford Gap. Musimy popytać rodzinę o kontakty w Londynie: krewni, znajomi... Jak zwykle.

Pascoe zanotował słowa podinspektora. Na tym polegało jego zadanie: miał wszystko notować. Dzięki temu – zdaniem Dalziela – jego wyższe wykształcenie do czegoś się przydawało.

Odprawa trwała. Dalziel kpił teraz z lingwistów.

– Mamy nagrane cztery rozmowy telefoniczne. Nie wiemy, czy któryś z dzwoniących jest Dusicielem, więc nawet znajomość konkretnej ulicy w Zadupiu Górnym, przy której mieszka taki żartowniś, niewiele nam da. – Przerwa na przypochlebny wybuch śmiechu ze strony słuchaczy. – Ale musielibyśmy być głupi, żeby nie skorzystać z pomocy specjalistów. Poprosiłem też o opinię doktora Pottle'a z oddziału psychiatrycznego głównego szpitala miejskiego. Dostał wszystkie informacje, którymi dysponujemy; panie Pascoe, proszę dopilnować, żeby dostarczono mu kopie nagrań.

Pascoe zanotował także to polecenie, starannie ukrywając swoje zaskoczenie. Znał Pottle'a, spotkali się przy okazji jednej ze spraw: niski, drażliwy, odpalający papierosa od papierosa jegomość z poszarpanym wąsem a la Einstein. Dalziel nie spodziewał się wiele po psychologii, a w dodatku darzył Pottle'a nieufnością typową dla olbrzymów w kontaktach z ludźmi mniejszymi od siebie. Jak to powtarzał: „Czegoś im brakuje”.

Pottle... Czyli działamy pod presją.

Sekcja zwłok Pauline Stanhope pozwoliła określić czas zgonu na pomiędzy jedenastą trzydzieści a trzynastą trzydzieści, chociaż panujący w zamkniętym namiocie upał trochę skomplikował sprawę. Przyczyną śmierci było uduszenie przez kogoś, kto użył do tego obu

rąk. Zasinienie na brzuchu było najprawdopodobniej spowodowane silnym ciosem, który miał uciszyć ofiarę i uniemożliwić jej stawianie oporu. Nie było żadnych śladów przestępstwa na tle seksualnym. Dokądkolwiek wybierała się Pauline przed południem, kiedy Ena Cooper widziała ją wychodzącą z namiotu, z pewnością nie poszła na obiad: w jej żołądku znaleziono wyłącznie resztki lekkiego śniadania.

Koordinatorem przesłuchań właścicieli kramów i gości lunaparku był sierżant Bob Brady – małomówny, wiecznie żujący gumę człowieczek, który na Peterze zawsze sprawiał wrażenie lepiej poinformowanego, niż był w rzeczywistości. Miał jednak reputację człowieka metodycznego, a wcześniej zajmował się już zbieraniem zeznań od dzierżawców działek po zabójstwie June McCarthy.

W sprawie morderstwa panny Stanhope metodyczność Brady'ego przyniosła na razie następujące efekty: w interesującym ich czasie nikt nie widział niczego ani nikogo niezwykłego, a pani Cooper była ostatnią osobą, która widziała Pauline Stanhope żywą.

– Trochę podobnie jak z tą Sorby – zauważył ktoś.

– Mogła wrócić z kimś. Albo ktoś zakradł się do namiotu pod jej nieobecność i zaczekał na nią w środku – dodał Brady. Jak na jego standardy, była to dość długa wypowiedź.

– To znaczy, że on niepostrzeżenie wszedł do środka, potem ona niepostrzeżenie wróciła, a na koniec on się niepostrzeżenie wymknął – powiedział Dalziel.

– Dlaczego w ogóle ją zabił? – zdziwił się Wield.

– A dlaczego zabił te poprzednie?

– Wiem, panie inspektorze, wiem... Ale tutaj pierwszy raz jest jakiś związek.

– Mówi pan o jej ciotce? Sprawdził pan, czy dziewczyny nigdy się nie spotkały?

– Tak, panie inspektorze. Rozmawiałem z panią Sorby. Powiedziała, że zawsze to ona odwiedzała panią Rosettę Stanhope, nigdy odwrotnie. Ze względu na męża. Dopiero przy tej ostatniej sesji wyszło inaczej, a i to tylko dlatego, że pani Stanhope nalegała. Koniecznie chciała wczuć się w atmosferę.

– Brenda nigdy nie towarzyszyła matce.

– Nie, te sprawy jej nie interesowały. To była pragmatyczna, twardo stąpająca po ziemi dziewczyna. Wdała się raczej w ojca niż w matkę.

– Sierżancie Brady? – odezwał się Pascoe, gdy stało się oczywiste, że temat się wyczerpał. – Moglibyśmy się *cofnąć* do sprawy June McCarthy? Przesłuchiwał pan wtedy dzierżawcę działki nazwiskiem Wildgoose. Mark Wildgoose.

– Tak, pamiętam go.

– Czy coś zwróciło pańską uwagę?

– Jeśli tak, to napisałem o tym w raporcie.

– Raport niczym się nie różni od pozostałych – odparł Pascoe, po czym dodał, żeby nie wyjść na krytykanta: – Co oczywiście nie dziwi. Chociaż... Właściwie jest chyba bardziej skąpy niż pozostałe. Wildgoose pracował na działce raz, najwyżej dwa razy w tygodniu, nie więcej. Nie znał McCarthy i nigdy nie widział tam nikogo podejrzanego.

– Czyli tak samo jak większość – zgodził się z nim Brady. – Wcześniej mogli się najwyżej poskarżyć, że ktoś im ukradł pęczek marchwi.

– Dwie osoby kojarzyły June McCarthy z tych dni, kiedy pracowała na pierwszą zmianę – ciągnął Pascoe. – Jedną z nich był Dennis Ribble, u którego w szopie znaleziono ciało.

– To prawda, ale Ribble i ten drugi gość są dobrze po osiemdziesiątce. Nawet gdyby się zmówili, gołębia nie daliby rady udusić.

Brady'emu odpowiedział wybuch śmiechu.

– Skąd to nagle zainteresowanie Wildgoose'em? – zaciekał się Dalziel. – Coś pan wie?

– Tak. Że jest dziwny. Może być niebezpieczny. Uczy angielskiego i teatru w szkole Bishop Crump, a tak się składa, że właśnie do tej szkoły chodziła Brenda Sorby.

– Aha. Wspomina pan o tym w swoim raporcie, sierzancie?

Brady pokręcił głową.

– Nie – odparł z lakoniczną pewnością siebie, typową dla człowieka, który nie czuje się winny.

– Skąd to wiesz, Peter?

– Mam swoje źródła – odparł skępowany Pascoe.

Mógł powiedzieć Dalzielowi prawdę, ale na osobności.

Nie chciał przy wszystkich przyprawiać Ellie gęby kapusia.

– Nieprzychylnie?

– To możliwe. Ale także wiarygodne.

– Aha. Sierzancie Brady?

– Tak, panie inspektorze?

– Niech pan nie będzie taki nieśmiały, proszę nam coś o nim powiedzieć. Z nas wszystkich tylko pan poznał go osobiście.

Brady odpalił papierosa od tego, który właśnie mu się dopalał.

– Mieszka przy Wordsworth Drive, pół mili od Pump Road. Ma domek, który

nazywa się Belle Vue.

– Z ogródkiem? – spytał Dalziel.

– Trawa, róże, grządki kwiatowe. Żadnych warzyw. Raczej rekreacyjne uprawy.

– Rozmawialiście u niego w domu? – wtrącił Pascoe.

– Tak.

Dalziel spojrzał pytająco na Pascoe.

– Słyszałem, że są z żoną w separacji – wyjaśnił Pascoe. – Mieszkają osobno.

– Wtedy była w domu. Chociaż kiedy się przedstawiłem, szybko zabrała dzieci.

– A sama jak na pana zareagowała?

Brady uniósł pytająco brwi.

– Była wstrząśnięta? Zmartwiona? Oburzona? Zaciekawiona?

– Niewiele było po niej widać. Zaprowadziła mnie do pokoju, gdzie siedział ojciec z dziećmi, powiedziała „Policja do ciebie. Dzieci, chodźcie” i tyle. Więcej jej nie widziałem.

Pascoe i Dalziel spojrzeli po sobie.

– Może po prostu wpadła go odwiedzić – powiedział Pascoe. – A sam Wildgoose?

– Zwyczajny facet. Normalnie odpowiadał na pytania, nic szczególnego.

– Jakież pomysły? – spytał Dalziel Pascoe.

– Chyba warto by było sprawdzić, kiedy June McCarthy ostatni raz miała pierwszą zmianę, i popytać, czy ktoś widział, żeby, przechodząc koło działek, rozmawiała z Wildgoose'em.

– Po co miałby ją zagadywać?

– Musiał się skądś dowiedzieć, że za którymś razem będzie tamtędy wracać nad ranem.

– Słusznie. Przy okazji sprawdźcie, co robił, kiedy doszło do pozostałych morderstw.

Pascoe zanotował coś i powiedział:

– Tylko trzeba się z tym pośpieszyć, facet lada dzień ma jechać do Arabii Saudyjskiej.

– Rany boskie...

Odprawa trwała.

Wield zrelacjonował swoją wizytę w „Cheshire Cheese” i nieśmiało zasugerował, że bliskość taboru i trzech miejsc związanych z morderstwami może być nie bez znaczenia.

– Jedno miejsce zbrodni i dwa miejsca pracy... – podchwycił Dalziel. – To chyba niewiele, co?

Wield mruknął coś o wdowim groszu.

– Nie mieszajmy do tego religii – odparł Dalziel. – W porządku, popytamy o niedobrych Cyganów kręcących się wokół banku i fabryki. Ktoś ma jeszcze jakieś brzytwy, których moglibyśmy się chwycić? Nie? W takim razie powiem wam, co sobie myślę: coś nam w tej sprawie umyka. Mówię „tej sprawie”, a nie „tych sprawach”, bo takie są fakty i na tym właśnie polega nasz problem. Zbyt wielu z was zachowuje się tak, jakbyśmy prowadzili cztery niezależne dochodzenia. Nie ma czterech dochodzeń, jest jedno, i chcę, żebyście o tym pamiętali, kiedy będziecie zadawać pytania i przesłuchiwać świadków. To się nazywa „śledztwo”, a kiedy was słucham, mam wrażenie, że niektórzy z was nie wyśledziliby szczytno w pisuarze! Więc weźcie się do roboty. Zaczynamy od początku. Nowe fakty zawsze zmieniają poprzednie ustalenia; chcę, żebyście wzięli to pod uwagę. Zaczniemy od zera, ale z nowym nastawieniem, spojrzymy świeżym okiem, może wtedy coś znajdziemy. Macie wszyscy znać tę sprawę na wylot. Niektórym się wydaje, że w dochodzeniówce siedzi się na czterech literach i przez cały boży dzień sęczy piwko; jeśli tacy tu są, to czeka ich rozczarowanie. Do roboty, psiakrew!

Prawa ręka inspektora, która do tej pory buszowała za pazuchą jak zamknięta w worku fretka, nagle wyłoniła się na światło dzienne i otwartą dłońią chlasnęła w stół. Odprawa się skończyła.

– Sierzancie Wield! – zawołał Dalziel.

– Tak, panie inspektorze?

– Pana zdaniem Ludlam coś wie?

– Tak uważam, panie inspektorze. Nie wiem tylko, czy ma to związek z jego szwagrem, czy z Tommym.

– Rozmawiałem z Headingleyem. Też nie bardzo mu idzie, więc jeśli sądzi pan, że Ludlam coś ukrywa, musimy go przycisnąć. Proszę wpaść do Pickersgillów, trochę podkręcić atmosferę. Interesuje nas przede wszystkim Tommy Maggs, ale jeśli przy okazji znajdziemy coś na Frankiego Pickersgilla, też będzie dobrze.

– Biedaczek... – mruknął Wield.

– Dlaczego?

– Zamierzam przekonać Rona, żeby znów wyspał Frankiego, grożąc mu, że powiem Frankiemu, że już raz go zakapował!

To się Dalzielowi spodobało. Ryknął śmiechem.

– Jest taka możliwość, że razem zrobili skok na magazyn Spinksa? – zapytał, kiedy już opanował wybuch śmiechu.

– Wątpię. Frankie toleruje Rona tylko przez wzgląd na Janey i w gruncie rzeczy

uważa go za przygłupa. A wiemy, że z głupolami nie lubi się zadawać.

– To prawda. Headingley też tak twierdzi. No dobra, proszę zobaczyć, co się da zrobić, ale niech pan nie traci na to więcej czasu niż potrzeba. Druga sprawa: nie interesował się pan do tej pory bankiem, w którym pracowała Brenda Sorby, prawda?

– Byłem tam, ale to głównie pan Pascoe z nimi rozmawiał.

– Dobrze, sierżancie. Teraz do tego wróćcie. Proszę zdobyć zdjęcia wszystkich zamieszanych w tę sprawę, może koledzy Brendy z pracy kogoś rozpoznają. Peter, nie obrażaj się, ja mówiłem poważnie: potrzebujemy świeżego spojrzenia. Ty przejrzyj jeszcze raz wszystko, co mamy o pani Dinwoodie, bo na razie tylko ja się tym interesowałem.

– Panie inspektorze... – wtrącił Wiel.

– Jeszcze pan tu jest, sierżancie? Może powinien pan odpocząć? Prawdę mówiąc, jak tak na pana patrzę, wygląda pan na wykończonego. Niechże się pan spróbuje położyć o jakiejś ludzkiej porze.

– Tak się zastanawiam, panie inspektorze... Jak mocno mogę przycisnąć Rona Ludlama?

Dalziel zrobił zdziwioną minę.

– Błef jest dobry dla oszustów i szulerów – odparł. – Mam taką zasadę: nie groź czymś, czego naprawdę byś nie zrobił.

Wiel wyszedł, a Dalziel zwrócił się do Pascoe:

– Skąd ten pomysł z Wildgoose'em, Peter?

Pascoe mu powiedział. Dalziel pokiwał w zadumie głową.

– Jego żona, tak? Kobiety potrafią być wredne, kiedy związek się sypie. Tracą obiektywizm. – Westchnął ciężko. Żona zostawiła go dawno temu, a powody, dla których to zrobiła, w jego pamięci utrwaliły się w postaci histerycznych babskich urojeń. – Tak czy inaczej, trzeba drania sprawdzić. Idź z nim porozmawiaj.

– Brady nie byłby lepszy? Po tym, jak wczoraj Wildgoose usłyszał moje nazwisko, nabierze podejrzeń, kiedy tak szybko się pojawię.

– Jeżeli to jego szukamy, i tak będzie czujny jak diabli. Czego nie można powiedzieć o Bradym. Nie, Peter, ty pojedź. I nie martw się, że go spłoszysz, jeśli przy okazji uda ci się go tak zastraszyć, żeby chciał współpracować.

– To na pewno dobry pomysł? Może powinniśmy poczekać, aż doktor Pottle opracuje portret psychologiczny?

– Ten konował?! Chryste Panie, wolałbym już wziąć udział w seansie spirytystycznym Rosetty Stanhope. – Dalziel był wyraźnie zdegustowany. – Wciągnięcie go

w sprawę to pomysł naszego francowatego nadinspektora. Założę się, że ten palant sam jest najlepszym pacjentem Pottle'a.

Zadzwoił stojący na stole telefon. Dalziel odebrał.

– Tak?! – ryknął do słuchawki tak donośnie, jakby w ogóle nie potrzebował telefonu.

Przez chwilę słuchał, po czym odłożył słuchawkę.

– O wilku mowa... – mruknął. – Skurczybyk właśnie przyjechał.

– Pottle?

– Razem z tą dwójką językoznawców. Zajmij się nimi, Peter. Nie chcę ich widzieć.

Nie można dopuścić do tego, żeby ludzie z ulicy wchodzili do porządnego komisariatu i czuli się w nim jak w jakieś cholernej świetlicy.

– Gdzie pan będzie?! – zawołał Pascoe, gdy Dalziel skierował się do drzwi.

Grubas uśmiechnął się, odsłaniając brązowe zęby niczym nagrobki na zalanym księżycową poświatą cmentarzu.

– Będę nieuchwytny. Potwierdzę słowa czynem. W nocy było włamanie do baru w aeroklubie. Zginęło niewiele, dosłownie parę butelek, za to podejrzanych jest sporo: za płotem mają tam przecież całą bandę Cyganów! Ja jeszcze nikogo stamtąd nie znam, ale najwyraźniej sami pchają się na scenę. Mam dobry pretekst do odwiedzin.

Rozdział 11

Sierżant Wiel nie był tytanem intelektu; jedynymi książkami, jakie miał na własność, były dzieła zebrane H. Ridera Haggarda, które z zapalem czytał po wielokroć. Podpuszczalską umiał jednak rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Janey Pickersgill co rusz zakładała nogę na nogę – raz w jedną, raz w drugą stronę, przeciągając ten gest i odsłaniając coraz więcej uda. Jej spódnica miała modne wysokie rozcięcie, dzięki któremu Wiel zorientował się, że po dziesięciu latach dominacji rajstop pończochy wracają do łask. Ona zaś, widząc, że on patrzy, przeciągnęła się zmysłowo w fotelu i wygięła plecy w łuk, prężąc skromny biuścik.

Wiel ziewnął. Nie udawał zmęczenia: w nocy niewiele spał, dużo za to rozmawiali. Maurice był podenerwowany i niezbyt się ucieszył na jego widok. W rozmowie nie dotarli do sedna jego zmartwień i Wiel spodziewał się najgorszego.

Tak jak w tej chwili.

– Janey, jeżeli starasz się mnie zdekoncentrować, żebym zapomniał, że jestem w pracy, to osobie odpuść – powiedział uprzejmym tonem. – Tureccy zapaśnicy mają lepsze cycki niż ty. Lepiej opowiedz mi jeszcze raz o tamtym czwartkowym wieczorze.

– Nie ma pan prawa tak do mnie mówić! – zaperzyła się. – Powiem Frankiemu!

Obciągnęła jednak spódnicę, nadając jej nieco przyzwoitszą formę, i zapaliła papierosa. Trzymała go i paliła jak nowicjuszka; w ogóle cały jej sposób bycia zdradzał debiutantkę. Miała dwadzieścia parę lat i nie zdążyła jeszcze dorobić się patyny obojętności ani, co byłoby jeszcze gorsze, posępnej rezygnacji, typowej dla ludzi, którzy w kontaktach z policją występują wyłącznie w roli podejrzanych lub gości u osadzonych w areszcie bliskich. To przyjdzie z czasem, pomyślał Wiel. A na razie musiał zachować czujność, bo wprowadzie jej urok osobisty na niego nie działał, ale łatwo było dać się zwieść jej naiwności.

Wychodząc za Frankiego Pickersgilla, dobrze wiedziała, kim jest jej ślubny. W sprawie włamania do monopolowego kłamała równo i zaciekle.

– Nie powiedzieli panu w firmie, że Frankie pojechał z ładunkiem do Manchesteru? Wróci dopiero pod wieczór.

– Wiem o tym. – Wiel rozsiadł się wygodniej. – Zastanawiam się natomiast, dlaczego tak bardzo chcesz mi zawrócić w głowie tym przekładaniem nóg. O czym mam zapomnieć, Janey? Interesuje mnie wyłącznie Tommy Maggs. Byliście tu we troje z Ronem w tę noc, kiedy to się stało, prawda?

- Kiedy co się stało? – zapytała ostrożnie.
- Jak to co? Kiedy zginęła dziewczyna Tommy’ego – odparł z miną niewiniątka Wield. – A było coś jeszcze?
- Tak, zgadza się, siedzieliśmy w domu i oglądaliśmy telewizję. Ale to już wam mówiliśmy. Czego pan znowu chce?
- Widzisz, Janey... Tommy gdzieś przepadł – wyjaśnił z powagą sierżant. – Martwimy się o niego. Na pewno jest poruszony, to naturalne. Taki młody chłopak, w takim stanie... Różne *rzeczy* mogą się zdarzyć. Chyba to rozumiesz?
- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną – poskarżyła się Janey, nerwowo pykając papierosa.
- Nie? Chodzi o Rona. Wiesz, jacy są ci chłopcy: niby są wobec siebie nawzajem lojalni, a tak naprawdę nie wiedzą, co byłoby dla kumpla najlepsze... Możliwe, że Ron wie więcej, niż nam mówi. Pomyślałem, że mogłabyś nam pomóc.
- Nie. Nic nie wiem. Nic mi nie powiedział.
- Na pewno? Wróć pamięcią do tamtego wieczoru, kiedy we trójkę oglądaliście telewizję.
- Wtedy to na pewno by nic nie powiedział, bo jeszcze nic się nie stało, prawda? – spytała Janey ze słuszną dumą osoby, która napatoczyła się na oazę logiki na pustkowiu kobiecej intuicji.
- Oczywiście, że nie. Masz rację. Ale mógł coś wspomnieć o Tommym, o tym, w jakim stanie zostawił go w „Bay Tree”.
- Janey wyraźnie się zaniepokoiła.
- Nie sądzi pan chyba, że Tommy ma coś wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny? Przecież wszyscy wiedzą, że to Dusiciel ją zabił.
- A kto jest Dusicielem, Janey? Kto to może wiedzieć... Znałaś Tommy’ego osobiście?
- Widziałam go parę razy, kiedy Ron przyprowadził go do domu.
- Miły chłopak.
- Też mi się tak wydawało. Bardzo porządny – powiedziała z naciskiem Janey.
- Szkarłatno pomalowanym paznokciem zdjęła okrusz tytoniu, który przykleił się jej do języka. Gest był naturalny, nieudawany i przez to diabelnie seksowny.
- A Brendę? Ją też poznałaś?
- Raz się spotkałyśmy: przyjechała z Tommym samochodem, więc kazałam mu ją przyprowadzić. Też sympatyczna dziewczyna. Bardzo ładnie się wyrażała.

– Zbyt wytworna dla Tommy’ego? To chcesz powiedzieć?

– Nie, po prostu ładnie mówiła.

– Frankie też ją wtedy widział?

– Tak. Przywitali się.

– Co o niej sądził?

W głowie dziewczyny rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

– Jak to? Nic o niej nie sądził. Rozmawiali może minutę, nie dłużej. Do czego pan zmierza, do cholery?!

Wield posłał jej pozornie obojętne spojrzenie. Całkiem przypadkiem poruszył ten wątek, i to w momencie, kiedy był właściwie gotowy wstać i wyjść. Frankie na pewno nie dałby się zastraszyć aluzją o znajomości z Brendą Sorby i nie przyznałby się do włamania do magazynu, ale oburzona Janey mogła przez przypadek coś chlapanąć.

– Interesują nas wszyscy, którzy znali Brendę – wyjaśnił drętwym, oficjalnym tonem.

– Po tym, jak pożegnała się z Tommym, najprawdopodobniej wsiadła do czyjegoś samochodu. A skoro o tak późnej porze dała się komuś namówić na podwózkę, jest prawie pewne, że знаła kierowcę.

Janey zerwała się na równe nogi i doskoczyła do Wielda. Stała tak blisko i była tak wściekła, że kiedy zaczęła mówić, poczuł na twarzy kropelki śliny.

– Czy wy, psy, aż tak gonicie w piętkę, że jesteście gotowi zrobić w tę sprawę pierwszego lepszego frajera, który się wam nawinie pod rękę? Coś panu powiem: jeśli chce pan dopaść mojego Frankiego, to trafił pan pod zły adres. Był wtedy ze mną przez cały czas, całą noc, odkąd wrócił do domu, aż do rana, kiedy znów wyszedł do pracy. I nie zmienię zdania, nawet jeśli przyślą tu całą armię policjantów, a wszyscy będą wyglądać tak jak pan!

– O której poszliście spać? – zapytał spokojnie Wield.

– Słucham?

– Spać. W końcu się chyba położyliście? Która to była godzina?

– Nie wiem, wpół do dwunastej, dwunasta...

Janey wyraźnie się zmieszała, co często zdarza się ludziom na próżno oczekującym wyrazistej reakcji na swój wybuch emocjonalny.

– A Ron?

– Co Ron?!

– Wyszedł wcześniej? Czy jeszcze u was był, kiedy się kładliście?

– Nie wiem. Chyba już wyszedł.

– Czyli był taki moment między dwudziestą trzecią i dwudziestą czwartą, że byliście

z Frankiem na dole sami.

– Nie wiem! Jakie to ma znaczenie? Może pierwsi poszliśmy na górę?

– I Ron został sam na parterze?

– Nie! Pewnie wszyscy razem poszliśmy na górę!

– Nie wiedziałem, że jesteście z Ronem aż tak blisko.

Janey zamachnęła się, by wymierzyć sierżantowi siarczasty policzek. Spokojnie zablokował uderzenie kantem dłoni, unosząc rękę na wysokość głowy, jakby w geście pokoju.

– O Jezu... – jęknęła dziewczyna, łapiąc się za obolały nadgarstek.

– Spróbuj z kimś swoich rozmiarów – poradził jej Wield, a potem wstał, oparł ręce na jej ramionach i pchnął ją z powrotem na fotel, z którego się poderwała.

Trafił w czuły punkt, tego był pewien, ale chyba powinien zostawić Janey Headingleyowi, zamiast marnować na nią czas przeznaczony na Dusiciela.

Zasianie ziarna niepewności to dla policjanta doskonała zagrywka pożegnalna. I często bardzo skuteczna. Niech się świadek zamartwia. Nie było to może miłe, ale – o czym doskonale wiedział każdy wielbiciel Ridera Haggarda – obowiązek to obowiązek.

– Janey... – zaczął surowo. – Jeżeli twój Frankie liczy na to, że Ron da mu alibi, to na jego miejscu nie sypiałbym spokojnym snem.

– A to co znowu ma znaczyć, do diabła?! – zdziwiła się Janey, wciąż rozcierając rękę.

– Nie bądź naiwna... na pewno zdążyłaś się już poznać na swoim bracie. Kiedy Frankie poszedł siedzieć za whisky, nie zastanawiałaś się, jak go dopadliśmy?

Zrozumiała go w lot; musiał dotknąć jej długo skrywanych podejrzeń.

– Pan kłamie. Proszę to udowodnić.

– Janey, Janey... – westchnął Wield smutno. – Jest jedna rzecz, która łączy ludzi takich jak ty i takich jak ja; umiemy rozpoznać, kiedy ktoś mówi prawdę, a kiedy kłamie. Tylko sąd potrzebuje dowodów.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Nic tu po nim, przynajmniej na razie. Może później...

Wiedział, że ryzykuje – co innego grozić Ludlamowi, a co innego puścić farbę przed Janey. Miał też jednak swoją intuicję i pamiętał, że kiedy ostatni raz jej zaufał, wyładował na seansie spirytystycznym z dyktafonem w kieszeni.

Wzdrygnął się na to wspomnienie i pojechał do banku, w którym pracowała Brenda Sorby.

Millhill było typowym „mieszanym” przedmieściem: najbliżej rzeki mieszkali (w wykupionych na własność domach) przedstawiciele klasy średniej, a od strony kompleksu przemysłowego znajdowała się siedziba rady miejskiej, sklepy i zakłady usługowe. Northern Bank mieścił się mniej więcej w połowie drogi, w niedużym pasażu handlowym. W poprzedni weekend, zaraz po znalezieniu zwłok Brendy Sorby, Pascoe przesłuchał wszystkich pracowników banku, Wiel zaś obszedł okoliczne sklepy. Tylko w salonie fryzjerskim ćwierć mili od banku znalazł się użyteczny świadek: Brenda przyszła na umówioną wizytę, wesola i rozgadana, i wyszła kwadrans po szóstej. Właściwie skoro i tak wiedzieli, że o ósmej spotkała się z Tommym w „Bay Tree”, informacje jej kolegów z pracy i sklepikarzy niewiele mogły wnieść do sprawy, ale Dalziel zażyczył sobie, żeby zaczęli wszystko od nowa – a Dalziel był jak Ayesha, bohaterka z Haggarda, „ta, której wszyscy muszą być posłuszni”.

Wiel zajrzał do notesu. Podczas pierwszej jego wizyty dwa małe sklepiki były zamknięte z powodu urlopu. Zadziwiające, jak wielu ludzi hołdowało starej tradycji brania urlopu w czasie jarmarku miejskiego.

Pierwszy z nich, „M. Conrad, jubiler i zegarmistrz”, nadal był zamknięty, ale drugi, „Cukiernia u Durdonów”, był czynny. Państwo Durdonowie rankiem tego samego dnia wrócili z tygodniowych wakacji w Hiszpanii i najwyraźniej chcieli jak najszybciej odbić sobie poniesione wydatki.

Owszem, czytali o morderstwach; na wakacjach zawsze kupują angielskie gazety. Tak, byli w mieście w tamten czwartek, wylatywali dopiero w piątek wczesnym rankiem. Tak, pamiętali dziewczynę, chociaż niezbyt dobrze.

Ale nie, tamtego dnia jej nie widzieli i nie mieli Wielowi nic ciekawego do powiedzenia, chociaż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w swoim hotelu na Costa Brava zadzierali nosa pod samo niebo, powołując się na bliskie związki z całą sprawą.

W banku przywitano go z mniejszym entuzjazmem. Mulgan, p. o. dyrektor, był – jak wynikało z notatek Pascoe – naprawdę wstrząśnięty śmiercią Brendy, ale chyba przy okazji nadmiernie się niepokoił, że to nieszczęście może jakoś niekorzystnie odbić się na jego osobie.

Od tamtej rozmowy upłynął tydzień i troska o własną przyszłość zdecydowanie wzięła w Mulganie górę. Miał nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, bujne i wypomadowane ciemne włosy i był dość przystojny, chociaż nieco pulchny. Pełne policzki nabrały po goleniu różowawego połysku i mocno zalatywały ostrym męskim płynem po goleniu. Ta woń coś Wielowi przypominała... Maurice dał mu taki sam płyn w zeszłym

roku na Boże Narodzenie. Sierżant ani razu go nie użył.

Mulgan zaprosił go do swojego gabinetu – zdaniem Wiolda, mając na względzie raczej dyskrecję niż uprzejmość.

– Bardzo tu ładnie – powiedział sierżant, rozglądając się z aprobatą po obszernym pokoju. – Spora firma, jak na podmiejski oddział banku.

– To prawda. Oddział otwarto przy okazji powstania Avro Industrial Estate. Centrala przewidywała spory ruch w interesie.

– Ale nie wyszło?

– Słucham?

– Przepraszam, w pana ustach zabrzmiało to tak, jakby te przewidywania nie do końca się sprawdziły.

– Bynajmniej. – Mulgan uniósł się firmową dumą. – Oddział ma się doskonale. Wręcz kwitnąco. – Odprężył się nieco i dodał: – Wie pan, biznesmeni z Yorkshire to ludzie bardzo konserwatywni. Zdziwiłby się pan, ilu z nich upiera się, żeby prowadzić firmowe konta w głównym oddziale w centrum. Chociaż przypuszczam, że nieco bardziej dynamiczna kampania reklamowa mogłaby ich przekonać. Może jeszcze nie jest za późno.

Wiold sprawdził swoje notatki. Mulgan był p. o. dyrektorem. Taka rozmowa z pewnością zahaczała o świat jego ambitnych snów.

– To znaczy, że nie prowadzicie zbyt wielu rachunków miejscowych firm, tak? – Zarzucił przynętę nieco głębiej, chociaż bez żadnego konkretnego zamiaru.

– Przeciwnie, jest ich sporo. – Mulgan znów uniósł się honorem. – Prawie wszystkie tutejsze sklepy mają u nas konta.

– A jakieś firmy z Avro Estate?

– Jedna, może dwie.

– Fabryka konserw Eden Park? – strzelił Wiold, dostrzegając niespodziewaną możliwość powiązania faktów.

Niestety, musiał obejść się smakiem, Mulgan bowiem pokręcił głową i zaczął nerwowo bawić się leżącą na biurku podkładką z bibuły.

– W czym mogę panu pomóc, sierżancie?

– Po prostu sprawdzamy posiadane informacje, to rutynowa sprawa. Zdarza się, że po paru dniach człowiek przypomina sobie coś, o czym w chwili wstrząsu zapomniał.

Rozległo się pukanie do drzwi i młoda dziewczyna wetknęła głowę do pokoju.

– Przepraszam, że przeszkadzam... Przyszła pani Mulgan. Prosi na słówko.

– Co znowu? – zirytował się Mulgan. – Dobrze, już idę. Pan wybaczy.

– Nie, nie ma potrzeby. – Wield wstał. – Proszę poprosić żonę tutaj, ja przez ten czas pogadam sobie z pracownikami. O ile nie są zbyt zajęci.

Za drzwiami zobaczył tę samą dziewczynę pogrążoną w rozmowie z kobietą o pociągłej, zniechęconej twarzy, na pierwszy rzut oka dobre dziesięć lat starszą od Mulgana.

– Dziękuję ci, kochanie – powiedziała pani Mulgan z wyraźnym akcentem z Derbyshire. – Wracaj do swoich zajęć, a ja tam do niego wejść, dobrze?

– Przepraszam panią... – zaczął Wield sekretarkę, zanim zdążyła się oddalić.

Przedstawił się i usłyszał w odpowiedzi, że rozmawia z Mary Brighthouse. Była całkiem niebrzydka, miała niezłą figurę i duże piwne oczy, które zaszyły łzami, kiedy wspomniał o Brendzie.

– Przyjaźniłyście się – powiedział współczująco.

– Rzadko spotykałyśmy się poza pracą, ale bardzo ją lubiłam. Kiedy usłyszałam, co jej się stało, tak się zdenerwowałam, że od razu wróciłam do domu i wzięłam wolne. Do pracy przyszłam dopiero w środę.

Wield zajął się notatkami z raportu Pascoe: dziewczyna w niczym mu nie pomogła, załamała się właściwie na samym początku rozmowy. Teraz też sierżant miał wątpliwości, czy udałoby mu się wycisnąć z niej cokolwiek więcej.

Wziął ją za rękę i pociągnął w głąb sali, pod ścianę.

– To była pani Mulgan? – spytał niefrasobliwym tonem. – Trochę zaskakujący widok po tym, jak poznało się pani szefa.

– Ona jest bardzo miła – zastrzegła dziewczyna.

– Nie wątpię, chodziło mi tylko...

– Wiem. Pochodzą z jednej wioski.

– Tyle, że on się z niej wyrwał, a ona nie bardzo, prawda? To zawsze jest smutne.

Wield był urodzonym plotkarzem; Dalziel nawet nazwał go kiedyś z tego powodu „prawdziwą starą babą”.

Uśmiechnął się.

– Ma pan rację. I nie chodzi tylko o pracę – dodała Mary pewniejszym, konfidenckim tonem, już bez zażawionych oczu.

– Nigdy nie kończy się na pracy – zgodził się Wield, nie bardzo wiedząc, z czym się zgadza.

– To prawda. Niektórym mężczyznom się wydaje, że jak mają trochę władzy, to już im wszystko wolno. A on? Przecież on jest tylko p. o.

– Istotnie. – Nagle wszystko stało się jasne. – Takie sytuacje zawsze są niezręczne.

Coś, co w pracy jest niewinnym żarciem, w innych okolicznościach może przysporzyć człowiekowi strasznych kłopotów. Bardzo to pani przeszkadza?

– Nawet nie. Właściwie mnie to prawie nie rusza, on najwyżej coś tam czasem powie, ale...

Znowu łzy.

Otworzyły się drzwi gabinetu Mulgana i Wield doszedł do wniosku, że nie pora na współczucie.

– Brenda? Chodziło mu o Brendę?

– Tak! – przytaknęła Mary. Rozklejała się w oczach. – Wydaje mi się, że parę razy zaprosił ją randkę. Często też wzywał ją do swojego gabinetu, albo stawał przy niej z tyłu, blisko, ale tak naprawdę blisko. Powiedziała mi, że może po tym, jak się zaręczyła i nosi pierścioneł, on trochę...

Głos jej się załamał. Wspomnienie było zbyt świeże.

– Sierżancie Wield! – zawołał Mulgan.

– Wytrzymaj nos, Mary – powiedział Wield. – I przemyj sobie buzię. Dobra z ciebie dziewczyna.

Poklepał ją po ramieniu i wrócił do gabinetu dyrektora, gdzie jeszcze raz przejrzał sporządzone przez siebie streszczenie notatek Pascoe. Był rozczarowany. Komisarz w ogóle nie dogrzebał się do tego, że Mulgan napalał się na Brendę. Za to przynajmniej z zawodową rzetelnością ustalił miejsce jego pobytu w czwartkową noc między godziną dwudziestą drugą i dwudziestą czwartą: Mulgan był w domu, co potwierdziła jego żona.

Wield zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że nie zdenerwował pan znowu zbytnio panny Brighthouse – powiedział Mulgan. – Już i tak musieliśmy radzić sobie bez niej przez ostatnie pół tygodnia.

– To bardzo wrażliwa dziewczyna.

– To prawda. Czym jeszcze mogę panu służyć, sierżancie? Mam mnóstwo pracy.

– Przepraszam, powinienem był się z panem skontaktować po zamknięciu urzędów.

– My wtedy też pracujemy – zauważył kwaśno Mulgan.

– Naturalnie. – Wield z trzaskiem zamknął notatnik. – Powiem panu, co może pan dla nas zrobić. Czy dałoby się sprawdzić, czym dokładnie zajmowała się Brenda w ostatnim dniu pracy?

– Tak, to możliwe. Ale dlaczego to pana interesuje, na Boga?

Wield zrobił tajemniczą minę – co przyszło mu tym łatwiej, że sam nie znał odpowiedzi na swoje pytanie. Potrzebował jednak trochę czasu, żeby wszystko sobie

poukładać w głowie.

Mulgan załatwił mu dodatkowy czas do namysłu.

– Muszę dostać zgodę z centrali – zapowiedział. – Prosi pan o ujawnienie informacji objętych tajemnicą bankową.

– Rozumiem. Nie ma pośpiechu, panie Mulgan. Jeśli pan pozwoli, wpadnę jeszcze później. A gdybym nie zdążył, proszę zabrać ten dokument do domu; ktoś go od pana odbierze.

Wield wstał i wyszedł, zanim Mulgan zdążył zaprotestować.

Siedząc w samochodzie, próbował wydedukować, co wykielkuje z posianych tego ranka ziaren, ale w głowie miał głównie zapach płynu po goleniu Mulgana.

Rozdział 12

Doktor Pottle i dwaj lingwiści słuchali taśm z nagraniem czterech rozmów telefonicznych, które przeprowadzono po zamordowaniu Pauline Stanhope. Pascoe dostarczył im papierową kopię nagrania, dodatkowo opatrzoną odnośnikami do *Hamleta*.

(A) „Idź do alkierza jejmość pani i powiedz jej, że może malować się na cał grubo, a zawsze dojdzie do takiej urody” (Akt V, scena 1).

(B) „Można się uśmiechać i uśmiechać, a łotrem być” (Akt I, scena 3).

(C) „Być czy też nie być – oto jest pytanie” (Akt III, scena 1).

(D) „Zwichnięty czas, w przeklętym ja momencie rodziłem się, by leczyć to zwichnięcie” (Akt I, scena 3).

W takiej kolejności telefony zostały odebrane. Sammy Locke, wydawca serwisu informacyjnego w „Evening Post”, miał wrażenie, że (A) i (D) najbardziej przypominają mu głos, który słyszał w słuchawce po pierwszych dwóch morderstwach. Nie umiał jednak rozstrzygnąć, który z tych dwóch (o ile to naprawdę były dwa różne głosy; zdaniem Pascoe brzmiały bardzo podobnie) był tym właściwym. Pascoe nie uznał za stosowne przekazać tej informacji specjalistom od lingwistyki.

Po piątym odtworzeniu nagrania zapadła długa cisza. Pottle zapalił następnego papierosa i coś nagryzmołił w notatniku. Pascoe spojrział pytająco na językoznawców, którzy spojrzeli pytająco po sobie nawzajem.

Tworzyli wyjątkowo niedopasowaną parę. Dicky Gladmann był drobnym elegancikiem po czterdziestce. Miał niebieskie oczy, krótkie bokobrody, starą tweedową marynarkę z czerwoną chusteczką zwieszającą się z kieszeni na piersi i stary nijaki krawat z podłużną plamą po sosie. Drew Urquhart był znacznie młodszy: niski, korpulentny, miał różową twarz, która przezierała od czasu do czasu z ciemnego gąszczu brody jak wróbel

buszujący w gęstym krzaku. Był ubrany w dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem i chyba nie podobało mu się otoczenie, w jakim się znalazł.

– Zobaczmy, co się da zrobić – obiecał Gladmann aksamitnym głosem, który w swojej niby-arystokratyczności zatracał o autoparodię.

– Otóż to – przytaknął Urquhart. Mówił z silnym szkockim akcentem gdzieś z okolic Glasgow.

Obaj wstali. Gladmann wyjął kasetę z magnetofonu i włożył ją do kieszeni.

Pascoe zamurowało.

– Nie będziecie panowie pracować tutaj?

– Pan chyba żartuje, szanowny kolego! – prychnął Gladmann. – Miło tu, nawet krwi prawie nie widać na ścianach... Prawda, Drew? Ale wasz sprzęt raczej nie pochodzi z ery kosmicznej? Wolimy pracować w laboratorium językowym w college'u. Jeśli uznamy, że sytuacja tego wymaga, możemy podjechać na uniwersytet i przepuścić nagranie przez ich sonograf.

– No dobrze... – zgodził się Pascoe.

Mieli przecież kilka kopii nagrania.

– Panie komisarzu, chciałbym dobrze zrozumieć pańskie intencje – odezwał się Urquhart. – Jak zamierza pan potraktować uzyskane od nas informacje?

– Sceptycznie.

Gladmann zarechotał, ale Urquhartowi wcale nie było do śmiechu.

– Wyjašnjmy sobie jedno: nie interesuje mnie wskazanie policji kozła ofiarnego.

Pascoe westchnął. Dzięki swojej uniwersyteckiej przeszłości łatwiej niż większość kolegów tolerował akademicki liberalizm, ale w tej chwili rozumiał, co musiał czuć Dalziel, który kiedyś poskarżył mu się takimi słowami: „Jeśli to są ci mądrzy, to ja się nie dziwię, że przestępstwo popłaca”.

– Proszę mi wierzyć, kozioł ofiarny nie wystarczy. Człowiek, którego ścigamy, to nie zrównoważony psychicznie morderca. Nie przestanie mordować, kiedy aresztujemy kogoś innego.

Urquhart nie był chyba do końca przekonany, ale wyszedł bez dalszych komentarzy.

– Proszę pozdrowić uroczą Ellie – powiedział Gladmann, idąc za nim. – Będziemy w kontakcie.

Pascoe zamknął za nimi drzwi i bez wielkich nadziei zwrócił pytające spojrzenie na doktora Pottle'a. Już pierwsze słowa psychiatry potwierdziły jego pesymistyczne przeczucia.

– Mam trochę za mało danych.

– Cztery morderstwa! – zaprotestował ostro Pascoe. – Na początek to chyba całkiem nieźle, nie uważa pan?

Pottle był wyraźnie rozbawiony.

– Proszę mi powiedzieć... Co najbardziej zwiększy szanse złapania tego gościa?

Pascoe przemyślał jego słowa.

– Następne morderstwo – przyznał niechętnie. – Albo przynajmniej próba morderstwa. Żebyśmy mogli go złapać na gorącym uczynku.

– Otóż to. Ze mną jest podobnie, chociaż zarazem inaczej: im więcej mam danych, tym lepszych wyników mogę się spodziewać. W tej sprawie wychodzę z dwóch założeń, które mogą się jeszcze okazać fałszywe. Pierwsze jest takie, że wszystkie te cztery morderstwa są dziełem jednego człowieka. Drugie zaś takie, że we wszystkich czterech przypadkach kierował nim ten sam motyw lub co najwyżej różne aspekty jednego spójnego motywu. Powtarzam: oba te założenia mogą być fałszywe, co zresztą mogą sugerować dowody, które mi przedstawiliście.

– Na przykład? – zainteresował się Pascoe.

– Nieścisko wzorca – odparł Pottle. – Zginęły trzy młode, niezamężne kobiety oraz pani Dinwoodie: wdowa w średnim wieku. Trzy z nich znaleziono ułożone po śmierci z rękami skrzyżowanymi na piersi, a Brendę Sorby trzeba było wylawiać z kanału. Trzech morderstw dokonano w miejscach odludnych lub rzadko uczęszczanych z powodu późnej pory, a Pauline Stanhope zginęła w środku dnia w lunaparku. Jednakże bez tych dwóch założeń nie mógłbym nawet udawać, że mam z czym pracować. Dlatego przydałoby mi się następne morderstwo. A najlepiej od razu dwa. W końcu mielibyśmy dość drzew, żeby z nich zrobić las.

Tylko podejrzenie, że upiorny żart ma służyć prowokacji, powstrzymało Pascoe od kolejnego gwałtownego protestu.

– Będzie pan drugą, najdalej trzecią osobą, która się o nich dowie, doktorze. Proszę kontynuować.

– Słusznie. Przejdę do podsumowania. Moim zdaniem mamy do czynienia z dojrzałym mężczyzną, nie jakimś młodzieniaszkiem, tylko z człowiekiem około czterdziestki, powiedzmy Oczywiście jest niezrównoważony psychicznie, ale nie w sposób typowy dla psychopatycznego zabójcy kobiet, któremu z wiekiem coraz łatwiej przychodzi kontrolowanie morderczych impulsów. Psychopatów trzeba łapać wcześniej; inaczej nigdy się ich nie złapie. Głównym motywem jest w tym wypadku nie tyle nienawiść, ile raczej, z braku lepszego określenia, współczucie.

– Współczucie? Chce pan powiedzieć, że ten gość zabija kobiety, bo jest mu ich żal?
– spytał z zainteresowaniem Pascoe.

– W pewnym sensie tak. Istnieją piękne precedensy. Impuls do eutanazji jest bardzo silny we wszystkich rozwiniętych cywilizacjach.

– Nie powie pan chyba, że te morderstwa są formą eutanazji?

– Wyłącznie w takim samym sensie, w jakim morderstwa Kuby Rozpruwacza były formą protestu moralnego. Właściwie to aż dziwne, że morderstwa w stylu Dusiciela są rzadsze niż te w stylu Rozpruwacza. Jakkolwiek by na to patrzeć, połowa społeczeństwa akceptuje eutanazję, która w dodatku z definicji jest formą uśmiercenia człowieka. Tymczasem kary za niemoralne prowadzenie się z czasem zanikają w społeczeństwach rozwiniętych, a tylko w tych bardziej prymitywnych prowadzą do zabójstw.

– Kiedyś Kościół palił na stosie za bzykanie na boku – zauważył Pascoe.

– Otóż to – przytaknął cierpko Pottle. – Muszę już iść, panie komisarzu, robota czeka. Ale dostarczę panu pisemny raport.

– Jeszcze jedna sprawa: te rozmowy telefoniczne, nagrane na taśmie... Co pan o nich sądzi?

– Do mojego podejrzanego najlepiej pasują (A) i (D), przy czym ja osobiście obstawiałbym (A); w tym głosie słyszę autentyczny żal, który pasowałby do mojej koncepcji.

(B) i (C) świetnie się bawią. Ale najważniejsza i tak wydaje mi się pierwsza ze wszystkich wiadomości.

– To znaczy „Żadnych dalszych małżeństw, powiadam”?

– Tak. Wie pan, jak to dalej leci? „Ci, co już się poženili, niech sobie dalej żyją – z wyjątkiem jednego. Reszta może zostać tak, jak jest”.

– Wiem, o co panu chodzi: na razie mieliśmy jedną wdowę i trzy stare panny. Ciągłe czekamy na tę jedyną.

Pascoe też umiał czasem błysnąć upiornym poczuciem humoru.

– Może tak właśnie należałoby na to spojrzeć. Dziwna sprawa z tym małżeństwem i zaręczynami; często trzyma się je w tajemnicy. Rozumiem, że sprawdziliście dokładnie, czy Pauline Stanhope była zaręczona? Pozostałe dwie zaręczyły się, i to całkiem niedawno...

– Myśli pan, że...

– Nie, panie komisarzu, nie wyciągam żadnych wniosków. Jednakże wdowę można w pewnym sensie uznać za kobietę zamężną. Zachowuje nazwisko i tytuł męża, na przykład. Na pana miejscu zainteresowałbym się, dlaczego nieszczęsna pani Dinwoodie została

wybrana spośród wszystkich mężatek tego świata i skazana na śmierć. A teraz naprawdę na mnie już czas.

Pottle wyszedł, a Pascoe siedział jeszcze przez chwilę sam i zastanawiał się, czy to naprawdę możliwe, żeby ktoś mordował ludzi, kierując się współczuciem. Jednego człowieka – w porządku. To mógł zrozumieć. Kogoś bliskiego, kto bardzo cierpi. Ale obcych? Czego miał im współczuć? O to należało zapytać Pottle'a.

Mógł tak siedzieć i dumać cały dzień, ale sprawy rozwiązywało się nogami, a nie uprawianiem metafizycznych spekulacji.

Najpierw pojechał pod miasto, do posiadłości Marka Wildgoose'a. Nie spodziewał się go tam zastać, ale nie znał innego adresu. Mógłby go wprowadzić wytropić za pośrednictwem szkoły, ale osobista wizyta w domu da mu przynajmniej pretekst do porozmawiania z jego żoną.

Zastał Lorraine Wildgoose w ogródku przed domem, zajętą stryżeniem trawnika za pomocą elektrycznej kosiarki z obrotowym ostrzem. Na jego widok wyłączyła maszynę i skinęła mu głową, kiedy się przedstawił.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała.

– Tak? Chyba nie mieliśmy okazji się poznać...

– Wczoraj byłam u Ellie, widziałam pańskie zdjęcie. Proszę wejść.

Pascoe wszedł za gospodynią do domu. Miała na sobie cienką bawełnianą spódnicę i kusą trykotową bluzkę bez pleców. Wycięcie bluzki, gdy Lorraine pochyliła się, żeby wyłączyć kosiarkę, zdradziło, że głęboka opalenizna sięga naprawdę głęboko. Dla Pascoe było to całkowicie beznamienne spostrzeżenie; nie poczuł żadnego zmysłowego ukłucia na widok jej sutków. Wyraz zaangażowania malujący się na jej szczupłej, lekko dziobatej twarzy kompletnie wykluczał możliwość prowokacji i sugerował, że mężczyzna, który chciałby się nią na serio zainteresować, powinien raczej myśleć głową.

– Chciałbym porozmawiać z pani mężem, pani Wildgoose. Rozumiem, że już z panią nie mieszka?

– Napije się pan czegoś? Kawy? A może czegoś mocniejszego? Dwa lata temu nie dostałby pan u mnie ani kawy, ani alkoholu; wtedy całkiem serio nastawiliśmy się na żywność organiczną. Dlatego Mark zainteresował się działką. Domyślam się, że to o niej chce pan z nim porozmawiać.

– Sama pani teraz uprawia ogródek? – spytał Pascoe, który miał zwyczaj unikiem odpowiadać na unik. – Nielekkie zajęcie.

Stał przy przeszklonych drzwiach na taras, przez które było widać ogród na tyłach

domu. Z niedużego tarasu schodziło się na prostokątny trawnik o długości około pięćdziesięciu stóp, który po bokach był obsadzony różami i krzewami ozdobnymi.

– Zawsze go sama uprawiałam. Mark się nim nie interesował, dopóki pewnego dnia nie postanowił mi go skopać, żeby posadzić fasolę i żeń-szeń. Ale wtedy tupnęłam nogą i musiał sobie poszukać działki. Czuję się odpowiedzialna za śmierć tej dziewczyny.

To było trochę za szybko dla Pascoe.

– Proponowała mi pani coś do picia... Jeszcze wcześniej, ale już chce mi się pić. Może małe piwo...?

Przyniosła z kuchni dużą puszkę piwa i dwie szklanki.

– Teraz pijam już wszystko. Jeżeli w ten sposób zatruwa się organizm, to mój ma przechłapanie.

Pascoe wyjął puszkę z jej nerwowych dłoni, otworzył i nalał piwa.

– Pani Wildgoose... – zagaił, starannie dobierając słowa. – Czy słusznie wnioskuję z pani wczorajszej rozmowy z Ellie, a także tej dzisiejszej ze mną, że pani zdaniem pani mąż może coś wiedzieć o morderstwach dokonywanych przez tak zwanego „Dusiciela”?

– Tak – przyznała półgłosem, po czym natychmiast wrzasnęła „Nie!”, tak przeraźliwie, że Pascoe aż podskoczył i rozlał piwo. – Jak ja mogłam tak powiedzieć? – zmitygowała się. – Przecież nie wiem. Po prostu ostatnio wydaje mi się jakiś dziwny, taki... wystraszony. A zarazem straszny. Przeróżający i zalęknioty jednocześnie. Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Chyba tak – przytaknął Pascoe, bardziej w odpowiedzi na jej natarczywe spojrzenie niż siłą argumentów.

Przypomniała mu się nauczycielka ze szkoły średniej, która miała podobnie napastliwą manierę zadawania pytań, co uniemożliwiało odpowiedź przeczącą. Przypomniał też sobie, jak się wściekła, kiedy wydarzyło się nieuniknione, i musiał odkryć przed nią głębię swojej niewiedzy.

Czas przejąć inicjatywę.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, drzwi otworzyły się z impetem i do domu wparowała dziewczynka, na oko trzynastoletnia, której po piętach deptał młodszy od niej chłopiec. Na widok Pascoe stanęli jak wryci.

– O rany, przepraszam – wykrztusiła mała.

– To moja córka Sue – przedstawiła ją pani Wildgoose. – I mój syn Alan. A to jest pan komisarz Pascoe, moi drodzy. Zaraz kończymy. Jeśli się wam nudzi, możecie skosić za mnie trawnik.

Dziewczynka skrzywiła się i wyszła. Ani ona, ani jej brat nie byli podobni do matki, odziedziczyli po niej tylko ciemną karnację.

Przynajmniej są posłuszni, pomyślał Pascoe, gdy po chwili usłyszał wizg kosiarki. To bardzo pożądana cecha u dzieci. Miał nadzieję, że będą z Ellie umieli ją wpoić własnym dzieciom. Oby.

– Zdrowie psychiczne pani męża może mieć znaczenie, pani Wildgoose, nie przeczę, ale na razie nie jest czynnikiem kluczowym. Proszę się dobrze zastanowić. Czy dostrzega pani jakikolwiek konkretny związek łączący pani męża z June McCarthy? Albo z którąś z pozostałych kobiet?

Wytrzeszczyła oczy, nie pojmując, jak można być takim tłumokiem.

Ciekawe, czy ona w ogóle mruga powiekami? – pomyślał Pascoe.

– Działka – odparła pani Wildgoose.

– O działce wiemy już wszystko – odparł cierpliwie. – Czy pani mąż wspominał kiedyś o June McCarthy albo o innej dziewczynie poznanej lub widzianej przy Pump Street?

– Po co miałby mi o nich mówić? Coś takiego raczej się próbuje ukryć, nie uważa pan?

– Jak romans, tak? – spytał z powątpiewaniem Pascoe. – Sugeruje pani, że mógł mieć z nią romans?

– Nie byłby to jego pierwszy – odparła z goryczą. – Ma tam przecież taką małą szklarnię, w sam raz by się nadała.

– Szklarnia to raczej mało dyskretne miejsce – wytknął Pascoe.

– Ściany są szklane, ale pobielone – rzuciła triumfalnym tonem pani Wildgoose. – Nie można zajrzeć do środka. A kiedy dzieci raz się tam zapuściły, to nie chciał ich wypuścić.

Pascoe doświadczył przelotnej wizji Marka Wildgoose'a cudzołożącego w gąszczu pomidorów. Porno i duszno...

– To wszystko? – zapytał.

– A czego pan oczekiwał? Zdjęć? – warknęła gospodyni.

– Nie wie pani, czy mąż wpada czasem na drinka do „Cheshire Cheese”?

– Kiedyś razem tam bywaliśmy. To było oczywiście jeszcze przed tym, jak odstawiliśmy alkohol.

– Czy mąż znów zaczął pić, zanim się państwo rozstaliście?

– Tak. Pamiętam, jak za którymś razem wrócił do domu i śmierdział alkoholem. Mniej więcej wtedy zorientowałam się, że sprawy układają się fatalnie.

– W jakim sensie?

– Ta nienawiść, o której panu mówiłam, ta niechęć... Wtedy się chyba nasiliły.

– Wtedy... czyli kiedy?

– Jakoś na początku lata, nie pamiętam dokładnie... Koniec maja?

Pascoe wyjął kalendarzyk i zaczął go przeglądać.

– A kiedy dokładnie pani od niego odeszła?

– Czternastego czerwca – odparła bez zastanowienia pani Wildgoose. – Pamiętam dokładnie, bo to były urodziny Alana. Mark się spóźnił. Wypomniałam mu to. Pokłóciliśmy się. Wybiegł z domu i wrócił dopiero po północy, w jeszcze gorszym humorze niż przedtem; w dodatku zalatywało od niego alkoholem. Zabarykadowałam się w sypialni dla gości (przesunęłam łóżko pod drzwi) i tam spędziłam noc, a z samego rana zabrałam dzieci i pojechałam do mieszkania Thelmy Lacewing. Na pewno ją pan zna.

– Owszem.

– Jest cudowna, nie uważa pan?

– Mhm. A pani mąż...?

– Jeszcze spał, przynajmniej tyle dobrego przyszło z tego jego picia. Tak, to było czternastego. Ledwie miesiąc. Rany boskie...

Pascoe patrzył na nią czujnie i czekał.

Jeśli naprawdę chciała zasugerować, że jej mąż może być Dusicielem, to właśnie przegapiła idealną okazję.

Chyba, że była bystrzejsza i wiedziała, że pewne fakty nie wymagają dodatkowego podkreślenia; może spodziewała się, że nawet najbardziej tępy gliniarz przypomni sobie, że to właśnie czternastego czerwca Mary Dinwoodie została uduszona na tyłach „Cheshire Cheese”.

Zadał ostatecznie pytanie, zapisał sobie nowy adres Marka Wildgoose’a i wstał.

– Podejrzewa pani męża, ale nadal się z nim spotyka. Dlaczego?

– Ma prawo widywać się z dziećmi. A poza tym, na pewno nie chciałabym, żeby wiedział, że go podejrzewam – odparła pani Wildgoose wyzywająco.

Zabrzmiało to fałszywie.

– Jak się udała wczorajsza wycieczka? – zapytał od niechcienia Pascoe, gdy odprowadzała go do otwartych drzwi. Zwrócił uwagę, że dziewczynka przy kosiarce nie napracowała się zbyt, kiedy oni rozmawiali.

– W porządku. Dzieciom się podobało. Ojej, przepraszam.

W głębi domu zadzwonił telefon. Lorraine Wildgoose cofnęła się za próg i starannie zamknęła drzwi.

Pascoe zszedł na ścieżkę do furtki. Dziewczynka stała nieruchomo, wpatrzona w niego. Kosiarka wydawała inny dźwięk, pracując na jałowym biegu.

Zatrzymał się i uśmiechnął do Sue.

– Twoja mama jest zdenerwowana – powiedział. – Nie przejmuj się wszystkim, co powie. Przeżywa trudne chwile.

Nie uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale nie próbowała zaprzeczać, że podsłuchiwała.

– Aresztuje pan tatę?

– Nie, dlaczego miałbym to robić? Ale na pewno z nim porozmawiam.

– To nie zawsze jest jego wina. Wczoraj to ona wszystko popsuła.

– Wczoraj?

– No tak. Najpierw poszła do jakiejś pani do domu i nie wracała godzinami, a my smażyliśmy się w samochodzie. Potem, jak już w końcu dojechaliśmy nad morze, cały czas zrzędziła. Tata chciał, żebyśmy wypili razem herbatę i dopiero wieczorem wrócili do domu, ale zaczęła się z nim kłócić i na podwieczorek byliśmy już z powrotem.

– Czyli dla was nie był to zbyt udany dzień? – spytał w zadumie Pascoe.

– A mógł być.

Sięgnął do kieszeni i wygrzebał pięćdziesiąt pensów. Z daleka było słycać kurant samochodu z lodami.

– Świat bywa zabawny... – powiedział. – A trawa rośnie jak zawsze. Wiesz co? Idź po brata i kupcie sobie na spółkę jakiegoś rożka czy na co tam dzisiaj pięćdziesiąt pensów wystarcza...

Srebrna moneta załśniła w powietrzu. Sue złapała ją w obie ręce, uśmiechnęła się z wielkim wdziękiem, zawołała „Dziękuję!” i wybiegła z ogródka.

Pascoe odprowadził ją wzrokiem. Nagle zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, że może być bliski rozwiązania sprawy.

Rozdział 13

Dalziel wprawdzie rzadko dawał po sobie poznać, że podwładni czymś mu zaimponowali, ale nigdy niczego nie przegapił. Pascoe, na przykład, był bardzo uważny i rzetelny. Wiel też. Właściwie to Wielda jeszcze do końca nie rozgryzł, ale sierżant stąpał mocno po ziemi. Pomijając ten seans, rzecz jasna.

Dlatego, robiąc nieśpieszny objazd wybranych przez Wielda punktów, zastanawiał się, czy względna bliskość miejsca pracy Brendy Sorby i June McCarthy może być znacząca.

Przed bankiem stał samochód sierżanta (przed wyruszeniem w drogę Dalziel spędził jeszcze godzinę przy biurku), nie było więc sensu tam zaglądać. Za to, zajechawszy przed bramę Eden Park, stał tak długo, aż zwrócił uwagę ochroniarza.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał strażnik wojowniczo.

– A pan myśli, że co ja tu robię? Rozpoznanie przed włamem?

Widok legitymacji Dalziela nie zrobił na strażniku wielkiego wrażenia, za to widok jego masywnego cielska, kiedy wygramolił się z samochodu, zdecydowanie tak.

– Znał pan June McCarthy? – zapytał Dalziel.

– Pewnie – przytaknął ochroniarz.

Dobiegał sześćdziesiątki, miał szpakowate włosy, cyniczny uśmiech i przemądrzałe spojrzenie.

– Jak dobrze?

– Nie dość dobrze, żeby ją udusić.

– To znaczy?

– Przy niektórych babach wystarczy raz spojrzeć. – Strażnik się roześmiał. – Ta June była sympatyczna.

– Uganiała się za chłopakami?

– Niespecjalnie. Chodziła z tym swoim żołnierzem. To kawał chłopca, umie zawalczyć o swoje. Tak sobie myślę, że to dlatego inni woleli się do niej nie zbliżać, nawet jak go nie było.

To wszystko Dalziel już wiedział z akt sprawy.

– Chce pan wjechać?

Grubas jeszcze się nie zdecydował, kiedy niebieski mercedes zatrzymał się przy krawężniku. Napędzane elektrycznie przednie okno otworzyło się bezszelestnie.

– Andy!

Dalziel podszedł do samochodu.

– Cześć.

Mercedesem kierował Bernard Middlefield. Dalziel za nim nie przepadał, ale facet był przyjacielem policji, a w tych trudnych czasach potrzebowali przyjaciół jak nigdy dotąd.

– Tak mi się właśnie wydawało, że to ty – powiedział Middlefield.

– Trudno mnie pomylić z Fredem Astaire'em.

– Co cię tu sprowadza? Chodzi o tę biedną dziewczynę?

– W pewnym sensie. A co ty tu robisz?

– Jak to co? Obok jest moja firma – mruknął urażony Middlefield.

– No rzeczywiście... – Dalziel spojrział na parterowy gmach z cegły i szkła. – Ty jej przypadkiem nie znależ, Bernardzie?

– Tej zabitej? Nie. Ale dużo tu takich widuję. Oj, można się napatrzeć. Kiedy zawyje syrena, wybiegają hurmem jak uciekinierki z Gomory.

– Aha. U ciebie jest inaczej?

– Oczywiście. Bo ja zatrudniam wykwalifikowaną siłę roboczą. Montaż urządzeń elektrycznych to nie to samo, co pakowanie groszku do puszek. Może wpadniesz do mnie? Napijemy się kawki, oprowadzę cię...

– Jestem zajęty, ale dziękuję. Jak się miewa Jack? Jak interesy?

– Jedno i drugie doskonale. Widzimy się jutro u burmistrza?

Jarmark tradycyjnie kończył się wydawanym przez władze miasta uroczystym obiadem w ostatnią sobotę dwutygodniowego okresu świątecznego. Niektórzy podatnicy chętnie by sobie ten przywilej odpuścili.

Dalziel pokręcił głową.

– Szkoda, zwykle jest niezła feta. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że w tym roku szybciej dobierzecie się tym druciarzom do tyłka.

– Jakim druciarzom?

– Cyganom. Zawsze jest tak samo. Niektórzy ludzie już tacy są: dasz im palec, to capną całą rękę. Ponieważ przyjeżdżają tu od wieków, tolerujemy ich obecność przez dwa tygodnie podczas jarmarku, ale czy to im wystarcza? Nie. W zeszłym roku zrobił się prawie wrzesień, zanim udało się ich wykurzyć, a potem i tak połowa z nich wróciła przed Bożym Narodzeniem. Zresztą, wcale nie brakuje świrów, którzy by chcieli, żebyśmy pozwolili im osiedlić się tu na stałe. Zmierzam do tego, że skoro nazywają się wędrowcami, to niech wędrują. Dostałeś moją wiadomość?

– Twoją wiadomość? Jaka?

– Jeden z tych ich kuców wyrwał się na wolność, niedaleko aeroklubu; mało się przez niego nie zabiłem przy starcie. Zresztą, zdarzyło się to nie pierwszy raz. Kazałem jednemu z twoich ludzi powiedzieć ci o tym. To taki śmieszny koleś, właściwie pasowałby do tych cygańskich wozów.

– Mhm. Tak, chyba coś obilo mi się o uszy. – Dalziel zerknął na zegarek.

Już wcześniej postanowił podjechać do taboru Cyganów, ale Middlefield o tym nie wiedział. Nie zaszkodzi wykorzystać tego faktu; może przyjsć taki moment, że będzie się chciał upomnieć u Middlefielda o przysługę.

– Mam teraz wolną chwilę, zaraz się tym zajmę.

– Naprawdę? Porządny z ciebie człowiek. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Andy. Często powtarzam, że gdyby ludzie tacy jak ja i ty zarządzili tym krajem, szybko byśmy go wyprowadzili na prostą!

Mercedes oddalił się z cichym pomrukiem silnika.

Dalziel uśmiechnął się i pomachał Middlefieldowi. Rządzić Anglią ze szwabskiego samochodu! Niełatwo było zrobić z Dalziela liberała, ale Middlefield bardzo się starał.

– Wal się – powiedział Dalziel.

– Słucham? – zdziwił się stojący obok strażnik.

– To nie do pana – burknął podinspektor, ładując się do samochodu. – Chociaż, jak się tak nad tym zastanowić... – Zamknął drzwi. – Czemu nie?

Aeroklub wyglądał na opustoszały, ale kiedy Dalziel próbował zajrzeć przez okno do jego siedziby, za plecami usłyszał czyjś głos, uprzejmie dopytujący się, czego tu szuka.

Nie lubił być w ten sposób zaskakiwany i szykował się do bardzo nieprzyjemnej odpowiedzi – dopóki się nie odwrócił i nie zobaczył mężczyzny w dresie i sportowych butach, które wyjaśniały tajemnicę bezszelestnego podejścia.

– Policja – odparł, błyskając legitymacją.

– W sprawie włamania? Jestem Greenall, GIL. .

– Że jak?

– Główny instruktor lotniczy. Prawdę mówiąc... – Greenall uśmiechnął się. – Jedyne

inspektor lotniczy. Mam pomocnika, nazywa się Roger Minstrel, ale chwilowo go nie ma; robi dodatkowe kursy. I wszystko spadło na mnie, włącznie z obsługą klientów przy barze, kiedy nasza barmanka się spóźni albo ma za duży ruch. Napije się pan czegoś? Gorąco jest.

Mówiąc, otworzył drzwi klubu i wpuścił Dalziela do środka. Opinia inspektora na jego temat, mocno nadszarpnięta widokiem dresu (Dalziel nienawidził biegaczy), po tej propozycji bardzo zwyżkowała.

– Ładnie tu – powiedział, przełknąwszy pierwszy solidny łyk whisky.

– Pan tu pierwszy raz?

– Niewiele jest w okolicy knajp z alkoholem, których bym nie znał; tu po prostu byłem wieki temu. Od tamtej pory nieźle odpicowaliście to miejsce.

– To fakt. Wszystkie takie kluby zarabiają głównie na imprezach towarzyskich. Jeśli prowadzenie klubu ma się opłacać, wieczorem musi być w nim tłum.

– Jakoś nie jest pan tym zachwycony...

– Jestem lotnikiem. Odszedłem z RAF-u, ale chciałem pozostać w branży. A prowadzenie dyskotek dla nastolatków ma niewiele wspólnego z lotnictwem.

– Myślałem, że tacy jak pan latają na starość jumbo jetami, koszą grubą kasę i zabawiają stewardesy, żeby potem się ładnie uśmiechały w reklamach.

– Ja odszedłem po zawałeniu badań lekarskich – odparł Greenall, sącząc sok grejpfrutowy. – A normy zdrowotne dla pilotów cywilnych są tak samo rygorystyczne. Zostały mi już tylko lekkie samoloty i szybowce.

Dalziel przeniósł wzrok ze szklanki z sokiem na dres.

– Dla mnie jest pan zdrowy jak koń.

– Żyję nadzieją. Trochę biegam, pijam soczki... Przy odrobinie szczęścia może jeszcze uda mi się wrócić do prawdziwego latania.

– Nie lubi pan szybowców?

– Nie o to chodzi, szybowce są w porządku. Są zupełnie inne. Gorzej jest z tymi małymi samolotami: człowiek się czuje, jakby z pancernika przesiadł się do pontonu z wiosłami.

– Przynajmniej wolniej latają. Można podziwiać widoki.

– To prawda. I pewnie w policji to byłaby zaleta. Chociaż i tak helikoptery są lepsze. Ale gdyby chciał się pan przelecieć, proszę dać mi znać.

Dalziel uśmiechnął się na myśl o nieprawdopodobieństwie takiej prośby i dopił drinka.

– Możemy obejrzeć szkody? – zaproponował.

Do magazynu włamano się przez kwadratowe okienko, szerokie najwyżej na osiemnaście cali.

– Wasz posterunkowy sądził, że to jakieś dzieciaki. Włamywacze zabrali dosłownie kilka butelek, w sam raz tyle, ile mogło unieść dwóch małych. Podjechał potem do obozu Cyganów, ale oczywiście nic tam nie znalazł.

– Oczywiście?

– Podejrzewam, że oni tam świetnie umieją chować różne rzeczy.

– Słyszałem, że mewacie tu z nimi czasem kłopoty. A przynajmniej z ich żywym inwentarzem.

Greenall uśmiechnął się i przecesał włosy palcami. Nie wyglądał na swoje czterdzieści lat.

– Słyszał pan o panu Middlefieldzie? Bardzo się zezłościł. Właściwie, nawet miał rację, to mogła być bardzo niebezpieczna sytuacja. To się zdarza, takie włóczące się samopas konie, ale pierwszy raz omal nie doszło do wypadku.

Wyszli z klubu i spojrzeli w kierunku odległego taboru.

– Pogadam z nimi – zapowiedział Dalziel. – Dam radę przejść przez ten płot, nie robiąc sobie krzywdy?

– Nie ma w nim furtki, jeśli o to pan pyta. Ale dzieci i kuce przełazą bez problemu.

Dalziel spojrzał znacząco na swój pokaźny brzuch.

– Nie jest to ucho igielne, mam nadzieję?

– Nie. I po drugiej stronie też nie spodziewałbym się Królestwa Niebieskiego.

Mimo to widok roztaczający się z trawiastego terenu lotniska miał w sobie coś sielskiego. W taborze stały tylko dwa tradycyjne drewniane, jaskrawo malowane wozy cygańskie, ale nawet nowoczesne przyczepy prezentowały się niezgorzej, lśniąc w porannym słońcu. Panował spokój, smuga dymu pięła się prawie pionowo w niebo w nieruchomym powietrzu, w cieniu wozów drzemało pół tuzina psów. Kuce się pasły. Troje dzieci mocowało się na trawie. Gdzieś z większej odległości dobiegały głosy innych bawiących się maluchów.

Dopiero z bliska można było docenić otaczający wozy śmietnik.

– To tutaj – powiedział Greenall, odginając siatkę w miejscu, gdzie została oderwana od jednego z podtrzymujących ją słupków.

– Dziękuję. Nie idzie pan ze mną?

– Raczej nie. To znaczy, jeśli coś pan znajdzie, to oczywiście może pan liczyć na moją współpracę, ale nie chcę się tu pokazywać z kolejną skargą. Bywają nieznośni, to fakt,

ale przecież też mają prawo żyć, prawda? Przynajmniej starają się być wolni. Trzeba ich za to podziwiać.

– Wolni? Widywałem więzienia, które wyglądały lepiej niż ten tabor.

Dalziel oddalił się nieśpiesznie, z miłą świadomością, że liberalizm Greenalla pomógł mu odzyskać polityczną równowagę zakłóconą wcześniej ekstremizmem Middlefielda.

Psy i dzieci śledziły go wzrokiem, gdy zbliżał się do wozów, nigdzie jednak nie widział dorosłych. Nie próbował się skradać, ale jak na człowieka o takiej tuszy potrafił stąpać bardzo lekko i kiedy wślizgiwał się między dwa blisko stojące wozy, bawiła go wizja grubego mieszcza zakradającego się niepostrzeżenie do obozowiska tych synów natury.

Przynajmniej dopóki ktoś nie złapał go od tyłu, przyszpilając mu ramiona do tułowia, i nie pchnął na ścianę wozu z takim impetem, że cały pojazd się zachybotał.

– Węszyc ci się zachciało, skurwielu? – usłyszał Dalziel głos przy lewym uchu. – W co ty sobie pogrywasz, grubasie jeden?

Głos rozbrzmiewał stanowczo zbyt blisko. Dalziel szarpnął masywną jak kula armatnia głową w lewo. Dało się słyszeć ohydne młaśnięcie, gdy kość zderzyła się z ciałem i przytrzymujące go ręce zwiotczały. Zrzucił je i odwrócił się do krępego, śniadoskórego mężczyzny.

– Jestem policjantem – uprzedził. – A ty?

Mężczyzna rzucił się na niego.

Cóż, pomyślał Dalziel, ostrzegalem. Wyrznął intruza pięścią w brzuch. Jeden cios w zupełności by wystarczył, ale dla pewności poprawił jeszcze raz w to samo miejsce, po czym cofnął się o krok i czekał, aż tamten wykaże gotowość do rozmowy.

– Zapytam jeszcze raz – powiedział w końcu. – Kim jesteś?

– Walnąłeś mnie w brzuch! – wykrztusił intruz.

– Nazwisko!

– Lee. Dave Lee.

– Mogłem się domyślić. Ty chyba po prostu lubisz bić policjantów. To twoje hobby?

– Nie wiedziałem, że jest pan z policji. Myślałem, że to następny z tych szpiegów, co to ich nasyła miasto.

– To znaczy, że napadanie na urzędników miejskich jest w porządku? Może to i racja. To twój wóz? Zajrzyjmy sobie do niego.

Dalziel wspiął się po schodach, otworzył drzwi i wszedł do środka. Na środku wąskiej przestrzeni mieszkalnej stała kobieta w nieskromnej halce. Dalziel udał, że jej nie widzi, i rozejrzał się po wnętrzu wozu. Pachniało potem, tytoniem i seksem, ale było

schludnie i czysto. Na podłodze leżał dywan w intensywnych kolorach. Dwa duże lustra z rżniętego szkła w ozdobnych ramach dawały złudzenie większej przestrzeni – chociaż jedno z nich było prawie w całości przesłonięte przez mahoniową gablotkę, w której wystawiono przedziwną mieszaninę tradycyjnie malowanej porcelany, kryształowych mis, waz i pucharów oraz drobiazgów wykonanych najprawdopodobniej ze srebra.

– A to kto, do cholery? – zdziwiła się kobieta.

– Pani Lee? – spytał Dalziel takim tonem, jakby dopiero teraz ją zauważył. Bez pośpiechu prześliznął się wzrokiem od nieco obwisłych piersi, wyraźnie widocznych przez halkę, w górę, aż do twarzy, którą z lewej strony szpecił blednący siniak. – Śliczne – powiedział. – Pasujecie państwo do siebie.

Za jego plecami Lee burknął coś gniewnie (zapewne po romsku, jak domyślił się Dalziel). Kobieta wycofała się do sypialni i zaczęła ubierać, a inspektor zaczął myszkować po przyczepie, otwierać szafki i szuflady, zaglądać pod poduszki i za firanki.

– Czego pan chcesz? – zirytował się Lee.

– Bałem się, że już nie zapytasz, Dave – odparł wesoło Dalziel. – Szukam kradzionego towaru. Nie mam nakazu rewizji, więc radzę ci brykać stąd i biec po prawnika.

– Jakiego kradzionego towaru? – zainteresował się Lee.

– Gorzały z wczorajszego włamania do aeroklubu.

Lee zaśmiał się chrapliwie.

I chyba z odrobiną ulgi, prawda? – pomyślał Dalziel.

– Nie ma tu żadnej kradzionej gorzały. Możesz pan szukać do woli.

Dalziel cofnął się w stronę wejścia i stanął przed gablotką.

– Wierzę ci, Dave. Masz za duże brzuszysko, żeby przeleźć przez tamto okienko. Nawiasem mówiąc, powinieneś bardziej pilnować wagi; kiedy cię uderzyłem, mało mi pięść nie ugrzęzła w tłuszczu. Ale, ale... Ładne rzeczy tu macie. To jest ten cygański bank, jak to nazywacie? Pewno wart fortunę. Dobra inwestycja. Urząd podatkowy się nie czepia.

Otworzył gablotkę i wziął z półki srebrną patere.

– Chwila... Jak pan powiedziałeś? Jaki masz pan stopień?

– Podinspektor, wydział śledczy.

– I szukasz pan paru flaszek?! – powiedział z niedowierzaniem Lee. – Ej, proszę uważać!

Dalziel omal nie upuścił szklanego pucharu.

– Przepraszam – powiedział. – Cwany jesteś, Dave, że to zauważyłeś. Domyślałam się, że w twoim fachu trzeba być cwany... Obojętne co to za fach. Ja mam tak samo. Staram się

wyłapywać to, co nie pasuje. I powiedziałbym, że to tutaj nie pasuje. Ale nie jestem ekspertem.

Wziął do ręki zwykły kamienny garnek stojący w głębi najwyższej półki.

– Łapy precz, psie! – zaprotestował Lee. – Sam żeś powiedział, że nie masz nakazu, więc zabieraj te swoje łapska, spadaj stąd i wróć z nakazem.

Dalziel otworzył garnek.

– Mąka – stwierdził. – I to taka prawdziwa. Nie to, co te nowoczesne świństwa, z których wyplukali wszystko, co dobre. – Nabrał garść proszku i powąchał. – Co za zapach...

Kobieta – już ubrana – przyglądała mu się z całkowitą obojętnością. Wyciągnął do niej rękę z mąką, a kiedy odwróciła wzrok, rozpostarł dłoń i mąka przesiała mu się przez palce na dywan.

– Prawdziwa, dobra mąka... – powtórzył, nabierając drugą garść. – Ale chyba nie jest aż tak cenna, żeby ją trzymać razem z rodzowymi srebrami? Hmm, Dave?

Zawartość drugiej garści poszła w ślady pierwszej.

Dalziel sięgnął do garnka po raz trzeci.

– A to co? Czyżby się zbryliła?

Wyciągnął rękę, w której trzymał pozłacany męski zegarek na elastycznej bransoletce. Starannie zdmuchnął oblepiającą go mąkę.

– No proszę, chodzi. Całkiem jak w reklamie, co?

Znów włożył rękę do gara. I znów wyjął.

Tym razem miał w niej ciasno zrolowany zwitek pięcioletnich banknotów.

Odłożył go obok zegarka.

I jeszcze raz.

– To chyba wszystko... Chociaż nie, czekajcie... Byłbym to przegapił.

„Tym” był złoty sygnet. Dalziel wsunął go na serdelkowaty mały palec i obejrzał z podziwem.

– Piękny. Pracowałem kiedyś w prewencji, Dave. Do moich obowiązków należało upominanie ludzi, żeby nie zostawiali cennych przedmiotów w głupich miejscach. To chyba są wasze cenne przedmioty?

Pan i pani Lee spojrzeli po sobie.

– Pierwszy raz je widzę – powiedziała ona.

– A ty, Dave?

Dave zaklął paskudnie i nic nie powiedział, dziko strzelając oczami na boki.

– Zgadza się, chłopcze – przytaknął pogodnie Dalziel. – Przyszedłem sam i mógłbyś

próbować mnie obić, ale myślałem, że tę sprawę już sobie wyjaśniliśmy. Możesz też próbować uciec, a wtedy albo cię dorwę i złamię ci nogę, żebyś mi tu więcej nie biegał, albo wezwę naszych chłopaków, którzy złapią cię i połamią obie nogi. Dlatego najlepiej zrobisz, jeśli wybierzesz się ze mną na spacer do aeroklubu i po drodze opowiesz mi o tych waszych wałęsających się kucach.

– Ja nic nie zrobiłem!

– Nikt nic nie zrobił – powiedział spokojnie Dalziel, zawijając znalezione skarby w kocyk barwy khaki, który u niego pełnił funkcję chusteczki do nosa. – Idziemy. Ty też, kochaniutka.

Dzieci przerwały zabawę i obserwowały przechodzącą trójkę. Dalziel uśmiechnął się do nich, wyjął z kieszeni garść miedziaków i cisnął je w powietrze. Dzieciaki rzuciły się z wrzaskiem na nie i na siebie nawzajem. Większość zgarnął jeden chłopak, dobre piętnaście funtów cięższy od pozostałych.

– Takie jest życie – mruknął filozoficznie Dalziel.

Greenall spojrział z pewnym zdziwieniem na kolegów, których Dalziel przyprowadził do aeroklubu.

– Ci dwoje włamali się do baru?

– Być może – odparł inspektor.

– Jest pan pewien? On by się raczej nie zmieścił w oknie, a i ona musiałaby się nieźle postarać, żeby się wcisnąć.

– Coś na pewno przeszkrobali – rzucił obojętnym tonem Dalziel. – Nie ma niewinnych Cyganów. Mogę skorzystać z pańskiego telefonu?

Kazał państwu Lee zaczekać w barze, a sam poszedł do biura. Kiedy stamtąd wyszedł, sekretarz powitał go wyjątkowo skwaszoną miną.

– O co chodzi?

– Długo zamierzacie tu siedzieć?

– Nie, a co?

– Dochodzi dwunasta. Niedługo przyjdą pierwsi członkowie klubu.

– No i? Ach, już rozumiem. Chodzi o Cyganów. Ale wydawało mi się, że nie ma pan nic przeciwko nim, panie Greenall. Takie wolne duchy...

– Przystają być wolni, kiedy się ich aresztuje – zauważył lodowato Greenall.

– Coś w tym jest... Proszę się nie martwić, zaraz ich stąd zabiorą.

– Kto ich zabierze? Nie odwiezie ich pan osobiście?

– Mowy nie ma. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż szoferowanie parze

druciarzy. Zamknijcie ich pod kluczem, a ja w dogodnej chwili się nimi zajmę.

– Tak chyba nie można? – zaproponował Greenall.

– Można i tak właśnie zrobię. Na pewno nie puszczę ich, żeby poszli się wyżalić adwokatowi. Z Cyganami tak jest, że czasem dwie godziny w celi potrafią zastąpić cały dzień przesłuchiwania.

Greenall skrzywił się z niesmakiem i wyszedł.

Dalziel dosiadł się do siedzących przy barze Lee.

– Coście tacy smętni? – zagadnął.

– Mówi, że brzuch go boli po tym, jak go pan uderzył – powiedziała kobieta.

– Ty mu lepiej powiedz, żeby nie jadł tyle jeży – odparł Dalziel, ale wszedł za bar i nalał Dave'owi dużą brandy.

Radiowozy przyjechały w tym samym momencie, co Bernard Middlefield, którego wzburzenie na widok dwojga Cyganów w barze tylko w niewielkim stopniu osłabiła informacja, że zostali aresztowani.

– Najwyższy czas – mruknął. – Areszt policyjny to jedyna część tego miasta, w której będą mile widziani.

Pani Lee powiedziała coś do męża – szybko, po romsku.

– Słucham? – zainteresował się Dalziel.

– Mówi, że ten pyskacz lubi się włóczyć nad rzeką, gdzie kąpią się dzieci, i próbuje im płacić, żeby go pomacały.

Twarz Middlefielda zmieniła kolor do tego stopnia, że Dalziel nie mógł się powstrzymać przed ostrzeżeniem go:

– Uwważaj, Bernardzie, bo jak ci tak zostanie, będziesz musiał wystąpić z klubu golfowego.

Drugie, bardziej niebezpieczne spotkanie nastąpiło, kiedy wydawał polecenia posterunkowym z radiowozów. Jednemu z nich wręczył pożyczoną z kuchni Greenalla plastikową torebkę, do której przełożył obtoczone w mące znaleźiska.

– Do laboratorium – powiedział. – Chcę o nich wiedzieć wszystko. Na wczoraj.

Drugi posterunkowy prowadził państwa Lee do samochodu, kiedy pod klub zajechała jasnoniebieska lancia, z której wysiadły Thelma Lacewing i Ellie Pascoe.

Thelma miała na sobie cienki bawełniany kostium w kolorze kremowym, z szarym deseniem z liści, który nijak nie powinien pasować do jej karnacji – a mimo to prezentował się doskonale. Zmarszczyła brwi na widok radiowozów i minęła Dalziela bez słowa.

– Cześć, Andy – przywitała się z nim Ellie, cała spocona w obszernej koszuli, która

już chyba nie mogłaby bardziej opiąć się jej na brzuchu. – Sprawdzacie licencje pilotów?

– Cześć, Ellie. – Dalziel się rozpromienił. – Świetnie wyglądasz. Niektóre kwiaty najlepiej wyglądają w pączku. Czyżby kolejny obiadek biznesowy?

– Jak to kolejny?

– Peter opowiadał mi o tym poprzednim. Dobrze, że powiedziałaś nam o pani Wildgoose. Jeszcze zrobimy z ciebie kapusia.

Ellie rozejrzała się zaniepokojona, ale Thelma zdążyła się już oddalić poza zasięg głosu i rozmawiała z Greenallem.

– Nie, tym razem to nie interesy. Thelma wpadła po mnie bez zapowiedzi. Ma dziś wolne popołudnie i pomyślała, czyby się nie przelecieć.

– Ach tak? – Dalziel spojrzał na Ellie pytająco. – A ty? Nie korci cię, żeby też polatać?

– Może... A co?

– W twoim stanie? Peter wie?

– Posłuchaj, Andy, moje zajęcia to moja sprawa – odparowała urażona Ellie. – Sama podejmuję decyzje. Jestem dużą dziewczynką.

– O to mi właśnie chodziło.

Powrót Thelmy Lacewing uniemożliwił im dalszą dyskusję.

– Czy tym ludziom, których odsyła pan na komisariat, panie inspektorze, postawiono jakieś zarzuty? – spytała swym cichym, przesadnie precyzyjnym głosem.

Dalziel podrapał się po szyi, mrugnął porozumiewawczo do Ellie, (która odwróciła się tyłem, udając, że nie widzi tej konspiracyjnej próby nawiązania kontaktu) i odparł:

– Nie, panno Lacewing, nie przedstawiono.

– A zamierzacie to zrobić?

– Państwo Lee pomagają nam w śledztwie, którego wyniku nie jestem w stanie w tej chwili przewidzieć – odparł Dalziel z zamierzoną nutą autoparodii w głosie.

– Dopóki nie zostaną przesłuchani, tak?

– Otóż to.

– Przez pana?

– Nie inaczej.

– Kiedy chce pan to zrobić?

Dalziel spojrzał tęsknie w stronę klubu, ale Greenall gdzieś zniknął.

– Po obiedzie. Dobrze tu karmią?

– Proszę nie zmieniać tematu, inspektorze. W jakiej sprawie chce ich pan

przesłuchać?

– W nocy było włamanie do baru. Pani przyjaciel pani nie powiedział?

– Słyszałam o tym, zginęło kilka butelek. To chyba nie jest zajęcie dla kogoś na pańskim stanowisku. Mam rację?

– Ja tropię przestępców, a pani choroby dziąseł; żadne z nas nie może wybrzydząć. Ale właściwie skąd w ogóle to zainteresowanie? To są przecież brudne cygany, a pani mi nie wygląda na wagabundę.

Ellie aż się wzdrygnęła; Peter by nie uwierzył, gdyby mu o tym opowiedziała. Chociaż nie, niestety, mógłby uwierzyć.

– Nie lubię, kiedy ktoś nadużywa władzy – odparła Thelma. – Zwłaszcza władzy nad kobietą. Pańskie zachowanie zalatuje mi faszyzmem, rasizmem i seksizmem.

– Seksizmem na pewno nie – zaproponował przebiegle Dalziel. – Traktuję oboje jednakowo.

– Mam zaprzyjaźnioną panią adwokat. Adrienne Pritchard, zna ją pan może? Każę jej podjechać do panów na komisariat jeszcze dzisiaj, najszybciej jak będzie mogła. Zajmie stanowisko w sprawie niezgodnego z prawem zatrzymania państwa Lee i, jeśli sobie tego zażyczą, będzie ich reprezentowała.

– No i dobrze – ucieszył się Dalziel. – Jedna sprawa. z głowy. Ja tymczasem zjem sobie tutaj obiad. To chyba całkiem przyjemny lokal, prawda? Napiją się panie ze mną czegoś mocniejszego?

– Jako policjant powinien pan wiedzieć, że nie członkom nie sprzedaje się tu alkoholu – zauważyła oschle Thelma.

– Och, naprawdę? – Dalziel położył bochnowate dłonie na plecach Thelmy i Ellie i pchnął je leciutko w stronę wejścia. – W takim razie wy stawiacie, drogie panie. Dla mnie piwo.

Rozdział 14

Mark Wildgoose mieszkał w dzielnicy starych wiktoriańskich szeregowców, gdzie łatwiej znaleźć gniazdo studentów niż samotnego wykładowcę.

Chociaż, w czasie, gdy odwiedził go Pascoe, Wildgoose nie był wcale sam. Brodaty młodzian z anielskim uśmiechem wykierował komisarza na schody i Pascoe wszedł właśnie na pierwsze piętro, gdy otworzyły się drzwi i wyszła zza nich młoda dziewczyna, na oko nawet nie dwudziestoletnia. Odwróciła się do stojącego za jej plecami mężczyzny i pocałowała go na pożegnanie. Z jej strony był to gest zapamiętały, niemal ekshibicjonistyczny, natomiast mężczyzna cały czas wpatrywał się w Pascoe, który po pobieżnym obejrzeniu pozostałych dwojga drzwi na piętrze doszedł do wniosku, że stoi przed tymi właściwymi.

Dziewczyna zrobiła swoje, przemknęła obok niego i zbiegła po schodach z lekkością typową dla wszystkich młodych i radosnych.

Mężczyzna zaczął zamykać drzwi.

– Pan Wildgoose? – zapytał Pascoe.

Tamten skinął głową.

– Komisarz Pascoe, oto moja legitymacja. Możemy porozmawiać?

Wildgoose dokładnie obejrzał legitymację, po czym wprowadził Pascoe do pokoju, który kiedyś musiał pełnić rolę przedpołudniowego salonu i którego dystyngowane proporcje, niczym solidny kościec, z godnością zniosły spustoszenia poczynione przez czas, zaniedbanie i studenckie gusta. Znajdowały się w nim: nieposłane łóżko, porysowana mahoniowa szafa, dwa sfatygowane fotele, stół z niedojedzonym śniadaniem, trzy składane krzesła, umywalka i kuchenka elektryczna. Prowizoryczne regały – deski ustawione na ceglach – były obciążone książkami do granic możliwości. W kącie piętrzyła się piramida z książek, które nie zmieściły się na półkach.

Trudno to pewnie ogrzać w zimie, pomyślał Pascoe, podziwiając liściaste gzymsy pod sufitem. Teraz jednak w pokoju było ciepło, wręcz gorąco, duszno. W powietrzu mieszały się intensywne zapachy. Pascoe pociągnął nosem: kawa, pot, tytoń...

– Jest tu lekki zaduch – przyznał Wildgoose, otwierając okna na oścież.

Dziewczyna chyba właśnie wyszła przed dom, bo wychylił się i posłał jej całusa. Pascoe obserwował jego odbijającą się w szybie twarz.

– Chodzi o pańską działkę, panie Wildgoose – powiedział Pascoe, obserwując, jak

twarz gospodarza tężeje.

Kiedy jednak odwrócił się do komisarza, malowała się na niej wyłącznie ostrożna szczerłość; drobna, śniada, ruchliwa – taka twarz świetnie pasowałaby do wykonawcy francuskich ballad o życiu bez złudzeń, ale i bez niepotrzebnej rozpacz. Dzieci Wildgoose'ów odziedziczyły rysy raczej po ojcu niż po matce.

– Czy to nie pańską żonę miałem wczoraj okazję poznać?

– Na to wygląda.

– To zbieg okoliczności? – Brwi Wildgoose'a dodały do tych słów własny podwojony znak zapytania.

– Zbieg okoliczności? – powtórzył jak echo Pascoe. – Zabawna rzecz z tymi zbiegami okoliczności. Chociaż może wcale nie taka zabawna; zdarzają się częściej, niż myślimy... Za to rzadko się je zauważa.

– Nie rozumiem...

– A przecież jest pan nauczycielem angielskiego... – Pascoe się uśmiechnął. – To dopiero zbieg okoliczności, co? Że Brenda Sorby była pańską uczennicą?

– Brenda... jak?

– Sorby. Trzecia ofiara Dusiciela. Dziewczyna znaleziona na pańskiej działce była druga.

– To nie jest moja działka, panie komisarzu. I nie przypominam sobie, żeby Brenda Sorby była moją uczennicą, chociaż wcale nie wykluczam, że tak było, skoro pan tak twierdzi. To wszystko, jeśli chodzi o zbiegi okoliczności?

– Niezupełnie. Bywa pan w „Cheshire Cheese”, prawda?

Wildgoose usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Zamyślił się. Dym miał być dla niego maską.

– Zdarza mi się – przytaknął.

– A w lunaparku, panie Wildgoose? Był pan w tym roku na jarmarku?

– Tak. Zawsze tam chodzę. Uwielbiam wesołe miasteczka.

– Kiedy ostatnio pan tam był?

– W zeszłym tygodniu. W czwartek wieczorem, jeśli chce pan koniecznie wiedzieć.

Wildgoose się uśmiechnął, czym zirytował Pascoe, który nie bardzo mógł mieć do niego pretensję, że postanowił podjąć narzuconą przez gościa grę.

– A dwa dni temu, w środę? W porze obiadowej?

– Byłem na spacerze – odparł Wildgoose po chwili zastanowienia. – Tak mi się wydaje.

– Sam?

– Chyba tak.

– Gdzie pan spacerował?

– Tu i tam... Różnie, głównie nad rzeką. Tam jest prześlicznie, prawda?

– Czyli był pan w Charter Park.

– Tamtędy właśnie płynie rzeka, panie komisarzu. Jakież ciekawe zbiegi okoliczności?

Twardy jest! – pomyślał Pascoe. W dodatku mnie przedrzeźnia. Ale na początku trafiłem w jakiś czuły punkt... Od czego zaczęliśmy?

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Wildgoose, chciałbym obejrzeć pańską działkę – wypalił Pascoe.

Lepiej. Na twarzy Wildgoose'a przez ułamek sekundy znów odmalowało się napięcie.

– To jałowa ziemia, panie komisarzu – odparł niefrasobliwie. – W tym roku nie poświęcałem jej wiele czasu, właściwie nawet nie jestem pewien, czy jeszcze do mnie należy. Chyba spóźniłem się z opłatą za dzierżawę.

– Mimo to, chętnie bym ją obejrzał. Przejedziemy się?

Wildgoose wstał, prząc agresywnie mięśnie.

– Skąd ma pan mój adres? Rozmawiał pan z moją ekszoną, panie Pascoe?

– Chyba jeszcze nie „eks”? Zdaje się, że na razie nie macie rozwodu?

– Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu. Bez względu na to, co ona o tym myśli.

Nawet prawa odwłoka nie może trwać wiecznie.

– „Prawa odwłoka” – powtórzył Pascoe. – To z *Hamleta*, prawda?

– Być może. A co?

– Zbieg okoliczności, nic więcej.

Wildgoose zaśmiał się, odpreżył i narzucił bawełnianą kurtkę na koszulkę (inną niż ta, o której opowiadała Ellie – chyba, że włożył ją na lewą stronę).

– Połowa angielskich powiedzonek pochodzi z Shakespeare'a – powiedział. – A z tej drugiej połowy większość jest z Pope'a. To pewnie niezbyt cenny zbieg okoliczności?

– To właśnie mówię o zbiegach okoliczności od samego początku. Nieprawdaz? – Jechali najkrótszą drogą w kierunku Pump Street. – Dlaczego nie unosi się pan gniewem, panie Wildgoose?

– A dlaczego miałbym to robić?

– Na przykład, dlatego że, jak się pan słusznie domyśla, rozmawiałem o panu z

pańskimi bliskimi. Coś takiego rozdrażniłoby wielu ludzi. A już niemal każdy mężczyzna wściekłby się na wieść o tym, że policja próbuje go powiązać z morderstwami dokonanymi przez Dusiciela.

– Sam Dusiciel też?

– Może zwłaszcza sam Dusiciel.

– W takim razie może właśnie dowodzę swojej niewinności, panie komisarzu – odparł spokojnie Wildgoose. – Proszę tu skrócić, ominiemy światła.

Pump Street biegła pomiędzy dwoma długimi ciągami szeregowców. Jedną stronę zabudowano w połowie dziewiętnastego wieku, żeby osiedlić tam pracowników kolei, drugą – nazywaną „Nową”, mimo że wyglądem niczym nie różniła się od „Starej” – postawiono około dziesięciu lat później dla celów komercyjnych, gdy popyt na tanie domy w tej okolicy mocno się nasilił. Tym, co czyniło ulicę oryginalną, a nawet, można by rzec, piękną, był specyficzny przekrój terenu, który sprawił, że najłatwiej budowało się domy na łuku. Takiej zabudowy nie powstydziliby się nawet londyński Park Crescent. Działki rolne znajdowały się w miejscu, w którym łuk Nowej Strony został przerwany, gdy pewnej pamiętnej nocy w 1941 roku dornier z całym ładunkiem bomb runął z nieba i zmiotł z powierzchni ziemi sto jardów domów oraz trzydzieścioro dziewięcioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Wojna nie sprzyjała odbudowie, z czasem jednak teren został uprzątnięty, a następnie obsadzony warzywami przez okolicznych mieszkańców, którzy nie mieli własnych ogródków, a chcieli jakoś uzupełnić braki w pożywieniu. Kiedy zaczęły się mnożyć zarzuty o bezprawne zagrabienie ziemi, do akcji wkroczyło miasto i rozsądziło spór. Wszystko szło ustalonym torem przez ponad trzydzieści lat, aż do niedawnego czerwcowego poranka, kiedy to Pump Street pochłonęła czterdziestą ofiarę śmiertelną.

Dwaj albo trzej starsi jegomości, którzy akurat pracowali na swoich działkach, z nieskrywaną ciekawością śledzili wzrokiem Pascoe i Wildgoose’a, gdy ci skierowali się w stronę kawałka ziemi uprawianego przez tego drugiego. Zaniedbana działka rzeczywiście prezentowała się mizernie, chociaż wcale nie gorzej od tuzina innych.

– Jesteśmy na miejscu – obwieścił Wildgoose. – Jeśli szuka pan mojego pomnika, wystarczy się rozejrzeć.

Pascoe przykucnął i dotknął zrytej ziemi. Sterczały z niej jeszcze jakieś ziemniaki, rozwichrzona nać marchwi, coś, co przypominało szpinak...

– Co tu się stało?

– Dwa lata temu wydawało mi się, że to świetny pomysł. Samowystarczalność. Męska menopauza.

– Nie za młody pan na menopauzę?

– Mam cztery dychy na karku; na szczęście znam dobrego krawca. Poza tym, męska menopauza nie ma nic wspólnego z wiekiem i zmianami fizycznymi. To kwestia poszukiwania sensu w życiu.

– I co? Znalazł pan coś bardziej sensownego?

– Wciąż szukam.

Pascoe też szukał. Zdezelowana szopa, w której znaleziono ciało June McCarthy, znajdowała się dwadzieścia pięć jardów od nich. Właśnie wyszedł z niej mężczyzna z kubłem w jednej i widłami w drugiej ręce. Starannie, oszczędnymi ruchami, z praktyką zrodzoną z wieku i doświadczenia zaczął wykopywać ziemniaki. Był to pan Ribble, właściciel szopy i jedyny działkowiec, z którym Pascoe rozmawiał osobiście. Dobiegał siedemdziesiątki i odkrycie zwłok przyjął z obojętnością, którą – częściowo – wyjaśniło dopiero odkrycie, że ma raka jelit i już w tej chwili przeżył rokowania lekarzy o półtora roku.

Pascoe odwrócił się do Wildgoose'a. Ciekawe, pomyślał chłodno, jak taka diagnoza wpłynęłaby na jego poszukiwanie sensu.

– Widzę, że zamyka pan cieplarnię na kłódkę. Aż tak się pan boi o pomidorki?

– Niewiele w niej uprawiam, głównie trzymałem tam narzędzia. Stała już na działce, kiedy ją wydzierżawiłem. Właścicielowi się zmarło, stary już był, a ja uznałem, że wypada wdowie zapłacić za nią parę groszy. Chce pan na nią zerknąć?

Wildgoose zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu klucza, a Pascoe przez ten czas oglądał szklarnię od zewnątrz. Była to ewidentna samoróbka, raczej przebudowana szopa ogrodnicza niż cieplarnia z prawdziwego zdarzenia, obłożona płytami z przezroczystego plastiku, który miał tę przewagę nad szkłem, że był znacznie mniej kruchy. Rzucane przez dzieciaki kamienie nie wyrządzały mu wielkich szkód. Widoczne w dwóch miejscach ukruszenia i pęknięcia łatwo dało się załatać przezroczystym przyklepcem.

Wildgoose znalazł w końcu klucz i otworzył kłódkę na drzwiach. Pascoe puścił go przodem.

Pani Wildgoose nie miała racji: plastik wprawdzie zniekształcał obraz, ale patrząc przez niego, z pewnością można było rozróżnić kształty i sylwetki, toteż kopulacja w takim miejscu wymagałaby chyba albo niepowstrzymanej chuci, albo skrajnego ekshibicjonizmu. Nie odrzucał takiej możliwości, ale wątpił, żeby któryś z podstarzałych ogrodników nie opisał ze szczegółami takiego procederu w rozmowie z sierżantem Bradym.

W środku było gorąco i duszno. W jednym kącie rdzewiał wbity w ziemię szpadel, w

drugim złamana motyka. Drewniana półka ugięła się pod ciężarem glinianych doniczek, w których nic nie rosło, chociaż z mumifikowane szczątki jakichś niemożliwych do rozpoznania roślin tłoczyły się smutno na składanej tacy. Drewniana podłoga zaczynała próchnieć w kilku miejscach; jedno z nich, wyjątkowo przeżarte próchnicą, było przesłonięte dwoma jutowymi workami. Obok leżał foliowy wór z resztkami jakiegoś nawozu.

Ten widok podrażnił pamięć Pascoe: po zbadaniu w laboratorium ubrania June McCarthy znaleziono na nim między innymi ślady torfu i innej włóknistej materii organicznej, stosowanej w ogrodnictwie – a więc dokładnie takich substancji, jakie można znaleźć w szopie działkowca.

Ciekawe, czy ktoś sprawdził, czy jedno i drugie na pewno pochodziło z szopy pana Ribble'a.

Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Wildgoose zabił June u siebie w cieplarni, a następnie przeciągnął jej ciało do odległej o dwadzieścia pięć jardów szopy. Był wtedy wprawdzie wczesny poranek, ale już dawno po świcie.

Tylko, że na bezrybiu i rak ryba.

Pascoe sięgnął po worek po nawozie – i uśmiechnął się z zachwytem i niedowierzaniem na widok nalepki z ceną, która uparcie trzymała się brudnej folii. Widniała na niej nazwa dostawcy. Centrum Ogrodnicze Linden.

Ostrożnie wziął worek do ręki.

– Dużo pan tego zużywa?

– Na początku w przyływie entuzjazmu używałem wszystkiego, co mi wpadło w ręce: sadza, krew, koński nawóz, wodorosty... Czemu pan pyta?

– Gdzie się pan zaopatruje w takie towary?

– Wszędzie, gdzie mnie nogi poniosą: sklepy ogrodnicze, stragany, u Woolwortha... Tam to mają nawet niezły asortyment.

– W centrach ogrodniczych też? Na tej naklejce jest napisane „Centrum Ogrodnicze Linden”.

– Nie pamiętam. A to ważne?

– To jest przy East Coast Road. Cztery, pięć mil za miastem.

– Przykro mi, naprawdę sobie nie przypominam. A poza tym wydaje mi się, że to wszystko już tu było, kiedy wydzierżawiłem działkę. Tylko niech mi pan nie mówi, że to jakaś ważna poszlaka!

Jak na bystrzaka wyczulonego na wszelkie insynuacje, w tej kwestii zachowuje się wyjątkowo głupio, pomyślał Pascoe.

– Pozwoli pan, że to zabiorę.

– Poproszę pokwitowanie – zakpił Wildgoose. – Dorzucę parę starych doniczek gratis.

Pascoe odkrył, że worek jest dziurawy i przez otwór sypią się resztki nawozu. Wziął jeden z jutowych worków i wrzucił ten plastikowy do środka.

– Chodźmy – powiedział.

– Dokąd?

– Jak to? Podrzucę pana do domu, panie Wildgoose. Chyba, że ma pan inne plany?

– Nie, tak będzie najlepiej – zgodził się Wildgoose, z trudem maskując ulgę w głosie.

Po drodze zatrzymali się przy budce telefonicznej.

– Sprawdzę, co zaplanował dla mnie szef – wyjaśnił zrzędliwie Pascoe.

Później podjechali jeszcze po papierosy, a na koniec utknęli za wlokącym się piętrowym autobusem.

– Przepraszam, że zająłem panu tyle czasu – powiedział Pascoe, gdy wysiedli przed domem Wildgoosea.

– To była dla mnie przyjemność. Spotkamy się jeszcze?

– Kto wie? W świecie zbiegów okoliczności nie ma rzeczy niemożliwych.

Pascoe odprowadził wzrokiem Wildgoose'a dziarsko przeskakującego stopnie w drodze do drzwi wejściowych i dopiero wtedy spojrzał na drugą stronę ulicy, żeby się upewnić, że jego wydane przez telefon polecenie zostało wykonane: posterunkowy Preece pomachał mu leniwie ze zdezelowanego volkswagena garbusa. Wyglądał, jakby miał zaraz zasnąć; Pascoe miał nadzieję, że udaje.

Skręcił za róg, zatrzymał się i czekał. Minęły dwie minuty, zanim drzwi wozu otworzyły się i Preece wśliznął się do środka. Nadal wyglądał na zmordowanego.

– W porządku? – zapytał Pascoe.

Preece podał mu kasetę z filmem.

– Zrobiłem z pół tuzina, któreś powinno być dobre. Mam tu jeszcze posiedzieć, panie komisarzu?

– Byłoby dobrze. Chcę wiedzieć, dokąd chodzi i z kim rozmawia.

– Na tyłach tych szeregowców jest druga uliczka – zauważył nieśmiało Preece.

– Przykro mi, jesteś zdany tylko na siebie. Możesz albo mieć nadzieję, że wyjdzie od frontu, albo być w dwóch miejscach naraz. Postaraj się. To znaczy, nie zgub go. I jeszcze jedno, Preece: nie przeszkadza mi, że nie śpisz w swoim łóżku, ale na przyszłość sypiaj przynajmniej o właściwych porach, hmm? No, baw się dobrze.

Preece skinął głową i wysiadł.

Chryste Panie! – pomyślał, oddalając się. Może i jest uprzejmiejszy od Dalziela, ale palant z niego taki sam!

Pascoe postanowił obejść normalną drogę służbową i podjechać prosto do laboratorium. Na wskroś nowoczesne laboratorium napełniało nadinspektora taką dumą, że chętnie pomijał fakt, iż z braku miejsca w gęsto zabudowanym centrum trzeba je było wybudować dość daleko od siedziby policji. Uruchomiono więc specjalne połączenie wahadłowe i wskazano je wszystkim funkcjonariuszom jako jedyną możliwość kontaktu między komendą i laboratorium.

Dlatego też oficer dyżurny – Harry Hopper, jowialny grubasek – powitał Pascoe lodowatym spojrzeniem.

– Wiesz, że to wbrew przepisom.

– O rany, naprawdę? Przepraszam, Harry. Masz rację. Powinieneś to zgłosić mojemu przełożonemu, czyli Andy'emu Dalzielowi. Przyjmę każdą karę.

– Nie musisz mi od razu grozić – burknął Hopper. – O co chodzi?

Pascoe podał mu kasetę z filmem.

– Wywołajcie to i zróbcie po dwie odbitki z każdej klatki. – Wręczył Harry'emu wór z nawozem. – A to trzeba przebadać. Poczekam na zdjęcia, o ile nie zajmie wam to za wiele czasu, a wiem, że nie zajmie. Przez ten czas znajdź mi akta sprawy June McCarthy i wyniki badań z szopy, w której ją znaleźli. Będę miał jakieś zajęcie, zamiast niecierpliwie się po próżnicy.

Hopper wyszedł, a po chwili wrócił z aktami w ręce i szerokim uśmiechem na ustach.

– Wszyscy są zajęci. Przyszły właśnie jakieś materiały od tego twojego Dalziela, opisane PILNE, ale powiedziałem chłopakom, że jeśli będzie się denerwował, mają mu powiedzieć, że twoja sprawa ma pierwszeństwo. Dobrze zrobiłem?

– Ty łobuzie.

Pascoe usiadł i zaczął przeglądać akta. Na pierwszy rzut oka wyglądały obiecująco: włókna znalezione na ubraniu June McCarthy pochodziły najprawdopodobniej z nawozu jednej z trzech konkretnych marek, z których jedna zgadzała się z marką z cieplarni Wildgoose'a. Jednakże również w szopie pana Ribble'a znaleziono cały wór takiego właśnie nawozu. Raporty okazały się wręcz wzorowo precyzyjne i drobiazgowo, co było zarazem budujące i zniechęcające. Szanse wystąpienia – i przeoczenia – takiej korelacji były wprawdzie niewielkie, ale takie rzeczy przecież się zdarzały.

Przynajmniej nie wykluczają, że McCarthy mogła być w cieplarni, pomyślał Pascoe,

czerpiąc z tego faktu pokrętną pociechę. W dodatku miało się wrażenie, że szklarnia została niedawno sprzątnięta; może należałoby tam posłać ekipę z laboratorium, niech wszystko przetrząsną? Nie, lepiej niech Dalziel to klepnie. Dziennikarze rzuciliby się na taką gratkę w mgnieniu oka; cholera wie, co by taki sprowokowany Wildgoose zaczął wygadywać.

Harry przyniósł mu zdjęcia. Na dwóch z nich – jednym z profilu, drugim *en face* – bez trudu dało się rozpoznać Wildgoosea.

– I jak? – spytał Hopper. – Sprawa ruszyła z miejsca?

– Jeśli nawet, to za wolno, żeby dało się to zauważyć gołym okiem. Wielkie dzięki, Harry.

– Drobiazg. Ale tak jak z seksem w moim wieku, z takimi drobiazgami nie należy przesadzać. Aha, weź to; piszą, że to dla ciebie: wyniki badania tych ostatnich ciuchów. Pauline Stanhope.

Pascoe przebiegł wzrokiem pojedynczą kartkę papieru.

– Jakieś konkrety?

– Guzik, nie konkrety – odparł Harry. – Spakowane i gotowe do wydania rodzinie, jak tylko uznacie, że możecie się z nimi rozstać.

Pascoe przemyślał jego słowa.

– Dobra, zrobimy tak: wezmę je ze sobą, i tak chcę się spotkać z jej ciotką. Lepsze to, niż gdyby jakiś anonimowy gliniarz po prostu wepchnął jej paczkę do ręki.

Pokwitował odbiór zawiniątka z ubraniem i pudełka z zegarkiem i drobiazgami osobistymi Pauline Stanhope.

– Biedna mała – mruknął Hopper. – Też mam taką córę, właśnie skończyła dwadzieścia lat. Wydaje im się, że zjadły wszystkie rozumy: praca, dorosłość, po miesiącu zaręczyny... A tak naprawdę nadal są dziećmi. Nie odważyłbym się jej tego powiedzieć, ale jest taka cholernie bezbronna. One potrzebują ochrony, Peter. Dorwijcie skurwiela. Jak najszybciej.

– Postaramy się – zapewnił go Pascoe. – Postaramy. – Spojrzał na zegarek. – Ale dopiero po obiedzie.

Wychodząc z laboratorium, zastanawiał się, ile trzeba czasu, żeby obronny cynizm przesączyl się aż do serca.

Rozdział 15

Obiad mu nie smakował.

Korzystając z pretekstu, że droga do Shafton i Centrum Ogrodniczego Linden w pewnym sensie przechodziła obok jego domu (pod warunkiem, że nadłożyło się zaledwie sześć do siedmiu mil), postanowił zrobić Ellie niespodziankę i wpaść na obiad do domu.

Jego rozczarowanie faktem, że jej nie zastał, bardzo się pogłębiło, gdy odkrył, że spiżarnia świeci pustkami.

Kawałek zabytkowego sera i jedno pomarszczone jabłko później ruszył w dalszą drogę. Pustki w centrum ogrodniczym nie poprawiły mu nastroju.

Była to placówka średniej wielkości, w środku, której stał stary kamienny wiejski dom, pilnie wymagający remontu. Dwie długie szklarnie przylegały do niegdysiejszej obórki, w której obecnie znajdował się sklep ogrodniczy. Na dwóch, może trzech akrach ziemi rosły róże, kilka rzędów drzewek owocowych i trochę krzewów ozdobnych. Nawet słoneczny dzień nie maskował wszechobecnego zaniedbania.

Widząc ruch za domem, Pascoe skierował się w tamtą stronę i znalazł starszego mężczyznę z taczkami, na których leżał worek czegoś, co wyglądało na mączkę kostną.

– Zamknięte – bąknął półgębkiem mężczyzna, mijając Pascoe.

– Widzę. – Pascoe ruszył obok niego. – Kim pan jest?

Mężczyzna nie odpowiedział. Jego skóra była twarda, zbrązowiała i spękana jak spieczona słońcem ziemia, po której szedł. Wyblakłe oczy, niebieskie jak kwiaty hortensji, z napięciem godnym linoskoczka wpatrywały się w ładunek na taczkach. Nawet nie mrugnął.

Zniecierpliwiony Pascoe wyciągnął legitymację policyjną i podetknął mu ją pod nos.

– Policja!

– Wiem.

– Zna mnie pan? – zdziwił się skonsternowany Pascoe.

– Znam ten krok. Ten sposób mówienia. Rozpoznaję takich jak pan.

– A nie zechciałby mi się pan przedstawić? – spytał Pascoe znużonym tonem. –

Proszę...

Mężczyzna zatrzymał się, postawił taczki na ziemi i usiadł na ich skraju pomiędzy uchwyty.

– Agar – odparł. – Ted Agar.

– Co tu się stało, panie Agar?

– Po tym, jak dała się zabić?

– Tak, po tym.

Pascoe przysiadł na stosie ozdobnych kamiennych płyt i – z rozbawieniem, które trochę poprawiło mu humor – uświadomił sobie, że zajął pozycję przesłuchiwanego: sześć cali niżej od Agara, który w dodatku miał słońce za plecami.

– Sęk w tym, że nic sensownego. Ciągłe tylko kręcą się tu jacyś adwokaci.

– A na czym polega problem?

– Po pierwsze, brak testamentu. Po drugie, brak bliskiej rodziny, chociaż zawsze ktoś się znajdzie, żeby upomnieć się o spadek. Bo widzi pan, pani Dinwoodie była wdową. Jej mąż zginął w zeszłym roku na wystawie rolniczej, na pewno pan o tym czytał: przejechał go ciągnik. Pisali w gazetach. A potem ta dziewczyna, Alison. Jej córka. Dosłownie parę miesięcy później. Wypadek samochodowy. To było jeszcze dziecko. Pani Dinwoodie nie miała szczęścia w życiu.

Podstawowe fakty Pascoe znał oczywiście na pamięć. Natychmiast po morderstwie próbowali odszukać krewnych i znajomych Mary Dinwoodie, ale rodziny faktycznie nie miała żadnej, a od przyjaciół usilnie starała się odciąć; odrzucała wszelkie propozycje towarzystwa i pociechy, woląc opłakiwać bliskich w samotności. Na smutną ironię zakrawał fakt, że jej pierwsza próba powrotu do społeczeństwa pchnęła ją prosto w ramiona Dusiciela.

Członków zespołu Shafton Players prześwietlono tak dokładnie, że o niektórych z nich Pascoe wiedział więcej niż ich współmałżonkowie. Potencjalny związek amatorskiego teatryku z cytatami z *Hamleta* nie uszedł uwagi policji, nie udało się go jednak w żaden sposób udowodnić. Żaden z aktorów nie miał ani motywu, ani sprzyjającej okazji, żeby zabić, a cały zespół nigdy nie wystawiał *Hamleta*. Wyglądało więc na to, że pech Mary Dinwoodie polegał na tym, że po prostu była pod ręką. Pascoe miał jednak świeżo w pamięci słowa Pottle'a, który stanowczo twierdził, że to właśnie jej śmierć jest – musi być! – kluczem do całej zagadki.

– Długo pan tu pracuje, panie Agar?

– Sześć lat. Odkąd rzuciłem pracę na gospodarstwie.

– Ma pan pomocników?

– Rzadko. Tylko zaraz po śmierci Alison, jak pani Dinwoodie wyjechała, przyjąłem do pomocy chłopaka; sam nie dałbym sobie rady. Właściwie to i nas dwóch było za mało. Wcześniej razem z panem Dinwoodie opiekowaliśmy się drzewkami i krzewami: sadzenie, przycinanie, okopywanie i tak dalej. Pani Dinwoodie pomagała w szklarniach i prowadziła sklep. Kiedyś była podobno nauczycielką czy coś w tym guście, więc papierkowa robota

dobrze jej szła. Córka też pomagała. Dopiero co skończyła szkołę, nie chciała iść do biurowej roboty. Lubiała pracować na świeżym powietrzu. Jej chłopak też chciał być farmerem.

– Jej chłopak?

– No tak. To pan nie wie? Ledwie się pobrali, jak oboje zginęli w tym wypadku. Tego samego dnia. W głowie się nie mieści, słowo daję... Pani Dinwoodie zupełnie straciła serce do życia. Wyjechała. Kazała mi zaopiekować się wszystkim i po prostu wyjechała. Na początku jakoś to jeszcze szło, ale potem, tak na wiosnę, zawsze robi się większy ruch, no i musiałem wziąć chłopaka do pomocy. A moja synowa przychodziła pomagać w sklepie. Spotkałem się wcześniej z kierownikiem banku. Kręcił trochę nosem, ale powiedziałem mu, że sam nie dam rady i albo firma padnie, albo ja. Dopiero wtedy zmienił śpiewkę. A i tak pracowaliśmy tylko w weekendy, na pół gwizdka. Aż w końcu pani Dinwoodie wróciła. Jak ja się ucieszyłem na jej widok, mówię panu! Chociaż... Może lepiej by było, gdyby nie wróciła...

Głos mu się załamał. Facet się naprawdę przejął, pomyślał Pascoe.

– Lubił pan panią Dinwoodie? – zapytał.

– Wszystkich lubiłem, ale ją najbardziej. Dobra kobieta z niej była. O wszystko się obwinięła. Mówiła, że to jej wina, że na wystawie stanęli tak blisko tego ciągnika. I że nie powinna była pozwalać córce wyjechać do Szkocji, wyjść za męża. Może i słusznie, bo dziewczucha zachowała się głupio: ojciec nie żył dopiero od paru miesięcy, więc jej miejsce chyba było przy matce. Ale jak się jest dziewczyną i ma się siedemnaście lat, to się myśli tylko o chłopakach, nie? Nigdy bym nie pomyślał, że któreś z nich umrze przede mną, a co dopiero cała trójka! W głowie się nie mieści, co? W głowie się nie mieści...

– To prawda. Czyli teraz sam pan tu urzęduje?

– Ano tak. Do czasu, aż wszystko się ułoży. Adwokaci prosili, żebym został. On miał jakichś dwoje krewnych, kuzynów drugiego stopnia; mieszkają gdzieś na południu. Pewnie to oni wszystko dostaną. A ja, póki jestem sam, mogę co najwyżej opiekować się różami i drzewkami owocowymi. Wyprzedaliśmy wszystko, co było w szklarniach, hurtem; straganiarze z bazaru zrobili niezły interes. Ale sam w życiu bym tego nie ogarnął, a zatrudnić więcej ludzi mi nie pozwolili. Chce pan obejrzeć dom?

– Chętnie – przytaknął Pascoe, nie bardzo wiedząc po co to robi. – Najpierw jednak chciałbym o coś zapytać. – Podał Agarowi zdjęcia Wildgoose'a. – Widział go pan tu kiedyś? Agar w skupieniu obejrzał fotografie.

– Nie, nie przypominam sobie. Co nie znaczy, że nie widziałem go nigdy w życiu.

– Czyli mógł go pan tu widzieć?

– Mogłem, ale pieniędzy bym na to nie postawił. A coś mi się wydaje, że tu chodzi o coś więcej niż tylko pieniądze, hmm? – spytał przebiegle Agar.

– Niewykluczone – odparł Pascoe i schował zdjęcia.

Agar wpuścił go do domu państwa Dinwoodie i wrócił do swoich zajęć. Pascoe wszedł do środka. Minęło niewiele czasu, a wewnątrz już pachniało wilgocią i wyglądało na niezamieszkane. Jeden z pokoiów na parterze został przerobiony na biuro; Pascoe poszperał w nim trochę, ale znalazł tylko tony zapomnianych i zaniedbanych dokumentów. Nie bardzo wiedział, czego szuka, liczył raczej na jakiś szczęśliwy traf. W końcu darował sobie biuro i poszedł na górę.

Widok sypialni dziewczyny sprawił mu wyjątkową przykrość. W pokoju panował typowo młodzieńczy bałagan, jakby właścicielka w każdej chwili mogła wrócić. Przeszedł do głównej sypialni.

I tam w końcu szczęście się do niego uśmiechnęło.

Znalazł tekturowe pudło wciśnięte w kąt zagraconej szafy. Smutne to było pudełko – pełne wspomnień, którym zabrakło człowieka mogącego je snuć. Kartki świąteczne i urodzinowe, często własnoręcznie zrobione, podpisane dziecinnym, krągłym charakterem pisma *Mamusi*, z *mnóstwem całusów*, *Alison* i upstrzone dziecięcymi mazajami. Parę świadectw ze szkoły średniej. Alison również uczyła się w Bishop Crump.

Podobnie jak tysiące innych dzieciaków. A poza tym, Dusiciel nie miał nic wspólnego z jej śmiercią: zginęła w wypadku samochodowym na południu Szkocji. Nieczytelne inicjały, którymi opatrzone jej oceny z angielskiego i teatru, nie pozwalały stwierdzić, kto jest ich autorem. Gdyby to Wildgoose był nauczycielem Alison, na wywiadówkach miałby aż nadto czasu, żeby poznać jej matkę.

Pascoe sięgnął głębiej do kartonu i jego wysiłki zostały nagrodzone kolejnym odkryciem. Znalazł program teatralny, wydrukowany na udającym pergamin brunatnym papierze z nierówno ząbkowanym obrzeżem. Gotyckie litery na pierwszej stronie głosiły: *Musik-und-Drama-Fest, Linden, Mai 1973*.

Linden. To prawdziwe, w Niemczech. To od niego wzięła się nazwa centrum ogrodniczego. Pascoe pamiętał jeszcze dość niemieckiego ze szkoły, żeby rozpoznać program małego amatorskiego festiwalu muzyki i teatru (to akurat nie było trudne!) i z grubsza rozeznąć się w zapowiadanych atrakcjach. Jeden z punktów przyciągnął jego uwagę: „Sceny z Shakespeare’a”, przetłumaczył sobie. „W wykonaniu miejscowego zespołu teatralnego”, domyślił się. „Oraz nauczycieli z Devon School”. I dwa nazwiska reżyserów:

jedno niemieckie, drugie – *Herr Peter Dinwoodie*.

To już było coś. Jeszcze nie *Hamlet*, ale przynajmniej już Shakespeare. *Unser Shakespeare*. Niemcy się nim zachwycali, podziwiali go z zaborczą zachłannością. Tylko ta Devon School... Wędrowną trupa? Mało prawdopodobne. Prędzej jakaś szkoła wojskowa. Znał kiedyś dziewczynę, która uczyła w takim miejscu. Szkoły wojskowe często miały takie nazwy: Gloucester, Cornwall, Windsor...

Jeżeli lekcje geografii zapamiętał równie dobrze jak lekcje niemieckiego, Linden leżało nieopodal Hanoweru, a w tej okolicy znajdowało się sporo baz Brytyjskiej Armii Nadreńskiej. To brzmiało sensownie.

Wrócił na dół, odszukał Agara i zapytał go, czy Mary Dinwoodie i jej mąż nie pracowali w przeszłości w szkole w Niemczech.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Agar.

Nic nie szkodzi, pomyślał Pascoe, chowając program festiwalu do kieszeni. To akurat będzie łatwo ustalić.

A przy okazji warto sprawdzić, czy Wildgoose nie pracował czasem za granicą.

Rosetta Stanhope nie kazała mu długo czekać przed drzwiami, tak jakby spodziewała się jego wizyty. Naprawdę powinienem przestać myśleć o niej jako osobie obdarzonej nadnaturalną mocą, upomniał się z irytacją. Pokój, w którym go przyjęła, wyglądał całkiem zwyczajnie. Ściany zdobiła tapeta w dyskretny kwiatowy deseń, a na wyposażenie składały się: trzyczęściowy komplet wypoczynkowy obity sztuczną skórą, ogromny kolorowy telewizor, mały kredens z dębowego drewna i kilka stolików do kompletu. Tylko obszerna gablotka, zajmująca prawie całą krótszą ścianę i gęsto zastawiona wyrobami z (jak domyślał się Pascoe) najlepszej porcelany, dyskretnie wskazywała rodowód gospodyni.

Pani Stanhope przyjęła go ubrana jak każda gospodyni domowa przyłapana w trakcie prac domowych – w niebieskim bawełnianym fartuchu i mokasynach, z włosami przewiazanymi czerwoną jedwabną chustką. Tylko jej twarz zdradzała, że coś się ostatnio wydarzyło: skóra ciaśniej niż zwykle opinała delikatne kości.

– Napije się pan herbaty? – zapytała, jak na dobrą gospodynię przystało. – Nie proponuję nic mocniejszego, bo niczego takiego nie mam.

– I tak nie mógłbym się napić – odparł Pascoe równie stosownie, choć nie całkiem zgodnie z prawdą. – Pani w ogóle nie pije, pani Stanhope?

– Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby coś mąciło mi myśli.

– A pani siostrzenica piła?

– Tutaj nigdy.

– A gdzie indziej? Z przyjaciółmi, przy jakiejś okazji...

Spojrzała na niego z powagą, chociaż bez cienia niepokoju. Pascoe pogratulował sobie w duchu subtelnej zmiany tematu.

– Na przykład w „Cheshire Cheese”, tak? O to pan pyta?

Odwołał gratulacje.

– To może być ważne. Zdarzało się jej?

– Nic o tym nie wiem, a chyba bym wiedziała. Zabawne... Nie łączyły nas więzy krwi, a była dla mnie jak córka. Nie, była kimś więcej. Córki dorastają, odwracają się plecami do rodziców, czasem wręcz nimi gardzą. Widziałam to wielokrotnie. Kłopoty, nieporozumienia, rozstanie. Tak jak ta biedna Brenda Sorby i jej ojciec. A Pauline, im była starsza, tym lepiej się rozumiałyśmy, i kiedy przyszła pora wyboru dalszej drogi w życiu, to zamiast o mnie zapomnieć, jeszcze bardziej się do mnie zbliżyła. Nie wiadomo, kim był jej ojciec, ale czasem tak sobie myślę, że raczej nie gadziem.

Pokiwała ze współczuciem głową. W tej chwili wyglądała jak prawdziwa cygańska królowa.

– Ale musiała chyba mieć jakichś przyjaciół rówieśników, własne życie...

– Oczywiście. Była miłą, zwyczajną, ładną dziewczyną, ludzie ją lubili. Łatwo zawierała znajomości...

Głos pani Stanhope się załamał, cygańska królowa zniknęła i Pascoe drugi raz w ciągu ostatniej godziny poczuł się zażenowany widokiem cudzego żalu.

Ta chwila minęła błyskawicznie.

– Szuka pan nie tam, gdzie trzeba – powiedziała. – Tego nie zrobił nikt z jej znajomych.

Pascoe spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Skąd ta pewność?

– Sama mi tak powiedziała. Dziś w nocy.

Pascoe z trudem opanował chęć nerwowego rozejrzenia się dookoła. Pokój nagle wydał mu się niezwykajny i niepokojący, wpadające przez szerokie okno światło słońca zgęstniało i ścięło się w grudy.

– Rozmawiała z nią pani?

Pani Stanhope nieoczekiwanie się rozpromieniła. Nie był to uśmiech wrogi, ale też nie taki, jaki można posłać komuś równemu sobie. Była w nim odrobina irytacji. I nuta politowania.

– To nie tak, komisarzu, nie ucięłyśmy sobie pogawędki przy herbatce. Ale owszem,

Pauline tu była. Czułam jej obecność. Gdyby wiedziała, kto to zrobił, powiedziała mi.

– Wtedy mogła nie wiedzieć – zaproponował Pascoe. – Ale teraz? Na pewno wie.

– „Wtedy” i „teraz” są dobre dla żywych – zbyła go pani Stanhope. – Zresztą i tak nie spodziewam się, że podałyby mi nazwisko, chociaż nie jest to wykluczone. Rzecz w tym, że czułam jej obecność i wyczuwałam jej zdziwienie. Jej niepewność. Gdyby знаła człowieka, który to zrobił, i wiedziała, dlaczego to zrobił, zachowywałyby się inaczej.

– Aha.

Wizja życia pozagrobowego pełnego zagadek nie podobała się Pascoe. W zupełności wystarczało mu życie policjanta; nie wyobrażał sobie, że wieczność mogłaby wyglądać podobnie. Dalziel ze złotą trąbą i skrzydłami z niebieskiej serży!

Po takiej wizji nawet światło rzędło i pokój znów zaczął wyglądać zwyczajnie.

– Talent medium to chyba rzadkość wśród Romów, prawda? – zapytał, sadowiac się wygodniej na krześle. – Kryształowe kule, tarot... To chyba bardziej w ich stylu?

– Wiem, jak jesteśmy postrzegani przez gadziów. Niewiele jednak znałam *chovihani*, które używałyby kuli inaczej niż tylko jako rekwizytu albo ewentualnie przedmiotu do fiksacji wzroku w autohipnozie. Czytuję czasopisma ezoteryczne, panie Pascoe. Nie jestem wykształcona, ale wystarczająco długo wiodłam życie gadzia, żeby wchłonąć część ich wiedzy.

– *Chovihan*. To wiedźma, zdaje się?

– Widzę, że coś pan o nas wie. Wyczułam to przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Pisałem o was pracę na studiach – przyznał Pascoe. – Z socjologii, głównie o edukacji, adaptacji w społeczeństwie i tak dalej.

– Żeby nas zmienić! – ofuknęła go pogardliwie pani Stanhope. – Upodobnić do was.

– Właściwie nie... Chociaż niektórzy się zmieniają. Na przykład, pani: pani się przystosowała.

Nie chciał się kłócić z tą kobietą, ale czuł, że powinien ustalić, czy Rosetta Stanhope jest czymś więcej niż zlepkiem przesądów i złudzeń na swój temat.

Szybko się przekonał, jaka jest naprawdę.

– Przystosowałam się! Ja się przystosowałam! Jest pan takim samym aroganckim łajdakiem jak wy wszyscy! Wszystko można o mnie powiedzieć, ale nie to, że się przystosowałam. Odrzuciłam rodzinę, swój lud, całe swoje życie. To pan nazywa adaptacją? Że stałam się tak samo głupia i tępa jak pan?

W gniewie była przerażająca. Pascoe uznał, że z dwojga złego woli jednak bliski kontakt ze światem duchów.

– Przepraszam, to było głupie z mojej strony – powiedział. – Ma pani całkowitą rację. Gniew minął w mgnieniu oka.

– Mniejsza z tym – odparła wielkodusznie. – Zwłaszcza, że to wcale nie było takie trudne. Nikt nie oczekuje od *chovihani*, że się przystosują. One już takie są, że się dziwnie zachowują. Aspołecznie. Moja babka była *chovihani*. Matkę dar jakoś ominął, ale babka przepowiedziała mi, że ożenię się z gadziem, kiedy jeszcze leżałam w kołysce. Tak, że w pewnym sensie nikt nie był zaskoczony, bo wszyscy znali przepowiednię. To mi zapewniło długie lata samotności. Odkąd skończyłam czternaście lat, uganiali się za mną pożądlivi chłopcy. Uwierzyłby pan, że kiedyś byłam atrakcyjną dziewczyną?

– Z łatwością.

– Ale żaden nie chciał mnie na żonę, bo gdyby któryś się ze mną ożenił, do wypełnienia się przepowiedni niezbędna byłaby jego śmierć. Dlatego czekałam na Stanhope'a. – Uśmiechnęła się łagodnie do swoich wspomnień. – Warto było. Chodźmy, na pewno chce pan zobaczyć pokój Pauline.

Zerwała się z krzesła. Pascoe również wstał, choć z mniejszym pośpiechem. Znów zaimponowała mu swoim darem przewidywania przyszłości.

Zaprowadziła go do niewielkiej sypialni, która wyglądała jak po wizycie włamywacza-amatora. Wywleczone z toaletki i komody szuflady były puste, podobnie jak robiona na wymiar szafa. Ich zawartość upchnięto do przeróżnych foliowych worków na śmieci, które teraz walały się po podłodze. Pani Stanhope wzięła się za zdejmowanie pościeli z łóżka i też zaczęła ją pakować do worka.

– Co pani robi, u licha? – zdziwił się Pascoe.

– A miałam pana za eksperta od romskiej kultury... Wszystkie rzeczy należące do mojej siostrzenicy muszą zostać zniszczone. To nasz obyczaj.

– Przecież Pauline nie była Cyganką.

– Była moją siostrzenicą, mieszkała tutaj, a teraz nie żyje – odparła pani Stanhope rzeczowo. – Dopóki jej rzeczy tu są, ona również nie może odejść. To samo zrobiłam po śmierci mojego Berta. Nawet *chovihani* ma prawo żyć wśród żywych. W nocy czułam obecność Pauline; była zagubiona. I zaskoczona. Moja obecność może na nią działać kojąco, ale nie jest wykluczone, że wkrótce zapała gniewem, goryczą, żalem. A taki duch to kiepski sąsiad. Cyganie zawsze próbują ułożyć na spoczynek i żywych, i umarłych.

Na te słowa Pascoe nie znalazł odpowiedzi.

– Spodziewała się pani chyba, że będziemy chcieli przejrzeć jej rzeczy – powiedział.
– Skąd zatem ten pośpiech?

Pani Stanhope wzięła do ręki stojące na szafce nocnej pudełko po butach.

– Jej listy, pamiętnik, notes z adresami... Wszystko, co mogłoby was zainteresować. Do niczego się wam nie przyda, zapewniam, ale mimo to proszę je zabrać, skopiować i zwrócić, z łaski swojej. One też muszą zostać zniszczone. Tak jak ubranie, w którym została zamordowana: koniecznie należy je spalić. Kiedy mogłabym je odebrać?

– Mam je w samochodzie – przypomniał sobie Pascoe. – Zaraz przyniosę.

Po chwili wrócił z paczką zawierającą ubrania i drobiazgi osobiste Pauline.

– Dziękuję – powiedziała pani Stanhope. – Nadal chętnie wam pomogę – dodała po chwili wahania. – Tak jak obiecywałam. Tylko, że teraz będzie mi trudniej.

– Dlatego że to jedna z was?

Pani Stanhope przetrzymała słowa Pascoe.

– Tak – zgodziła się. – Jedna z nas.

Schodząc do samochodu, Pascoe zastanawiał się nad jej słowami. Wypowiedziała je z dziwnym naciskiem... Chociaż może to po prostu panujący w mieszkaniu nastrój kazał mu się we wszystkim dopatrywać niezwykłości.

„Jedna z nas”.

Na dobrą sprawę Pauline wcale nie była jedną z nich – nie była przecież Cyganką, w przeciwieństwie chociażby do państwa Lee. W dodatku, po śmierci Pauline pani Stanhope wybrała się na jakiś nieprawdopodobny rodzinny wypad w towarzystwie Dave’a Lee.

Czy to rodzinna lojalność kazała jej tuszować fakt, że Dave Lee jest zamieszany w śmierć jej siostrzenicy? A może zrobiła to ze strachu? Jedno i drugie było mało prawdopodobne, ale ta sprawa na pewno miała jakieś drugie dno.

Otworzył drzwi i już miał wsiąść do samochodu, gdy usłyszał, że ktoś woła go po nazwisku – podenerwowana i zdyszana Rosetta Stanhope pędziła za nim ile sił w nogach.

– O co chodzi?

– A gdzie reszta?!

– Reszta? Jaka reszta?

– Reszta ubrań! To, w czym zginęła. Muszę je odzyskać, są najważniejsze!

– Dostała pani wszystko – zapewnił ją Pascoe. – Dżinsy, bluzka, bielizna, sandały. Sprawdziłem osobiście, zanim pokwitowałem odbiór.

– Nie o te mi chodzi, głupcze! – wybuchnęła pani Stanhope. W tej chwili była stuprocentową Cyganką. – Chustka na głowę, szal, spódnica... Gdzie one są?!

– O Boże! – wykrzyknął Pascoe. Teatralność zachowania pani Stanhope musiała być zaraźliwa, bo złapał się na tym, że otwartą dłoń plasnął się w czoło. – Ty durniu! – mruknął

pod nosem. – Ty durniu!

Rozdział 16

Sierżant Wiel doskonale pisał na maszynie, z czym nie zdradzał się przed swoimi mniej uzdolnionymi manualnie kolegami, żeby nie zaczęli niecnie wykorzystywać tego faktu. Kiedy znalazł się sam w pokoju zajmowanym przez wydział kryminalny, w rekordowym czasie sporządził raporty z porannych wizyt w banku i domu Pickersgillów, po czym skoncentrował się na Newcastle i Maurisie. Pojawił się ktoś trzeci, tego był pewien. Już wcześniej podejrzewał Maurice'a o przelotne spotkania z innymi. Sam takich sytuacji unikał, ale był skłonny tolerować je u przyjaciela, bo zdawał sobie sprawę, że Maurice'owi brakuje tej niemal klasztornej samodyscypliny, jakiej sam hołdował. Poprzedniego dnia wyczuł jednak obecność kogoś bardziej niebezpiecznego. Kogoś na stałe.

Popijał zimną kawę i zastanawiał się, co zrobić. Bo coś zrobić musiał. Nie należał do ludzi, którzy mogliby biernie czekać.

– Nad czym tak dumacie, sierzancie? – zdziwił się Dalziel, który niepostrzeżenie zakradł się do pokoju. – Bo wyglądacie, jakbyście rozwiązywali sześć z dziesięciu największych tajemnic epoki jednocześnie. Jakie wnioski? Kuba Rozpruwacz wymknął się z Anglii na pokładzie *Mary Celeste*!

Zadzwoił telefon. Wiel wyciągnął rękę po słuchawkę.

– Działo się coś ciekawego? – zapytał Dalziel.

– Niespecjalnie. Lee się trochę awanturował po aresztowaniu; było go słyhać aż w dyżurce. Twierdził, że został pobity. Przez pana.

– Aha. Nie zbliżaliście się do niego, sierzancie?

– Nie. Ten chłopak, który go przyprowadził, otrzymał od pana bardzo wyraźne instrukcje w tej kwestii. A Lee po jakimś czasie się zamknął.

– To dobrze. Niedługo się nim zajmę. – Dalziel beknął. – Odbierz ten telefon, chłopcze. Społeczeństwo nie powinno czekać.

Dzwonił Mulgan z Northern Banku.

– Sierżant Wiel? Dostałem zgodę z centrali, na której panu zależało.

– Świetnie! Miałem później do pana wpaść w tej sprawie.

– Tak, wiem, ale przy okazji wynikło coś, o czym chyba powinien pan od razu się dowiedzieć. Czy przy zwłokach Brendy znaleziono jakieś pieniądze?

– Proszę chwileczkę poczekać. – Wiel podszedł do szafki na akta, ignorując zaintrygowanego Dalziela, który uniósł pytająco brwi. – Tak, miała pieniądze w

portmonetce: kilka banknotów, trochę drobniaków. Czemu pan pyta?

– W wyciągu z jej konta wśród innych transakcji jest też realizacja czeku gotówkowego, który wystawiła sama na siebie.

– Czy to normalna praktyka?

– Na pewno nie jest zabroniona, jeśli o to pan pyta. Pod warunkiem, że czek ma pokrycie, rzecz jasna. Spodziewałbym się jednak, że osoba od nas z personelu zrealizuje taki czek w innej kasie, nie u siebie. To... bezpieczniejsze, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Tak, chyba tak. I rozumiem, że czek miał pokrycie?

– Jak najbardziej. To była bardzo przezorna dziewczyna. Zainteresowała mnie raczej sama kwota, zwłaszcza, że w doniesieniach gazetowych nie widziałem później żadnej wzmianki o pieniądzach. Tamtego dnia rano Brenda pobrała z konta dwieście funtów w pięćofuntowych banknotach.

Wield przekazał tę informację Dalzielowi, który po tych słowach zabrał mu słuchawkę.

– Pan Mulgan? Mówi podinspektor Dalziel. Ma pan może numery seryjne banknotów wypłaconych przez pannę Sorby?

– Przykro mi, ale nie. Nie da się...

– Wiem, wiem, rozumiem. Ale może miały jakieś znaki szczególne? Wie pan, czasem pieniądze, które wypłacam z banku, wyglądają jakby wcześniej bawiły się nimi dzieci w przedszkolu.

– Co najwyżej ślady ołówka zostawione przez kasjera, który je przeliczał – odparł oschle Mulgan.

– Dałoby się po nich zidentyfikować banknoty jako wypłacone u was w oddziale?

– To możliwe, ale gwarancji nie ma.

– Oczywiście. Wielkie dzięki, panie Mulgan. Będziemy w kontakcie.

Dalziel odłożył z trzaskiem słuchawkę na widełki.

– Odpychający typ – orzekł.

– Zna go pan?

– Właściwie nie; oceniam po głosie. Mówi, jakby trzymał w gębie łożysko kulkowe, żeby brzmieć jak dupek z wyższych sfer. Dwieście funtów, sierżancie! Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy? Dobrze, że pana tam posłałem.

– To prawda, panie inspektorze. I miał pan świetny pomysł z tym przejrzeniem wyciągu z kasy panny Sorby.

– Dobrze, dobrze, proszę sobie darować ten sarkazm. Nie będę odbierał panu zasług.

Pytanie brzmi: kto zabrał pieniądze?

– Myśli pan, że to był po prostu zwykły rabunek?

– Ja nic nie myślę. Wiem tylko, że rano w wozie Dave'a Lee znalazłem sto pięć funtów, których pochodzenia nie umiał mi wyjaśnić. – Dalziel uderzył pięścią w otwartą dłoń. Odgłos był taki, jakby trzasnęła kość. – Chodźmy porozmawiać z panem Lee.

Był przedostatni dzień jarmarku i w całym Charter Park panował ogromny ruch – poza policyjną przyczepą, w której sierżant Brady (nieudolnie próbując schować „Penthouse'a”) potwierdził, że gościom lunaparku skończył się zasób użytecznych informacji. Bezpośrednich zresztą również.

– Odkąd przyszedłem tu po obiedzie, nic się nie dzieje – zameldował. – Głucha cisza.

– Proszę się nie zniechęcać – pocieszył go Pascoe.

Wszedł na teren lunaparku i skierował się do budki z penny-rollem, żeby porozmawiać z Eną Cooper. Podeszedłszy bliżej, zorientował się, że coś się zmieniło, ale potrzebował dobrych paru sekund, żeby skojarzyć, co się nie zgadza: namiot wróżki zniknął!

– Zwinęli go dziś rano – wyjaśniła pani Cooper. – Cyganie. Przyszło trzech albo czterech. Nie wiedział pan?

Pascoe mruknął coś niezobowiązująco, co Ena Cooper skwitowała złośliwym uśmiechem, który jednak zbladł, gdy Pascoe wrócił do sprawy Pauline Stanhope.

Nie, nikomu nie mówiła, jak była ubrana Pauline Stanhope, wychodząc przed południem z namiotu. Dlaczego miałyby mówić? Nikt nie pytał. Tak, miała chustkę na głowie, szal i spódnicę do ziemi – taki strój służbowy. Nie, szła normalnie. Jeśli zaś chodzi o gości, którzy odwiedzili ją w namiocie wcześniej, to przecież już mówiła, że było paru klientów. Nie umie powiedzieć, ilu dokładnie.

Pascoe wiedział o co najmniej czterech: dwie pary kobiet natychmiast zareagowały na apel policji, licząc na zaszczytny tytuł tych, które ostatnie widziały zamordowaną. Zwycięzynie – dwie nastolatki – były w namiocie kwadrans po jedenastej. Madame Rashid zaimponowała im trafnością i optymizmem przepowiedni.

Podziękował pani Cooper, odwrócił się i ostatni raz spojrzął na przygniecioną anemiczną trawkę, znaczącą miejsce po namiocie. Jego romantyczna wyobraźnia podsuwała mu wizję zakłętego kręgu nawiedzanego przez ducha, który błaga o spokój, a zaznać go może dopiero, gdy zostanie pomszczony – ale placyk przypominał co najwyżej skrawek wystrzyżonej trawy wokół dołka na polu golfowym. Ludzie chodzili po nim obojętnie, nieświadomi lub obojętni na fakt, że ich materia nakłada się, być może, na odtwarzające się w nim w kółko niematerialne powtórki ostatnich chwil życia Pauline. Może któryś z nich

dozna wizji, jak te kobiety w Wersalu? Pascoe miał coraz silniejsze wrażenie, że tylko jakaś nadnaturalna interwencja może pchnąć śledztwo naprzód. Czy dałoby się namówić Dalziela, żeby poprosił Rosettę Stanhope o wróżbę?

Wrócił do przyczepy, gdzie udało mu się skruszyć flegmatyczną skorupę Brady'ego pytaniem, czy zauważył, że miejsce zbrodni zniknęło. Kazał sierżantowi zebrać paru ludzi i przeczesać teren lunaparku w poszukiwaniu brakujących części garderoby. Nie żywił wielkiej nadziei, że to coś da: Dusicielowi wystarczyłyby sekundy, żeby schować się za którymś z kramów i wysliznąć z przebrania, a po zwinięciu cienkie bawełniane ubranie nie zajmowało wiele miejsca. Następnie, jeśli miał trochę oleju w głowie (a wyglądało na to, że pod pewnymi względami rozumował całkiem sensownie), wyniósłby ubranie poza teren parku i tam je wyrzucił. Albo nawet spalił.

Brady go dobił, mówiąc, że dzień wcześniej pracownicy miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania opróżnili kontenery ze śmieci.

– W takim razie chyba dobrze by było, żebyście po rozejrzeniu się tutaj przejechali się na wysypisko, hmm? – zasugerował przyjaznym tonem Pascoe. – Zajęcie w sam raz na taki upalny dzionek.

Wrócił do komisariatu, gdzie przy wjeździe na parking musiał przepuścić wyjeżdżającą właśnie karetkę. Odprowadził ją wzrokiem, gdy oddalała się boczną drogą, a potem włączyła się do ruchu i dopiero wtedy zapalił się kogut i rozległ sygnał dźwiękowy.

Poszedł prosto do gabinetu Dalziela.

– Gdzieś ty się ukrywał, do cholery?! – usłyszał na dzień dobry.

– Co się stało? Minałem się z karetką.

– Nie słyszałeś? Czysty i niewinny jak lilia, daję słowo... – zadrwił Dalziel. – Daleko zajdziesz. Odwieźli Lee do szpitala.

Pascoe bynajmniej nie poczuł się urażony tym powitaniem. Przyzwyczyił się do stylu inspektora, a poza tym widział, że grubas jest na serio zaniepokojony.

– Co mu się stało?

– Nic. Pogadaliśmy sobie. Ciągłe jęczał, że go boli i boli. Pomyślałem, że mi kit wciska i...

– Tak, panie inspektorze?

– Wydarłem się na niego. A co myślałeś? Ledwie wrzasnąłem, a on bach! I leży na podłodze. No, to wtedy wezwałem łapiducha, który powiedział, że to może być wyrostek, ale nie jest pewien. Ci dranie nigdy nie są pewni! Dlatego zadzwoniliśmy po karetkę.

– Sam go pan przesłuchiwał?

– Tak.

Pascoe zastanawiał się chwilę. Pierwszy raz widział, żeby Dalziel tak się czymś przejął.

– Dzwonił pan do nadinspektora?

– Tego ciula?! Po co miałbym do niego dzwonić?

– Żeby ktoś inny nie zadzwonił wcześniej. Przepraszam na chwilę.

Pascoe zszedł na parter, gdzie zastał już Wielda przeglądającego wpisy dyżurnego z aresztowania państwa Lee.

– Jakieś kłopoty? – spytał Wield.

– Jeżeli wszyscy będziemy wypełniać swoje obowiązki, nic się nam nie stanie – odparł Pascoe. – Co my tu mamy... – Zagwizdał przez zęby. – Długo to trwało.

– Skarżył się od początku, odkąd go przywieźli – dodał Wield. – Twierdził, że został pobity.

– A ta kobieta? Jest tu jeszcze? Rany boskie, zabierzcie ją do szpitala, migiem! Niech pan z nią jedzie, sierżancie, i trochę tam posiedzi. Proszę zabrać stąd jakąś policjantkę, niech się zajmie panią Lee, a pan niech ma oko na Dave’a. Oboje są aresztowani, prawda?

Wróciwszy na górę, zastał Dalziela rozmawiającego przez telefon.

– Tak, panie inspektorze – mówił właśnie. – Oboje. Ona może być jego współniczką.

Pascoe napisał coś pośpiesznie na kawałku papieru, który następnie podsunął Dalzielowi. Podinspektor zerknął nań i w jego tonie zabrzmiała urażona nuta:

– Ależ oczywiście, panie inspektorze. Jest z nim w szpitalu, towarzyszą im posterunkowa i sierżant z mojego wydziału. Nie jesteśmy pozbawieni ludzkich uczuć.

Mrugnął porozumiewawczo do Pascoe, który w tej samej chwili odczuł jednocześnie ulgę i niepokój. Nie przeszkadzało mu lekkie zbliżenie w hierarchii służbowej, ale nie chciałby, żeby lojalność przeważała nad legalnością – to było dobre w prywatnych szkołach, nie w służbie publicznej.

– Załatwione. – Dalziel odłożył słuchawkę. – Dzięki, Peter.

– Za co? Po prostu zrobiłem porządek.

– Wolisz „zrobiłem porządek” od „kryłem przełożonego”, tak? Nie bój się tak, chłopcze, nie pociągnę cię za sobą na dno! Kto wie, może ten Lee nie wybudzi się z narkozy? W szpitalu co drugi lekarz to czarny, a do operacji używają dzid. – Dalziel wybuchnął śmiechem. – A może będzie tak zajęty odpieraniem naszych zarzutów, że nie wystarczy mu czasu na stawianie własnych.

– Mam tylko nadzieję, że nie próbuje go pan obciążyć zabójstwem Pauline – wtrącił

Pascoe, zadowolony, że może wrócić do bieżących zadań. – Jest o dobre dziewięć cali za wysoki.

– Że jak?

Pascoe streścił swoją rozmowę z Rosettą Stanhope. Dalziel nie był zachwycony.

– Do diabła, ktoś powinien był to wcześniej zauważyć. Co za niechlujstwo... Zresztą nie w tej jednej kwestii.

Powiedział Pascoe o pieniądzach Brendy Sorby i ich domniemanym związku z banknotami znalezionymi w wozie Lee.

– Dlaczego zajrzał pan do garnka z mąką?

– Nie pasował do reszty tych skarbów. Frajer z tego Lee, bał się go pewnie zostawić w kuchni, gdzie nie zwróciłby mojej uwagi, za to mógłby zainteresować jego żonę.

– Myśli pan, że nie wiedziała?

– Kto to wie... Bardzo jestem ciekaw, czyje odciski palców znajdziemy na banknotach, jak już te śmierdzące lenie laboratoryjne raczą się im przyjrzeć! Nie wiem, ile ona wie, ale Dave zna różne subtelne sposoby, żeby zamknąć jej usta. Widziałeś jej twarz? A właśnie, skoro mowa o bitych żonach... Widziałem się wczoraj z twoją, zjedliśmy razem obiad. Obraca się w ciekawym towarzystwie.

– Na to wygląda.

– No właśnie. Ta Lacewing. Aeroklub. Ten gość, który nim kieruje, ten... Greenall, tak się nazywa. Wiesz coś o nim?

– Pierwsze słyszę. A co?

– Właściwie nic. Ale kiedy wszyscy powtarzali, jakie to dziwne, że taka szycha jak ja osobiście prowadzi sprawę jakiegoś groszowego włamania, on przyjął to bez mrugnięcia okiem. Cóż, świat jest pełen dziwaków. A on przynajmniej hojnie polewa szkockiej. Co jeszcze ostatnio porabiałeś, Peter? Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Pascoe opowiedział o Wildgoosie i wizycie w Centrum Ogrodniczym Linden.

– Czubek jakiś, ten Wildgoose, nie uważasz?

– Nie według dzisiejszych standardów. Właściwie w swojej klasie jest całkiem przeciętny.

– Porzuca rodzinę, bzyka młode dziewczyny, ubiera się jak nastolatek i spędza wakacje na jakimś zasranym Kadzidlany Szlaku. To ma być przeciętność? – Dalziel się skrzywił. – To ja już wolę zadawać się z takimi jak Dave Lee; on przynajmniej jest Cyganem z urodzenia.

Interesująco zapowiadającą się dyskusję socjologiczną przerwało pukanie do drzwi:

sierżant dyżurny.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie inspektorze, ale na dole czeka jakaś pani Pritchard. Mówi, że jest adwokatem. Przyszła w sprawie państwa Lee.

– Lacewing, ty suko! – wrzasnął tubalnie Dalziel. – Powiedźcie jej, żeby się... Nie. Powiedźcie jej, że państwa Lee już tu nie ma. Jeśli nie da się spławić, poproście o okazanie pełnomocnictwa, a kiedy go wam nie pokaże, bo wiem, że go nie ma, wykopcie ją za drzwi.

– Nie wspominać o szpitalu?

Dalziel złapał się wielkimi jak łopaty rękami za siwiejącą głowę.

– Boże! Jak tu się dziwić, że ludzie mordują się nawzajem... Jedno słowo o szpitalu, sierżancie, a sami w nim wylądujecie. Wynocha!

Ryk podinspektora prawie zagłuszył dzwonek telefonu. Pascoe odebrał: dzwonił Harry Hopper z laboratorium.

– W sprawie tego nawozu, który nam przywiozłeś... No, to jest właśnie to: nawóz. Markowy, jak na opakowaniu. Z worka nie udało się zdjąć żadnych użytecznych odcisków. Tak, ten sam, który znaleźli na ubraniu McCarthy, co oczywiście nic nie znaczy, bo worki z takim nawozem były też w szopie u Ribble'a.

– Dzięki, Harry. Nie miałem złudzeń.

– To Hopper? – zainteresował się Dalziel. – Zapytaj go, czy ma już coś dla mnie.

– Słyszałem – odezwał się Hopper, zanim Pascoe zdążył mu przekazać prośbę podinspektora. – Raport jest prawie gotowy. Żadnych epokowych odkryć. Wiemy tylko, że banknoty nasiąkły wodą, a potem zostały wysuszone.

– Nasiąkły wodą? – powtórzył Dalziel, przytknąwszy ucho od zewnątrz do słuchawki. – Bardzo?

– Bardzo: zostały w niej całkowicie zanurzone, namokły, a potem ktoś je wysuszył. Wszystko będzie w raporcie.

Pascoe z Dalzielem spojrzeli po sobie pytająco. Grubas lekceważącym machnięciem ręki zbył telefon.

– Dzięki, Harry – powiedział Pascoe.

– Poczekaj, chciałem ci coś jeszcze powiedzieć, kiedy nam tak ordynarnie przerwano. Zbadaliśmy też worek.

– Jaki worek?

– Ten jutowy, w który zapakowałeś torbę po nawozie. Mimo że nikt nas nie docenia, potrafimy być bardzo staranni.

– I co? – spytał Pascoe, w pełni świadom narastającego zniecierpliwienia Dalziela.

– To było o wiele ciekawsze. Najpierw ziemia, piasek, jakieś włókna... Tego typu rzeczy, nic niezwykłego. Ale oprócz tego znaleźliśmy małe kuliste niełupki. Czy ten wasz gość hoduje kanarki?

– Czemu pytasz? I co to są niełupki?

– Takie małe twarde nasionka, w tym wypadku nasiona rośliny o nazwie *cannabis sativa*. Jej niełupki często trafiają się w ptasiej karmie, ale jeśli facet nie jest miłośnikiem ptaków, to pewnie jest miłośnikiem trawki. Ktoś tam uprawia konopie indyjskie.

Rozdział 17

Piątek włókł się tak niemiłosiernie, jakby chciał dotrzeć do końca świata, zamiast po prostu zamknąć kolejny tydzień.

I wcale nie miał się ku końcowi.

Dalziel pojechał do laboratorium. Lubił spotykać się z ludźmi osobiście, kiedy mieli mu coś ważnego do zakomunikowania, a raport w sprawie banknotów uznał za niezwykle istotny. Nie zniechęciło go nawet nieporadnie wyrażone zastrzeżenie Pascoe, że zmoczenie banknotów prędzej dowiedzie niewinności niż winy Dave'a Lee.

– Dziewczyna została utopiona, tak czy nie? Blisko wesołego miasteczka, gdzie z kolei zabito tę Stanhope. Twój pomysł z tym zaginionym ubraniem, Peter, jest niezły, ale to tylko teoria. A Lee jest w coś umoczony. Za dużo w tym wszystkim zbieżności, żeby to mógł być tylko przypadek.

– Zbieżności?

– Chociażby lunapark. No i nie zapominaj o tym, że Lee i ta Stanhope byli spokrewnieni – zakończył triumfalnym tonem Dalziel.

– Raczej spowinowaceni, poprzez małżeństwo. I to dość odległe.

– Nie ma czegoś takiego jak „odległe powinowactwo przez małżeństwo”. Jeśli kogoś nie znasz, jest to bliski; jeśli znasz, to siedzi ci na głowie.

Dalziel wyjechał i Pascoe został sam z wątkiem Wildgoose'a. Kiedy zaczął snuć hipotezy o tym, że Centrum Ogrodnicze Linden zostało przeznaczone pod uprawę konopi, a morderstwa są efektem wojny gangów wywołanej wejściem mafii w branżę wymuszeń w środkowym Yorkshire, pokręcił głową, napił się stołówkowej kawy (najsilniejszego znanego nauce antyhalucynogenu) i kazał centrali wywołać samochód posterunkowego Preece'a.

– Słucham – powiedział.

Preece poinformował go, że Wildgoose wyszedł z domu niedługo po nim. Przespacerował się ćwierć mili, na Danby Row, ulicę zabudowaną dużymi edwardiańskimi bliźniakami, która – mimo że biegła skrajem gęsto zamieszkaney okolicy, w której znajdowało się mieszkanie Wildgoose'a – nie straciła jeszcze swojego kameralnego charakteru. Tam wszedł do domu pod numerem 73, gdzie spędził czterdzieści pięć minut, po czym wrócił do siebie.

– Niósł coś?

Reklamówkę. Tak, nadal miał ją przy sobie, wychodząc z domu przy Danby Row 73.

W drodze powrotnej wstąpił do piekarni, gdzie kupił bochenek chleba.

– W porządku, Preece. Nie możemy tak w nieskończoność wykorzystywać twojego cennego ciała. Zwijaj się stamtąd, ale po drodze spróbuj się czegoś dowiedzieć o mieszkańcach Danby Row 73. Możesz się podać za mormońskiego misjonarza, czy co ci tam przyjdzie do głowy. Chociaż nie, jak się tak zastanowić, to z twoją prezencją bardziej przekonujący będzie bezrobotny czyściciel okien. Po powrocie zamelduj się u mnie.

Kryję przełożonych, dręcę podwładnych... Czyżbym dołączył w końcu do establishmentu? – zaniepokoił się Pascoe.

Zadzwoił do szpitala i poprosił Wiolda do telefonu.

– Wiadomo już coś o Lee?

– Przypuszczalnie pęknięty wrzód. Żona twierdzi, że od miesiący skarżył się na bóle brzucha. Chcieliby go pokroić i obejrzeć w środku, ale to dopiero wieczorem, bo palant dorwał tu gdzieś dzbanek z wodą i wypił duszkiem z pół galonu. Teraz trzeba czekać, aż to spłynie.

– Dalej się skarży, że został pobity?

– Nie wiem, nie wpuszczają mnie do niego. Mam tu czekać?

– Chyba tak – przytaknął Pascoe po chwili namysłu. – Wiem, że to nudne, ale w tej sytuacji... Proszę zobaczyć, czy z żony da się wycisnąć coś więcej niż zarzut maltretowania.

Powiedział Wioldowi o wynikach badań w laboratorium.

– Nasiąkły wodą? Dlaczego miałyby zamoknąć?

– Nie mam pojęcia. Zwłaszcza, że to przecież mogą być zupełnie inne pieniądze.

– To prawda. Mam za to pewien pomysł odnośnie do tych innych rzeczy, to znaczy sygnetu i zegarka. Niedaleko banku jest jubiler, nazywa się bodajże „Conrads”. Teraz ma zamknięte, wyjechał na urlop, ale w tamten czwartek jeszcze był u siebie.

– Ciekawe spostrzeżenie – pochwalił Wiolda Pascoe. – Proszę mi dać znać, jak się ten wątek rozwinie. Aha, jeszcze jedno: gdyby zjawiała się tam u was prawniczka nazwiskiem Pritchard, proszę potraktować ją uprzejmie, ale stanowczo. Nie ma żadnego oficjalnego umocowania. Czy to jasne?

– Będę najuprzejmiejszy z uprzejmych i najbardziej stanowczy ze stanowczych.

Pascoe zadzwonił następnie do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa w Londynie, gdzie po kilkakrotnym przełączaniu i oczekiwaniu dowiedział się, że nieopodal Linden faktycznie znajduje się szkoła wojskowa Devon School, a szczegółowych informacji na temat zatrudnionego w niej personelu udzieli mu Wydział Nauczania Dzieci i Młodzieży w Wojskowym Instytucie Edukacyjnym.

Tam poszło mu niewiele lepiej: musiał kilkakrotnie powtarzać, kim jest, i demonstracyjnie zastanawiać się na głos, czy w Ustawie o Tajemnicy Państwowej jest jakiś ustęp obejmujący sprawy kształcenia w armii, zanim w końcu połączył się z kimś, kto wprawdzie wolał pozostać anonimowy, ale współczującym tonem obiecał mu, że oddzwoni, gdy tylko ustalą fakty.

– Ale może być tak, że odezwę się dopiero w poniedziałek – zastrzegł się na koniec, czym nieco zepsuł dobre pierwsze wrażenie.

– Nie wiedziałem, że armia ma wolne weekendy.

– Czasy się zmieniają. W akademii w Sandhurst są teraz kursy honorowania weekendów. Do usłyszenia.

Ledwie Pascoe odłożył słuchawkę, rozległo się zdawkowe puknięcie do drzwi i do pokoju wszedł Dicky Gladmann.

– Na dole panuje straszny ruch, więc po prostu przyszedłem od razu do pana – wyjaśnił, uśmiechając się szeroko znad muchy w grochy i ciekawie zerkając na boki przekrwionymi oczami.

– To by było tyle, jeśli chodzi o bezpieczeństwo – mruknął Pascoe.

– Powinni mnie zapowiedzieć? Przepraszam – powiedział Gladmann wesolutko i całkowicie nieszczerze. – Ale mam listy polecające.

Pokazał reklamówkę z Sainsbury.

– Taśmy? Świetnie. Czy to znaczy, że pan Urquhart też się zmaterializuje?

– Wątpię. – Gladmann usiadł. – W przerwie obiadowej zajrzeliśmy na uniwersytet...

– Na uniwersytet? Mówiliście panowie, że cały potrzebny sprzęt macie w college'u.

– Niezupełnie. Pan, jako w pewnym sensie skoligacony z college'em, zapewne zdaje sobie sprawę, że pod względem naukowym jest to placówka raczej przeciętna. Laboratorium językowe jest niczego sobie, ale doszliśmy do wniosku, że warto sporządzić rzetelne sonogramy tych nagrań...

– Sporządzić co? – przerwał drugi raz Pascoe.

– Sonogramy... Oj, przepraszam, wydawało mi się, że współcześni policjanci są na bieżąco z techniką. Sonogram to wykres analizy dźwięku wydrukowany przez maszynę nazywaną sonografem. Przedstawia rozkład energii w widmie częstotliwości, które odpowiadają różnym dźwiękom, tak?

– Skoro pan tak mówi... I uniwersytet ma taką właśnie maszynę?

– Jak również przeuroczą panią profesor, która nie umie się oprzeć urokowi osobistemu Drew, na który składa się arogancja intelektualna, kompletny brak obycia oraz

specyficzny zapach. Bóg raczy wiedzieć, jakie dźwięki razem analizują, ale maszyna chyba tylko cudem jeszcze nie eksplodowała. Zatem ja czym prędzej wróciłem do pana, a Drew trwa na posterunku. W interesie nauki, rzecz jasna.

– Oczywiście. Ma pan coś, co mogłoby nam pomóc, panie Gladmann?

– Tak, przejdźmy do rzeczy.

Lingwista odwrócił torbę do góry nogami i na biurko Pascoe posypały się kasety przemieszane z kawałkami papieru.

– To jest nasz raport. – Gladmann wziął do ręki kilka spiętych zszywką kartek. – Dość klarowny, moim zdaniem, ale jeśli pan chce, mogę go pokrótce omówić.

– Byłbym wdzięczny.

– W porządku. Po pierwsze, jesteśmy właściwie zgodni co do tego, że mamy do czynienia z czterema różnymi osobami; w przeciwnym razie byłoby to naśladownictwo najwyższej próby. Rytm i zakres tonalny próbek (A) i (D), czyli „Idź do alkierza jejmość pani...” oraz „Zwichnięty czas...” są zbliżone, ale występują między nimi także istotne różnice. Obaj rozmówcy mówią czystą angielszczyzną, tyle, że różnie bywa z tą czystością. Ha, ha, ha.

– Ha, ha, ha. A konkretnie?

– Obu cechuje RP, Received Pronunciation, wzorcowa wymowa brytyjska, ale porównując fonetyczną realizację fonemów, które występują w obu cytatach, dostrzegamy, co następuje: w angielskim słowie *to* u (A) mamy samogłoskę centralną, podczas gdy u (D) zamkniętą tylną. Brzmi to tak.

Gladmann zademonstrował. Pascoe spojrział na niego z powątpiewaniem. Gladmann zrobił powtórkę. Pascoe powtórzył wydane przez Gladmanna dźwięki – najpierw z wahaniem, po chwili z większym przekonaniem.

– Słyszysz pan różnicę? Mnie się wydaje, że pan słyszy.

– Mam talent. Proszę mówić dalej.

– Następna rzecz: *now* w wykonaniu (A) i *out* wypowiedane przez (D). U (D) mamy tradycyjny dyftong, w którym półsamogłoska zaczyna się od otwartej tylnej samogłoski. W dyftongu (A) słychać, że półsamogłoska zaczyna się bardziej z przodu i bliżej pozycji półotwartej.

Tu nastąpiła kolejna demonstracja.

– Dalej... – Gladmann wyraźnie złapał wiatr w żagle. – U (D) spółgłoski zwarto-wybuchowe na początku sylaby akcentowanej (w słowach *time* i *cursed*) są aspirowane, u (A) nie.

– Zaraz. Co to właściwie znaczy?

– Aspiracja, inaczej przydech. to gwałtowna emisja niewielkiej porcji powietrza w momencie...

– Wiem, co to jest aspiracja; wiem również, co to jest desperacja, nawiasem mówiąc. Ale co to oznacza w praktyce?

– Oj, widzę, że z pana to prawdziwy policjant – skonstatował smutno Gladmann. – Aspiracja jest normą w standardowej angielszczyźnie; jej brak często cechuje północne dialekty regionalne. Następną sprawą to bezdźwięczne spółgłoski zwarto-wybuchowe na pozycji końcowej. W wypowiedzi (D) jest taka jedna, w słowie *spite*, i pozostaje niema. U (A) mamy wyraźną glotalizację takich dźwięków.

– To znaczy... Jakby zostały wyplute?

– Można tak powiedzieć – przytaknął zniechęcony Gladmann.

– Proszę o podsumowanie.

– Skoro pan nalega... (D) to stosunkowo prosta sprawa. Mówi standardową angielszczyzną, wyniesioną zapewne z rodzinnego domu klasy średniej oraz wypracowaną w procesie edukacji, niekoniecznie państwowej. Ukończona szkoła średnia, najprawdopodobniej gdzieś w południowo-wschodniej Anglii. Jego wymowa wykazuje kilka bardzo konserwatywnych aspektów, które potwierdzałyby tę teorię. Kiedy mówi „O”, półsamogłoska w dyftongu zaczyna się od samogłoski tylnej w położeniu przyśrodkowym; w słowie *bom* wymowa samogłoski bardziej przypomina dyftong i jest odległa od monoftongu typowego dla młodszych użytkowników RP.

– Dobrze, dobrze. – Pascoe zaczynał się niecierpliwić. – Co z (A)?

– Naszym zdaniem (A) wykazuje silne ślady akcentu regionalnego, który z niewiadomych przyczyn ewoluował w kierunku zmodyfikowanego RP, nie wyzbył się jednak wszystkich cech typowych dla akcentów północnych. Latem zeszłego roku Drew prowadził badania terenowe w północnym Derbyshire, analizował tamtejsze dialekty. Teraz twierdzi, że (A) brzmi nieco podobnie, ale trzeba przyznać, że miewa czasem obsesję na punkcie swoich zainteresowań.

– Rozumiem. Co z pozostałymi?

– Niewiele mówią, prawda? Na szczęście, tak dobrali cytaty, że znacznie wyraźniej zdradzają cechy regionalne. „Można się uśmiechać i uśmiechać, a łotrem być”. Czyli „*One may smile and smile, and be a villani*. Zdradza go już to początkowe *one*, dyftong w *be* oraz bardzo zamknięta artykulacja spółgłoski początkowej w *villain*. Z całą pewnością West Midlands, najprawdopodobniej Birmingham. Jeśli zaś chodzi o (C), to chyba nawet pan,

panie inspektorze, zorientował się, że (C) jest Szkotem. Wyraźne „r” w *or* właściwie załatwia sprawę, ale gdyby potrzebował pan dalszych dowodów, dostarczy ich samogłoska w *not*, znacznie bardziej zamknięta niż u przeciętnego wykształconego Anglika.

– Doskonale – powiedział Pascoe, chociaż nie bardzo wiedział co w tym doskonałego. – To, jak rozumiem, są te sonogramy. Co nam mówią?

Wziął do ręki długie arkusze cienkiego papieru z naniesioną skalą i falistymi wykresami drgań.

– Potwierdzają, że mamy do czynienia z czterema różnymi osobami – odparł Gladmann. – A jeśli będziemy mieli szczęście, lub nieszczęście, dokonać następnego nagrania, pomogą nam ustalić, czy jego autorem jest ktoś z poprzedniej czwórki. Pana zdaniem któryś z nich to ten Dusiciel?

– To bardzo prawdopodobne.

– No, mam nadzieję, że go dorwiecie. Nawiasem mówiąc, młody Drew prosił mnie o przekazanie jego obiekcji wobec wykorzystania naszych odkryć inaczej niż jako poszlaki o wybitnie pomocniczym charakterze.

– Doprawdy? Proszę mu podziękować i zapewnić go, że nie zamierzamy się z niczym śpieszyć. Po prostu w ciągu najbliższego miesiąca planujemy aresztowanie wszystkich Szkotów i mieszkańców West Midlands jako podejrzanych.

Pascoe wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. Gladmann uściskał ją i przytrzymał nieco dłużej niż wymagały tego obyczaje, Pascoe zaś zauważył przy okazji, że nie wszystkie plamy na muszce są elementami pierwotnego desenu. Odniósł wrażenie, że Gladmann często czuje się samotny i chwali sobie kontakt z ludźmi przy okazji współpracy z policją.

– A pan, panie Gladmann, z jakiej części świata pochodzi? – usłyszał Pascoe własny głos. Nie było to najbardziej dyplomatyczne pytanie, nawet gdyby zadać je komuś mniej lotnemu od Gladmanna.

– Z Surrey – odparł językoznawca, uśmiechając się półgębkiem. – Solidny burżuazyjny rodowód. Dobra szkoła średnia, wzorowy uczeń, studia, dyplom z literatury angielskiej, specjalność dramat renesansowy. Tymczasem żegnam, panie komisarzu. I polecam się łaskawej pamięci, gdyby tylko było trzeba.

Pascoe usiadł i dłuższą chwilę dumał nad słowami Gladmanna. W końcu odłożył taśmy i raport do szafki i zajął się zaległą papierkową robotą. Następnego dnia – w sobotę – powinien mieć wolne i chciał przedtem jak najwięcej nadgonić.

Po mniej więcej półgodzinie przerwało mu przybycie posterunkowego Preece’a.

Dom przy Danby Row 73 należał do niejakiego Huberta Valentine’a, zatrudnionego

w Wydziale Podatków i Opłat w urzędzie miasta i przebywającego obecnie na urlopie na Minorce. Żona pojechała razem z nim, a siedemnastoletnia córka Andrea została sama na gospodarstwie.

– Smakowity kąsek. – Preece uśmiechnął się lubieżnie. – Wmówiłem jej, że prowadzę badania rynku na zlecenie wielkiego koncernu płytowego: jakie płyty ona kupuje, jakie jej rodzice... Wszystkiego się dowiedziałem. Bardzo przyjacielska dziewczyna.

Dowiedział się również, że Andrea chodzi do Bishop Crump. Podany przez Pascoe rysopis pasował do dziewczyny, którą Pascoe rano widział wychodzącą z mieszkania Wildgoose'a.

Odprawił Preece'a i wrócił do pracy, ale niewiele później do pokoju wparował Dalziel.

– Szlag by trafił to laboratorium! Nic nie znaleźli. Zegarek jest taki nowoczesny, cyfrowy. I wodoszczelny, więc nawet nie wiedzą, czy wpadł do wody. Nie można wytropić miejsca zakupu. Sygnet jest z dziewięciokaratowego złota i od środka ma wygrawerowaną inskrypcję: *Cała moja miłość, całe moje życie*. Jest też monogram, taki z zawijasami, przez to niezbyt czytelny: MLA albo WTA. Nikt nie zgłosił zgubienia takiego zegarka ani sygnetu.

Pascoe podszedł do szafki na akta.

– A może TAM? – zasugerował.

– Jeśli tak, to co?

– Tommy Maggs ma na drugie imię Arthur.

Pascoe opowiedział Dalzielowi o pomysle Wiolda dotyczącym jubilera na urlopie.

– To możliwe – przyznał Dalziel. – I wiele by tłumaczyło. Więc pod tą szpetną maską jednak kryje się mózg... Kiedy ten jubiler wraca?

– Według Wiolda, jutro. Przynajmniej taką kartkę zostawił na drzwiach.

– Dobrze, będziemy na niego czekać. Tymczasem założmy, że to on sprzedał zegarek i sygnet. Brenda wypłaca sobie gotówkę, za część kupuje te dwie błyskotki, które zapewne zamówiła wcześniej, skoro na sygnetie jest grawerunek. A potem to wszystko, włącznie z resztą pieniędzy, ładuje w wozie Lee. No, będzie się skurczybyk gęsto tłumaczył.

– Jeszcze nie teraz – pohamował Dalziela Pascoe i powiedział mu o planowanej operacji.

– Przynajmniej wiemy, gdzie jest. Masz pojęcie, która godzina, chłopcze?

– Późna.

– Zaraz otworzą bary. Chodź, spluczemy czymś ten dzień.

Pascoe próbował się sprzeciwić, ale Dalziel nie chciał o tym słyszeć.

– Jutro masz wolne, prawda? W takim razie Ellie jeszcze się tobą nacieszy. Im czegoś mniej mamy, tym wyżej to cenimy.

– No dobrze – zgodził się Pascoe. – Chodźmy na jednego.

Uprzątając biurko, streścił podinspektorowi spostrzeżenia Gladmanna. Dalziel niezbyt się nimi przejął.

– Językoznawcy, psychiatrzy... Wszystko jedna szajka dilerów gówna.

– Być może. Ale Dave Lee nijak nie pasuje do tej analizy nagrań.

– W takim razie może to analiza jest do niczego.

– Sporządzony przez Pottle'a profil Dusiciela też nie odpowiada Lee.

– Pottle! Co on wie...

– W przeszłości miewał rację.

– Tak jak Poncjusz Piłat. Do rana będziesz tak sprzątał?

Głośno tupiąc, Dalziel pierwszy zbiegł po schodach, ale przy podwójnych drzwiach do holu na parterze zatrzymał się gwałtownie i ostrożnie wyjrzał przez szparę oddzielającą skrzydła drzwi. Kiedy Pascoe do niego podszedł, grubas uciszył go, kładąc palec na ustach, po czym skinął na niego, żeby też spojrział.

Młoda kobieta w szarej sukience rozmawiała z sierżantem dyżurnym.

– Jeżeli nie mogę uzyskać dostępu do państwa Lee, gdziekolwiek się znajdują, nalegam na spotkanie z funkcjonariuszem prowadzącym ich sprawę – dopominała się dźwięcznym, gniewnym głosem.

– Nie wiem, czy jest w tej chwili u siebie, panno Pritchard – zastrzegł sierżant.

– Proszę to sprawdzić.

Sierżant bez entuzjazmu sięgnął po telefon.

– To ta adwokat od Lacewing? – spytał szeptem Pascoe.

– Mhm. Chodźmy, nim zacznie przeszukiwać budynek.

Dalziel zarechotał triumfalnie i ruszył do tylnego wyjścia.

Rozdział 18

Przed dziewiętnastą Dave Lee został przewieziony na salę operacyjną. Jak tłumaczyła Wieldowi siostra oddziałowa, tylko dzięki temu, że był piątkowy wieczór, a ordynator lubił w sobotę rano pograć w golfa, Lee nie musiał czekać na zabieg do następnego dnia.

Sierżant ucieszył się z takiego rozwoju sytuacji, bo po podaniu Lee znieczulenia mógł na jakiś czas zmniejszyć czujność. Zszedł do stołówki, żeby coś przekąsić, ale zmienił zamiar na widok pani Lee i towarzyszącej jej policjantki, zajadających się zapiekanką z groszkiem i frytkami. Zamiast jeść, wyszedł na spacer, żeby oczyścić organizm z woni chorób i lekarstw.

Nogi poniosły go przed wejście do izby przyjęć, gdzie akurat podjechała karetka. Przystanął i z zawodowym zainteresowaniem obserwował spokojne, profesjonalne ruchy pielęgniarzy przenoszących pacjenta z pojazdu na nosze. Kiedy nosze przejeżdżały obok, zerknął na nie odruchowo. Widok był wstrząsający: pacjent padł ofiarą bestialskiej przemocy. Fioletowa opuchlizna zakrywała jedno oko, z popękanych warg ciekły strużki krwi, nos wyglądał na złamany, w otwartych ustach, na których pękały krwawe bąbelki powietrza, widać było co najmniej dwa złamane zęby.

Spojrzenie zdrowego oka człowieka na noszach prześliznęło się po twarzy Wielda i przez ułamek sekundy w rysach pacjenta odmalowało się coś innego niż ból. Zdeformowane elementy połączyły się w spójny obraz twarzy – i Wield doznał kolejnego wstrząsu, silniejszego niż poprzedni.

To był Ron Ludlam.

Wield wszedł przez automatycznie drzwi w ślad za noszami. Kierowca karetki rozmawiał z dziewczyną w recepcji.

– Przepraszam – wtrącił się Wield. – Co mu się stało?

Dopiero kiedy podkreślił wagę swojego pytania legitymacją policyjną, kierownik raczył odpowiedzieć:

– Spadł ze schodów.

– Słucham?

– Tak powiedział. Jego siostra też tak powiedziała. Ja ich tylko wożę.

– Jego siostra... Pani Pickersgill, zgadza się? Gdzie ona jest?

– Powiedziała, że przyjedzie później. To ona nas wezwała. Była roztrzęsiona.

– Ale nie na tyle, żeby przyjechać tu z wami?

– Może miała inne zajęcia: nakarmić dzieciaka, zaopiekować się matką... Jak mówiłem, ja ich tylko wożę.

Wield wszedł głębiej, śladem noszy, które metodą prób i błędów namierzył w końcu w jednym z pobliskich gabinetów, gdzie ratownik z karetki rozmawiał z pielęgniarką, która notowała jego słowa. Zdaniem Wielda notowanie i wypisywanie papierów zajmowało im tu sporo czasu, ale pewnie tak musiało być, jeśli chcieli wiedzieć, z czym mają do czynienia.

Legitymacja poskutkowała i tym razem. Sierżant pochylił się nad leżącym.

– Ron?

Oko mrugnęło. Ludlam go rozpoznał, ale się nie ucieszył.

– Co się stało, Ron?

Język poruszył się jak ślepe zwierzątko w obitych ustach. Wield wyłowił słowo „schodów”.

– No jasne. Nie gadaj głupot, Ron. To Frankie cię tak załatwił, prawda?

Gwałtowny przeczący ruch głowy musiał sprawić Ronowi sporo bólu. Ludlam dźwignął się, podparł łokciem i powiedział z bohatersko wywalczoną klarownością:

– Spadłem ze schodów.

– Dobrze, nie spinaj się tak. Zaraz cię obejrzą.

Przyszła lekarz i Wield został delikatnie wyproszony za drzwi. Nawet się specjalnie nie opierał. Jeżeli Ron w takim stanie uparł się nie wsypać szwagra, to musiał być zdeterminowany. Prawdopodobnie Janey przekazała Frankiemu uzyskaną od Wielda informację. Frankie prawdopodobnie wpadł w szal. Prawdopodobnie strach przed powtórką zamknął Ludlamowi usta.

Prawdopodobnie... prawdopodobnie...

Coś tu nie pasowało. Gdyby ciężko pobity Ron teraz się wygadał, a potem – odzyskawszy siły – rozpaczliwie wszystko odszczekał, to miałoby jeszcze jakiś sens, a tak... Musiało być w tej sprawie coś więcej. Jakaś dodatkowa presja.

Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do George’a Headingleya i doradzić mu wysłanie kogoś do Pickersgillów. Najprawdopodobniej chodziło przecież o sprawę magazynu Spinksa.

Na początek jednak (wiedział, że ma pretekst, żeby wreszcie wymknąć się ze szpitala, ale nie umiał się powstrzymać) sprawdził, co z Dave’em Lee: żył i miał się dobrze, ale był nieprzytomny.

Wield poszedł do samochodu. Wyjeżdżając z parkingu, minął się z taksówką, w której na tylnym siedzeniu jechała samotna kobieta. Wydało mu się, że rozpoznaje Janey

Pickersgill.

To się nawet dobrze składa, pomyślał. Teren będzie czysty.

Długo musiał dzwonić do drzwi, zanim doczekał się jakiejś reakcji, ale w końcu Pickersgill uchylił drzwi na jakieś sześć cali, wyjrzał, zmarszczył brwi i zapytał:

– Czego pan chce?

– Ciebie – odparł Wiel. – Lepiej mnie wpuść, Frankie.

Pickersgill niechętnie ustąpił. Był wysokim, żylastym mężczyzną o pociągłej twarzy i rozbieganych oczach. Miał na sobie ubranie, w którym chodził do pracy: dżinsy i białą bluzę od dresu. Zapewne, przyjechawszy do domu, trafił akurat na moment, w którym Janey oskarżała brata o wsypanie szwagra za włam do monopolowego. Gdyby miała czas się nad tym zastanowić, pewnie o niczym nie powiedziała mężowi, ale najpierw musiała wyładować się na bracie. A kiedy Frankie się zorientował, co jest grane, nic nie mogło go powstrzymać.

– Rozmawiałem z Ronem – powiedział Wiel. – Nie rób takiej zdziwionej miny. Wezwali nas od razu, kiedy usłyszeli, co mu się stało.

– Usłyszeli? Niby co „usłyszeli”?

– Tak, tak, Frankie. Usłyszeli. Gęba mu się nie zamykała i tylko połamane zęby nie pozwalały mu mówić jeszcze szybciej.

– No i co takiego powiedział? – spytał prowokacyjnym tonem Pickersgill.

Zamiast odpowiedzieć, Wiel złapał go za nadgarstki, pociągnął do siebie i pokazał posiniaczone, puchnące knykie.

– Możesz mieć kłopot z trzymaniem kierownicy – powiedział. – Chociaż pewnie przez jakiś czas i tak nie będziesz musiał tego robić.

– Co pan wygaduje, do diabła?! I co to za pieprzenie o Ronie? Dopiero co wróciłem do domu. A ręce... To był wypadek.

– Też spadłeś ze schodów? Mniejsza z tym, Frankie. Napaść z pobiciem to najmniejsze z twoich zmartwień, synu.

Pickersgill próbował się wyrwać, ale Wiel trzymał go w żelaznym uścisku.

– Tak, Frankie. Ron puścił farbę. Chyba nie myślałeś, że będzie trzymał język za zębami, co? Raz już cię wsypał, więc czemu nie miałby tego powtórzyć? Tylko Janey może ci teraz zapewnić alibi, a po ostatnim razie już wiesz, ile warte są jej słowa.

Reakcja Pickersgilla zaskoczyła sierżanta: najpierw niedowierzanie, potem zwykle zaskoczenie, na koniec coś na kształt rozbawienia.

– Chce pan powiedzieć, że Ron zwał na mnie włam do Spinksa? Mam uwierzyć, że

ma takie jaja, żeby spróbować czegoś takiego? Musi się pan bardziej postarać, panie Wiel.

Postaram się, obiecał sobie w duchu Wiel, rozpaczliwie szukając wyjaśnienia tego nieprzewidzianego zwrotu akcji. Żebyś wiedział, że się postaram.

I udało mu się. To było banalnie proste.

– Jest dokładnie odwrotnie, prawda, Frankie? – spytał półgłosem. – To nie on tobie dostarczył alibi, tylko ty jemu.

Puścił Pickersgilla. Nie potrzebował już kontaktu cielesnego, złapał Frankiego w inny uścisk, lepszy, mocniejszy. Mógł mu postawić zarzut, z którego Pickersgill się nie wyłga.

– Skłamałeś, mówiąc, że był tu wtedy z wami. To jest utrudnianie śledztwa, Frankie. Mamy cię.

Pociągła twarz Pickersgilla sposepniała.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

To przez Janey, domyślił się Wiel. To Janey wmówiła mu, że bicie wystarczy. Ale dla Frankiego ta sprawa nie była jeszcze zamknięta.

– Chodź, Frankie. Jedziemy do aresztu.

– Ale po co, do cholery?!

– Głównie po to, żebyś nie przeszkadzał. Ale na pewno wymyślimy jakiś lepszy powód dla twojego papugi. Bo papuga będzie ci potrzebny. Teraz cię zamknę, a potem pojedę prosto do szpitala i powiem Ronowi, że go wyspałeś w sprawie Spinksa. I tak sobie myślę, że on wtedy mi powie, że zrobił ten włam razem z tobą.

– Ja miałbym iść na robotę z tym czubem?! Panie Wiel, chyba nawet pan wie, że to nie wchodzi w grę.

– Może wiem, może nie wiem. Ale jeśli nie ty, Frankie, to kto był tym drugim? No, młody? Wiesz, że ochroniarz nie żyje; nie warto dać się w to wplątać bardziej niż już jesteś wplątany. Kto to był?

Kolejna niespodziewana reakcja: triumf, rozbawienie i hałaśliwy wybuch śmiechu, który prawie zagłuszył skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Prawie.

Wiel okręcił się na pięcie i wypadł do podłużnego przedpokoju w połowie jego długości. Drzwi wejściowe były zamknięte, za to znajdujące się na drugim końcu drzwi kuchenne były otwarte na oścież. Było przez nie widać kogoś, kto mocował się z drzwiami na podwórko za domem.

Musiały być zamknięte na klucz, bo intruz zdążył je ledwie uchylić, zanim dopadł go Wiel z rękami wzniesionymi do ciosu; rozłożone i usztywnione dłonie przypominały dwa

tasaki.

Tamten odwrócił się do niego, również podnosząc ręce, ale jedno spojrzenie na bladą, wystraszoną twarz uświadomiło Wieldowi, że spanikowany intruz zamierza się co najwyżej rozpaczliwie bronić.

Sierżant opuścił ręce i się uśmiechnął. Uśmiech na jego dziobatej twarzy przywodził na myśl motyla na hałdzie żużlu.

Intruz również się odprężył i opuścił ręce, odsłaniając młodą, przerażoną twarz.

– Cześć, Tommy – powiedział Wield.

Rozdział 19

Zeznanie Thomasa Arthura Maggsa złożone w Komendzie Głównej Policji Środkowego Yorkshire w obecności sierżanta V. K. Wiolda.

„Przepraszam za to całe zamieszanie, które wynikło z mojej winy. Nie chciałem, żeby tak to wyszło, ale nie wiedziałem, jak się zachować. Za dużo się wydarzyło naraz, a jeszcze Ron powiedział, że jeśli powiem prawdę, to go pogrążę, ale pewnie i tak bym powiedział, gdyby ten strażnik nie umarł. Chcę, żeby policja złapała tego, kto zabił Brendę, chociaż i tak to, co mu zrobią, to będzie dla niego za mało. Ale nie chciałem iść do więzienia, zwłaszcza za morderstwo, które by pewnie spadło na mnie, chociaż palcem gościa nie tknąłem. To Ron go uderzył. Wiem, że to niewiele zmienia, bo i tak przy tym byłem, ale to Ron go walnął, nie ja.

W ogóle to był jego pomysł. Umówiłem się z Brendą w »BayTree« o ósmej wieczorem, ale nie przyszła. Właściwie nawet się specjalnie nie zdziwiłem, bo dzień wcześniej się pokłóciliśmy: poszło o to, jak daleko możemy się posunąć, jak już jesteśmy zaręczeni. No bo właśnie się zaręczyliśmy i myślałem, że teraz to już byśmy mogli to zrobić, znaczy, pójść na całość. No bo skoro już ustaliliśmy, że na pewno się pobierzemy... Ale ona nie chciała. Nie chciała, żebym w nią wszedł. Wszystko inne tak, ale nie do środka. No i się trochę wkurzyłem, ona też. Więc kiedy nie przyszła, to pomyślałem, że po prostu jeszcze się wścieka.

Za to spotkałem w »Bay Tree« Rona; piliśmy prawie do dziewiątej. Potem zrobiło się tłoczno, ja byłem wkurzony, że mnie wystawiła, więc postanowiliśmy się przejechać po okolicy i poszukać jakiegoś zajęcia. Ron miał butelkę whisky, chcieliśmy się rozerwać. Podjechalismy w parę miejsc, ale niewiele się działo i w końcu zaparkowaliśmy pod magazynem Spinksa. Tak siedzieliśmy i popijaliśmy, aż w końcu Ron zaproponował, żeby to zrobić, bo czemu nie? No i zrobiliśmy. Wszystko było fajnie, dopóki nie przyszedł ten strażnik. Włamaliśmy się łatwiutko, znaleźliśmy całe pudło takich kieszonkowych radjerek, a tu nagle ten starszy gościu ładuje się przez drzwi i wymachuje latarką. Ron go uderzył, popchnął, przewrócił i uciekliśmy. Zdążyliśmy zabrać tylko po dwa radyjka, ale to nam nie przeszkadzało, bo tak jak mówiłem, wydawało nam się, że to po prostu fajna zgrywa jest.

Dopiero jak się samochód zepsuł, kiedy wracaliśmy, to się zaczęliśmy martwić. Ron

schował wszystkie radia do kurtki i się zmył, żeby nikt nie zadawał niepotrzebnych pytań. Zaraz potem podjechały gliny, więc im powiedziałem, że spotkałem się z dziewczyną, ale postanowiła wrócić do domu pieszo, kiedy auto się zepsuło. Kazali mi dmuchnąć w alkomat, a potem zabrali na badanie krwi, więc musiałem kłamać dalej, zwłaszcza jak usłyszałem, że już wiedzą o włamaniu i że strażnik jest poważnie ranny.

Rano zadzwoniłem do Brendy do pracy, żeby się z nią pogodzić, ale jej nie zastałem. Jak potem do warsztatu przyjechała policja i mi powiedzieli, że Brenda zniknęła, to dopiero się zrobiłem chory z nerwów. Ron mi poradził, żebym się trzymał swojej wersji; głupio by było samemu się wrobić, a potem się dowiedzieć, że po prostu naburmuszyła się i dlatego nie przyszła. Tylko, że to mi nie pasowało, Brenda nie była taka. Kiedy się dowiedziałem, że ją znaleźli, miałem ochotę umrzeć. Nie wiedziałem, co robić. Normalnie w ogóle przestałem myśleć, chciałem zwinąć się gdzieś w kącie i tylko tak leżeć. Ron mi kazał siedzieć cicho, bo przez ten czas stan strażnika się pogorszył, ale ja i tak nic nie byłem w stanie nikomu powiedzieć. Ciągle myślałem o Brendzie.

A potem ten ochroniarz umarł. Ja się już do tego czasu trochę otrząsałem i zacząłem kombinować, co właściwie powinienem zrobić, ale jak się dowiedziałem, że on nie żyje, to znowu mi się pogorszyło. Wsiadłem do samochodu i pojechałem. Dojechałem do Watford Gap, tam mi się auto zepsuło. Posiedziałem trochę w barze, napiłem się herbaty, myślałem o tym, żeby złapać stopa do Londynu, ale w końcu przeszedłem na drugą stronę autostrady i złapałem okazję na północ, z powrotem tutaj. Od tamtej pory mieszkam z Ronem u jego siostry. Nie wiedziałem, co zrobić, kiedy się pobili. Janey powiedziała, że wszystko będzie dobrze i że Ronowi się należało, ale że to już koniec i nic więcej się nie wydarzy. A potem przyjechał pan Wield, to znaczy, sierżant Wield. Podśluchiwałem. Zorientowałem się, że nas wytropił, i pomyślałem, że najlepiej będzie, jak znowu się zmyję.

Ja naprawdę bardzo przepraszam za to wszystko. Przykro mi, że ten ochroniarz nie żyje, wolałbym, żeby żył. Aha, i chętnie zrobię wszystko, co trzeba, żeby tylko pomóc policji złapać tego, kto zabił moją Brendę”.

– Publika w sądzie będzie urzeczona – orzekł Dalziel. – I zapłakana. Ława przysięgłych będzie pływać w wodzie, jak ławka rezerwowych na meczu krykieta w Manchesterze.

– Szkoda mi chłopaka – odezwał się półgłosem Wield.

– To zły znak, sierżancie. Stąd już tylko krok do wysyłania kartek świątecznych.

Dalziel ziewnął. Była sobota, ósma trzydzieści rano. Po wieczornym przesłuchaniu Maggsa podinspektor uciał sobie z nim prawie dwugodzinną szczerą pogawędkę, wielokrotnie wracając do wszystkich wątków jego zeznań. Instynkt podpowiadał mu, żeby natychmiast zbadać otwierające się po tym przesłuchaniu nowe możliwości, ale ostatecznie Dalziel postanowił się z tym przespać. Pół butelki szkockiej świetnie sprawdziło się w roli środka nasennego.

Przeciągnął się. Był gotowy do działania.

Ze szpitala doniesiono, że Dave Lee zdrowo przespał noc. Z punktu widzenia Dalziela ważniejsze było potwierdzenie diagnozy: pęknięty wrzód, którego stanu na pewno nie mogło pogorszyć zwykłe uderzenie pięścią w brzuch. Ludlam też miał się nieźle. Odmówił odpowiedzi na pytania, gdy próbowali coś z niego wyciągnąć na szybko bezpośrednio po uzyskaniu zeznań Maggsa, a lekarz uparł się, żeby z dalszą rozmową poczekać do rana. Za to Frankie Pickersgill gadał jak najęty, dopóki nie zjawiała się Janey, którą konflikt lojalności wpędził w histerię.

– Z tego wynika jedna rzecz – ciągnął Dalziel. Wield, który wyciągnął odpowiednie wnioski od razu, ledwie Tommy zaczął zeznawać, z rozbawieniem czekał na analizę podinspektora. – Taka mianowicie, że nie mamy nikogo, kto widziałby Brendę po tym, jak wyszła z banku. Do tej pory nam to nie przeszkadzało, bo myśleliśmy, że o wpół do dziewiątej spotkała się z Tommym. Teraz wszystko się zmieniło. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Musimy jeszcze raz sprawdzić wszystkich zamieszanych w tę sprawę. Do tej pory pytaliśmy tylko o to, co robili w tamten czwartek około jedenastej wieczorem; teraz interesuje nas także to, co robili między szóstą i jedenastą. Na przykład, ten szef banku, Mulgan. Mówił pan, że podobno leciał na Brendę; może to on zaproponował, że ją odwiezie do domu? Albo ten nauczyciel. No i Lee, oczywiście. Trzeba będzie ich wszystkich zebrać. Chyba zadzwonię po Pascoe.

– Ma wolny dzień, panie inspektorze – przypomniał neutralnym tonem Wield. – Poza tym, skoro sprawa Spinksa się wyjaśniła, moglibyśmy chyba podebrać ludzi Headingleyowi?

– Tam jeszcze zostało dużo wątków do domknięcia. W dodatku nic by nie wiedzieli o sprawie – zirytował się Dalziel. – A my potrzebujemy kogoś, kto ma ją w małym palcu.

Sięgnął po telefon.

– Tak? – zabrzmiał w słuchawce ostry, podejrzliwy głos Pascoe.

Jego ton bynajmniej się nie zmienił, gdy zorientował się, z kim rozmawia. Bez słowa komentarza wysłuchał streszczenia zeznań Maggsa i wynikających z niego wniosków. Nie zadawał pytań.

– Czyżby nie interesowała cię ta sprawa, Peter? – spytał urażony Dalziel.

– A tak brzmię? Przepraszam, panie inspektorze. Dopiero niedawno wstałem. Ellie kiepsko się czuje i noc była fatalna.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Raczej nie. Powinna chyba po prostu leżeć w łóżku.

– Tak by było najlepiej – przytaknął Dalziel tonem specjalisty. – Takie rzeczy zawsze wypadają w weekend.

– Jakie rzeczy?

– Różne. W każdym razie cieszę się, że to nic poważnego. Wiem, że masz dziś urlop, ale skoro Ellie ma sobie po prostu polegiwać, to byłoby fajnie, gdybyś mógł wpaść na dwie godzinki i trochę nam tu pomóc. Oczywiście, po tym, jak już podasz jej śniadanie do łóżka.

– Naprawdę doceniam twoją wielkoduszność, Andy – zabrzmiał niespodziewanie głos Ellie.

– Ellie! Jednak wstałaś?

– Nie, podsłuchuję z drugiego aparatu. Poranny telefon do Petera w dzień wolny zawsze budzi moje podejrzenia.

– Dobrze się czujesz, dziewczyno? Mówiłem ci wczoraj: w tym stanie nie powinnaś latać.

– Latać? – zaniepokoił się Peter.

– Wcale nie latałam – zaprotestowała Ellie. – Posłuchaj, Andy, dobijmy targu: dzisiaj puszczam Petera do pracy, ale ty dajesz mu wolny cały przyszły piątek i całą sobotę, bez żadnych warunków i zastrzeżeń. Trzęsienia ziemi, pożary i huragany też nie wchodzi w grę.

– Masz moje słowo – zapewnił ją Dalziel.

– Zaraz, chwileczkę... – wtrącił Pascoe.

– Pośpiesz się, Peter – powiedział Dalziel. – A ty, Ellie, posłuchaj eksperta: tylko brandy. Jest najlepsza.

– Najlepsza na co?

– Na wszystko; czego szkocka nie wyleczy. Trzymaj się.

Pascoe powlókł się na piętro, do sypialni.

– Więc teraz już podsłuchujemy, tak?

– Oczywiście.

– O co ci chodzi z tym przyszłym piątkiem?

– Musimy czasem podjechać do mojej mamy, odwiedzić ją. Pomyślałam, że fajnie będzie od razu u niej zanocować.

- Jezu... I za to oddałem wolną sobotę?
- Mogę zaprosić ją tutaj, na jakiś czas.
- W porządku, wygrałaś. Ale posłuchaj, na pewno dobrze się czujesz?
- Jak nigdy. Może później przekręcę do Thelmy... Mówiłeś chyba coś o śniadaniu,

prawda?

Nieco później, zabierając tacę po śniadaniu, Pascoe zapytał:

- Na pewno nic więcej nie chcesz?

Ellie spojrzała smętnie na swoje pęczniejące piersi i brzuch.

– Co powiesz na duże, piękne, błyszczące jajo, które moglibyśmy wysiadywać na zmianę? A potem wykluliby się z niego sympatyczny sześciolatek, który miałby twoje oczy i mój nos, a poza tym umiałby mówić, chodzić, byłby schludnie ubrany i gotowy do posłania do szkoły?

Pascoe uśmiechnął się tak niepewnie, że wybuchnęła śmiechem, przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

– W porządku – powiedziała. – Obiecuję, że będę mówiła właściwe rzeczy we właściwych momentach i czasem sobie popłaczę, ale nie *przez* cały czas. A poza tym, solennie ci obiecuję, że cokolwiek się urodzi, wychowam je na transwestytę.

– Zanim podrośnie na tyle, żeby się tym cieszyć, świat będzie pełen transwestytów. Chciałbym czasem móc w sobotę poleżeć w łóżku i po prostu poczuć się częścią kosmosu.

– Spadaj – burknęła Ellie przyjaźnie. – Na razie jesteś częścią policji. No, zmykaj już, bo się spóźnisz na następne morderstwo. A tego byś nie chciał.

Zdażył wyjść na schody, kiedy go zawołała:

- Peter?!

Wpadł do sypialni jak burza.

- Tak? Co się stało?

– Nic. Rany, nie denerwuj się tak, bo nie dożyjesz końca ciąży. Pamiętasz, co Andy mówił o zeznaniach tego chłopaka? Coś mi przyszło do głowy.

- No, Sherlocku, dawaj. Czekam.

– Hmm... – Ellie przeczesła włosy palcami. – Pamiętasz, jak mnie wyśmiałeś, kiedy mówiłam, że słowa medium w transie mogą wynikać z jakiegoś przesunięcia w czasie?

- Pamiętam doskonale.

– No właśnie. Tutaj nie musiało być żadnego przesunięcia: skoro dziewczyna w ogóle nie spotkała się ze swoim chłopakiem, to tak naprawdę nie wiadomo, kiedy zginęła, prawda? Może jednak świeciło wtedy słońce; może medium ma rację.

Sierżant Wiel miał doskonały pretekst, żeby odwiedzić Mulgana w domu: zapowiedział, że odbierze listę transakcji Brendy Sorby z dnia jej śmierci, ale sprawy tak się ułożyły, że wieczorem już nie zdążył tego zrobić.

Pani Mulgan – tak zdenerwowana, że bliska paniki – przyjęła go najpierw w przedpokoju paskudnego domku, w którym mieszkała z mężem. Tam dłuższą chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami, zanim wprowadziła go do salonu, gdzie Mulgan (w domowym stroju, zaczytany w „Daily Mail”), nie kryjąc rozdrażnienia, dał wyraźnie do zrozumienia, że wolałby rozmawiać z sierżantem przez próg. Niezrażony tym Wiel przyjął złożoną przez panią Mulgan propozycję wypicia kawy.

– A właściwie po co wam taki wyciąg? – zainteresował się Mulgan, gdy żona wyszła do kuchni.

– Wie pan, ta informacja o pieniądzech okazała się bardzo pomocna.

– Wiem, ale to co innego. Pozostałe transakcje nie mają nic wspólnego z tym, co się wydarzyło. Mam nadzieję, że nie zamierzacie regularnie nękać naszych klientów.

– Ja zaś jestem pewien, że każdy z pańskich klientów chętnie przyłożyłby rękę do schwywania mordercy. Wszelka pomoc się liczy. Ktoś gdzieś na pewno coś wie.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś kryje tego szaleńca?!

– To możliwe. Może ktoś nie zdaje sobie sprawy z tego, co wie. Na przykład pan.

– Ja? – Mulgan odął wydatne wargi. – Wątpię. Złożyłem wyczerpujące zeznanie.

– Pierwsze zeznania rzadko takie bywają. Wyczerpujące. Właściwie nigdy.

– Powiedział pan: pierwsze zeznania?

– Tak, proszę pana. Często jedno wystarcza, ale kiedy sprawa utknie w martwym punkcie, zaczynamy wnikać w szczegóły. Zamierzamy ze wszystkimi porozmawiać ponownie. Wiemy, na przykład, co robił pan w tamten czwartek do momentu, gdy bank został zamknięty, ale nie mamy pojęcia, co się z panem działo potem.

– Ależ macie. – Głos Mulgana ociekał sarkazmem. – Sprawdziliście panowie, i to, powiedziałbym, bez zbędnej subtelności, że byłem wtedy w domu. Mniej więcej w tym czasie, kiedy biedna Brenda została zamordowana.

– Czyli kiedy dokładnie?

– Między jedenastą i dwunastą w nocy, tak pisały gazety. Była wtedy burza.

– Istotnie... – przytaknął zagadkowym tonem Wiel. – Przepraszam, jeśli byliśmy niedelikatni, ale musimy wszystkich sprawdzić. Zresztą, teraz interesuje nas raczej wczesny wieczór. Cały czas szukamy kogoś, kto widział Brendę o jakiejś wcześniejszej porze, dlatego osoby, które by ją rozpoznały, są dla nas szczególnie cenne. Czy z banku wrócił pan prosto

do domu?

– Chyba tak. Co najwyżej zajrzałem do paru sklepów w pasażu. Mam po drodze, to bardzo wygodne; tak przynajmniej utrzymuje moja żona.

Mulgan parsknął śmiechem, obracając w palcach kanciaste okulary w czarnych oprawkach, które zakładał do czytania.

– To był czwartek – odpowiedział dyskretnie Wiel. – W pasażu sklepy zamykają wcześniej, za to w centrum są otwarte do późna. Nie pojechał pan chyba do centrum?

– Nie, w ogóle rzadko tam jeżdżę. Poza tym, czwartek czy nie czwartek, wieczorną gazetę zawsze kupuję u Jenningsa.

– I stamtąd wraca pan do domu?

– Tak.

– O której?

– Około szóstej. Często wcześniej.

– Miło mieć takie regularne godziny pracy – zachwycił się Wiel. – Pani Mulgan też to pewnie odpowiada. Czy jadacie państwo razem kolację?

– Tak, zwykle wypada to około wpół do siódmej. To nasz główny posiłek. Jeżeli interesują pana szczegóły, sierzancie, chociaż Bóg mi świadkiem, że nie wiem dlaczego miałyby pana interesować, to zazwyczaj siadamy z żoną przy kieliszku sherry, rozmawiamy o tym, jak nam minął dzień, następnie jemy kolację, zmywamy i przy ładnej pogodzie idziemy na spacer albo wychodzimy pogrzebać trochę w ogródku. Potem telewizja i do łóżka. To wszystko.

– I tamten wieczór był taki sam.

– Mało, który z nich wyróżnia się na tyle, żeby go zapamiętać, sierzancie. Gdyby ten się wyróżnił, z pewnością bym pamiętał.

Mulgan założył okulary i demonstracyjnie wrócił do lektury, jakby chciał dać do zrozumienia, że posłuchanie dobiegło końca.

Wiel dał mu ćwierć minuty.

– Ale to był czwartek, proszę pana.

– Tak? – Mulgan nie przerwał lektury.

– Pańska żona twierdzi, że w czwartki po południu zwykle odwiedza matkę i zdarza jej się wracać do domu dopiero około ósmej. Albo nawet później.

Tym razem Mulgan podniósł wzrok.

– Rzeczywiście – przytaknął. – Ponieważ to był czwartek, najprawdopodobniej nie było jej w domu, kiedy wróciłem, i wróciła późnym wieczorem. Do czego pan zmierza,

sierzancie? I dlaczego nie powiedział mi pan, że przepytywał pan także moją żonę?

– Najmocniej przepraszam, proszę pana – powiedział Wiel, nadając rysom twarzy nowy nieład, mający wyrażać zasygnalizowany już tonem głosu niepokój. – Przyszło mi do głowy, że może po drodze gdzieś pan dłużej zabawiał... Na przykład wpadł na drinka? Nie musiał się pan śpieszyć do domu, prawda? Jeśli tak, to może gdzieś widział pan Brendę, chociażby przelotnie? Albo może z kimś pan rozmawiał?

Zdaniem Wielda przynęta była oczywista i Mulgan – winny czy nie – musiał ją dostrzec.

Mulgan westchnął.

– Coś panu powiem, sierzancie. Może wtedy wreszcie da mi pan spokój i pozwoli rozkoszować się weekendem. Nazwę pana kłamcą, jeśli zechce pan wykorzystać to, co za chwilę pan usłyszy. Brenda mi się podobała. Tak, zorientowałem się, że ktoś już to panu sugerował, a teraz to potwierdzam. To była bardzo miła dziewczyna. Przy niej czułem się swobodnie; mogliśmy pogadać, pośmiać się razem. Gdybym dostrzegł z jej strony chociaż cień zachęty, to... Ha, któż to może wiedzieć, co bym zrobił w takiej sytuacji. Zachęty jednak nie było, a gdy zdałem sobie sprawę, że nasza druga stażystka, panna Brighthouse, która zapewne jest pańską informatorką, zamierza sobie zadrwić z naszej znajomości, stałem się istnym wcieleniem poprawności. Nie życzę sobie być obiektem kpin pustogłowych dzieciaków, sierzancie. Kiedy zobaczyłem, że Brenda ma pierścionek zaręczynowy, złożyłem jej oficjalne gratulacje, zresztą całkiem szczerze. Po tym, jak w czwartek wieczorem wyszła z banku, nigdy więcej jej nie widziałem. Jeżeli to miałby być koniec przesłuchania, może niech pan od razu zerknie na te transakcje i o wszystko mnie wypyta. Chciałbym mieć spokój przez resztę weekendu.

W tym wyznaniu światowca i sarkastycznym pożegnaniu dźwięczała jakaś fałszywa nuta, która jednak mogła nie mieć nic wspólnego ze sprawą. Jako ekspert od przywdziewania masek i utrzymywania pozorów Wiel miał oko i ucho wyczulone na wszelkie subtelności w głosie i zachowaniu innych.

Mulgan najwyraźniej uznał, że będąc p. o. dyrektorem musi wejść w rolę dyrektora. Zresztą, słusznie. Zawód policjanta też często wymaga aktorstwa. To Pascoe kiedyś tak powiedział. Cwany skurczybyk. Bardzo cwany, jeśli wierzyć Dalzielowi w chwilach mrocznej szczerości. Wiel obu ich rozpracował: słuchaj Pascoe, ale rób to, co robi Dalziel. Co by teraz zrobił podinspektor? Najpewniej przyłożył swoją rekiną paszczę do muszelkowatego ucha Mulgana i złowieszczym szeptem zapytał, ilu członków personelu przeciętny p. o. dyrektor posuwa w ciągu tygodnia.

Wiedl przebiegł niewidzącym wzrokiem listę transakcji.

– Tu chyba wszystko jest w porządku, proszę pana – powiedział. – Mam nadzieję, że nie będziemy musieli już pana niepokoić. Przynajmniej dziś rano.

I wyszedł.

Kiedy wrócił do radiowozu i zameldował się przez radio, w centrali czekała na niego wiadomość. Ze smutnym uśmiechem wysłuchał polecenia, żeby za kwadrans spotkać się z komisarzem Pascoe w aeroklubie.

To by było tyle, jeśli chodzi o świętość dnia wolnego w policji.

Rób to, co robi Dalziel. To była nadrzędna zasada.

A co robi Dalziel?

To, na co ma ochotę, do cholery!

Rozdział 20

Pascoe nie był zachwycony rozwojem sytuacji. Miał wrażenie, że Dalziel dostaje obsesji na punkcie Dave'a Lee.

– Nie mamy żadnych prawdziwych dowodów – protestował. – Zgadzam się, powinien się wytłumaczyć z pieniędzy, pierścionka i zegarka, ale ciągle brakuje jakiegoś bezpośredniego związku z Brendą Sorby.

– Dostarczy nam go „Michael Conrad, Jubiler i Zegarmistrz” – odparł z przekonaniem Dalziel. – Dziś po południu wraca z wakacji nad słonecznym Morzem Śródziemnym.

– Nie powinniśmy poczekać?

– Ale na co? Co chcesz zrobić?

Skosić trawnik i wyluzować się przy kufelku, pomyślał Pascoe.

– Może porozmawiać z Wildgoose'em?

– Nie ma go w domu. Z samego rana posłałem do niego Preece'a. Gazeta jest, mleko jest, Wildgoose'a nie ma. Zaszły się pewnie u tej ptaszyny, o której mówiłeś, Andrei Valentine. Moglibyśmy zrobić jej wjazd na chatę.

– Jak to?

– Nie wydaje ci się prawdopodobne, że Wildgoose przeniósł do niej zapas haszu, żeby mu go przechowała? Mamy podejrzenie posiadania, łatwo dostaniemy nakaz.

– Ale... – chciał zaprotestować Pascoe.

Dalziel zamknął mu usta, mówiąc:

– Masz rację, chłopcze, tak nie można. Dziewczyna sama w domu, rodzice wyjechali... Spapralibyśmy sobie opinię. Tak czy inaczej, chcielibyśmy dopaść naszą małą Andree, kiedy nie będzie miała pod ręką Wildgoose'a, który by jej suflował odpowiedzi. Jeśli trzyma u siebie hasz, to będziemy mieli na nią ładnego haka. Tym chętniej opowie nam o swoim chłopaku.

Dalziel zatarł ręce, jakby pocierał o siebie dwa arkusze papieru ściernego.

– A co ma pan nadzieję znaleźć w taborze?

– Najchętniej? Wystarczająco dużo kradzionych przedmiotów, żeby ich wszystkich zamknąć! Nie wiem, Peter, ale coś tam na pewno znajdziemy. Może jakieś rzeczy należące do innych ofiar, o których nawet nie wiemy. A wiesz, że ta Pritchard, kłępa jedna, dobiła się w końcu do żony Lee? Przez noc przetrzymaliśmy Lee jeszcze w szpitalu, no bo niby cały

czas jest aresztowany, ale niewiele na niego mamy i Pritchard się awanturuje. A kiedy Lee wróci do obozu, to założę się, że wszystkie ewentualne dowody znikną na dobre.

– Czyli mam przeszukać wóz państwa Lee, tak jak pan to zrobił, tylko tym razem oficjalnie, tak?

– Nie! – ryknął Dalziel. – Nie wóz, tylko cały ten cholerny tabor!

– Tak nie można! To by była prowokacja! Ci ludzie też mają swoje prawa. To tak jakby chciał pan przeszukać wszystkie domy na osiedlu, ponieważ mieszkaniec jednego z nich jest podejrzany o przestępstwo. Mamy za słabe dowody, żeby ktoś nam wystawił tak obszerny nakaz.

Dalziel wyszczerzył zęby w uśmiechu i sięgnął za pazuchę. Wyjął dokument z wewnętrznej kieszeni, jak iluzjonista królika z cylindra, i podał go Pascoe.

– Wszystko zależy od doboru sędziów. Bernard Middlefield długo się nie zastanawiał.

– Pan nie idzie? – spytał markotnie Pascoe.

– Ja? Nie, raczej nie, Peter – odparł Dalziel tonem świętoszka. – Masz całkowitą rację: może to i są brudne cygany, ale z pewnością przysługuje im regularna ochrona prawna. Ty na pewno załatwisz sprawę jak należy, a ja... Ja może i jestem staroświecki, ale nie na tyle, żeby nie wiedzieć, kiedy usunąć się w cień i ustąpić pola młodszemu, bardziej liberalnym funkcjonariuszom.

Cwany z ciebie skurczybyk, pomyślał Pascoe.

Wychodząc z pokoju, obejrzał się jeszcze przez ramię. Dalziel z uśmiechem kiwał głową, jakby w pełni podzielał jego zdanie.

Jeśli masz coś zrobić, zrób to dobrze – taką maksymę wyznawał Pascoe. Warunkiem powodzenia rewizji jest zaskoczenie. Z tego powodu postanowił dokonać strategicznego podziału ekipy: czterem swoim ludziom kazał wejść do obozowiska bramą od strony Avro Industrial Estate, a sam z dwójką posterunkowych podjechał najpierw na parking przy aeroklubie, gdzie już czekał na nich Wiold.

Wioldowi towarzyszył ciężko zdziwiony blondyn, którego przedstawiono Pascoe jako Austina Greenalla, sekretarza aeroklubu. Obaj z sierżantem spoglądali w stronę starej części

aerodromu, gdzie tuż za ogrodzeniem Cyganie rozpalili ogromne ognisko. W świetle słońca fioletowe płomienie były prawie niewidoczne, ale ciemny dym snuł się prosto w kierunku siedziby aeroklubu.

– Co tam się dzieje? – zainteresował się Pascoe.

– Może zmarzli? – zasugerował Wield, stojący obok niego bez marynarki.

– Czy dym wam może zagrozić? – spytał Pascoe Greenalla, spoglądając w górę, gdzie ponad chmurą dymu leniwie kołowało pięć lub sześć szybowców.

– Nie, nie jest aż tak gęsty. Powiedziałbym nawet, że może być pomocny: pokazuje kierunek i siłę wiatru.

– Czyli nie zgłaszacie skargi?

– A mam zgłosić? – Greenall spojrział z zaciekawieniem na Pascoe. – To znaczy... Szukacie pretekstu, żeby ich odwiedzić?

– Nie potrzebujemy pretekstu, proszę pana – wtrącił Wield. – Pod warunkiem, że mamy nakaz.

– A tak się składa, że mamy – powiedział Pascoe. Włączył krótkofalówkę. – Preece, jesteście gotowi? Dobrze. Zaczekajcie, aż zobaczycie, jak przechodzimy przez płot. Wtedy wkroczycie.

– Spodziewa się pan, że ktoś będzie próbował uciekać? – spytał Wield, gdy ruszyli przez trawę w stronę ogrodzenia.

– Właściwie nie. Ale gdyby tak się zdarzyło, nie chciałbym, żeby Dalziel mnie zapytał, czemu o tym nie pomyślałem.

Prawdę mówiąc, gdyby ktoś chciał uciec, czasu miałby aż nadto. Ogrodzenie zostało naprawione tak starannie, że Pascoe i pozostali musieli się na nie wspiąć – to niebezpieczne i niegodne policjanta ćwiczenie szybko zwróciło uwagę gromady Cyganów zgromadzonych przy ognisku, tuż poza kręgiem nieznośnego gorąca. W samym środku płomieni wznosił się drewniany pal budzący ponure skojarzenia z paleniem męczenników na stosie.

– To namiot! – uświadomił sobie nagle Pascoe.

Jego domysły się potwierdziły, gdy z tłumu gapiów wynurzyła się Rosetta Stanhope. Wglądała jak najprawdziwsza Cyganka – w suto marszczoną spódnicę i czerwono-niebieskiej bluzce, z włosami szesany w tył i przewiazanymi żółto-zieloną chustką. Czoło miała pobrudzone popiołem, Pascoe.. nie miał jednak pojęcia, czy wysmarowała się tak przez przypadek, czy z jakichś względów rytualnych.

– Pani Stanhope, przepraszam, jeśli zakłóciliśmy ceremonię...

– Nie przeszkadzajcie sobie. Urządzimy Pauline porządnym anglikańskim pogrzeb, a to

tutaj to po prostu sprzątanie po jej śmierci, głównie dla mojego dobra. Dla większości tych ludzi Pauline była gadziem, a dla takich nie warto nawet zdejmować kapelusza.

– Pomagają pani – zauważył Pascoe. – Zwinęli namiot.

Rosetta Stanhope uśmiechnęła się ponuro.

– Kiedy *chovihani* pyta cię o godzinę, kupujesz sobie zegarek. Przyniósł mi pan może ubranie, w którym została zabita?

– Nie, niestety. Nadal go szukamy.

Pani Stanhope wyraźnie się zatroskała.

– Szkoda. To właśnie je przede wszystkim trzeba spalić, jak najszybciej.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby już zostało spalone.

– Tak pan uważa? Oby miał pan rację. Ale czego w takim razie szukacie?

– Macie tu jakiegoś przełożonego? Szefa taboru?

Pani Stanhope wróciła do grupy Cyganów i chwilę z nimi rozmawiała, aż dołączył do niej niski grubasek, który mógł mieć od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat. Razem podeszli do Pascoe i Stanhope przedstawiła go jako Silvestra Herne'a.

– W czym ci mogę pomóc, brachu? – zapytał uprzejmie Herne.

Pascoe spojrzał na niego podejrzliwie, bynajmniej nieprzekonany do jego przywódczych kwalifikacji. Herne w niczym nie przypominał króla Cyganów. Najprawdopodobniej wybrano go na rzecznika ze względu na wyszczerzenie i spryt – ale to już ich sprawa, nie policji.

Pascoe wyjaśnił pokrótce, że razem ze swoimi ludźmi chce się rozejrzeć po taborze i porozmawiać z mieszkańcami. Mają nakaz rewizji, który daje im prawo przeszukiwania wozów, ale to nie znaczy, że na pewno zechcą z niego skorzystać.

Herne podrapał się w zadumie po nosie.

– Szukacie czegoś konkretnego, brachu?

Pascoe zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Pracuję nad sprawą Dusiciela – powiedział głośno i wyraźnie. – Szukam wszystkiego, co może mieć z nią związek. Inne rzeczy niespecjalnie mnie interesują. Niech pan to przekaze swoim ludziom.

– Dobrze.

Herne wrócił do swoich.

– Próbuje pan utrzymać pokój? – odezwała się Rosetta Stanhope.

– Za to mi płacą. Pani Stanhope, proszę mi powiedzieć, czy gdyby ktoś z nich wiedział coś o Dusicielu, mógłby to przemilczeć? Na przykład, przez lojalność?

– Może tak. A może nie jestem najważniejszą adresatką takich pytań. Proszę nie zapominać, że jestem jedną z nich.

– Nie zapomniałem. Tak jak nie zapomniałem, że nie dalej niż w środę rano przyszła pani do mnie i zaoferowała swoją pomoc, po czym pani chęć do współpracy gwałtownie osłabła.

Czas subtelności minął, pora przejść do konkretów. Dalziel w tej chwili parł naprzód z impetem traktora. Pascoe domyślał się kierunku jego działań i wiedział, że musi się mocno postarać, żeby go dogonić.

– Od tamtej pory zamordowano moją siostrzenicę – zauważyła oschle pani Stanhope.

– Już pan zapomniał?

– Nie, ale spodziewałbym się, że po czymś takim pani gotowość do pomocy raczej wzrośnie niż spadnie – odparł równie kąśliwie Pascoe. – Słyszała pani, że Dave Lee ma kłopoty?

– Wiem, że jest w szpitalu. Od jego żony.

– To ona tu jest?

Najwyraźniej panna Pritchard działała szybciej niż spodziewał się Dalziel. To nie wróżyło dobrze przeszukaniu.

– Panie komisarzu? – zagadnął go Wield.

Pascoe spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył szczupłą, niebrzydką kobietę z blednącym siniakiem na lewym policzku, przykucniętą pośrodku gromadki dzieci, z którymi rozmawiała. Na jego widok wstała, a dzieciaki rozbiegły się z głośnym wrzaskiem. Na ten dźwięk druga grupka maluchów, dotychczas skupiona wokół ogniska, poderwała się i pognęła za nimi.

Pascoe rozejrzał się, szukając znajomych punktów orientacyjnych. Na południe od niego znajdował się aeroklub. Na północnym zachodzie biegła autostrada, za którą rozpościerał się Avro Industrial Estate. Na północnym wschodzie rozciągało się Millhill. Dokładnie na wschód od miejsca, w którym stał, pięćdziesiąt jardów od skraju lotniska, w gęsto zadrzewionym zagłębieniu terenu płynęła rzeka, niewidoczna z obozu. Tam właśnie pobiegły dzieci. Zazdrościł im. Żar lał się z nieba, gorąco biło od ogniska. Zaczynał się pocić.

– Bierzmy się do roboty – powiedział do Wielda.

Wield skinął głową i spokojnie, efektywnie pokierował ludźmi. Dobry z niego człowiek, pomyślał Pascoe, i nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, czemu Wield jakoś nie może awansować powyżej sierżanta.

Cyganie obojętnie potraktowali rewizję – chociaż nie aż tak obojętnie, żeby zostawić wozy bez opieki: policjantom zawsze towarzyszył przynajmniej jeden członek rodziny właścicieli. Silvester Herne chodził od wozu do wozu, po czym za każdym razem wracał do Pascoe z tak uprzejmymi zapewnieniami o gotowości do pomocy, że zakrawały na parodię.

Zdaniem Pascoe sprawa wyglądała beznadziejnie. Dalziel miał wcześniej szczęście: zaskoczył Lee w ich wozie i w dodatku nie przejmował się subtelnościami prawa. Chociaż nie, to zbyt surowa ocena. Dalziel – jak każdy dobry gliniarz – pomagał szczęściu i nie bał się za nim gonić, bez względu na to, w jak nieprawdopodobnym kierunku go pociągnęło.

W pewnym momencie Pascoe znalazł się bardzo blisko pani Lee, stojącej z rękami skrzyżowanymi na piersi i cynicznym półuśmiechem na ustach. Przedstawił się.

– No proszę, całkiem pan inny od tych gadziowych łazęgów, którzy co rusz mnie zagadują – powiedziała, spoglądając na niego z udawanym podziwem. – Przystojny chociaż. A oni mają się najróżniejszych sztuczek!

– Cieszę się, że zdrowie pani męża nie jest zagrożone, pani Lee.

Posłała mu obojętne spojrzenie.

– Ale to nie koniec jego kłopotów. Będzie nam musiał wyjaśnić, jak wszedł w posiadanie tych banknotów, pierścionka i zegarka.

– Jakich banknotów? Jakiego pierścionka i zegarka?

Pascoe westchnął.

– Pani Lee, nikt nas teraz nie usłyszy. Dave nie jest najlepszym mężem, prawda? Takiej ładnej kobiety nie rajcuje chyba, kiedy się nią pomiata? Wystarczą dosłownie dwa słowa, mała wskazówka, a na jakiś czas usuniemy go z pani życia. O pieniądze też nie musiałyby się pani martwić: mężatka z dziećmi i mężem w więzieniu... Dostałyby pani z opieki społecznej więcej niż wynoszą średnie zarobki Dave'a. Pomogliśmy pani wypełnić druki, załatwić formalności... Dzisiaj nikt już nie musi cierpieć.

Zamiast odpowiedzieć, spojrzała ponad jego ramieniem. Pascoe się odwrócił i zobaczył panią Stanhope pogrążoną w rozmowie z kobietą, która wcale nie wyglądała na Cyganę.

– O co chodzi? – zdziwił się. – Boi się pani Rosetty Stanhope? Dlatego że jest *chovihan*.

– *Chovihan*. Ona? – Lee prychnęła lekceważąco. – To zwykła *didikoi*, *posh-ratt*. Przychodzi tu do nas z tego swojego domku i oczekuje, że po pięćdziesięciu latach będziemy ją traktować jak wędrowca. Śmierdzi gadziem na milę!

Pascoe rozpoznał pogardliwe określenie mieszańca, ale demonstracja nieustraszonej

niechęci wcale go nie przekonała. Krył się za nią raczej głęboki żal niż prawdziwa wzdarda.

– Pani Lee?

Odwrócił się i aż jęknął w duchu, gdy rozpoznał kobietę, która do nich podeszła: panna Pritchard, adwokat. Tylko tego brakowało – żeby ktoś nieprzychylnym prawniczym okiem patrzył mu w tej chwili na rękę.

– Nie musi pani rozmawiać z tym człowiekiem, pani Lee – powiedziała Pritchard wyniosłym, pewnym siebie tonem przedstawicielki klasy wyższej. – A już z całą pewnością nie musi pani odpowiadać na pytania, które zechciałby pani zadać bez umożliwienia kontaktu z adwokatem.

– Czy w Stowarzyszeniu Adwokackim nie obowiązuje przypadkiem kodeks, który zakazywałby nachalnego zachwalania własnych usług? – zainteresował się Pascoe.

– Pan Pascoe, prawda? – Pritchard zwróciła się teraz do niego. – Słyszałam o panu. Jeżeli obrona kobiet przed policją jest nachalnym zachwalaniem usług, to trudno; nie zamierzam z tego rezygnować. A jeśli stowarzyszenie ma coś przeciwko temu, to niech mnie pocałuje w dupę.

– To pani ma licencję adwokacką, nie ja. Panie wybaczą.

Pascoe odszukał Wiolda i kazał mu przyśpieszyć poszukiwania, zanim złe oko panny Pritchard zwróci się w ich stronę. Sierżant odparł, że potrzebują jeszcze pół godziny. Pascoe pokazał mu pannę Pritchard i powiedział, że wybiera się na spacer nad rzekę. Gdyby pani adwokat zaczęła wtykać w nos w nieswoje sprawy, reakcją ma być uprzejmy brak reakcji i odesłanie jej z pytaniami do niego. A zanim ona go znajdzie, przy odrobinie szczęścia zdążą się uwinąć z rewizją.

Łatwo było znaleźć dziurę w płocie: podczas upałów dziecięce stopy wydeptały do niej wyraźną ścieżkę. Pascoe odgiął siatkę, prześliznął się na drugą stronę i po paru krokach stracił tabor z oczu. Słyszał głosy bawiących się maluchów: okrzyki zachwytu, podniecenia i strachu, a także obelgi, którym towarzyszyło głośne pluskanie wody. Przepchnął się przez gąszcz wierzbowych zarośli i wyszedł na brzeg rzeki.

Nie była to wielka rzeka – w najszerszym miejscu miała najwyżej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp, chociaż rolnik, który na drugim brzegu miał pole rzepy, na pewno cieszył się z oddzielającej go od taboru przeszkody. Ciekawe, pomyślał Pascoe, ile rzepy może przenieść płynące dziecko?

Usiadł na trawie w miejscu, gdzie żarłoczna woda wygryzła półksiężycowaty kęs linii brzegowej, tworząc głęboką zatoczkę ze stojącą wodą. Dzieci pluskały się nieco dalej, w górze rzeki; były tak zaabsorbowane zabawą, że nie zauważyły Pascoe. Z przyjemnością się

im przyglądał, śledził ich swobodne ruchy, podziwiał zwinne śniade ciała i zwierzęco szczerą radość i próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio sam potrafił bawić się z takim zapamiętaniem. Nie licząc seksu, naturalnie – chociaż nawet w cudownym seksualnym pędzie często odzywał się ten mały niewolnik, uczepiony gnającego na oślep rydwanu i szepczący mu do ucha: „Pamiętaj, że jesteś sobą”.

Dwóch chłopców odłączyło się od reszty, zbiegło nad wodę i z zaciekawieniem wpatrywało się w zatoczkę, nad którą siedział Pascoe. Byli jeszcze tak mali, że biegali na golasa, chociaż Cyganie surowo przestrzegają zakazu publicznego obnażania się. Prowokowali się nawzajem, który wykaże się większą odwagą i skoczy do wody.

W końcu jeden z nich podniósł wzrok, zobaczył Pascoe i powiedział coś do drugiego, ale kiedy Pascoe uśmiechnął się przyjaźnie, najwyraźniej doszli do wniosku, że jest nieszkodliwy, i wrócili do przekomarzania się. W pewnym momencie kąpiący się w rzece starszy chłopak zobaczył ich i krzyknął coś ze złością. Pascoe wychwycił kilkakrotnie powtórzone słowo *mokadi*, cygańskie określenie przedmiotu tabu lub rzeczy nieczystej. W pierwszej chwili zrobiło mu się nawet trochę przykro, bo wziął je do siebie. Dalsza obserwacja dwóch małych nagusów przekonała go jednak, że nie miał racji: to nie przed nim cofali się z wyrazem wahania i lęku na buziach, lecz przed zatoczką – do tego stopnia, że zbliżyli się do niego i mógł się do nich odezwać.

– Cześć, chłopaki – zagał. – O co chodzi? Nie lubicie pływać? Patrzcie: dam to temu z was, który zrobi większy plusk!

Podniósł trzymaną w dłoni pięćdziesięciopensówkę, aż zaśniła w słońcu.

Podeksycytowani malcy wymienili między sobą parę zdań i pobiegli w górę rzeki.

– Nie – zaoponował Pascoe i wskazał zatoczkę. – Tutaj.

Zgodnie pokręcili głowami.

– No dobrze. – Wstał i ruszył w ich stronę. – Tutaj też będzie dobrze. – Przykucnął obok nich. – Ale powiedzcie mi: dlaczego to miejsce jest *mokadi*? Tu by się na pewno doskonale pływało. Dlaczego jest *mokadi*?

Mówiąc, uniósł znacząco monetę. Młodszy z chłopców cofnął się o krok, a potem okręcił na pięcie i pobiegł do kolegów. Drugi wyglądał tak, jakby lada chwila miał zrobić to samo.

Pascoe odruchowo złapał go za rękę.

– Nie chcesz zarobić, synku?

Coś się za nim poruszyło.

– *Chikli muskro!* – zabrzmiał wściekły głos. – Ty zbrojeńcu jeden! Ty stary pederasto!

Pascoe się odwrócił. Na brzegu stała pani Lee, którą właśnie doganiali panna Pritchard i sierżant Wiel. Puścił dziecko i zamierzał wstać, ale Cyganka zdążyła go uderzyć, zanim się wyprostował. Właściwie nawet nie tyle uderzyła go, ile po prostu oburącz popchnęła.

Stracił równowagę i chwiejnie stanął na samej krawędzi skarpy, gdzie wystarczyło już leciutko go szturchnąć, żeby wpadł do wody.

Przy brzegu woda była głęboka i zielona. Wynurzywszy się, zobaczył wychylające się znad skarpy główki dzieci zafascynowanych nieoczekiwanym widowiskiem. Chwytał się gliniastego brzegu, ale palce ześliznęły mu się po mokrym gruncie i znów poszedł pod wodę.

Kiedy tym razem wypłynął, położył się na plecach na powierzchni wody. Drobne śniade buzie były na swoim miejscu; wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczami. A nad nimi, wysoko na rozpalonym letnim niebie, niczym olbrzymie drapieżne ptaszyska kołowały czarne krzyże w słonecznych aureolach. Szybowce.

Nasiąknięte wodą ubranie ciągnęło go w dół, ale nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, bo Wiel złapał go mocno za rękę. Kiedy sierżant wyciągnął go, plującego wodą, z zakola, które było *mokadi*, Pascoe stanął wprost przed Rosettą Stanhope. I zaczął się zastanawiać, jak angielski sędzia rozstrzygający sprawę mordu zareagowałby na powołanie świadka *per procura* przez osobę zamordowaną.

Rozdział 21

Michael Conrad najpierw się zdziwił, a potem przestraszył, kiedy po powrocie do domu w sobotę w porze obiadowej zastał czekającego nań policjanta. Tym większą więc odczuł ulgę, gdy usłyszał, że obecność policji nie oznacza włamania do jego sklepu ani nie ma nic wspólnego z trzema litrami koniaku, które właśnie przemycił z Korfu.

Za to wstrząs, jakiego doznał na wieść o śmierci Brendy Sorby, był szczerzy i głęboki. Nie dotarła do niego wcześniej, bo wyjechał w piątek rano, a na wakacjach za punkt honoru stawiał sobie ignorowanie angielskich gazet.

Owszem, dobrze ją znał, często obsługiwała go w banku. Tak, w tamten czwartek też ją widział: przyszła w czasie przerwy obiadowej, tuż przed tym, jak zamknął sklep. Odebrała wcześniej zamówiony złoty sygnet. Zapłaciła. Tak, to ten sam sygnet, który leży na biurku pana komisarza, bez dwóch zdań. I zegarek. Prezent dla chłopaka. Bardzo ładny zegarek za te pieniądze, zwłaszcza, że obniżył jej cenę, bo ją lubił. Pochwaliła mu się pierścieniem zaręczynowym: nie był to żaden drogi kamień, a oprawa... No, on osobiście wstydziłby się sprzedać kamień w takiej oprawie, ale nie miał prawa niszczyć szczęścia młodej dziewczyny, więc zachwyił się nim jak najpiękniejszym pierścieniem na świecie. Potem odprowadził ją do wyjścia i pożegnał.

Więcej jej nie zobaczył. I już nie zobaczy.

Łzy napłynęły mu do oczu i musiał wysiąkać nos, zanim podpisał zeznanie.

– Doskonale. – Dalziel zatarł ręce. – Wróćmy teraz do Lee... Peter, powinniśmy znów zacząć cię wysyłać na patrole. Zapomniałem, jak ślicznie wyglądasz w mundurze.

Czekając, aż przemoczone ubranie wyschnie, Pascoe przebrał się w dostarczone mu w komisariacie mundurowe spodnie i niebieską koszulę. Przed chwilą wymknął się ze znajdującego się po sąsiedzku pokoju przesłuchań, z którego żona Lee, czwórka jej dzieci, Silvester Herne, dwóch policjantów i panna Pritchard zrobili istny dom wariatów.

– A ja zapomniałem, jak te spodnie gryzą. Panie inspektorze, na razie bardzo niewiele z nich wycisnąłem. Kiedy już, już wydaje mi się, że do czegoś dochodzę, zaczynają trąkotać między sobą po romsku. Moim zdaniem sprawa ma się następująco...

Dalziel uciszył go gestem, przytykając gruby palec do wydatnych ust.

– Później. A na razie albo Lee wszystko nam wyśpiewa, albo osobiście spruję mu szwy. Pritchard cały czas tam jest?

Pascoe skinął głową.

– To dobrze. Podeślemy jej Wiolda, każemy mu trochę przycisnąć mamuszkę i dzieciaki i w ten sposób damy jej zajęcie, a my przez ten czas przejedziemy się do szpitala.

– Nie wydaje mi się, żeby on to zrobił, panie inspektorze – powiedział Pascoe, kiedy byli już w drodze.

Dalziel znów go uciszył, lecz tym razem zrobił to dobrodusznie, dzięki czemu Pascoe mógł domniemywać, że doszli do podobnych wniosków – dopóki nie stanęli przy łóżku Dave’a Lee, gdzie grubas wypalił bez zbędnych wstępów:

– Przyjechaliśmy oskarżyć cię o morderstwo, Lee.

– Chyba was porąbało – burknął pacjent. – Kto powiedział, że kogoś zabiłem?

– Nikt – przyznał Dalziel. – Twoja żona, dzieci, kumple... Nikt nie chce nam nic powiedzieć. I na tym właśnie polega twój pech: będziesz musiał gadać za dziesięciu, jeśli chcesz się jakoś z tego wyślizgać. Możemy udowodnić, że wychodząc wieczorem z banku, Brenda Sorby miała w torebce zegarek, pierścionek i banknoty, które później znaleźliśmy u ciebie w wozie. Dlatego sądzimy, że ją zabiłeś. Więcej nam nie trzeba.

Lee poruszył się niespokojnie.

– Posłuchajcie, panowie, jeśli wam powiem, co się naprawdę stało, wyciągniecie mnie jakoś z tego?

Dalziel złapał go za kłapy szpitalnej piżamy i lekko dźwignął z poduszki.

– To ty posłuchaj, Lee – zaczął zjadliwie. – Ja już wiem, co się naprawdę stało: zabiłeś ją. I jeżeli chcesz kogoś przekonać, że było inaczej, to radzę ci otworzyć gębę i modlić się, żeby popłynęła z nich szczerą patoka.

Pielęgniarka przystanęła w progu, widząc tę niezwykłą scenę.

– Ja mu tylko poprawiałem poduszkę, siostró – zapewnił ją Dalziel. – No, Dave, tak lepiej? Świetnie. Może pani już iść, to prywatna rozmowa.

Pielęgniarka wyszła.

– Nie zabiłem jej – powiedział Lee. – Już wcześniej nie żyła.

– Jeżeli koniecznie chcesz nas bujać, to przynajmniej wymyśl jakiś porządny początek tej swojej bajeczki – mruknął zniechęcony Dalziel, osuwając się na jedyny w pokoju fotel.

Pascoe przysiadł na skraju twardego plastikowego krzesła, założył nogę na nogę i oparł notatnik na kolanie.

– To te dzieciaki – powiedział Lee. – To one ją znalazły.

Było około siódmej wieczorem. Lee wyszedł pod płot, żeby załatwić naturalną potrzebę, kiedy czwórka jego dzieci, które przed chwilą poszły nad rzekę popływać, wróciła

biegiem, cała rozkrzyczana, że w wodzie jest kobieta.

Poszedł to sprawdzić i znalazł Brendę Sorby (nazwisko poznał później) unoszącą się w wodzie na wznak. Wyciągnął ją i próbował reanimować, ale bez powodzenia. Dopiero później dostrzegł ślady na szyi i zorientował się, że to nie był wypadek.

Posłał swojego najstarszego po Silvestra Herne'a, przykazując mu stanowczo, żeby nikomu poza Herne'em nic nie mówił. Pascoe nie mylił się w swoich domysłach: Herne był nie tyle przywódcą Cyganów, ile raczej ich sprytnym doradcą, który umiał załatwiać różne sprawy. Lee tymczasem zajrzał znów do wody – i tym razem zobaczył damską torebkę. Zdążył ją wyłowić i zajrzeć do środka, kiedy przyszedł Herne. Razem znaleźli zwitek banknotów, pierścionek i zegarek.

To przeważało.

Herne doradził mu, żeby wrzucił ciało z powrotem do rzeki: to kobieta gadziów, niech ją sobie gadzie znajdą. Ani Cyganom jako społeczności, ani samemu Lee – z jego kartoteką – zamieszanie w taką sprawę nie było do szczęścia potrzebne. Problem polegał na tym, że samo wrzucenie zwłok do wody mogło nie wystarczyć; setki lat zbiorowych doświadczeń nauczyły Romów, że jakikolwiek związek ze sprawą oznacza winę.

Dlatego po namyśle Herne zasugerował, żeby pozbyć się ciała w innym miejscu. Gdzieś daleko.

Dla ich wspólnego dobra.

Poza tym, w ten sposób mogli bezkarnie zatrzymać pieniądze, zegarek i pierścionek.

Lee pojechał swoją furgonetką tyłem pod ogrodzenie i z Herne'em załadowali do niej ciało. Dzieci udało się zastraszyć i zmusić do milczenia za pomocą paru przesądów i groźby klątw, w jakie obfituje romski folklor. Lee i Herne pojechali następnie do lunaparku, gdzie ten pierwszy akurat tego dnia pracował.

Zamierzali poczekać, aż się ściemni (czyli do późna, bo to był początek lipca), a potem wrzucić zwłoki do rzeki gdzieś poniżej Charter Park. Kiedy jednak rozpętała się burza, wesołe miasteczko opustoszało i Herne postanowił udoskonalić swój plan: zaproponował przewiezienie nieżywej kobiety na drugą stronę rzeki i wyrzucenie do kanału. W ten sposób nie tylko wylądowałyby z dala od rzeki, która przecież płynie przez tabor, ale też odnalezienie ciała mogłoby się odwlec, bo kanał jest głębszy niż rzeka, a woda w nim bardziej mętna.

W dodatku, cień podejrzania automatycznie padał na mieszkańców cumujących na kanale barek, którzy, zdaniem Herne'a, byli zdolni do wszelkich łotrstw znanych człowiekowi (oraz kilku znanych wyłącznie rybom).

Jak postanowili, tak zrobili. Klódka na drzwiach hangaru z łodziami nie sprawiła najmniejszych kłopotów Herne'owi, który w opowieści Lee coraz bardziej wyrastał na główną siłę sprawczą całego procederu. Dopiero kiedy przyszło do pieniędzy, Lee się postawił: to on je znalazł i to on przechowa je do czasu, kiedy będzie można je bezpiecznie podzielić.

– I dobrze się stało – zauważył Dalziel. – Herne na pewno lepiej by je schował.

– Wierzy mu pan? – spytał Pascoe.

– A czemu nie?

Stali na korytarzu przed pokojem Lee. Ordynator wrócił z porannej partyjki golfa w wyśmienitym humorze i przed chwilą dotarł do szpitala. Dalziel po krótkiej próbie sił oddał pole, przyznając, że tylko durnie i bohaterowie rzucają wyzwanie lekarzowi specjalście na jego terenie.

– Nadal nie wiemy, co naprawdę wydarzyło się w tamtą środę, kiedy pojechali gdzieś z Rosettą Stanhope.

– To proste. Przeczytał, jeśli umie czytać, albo gdzieś usłyszał o tym, co według gazet powiedziały gwiazdy...

– Które zresztą w tym wypadku miały rację – nadmienił Pascoe.

– ...i z samego rana przyszedł się skonsultować z Pauline; sam widziałeś, jak rozmawiali. A ponieważ, tak jak oni wszyscy, jest zabobonnym poganinem, doszedł do wniosku, że duchy niedługo zaczną udzielać bardziej konkretnych informacji co do czasu i miejsca zabójstwa, a także pośmiertnych wędrówek ciała. I postanowił spotkać się z Rosettą.

Drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł ordynator otoczony chmurką stażystów. Chłodno skinął głową Dalzielowi i poszedł swoją drogą.

– Prawdziwe z niego panisko – zauważył Pascoe.

– Do czasu, aż chłopaki złapią go nawalonego za kierownicą tego jego jaguara – odparł filozoficznie Dalziel. – Wtedy się zacznie „Cześć, Andy”. No, wracamy do roboty.

Prorocza wizja poczytań Lee w minioną środę okazała się niezwykle trafiona. Rosetta Stanhope (jeszcze śmierząca dymem) potwierdziła jego słowa, chociaż z jej punktu widzenia wyglądało to na łagodne uprowadzenie: Lee zgarnął ją do furgonetki na progu domu, po czym, jadąc na północ, zaczął mętnie tłumaczyć swój udział w sprawie Sorby. W pierwszej chwili pomyślała, że przyznaje się jej do morderstwa, wołała więc siedzieć cicho. Celem ich wycieczki naprawdę był tabor w Teesdale, gdzie spotkanie ze starszymi krewnymi oraz kłopoty z furgonetką zmusiły ją do spędzenia tam nocy. Zadzwoiła do domu, ale za pierwszym razem nie przejęła się zbyt, nie zastawszy Pauline. Spróbowała jeszcze raz,

znacznie później, i wtedy zaczęła się niepokoić. A rano dowiedziała się z radia o śmierci siostrzenicy.

Lojalność wobec Lee uniemożliwiła jej wykorzystanie talentu medium do wspomnienia wysiłków policji, mimo że wcześniej sama zaproponowała to Pascoe. Teraz jednak, skoro prawda o śmierci Brendy Sorby wyszła na jaw, z zapałem ponowiła swoją ofertę.

Na wieść o tym Dalziel wrzucił ramionami.

– Chcesz ją poprosić o wróżbę, twoja sprawa, chłopcze. Byle to nie poszło do gazet. I nawet nie próbuj tego rozliczać jako wydatku służbowego!

Dzieci – zwolnione ze ślubów milczenia przez ojca, który niczego nie pragnął bardziej niż ich swobody wypowiedzi – wesoło gawędziły z Wieldem, który smarował ich struny głosowe ciastkami z kremem i stołówkową oranżadą. Tuż przed tym, jak znalazły tę panią, słyszały, jak ktoś przedziera się przez krzaki nad rzeką. Kiedy Wielde, (który przez ten czas stał się ich ulubieńcem) próbował dopytać się o szczegóły, dały mu do zrozumienia, że mogą mu powiedzieć wszystko, cokolwiek zechce: że widziały niskiego mężczyznę, wysoką kobietę, bruneta, blondynkę, nawet orangutana. Przy rozmowie były obecne pani Lee i panna Pritchard – pierwsza z nich zachowywała całkowitą obojętność od momentu, gdy mężczyźni wyrazili zgodę na przesłuchanie, druga głośno protestowała przeciwko wszystkim domniemanym próbom wywierania nacisku na dzieci. W końcu Wielde wycelował w nią palec i zapytał:

– Czy tamta postać wyglądała jak ta pani?

– Tak – odparł najstarszy z chłopców, przyjrawszy się badawczo pannie Pritchard. – To chyba naprawdę była ona, proszę pana.

– Wcale że nie! – zawołało najmłodsze, które najwyraźniej dało się ponieść grze wyobraźni. – To jest ta pani, która pływała w wodzie!

I wybuchnęło przerażonym szlochem, który błyskawicznie rozprzestrzenił się po całej gromadce, a ucichł dopiero po wyjściu panny Pritchard.

Silvester Herne również potwierdził opowieść Dave'a Lee, wprowadzając do niej jedynie drobne modyfikacje, stawiające go w roli Bogu ducha winnego naiwniaka, który wskutek źle pojętej lojalności dał się wciągnąć w bagno.

Na zakończenie patolog – patrząc na sprawę z perspektywy czasu, która jest matką wszelkiego doświadczenia – potwierdził, że opisane przez Lee okoliczności doskonale pasują do przedstawionego w jego raporcie stanu zwłok; udało mu się nawet zasugerować, że jego własne dotychczasowe ustalenia sugerowały taki przebieg wypadków w sposób tak

oczywisty, że policja chyba tylko cudem mogła się go nie domyślić.

– Na czym stoimy? – zapytał Wield.

– Tkwimy w gównie po uszy – odparł Dalziel.

– Bez przesady – zaproponował Pascoe. – To duży postęp. Wiemy już dokładnie gdzie i kiedy zamordowano Brendę Sorby: ktoś udusił ją tam, nad rzeką, i pewnie zamierzał ją ładnie i schludnie ułożyć w trawie, kiedy dzieci go spłoszyły. Więc po prostu zepchnął Brendę do wody, nie całkiem martwą, jak się okazało, i zwiął. Pytanie: czy zmusił Brendę, żeby z nim poszła? Odpowiedź: to mało prawdopodobne. Decydujący atak nastąpił tak szybko, że nie zdążyła nawet krzyknąć; dzieci nic nie słyszały. Wniosek: znała tego mężczyznę i miała do niego zaufanie.

– Pytanie – powiedział Wield. – Nawet jeśli znała go i mu ufała, co robiła na spacerze z nim, skoro w tym czasie powinna być na zakupach przed spotkaniem z Tommym?

– Odpowiedź jest oczywista – zauważył Dalziel.

– Bynajmniej! – zaprotestował Pascoe. – Nie wygląda mi na dziewczynę, która by grała na dwa fronty. Dopiero co się zaręczyła, kupiła Tommy’emu sygnet, zegarek...

– Kto powiedział, że zegarek był dla Tommy’ego? – wtrącił cynicznie Dalziel. – Nie byłaby pierwszą dziewczyną zadającą się z dwoma facetami jednocześnie: jeden chłopak w jej wieku, drugi starszy, dojrzały, trochę egzotyczny.

– Na przykład wysoki, śniady, przystojny Cygan, tak, panie inspektorze? – zasugerował Wield.

– A czemu nie?

Pascoe prychnął z niesmakiem. Wydawania takich dźwięków nauczył się od Ellie.

– Nie wracajmy do Lee. Nie może być aż tak sprytny.

– Fakt, to by było cholernie cwane – zgodził się z nim Dalziel. – Miałby podwójne alibi. Ale to są naprawdę szczerwane lisy, Peter. Rodzą się z tym. Poza tym, nawet pomijając Lee, takich jak on jest mnóstwo. Przez te dwa tygodnie jarmarku w okolicy jest tyle złotych kolczyków, że można by na nich zawiesić kurtynę w operze.

– Nie – zaprotestował stanowczo Pascoe. – Nie przekonał mnie pan. Nie ta dziewczyna. Nie o takiej porze.

– No dobrze, skoro najbardziej prawdopodobnym powodem obecności nad rzeką w letni wieczór jest małe bara-bara, a wy uważacie, że Sorby była za porządna na to, żeby mieć kogoś na boku, nadal zostaje jeszcze oficjalny najemca.

– To znaczy... Maggs, panie inspektorze? – spytał z niedowierzaniem Wield.

– A czemu nie? Pytał go już ktoś, co dokładnie porabiał między szóstą i siódmą

wieczorem?

– No nie, już prędzej uwierzę, że to Lee! – zachnął się Pascoe. – Tommy by czegoś takiego nie wykombinował.

– Rasista z ciebie, Peter. – Dalziel uśmiechnął się z satysfakcją.

– Nie w tym rzecz. – Pascoe wyszczerzył zęby w odpowiedzi. – Chodzi mi raczej o to, że mylimy związek z motywem. Zarówno Tommy, jak i sekretny kochanek Brendy mogliby mieć wiele powodów, żeby ją zamordować: zazdrość, strach przed zdemaskowaniem... Ale to nie są dobre motywy dla Dusiciela, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– A jakie są motywy Dusiciela? – zainteresował się Dalziel. – Co mówi ten akrobata rowerowy, jak mu tam... Potty?

– Pottle. Rzeczywiście, mówi o podobnej motywacji, ale nie takiej osobistej. Nie w tym stopniu. Na pewno wie pan, o co mi chodzi.

– Tak?

– Ależ tak! Pamiętam, że od początku był pan przeświadczony, że Brenda padła ofiarą Dusiciela, mimo że wyłowiono ją z wody, i miał pan wątpliwości co do Pauline Stanhope, mimo że po śmierci została udrapowana na stole w typowy dla Dusiciela sposób.

– Mogę chyba zmienić zdanie, co? Jak człowiek ma wiecznie rację, to w końcu może mu się to znudzić.

– To musi być bolesne – powiedział Pascoe i sporym wysiłkiem woli powstrzymał się od reakcji na szeroki uśmiech Wiolda stojącego za plecami Dalziela. – Zastanawiam się, czy pomyślał pan to samo, co ja. Może Dave Lee nie był jedynym człowiekiem, który zaniepokoił się, gdy Rosetta Stanhope zbliżyła się do prawdy? Może ktoś pofatygował się w środę do lunaparku, żeby uciszyć Madame Rashid, ale nie znał jej za dobrze i pomylił Pauline z Rosettą?

– Może, może... – zirytował się Dalziel. – Dlaczego ktoś, kto nie jest tępym jak Świnia Cyganem, miałby się zaniepokoić jej bełkotaniem? Co było w gazetach?

Odszukali inkryminowaną gazetę.

– Błękitne niebo, złote słońce, ptaszyska, czarne twarze – wyliczył podinspektor. – Jakbym czytał broszurę biura turystycznego.

– Też miałem takie skojarzenie – zgodził się z nim Pascoe.

– Czego tu się bać? To im powiedziała ta Duxbury, tak? Sąsiadka? No tak, tu jest nazwisko. Twierdzi, że to był głos młodej dziewczyny.

– Matka też tak powiedziała. Ale nie zapominajmy, że to była wyjątkowa sytuacja.

– Założę się, że nasz starszek Wiel sikał z uciechy po nogach – mruknął Dalziel pod adresem sierżanta.

– Może należałoby dać to nagranie tym lingwistom do odsłuchania? – zasugerował Pascoe.

– Po co? W dupie mam takich specjalistów. Co nam do tej pory przyszło z ich roboty?

– Przeanalizowali głosy w telefonie. Można by nagrać wszystkich zamieszanych w sprawę i przesłać takie taśmy do analizy.

– Z tego, co mówisz, wynika, że (a) ufasz tym dwóm czubom, oraz (b) jesteś pewien, że jednym z dzwoniących był Dusiciel. Żaden sąd nie przyzna ci racji.

– Pewnie nie, ale na pewno warto spróbować – upierał się Pascoe.

Dalziel z powątpiewaniem spojrzął na zegarek.

– Rany boskie, już po drugiej, a ja jeszcze nie jadłem obiadu! Peter, dzisiaj i tak już więcej nie zdziałamy. Może jedź do domu i spokojnie odpocznij, tak jak planowałeś? Zasłużyłeś.

– O nie – sprzeciwił się stanowczo Pascoe. – Umowa była taka, że dostaję wolny przyszły piątek i sobotę; osobiście pan za to ręczył. I nie radzę próbować się z tego wykpić, bo Ellie wyrwie panu rękę z barku i pobije pana jej grubszym, zakrwawionym końcem. Ale chętnie do niej teraz zadzwonię i dowiem się, jak się czuje.

Telefon jednak go uprzedził i sam zadzwonił. Pascoe odebrał, posłuchał chwilę i podał słuchawkę Dalzielowi.

– Do pana.

– Z niczego nie zamierzam się wykpić – obruszył się Dalziel. – Chciałem dać ci wolne popołudnie jako premię, ale skoro nie chcesz... Halo?! – ryknął w słuchawkę, z której przez cały czas dobywał się cieniutki, brzęczący głosik.

– Jezu! – zachnął się głosik. – Po co panu telefon? Nie lepiej po prostu otworzyć okno?

– Kto mówi?

– Sammy Locke, „Evening News”. Co słyhać?

– Nic – odparł Dalziel, nabierając nagle jakichś podejrzeń. – A u was?

– Jeden z naszych informatorów donosi o dziwnych wydarzeniach wśród Cyganów: brutalny nalot policji, zakłócenie tradycyjnych rytuałów pogrzebowych...

– Co?! Kto wam to powiedział? Spróbujcie to wydrukować, a nigdy więcej nawet nie powąchacie żadnego tematu kryminalnego w tym mieście – zagroził Dalziel.

– To się okaże. – Locke był niewzruszony. – Na pewno nic się nie dzieje?

– Nie, a co? Powinno się dziać?

– To pan niech mi powie. Proszę posłuchać.

Rozległo się pstryknięcie, szum, aż w końcu zabrzmiał znużony głos:

– *„O Boże! Można by mnie zamknąć w łupince orzecha, a czułbym się królem niezmiernych obszarów, gdybym tylko nie miał złych snów”*.

– Proszę bardzo – odezwał się znowu Sammy Locke. – Chyba powinniście zacząć szukać ciała.

Rozdział 22

Co ciekawe, cytat bez ciała poruszył Dalziela znacznie bardziej niż taki, któremu towarzyszyło znalezienie zwłok.

– Macie już tych językoznawców? – zapytał po raz trzeci.

– Wysłałem samochody – odparł Pascoe. – Powiedziałem chłopakom, że mają ich zgarnąć, jak tylko pojawią się w domach. Ale ci goście i tak niewiele nam powiedzą: co najwyżej, który z poprzedniej czwórki to mówi. Dla mnie brzmi jak (A).

– Dla mnie też – przytaknął mu Wiel. – Chociaż pewności nie mam. Brzmi jakoś inaczej, jakby był mniej pewny siebie. Nieszczęśliwy.

– Też mi odkrycie... – mruknął Dalziel. – Facet jest nieszczęśliwy! Poczekajcie tylko, aż to pójdzie w gazetach. Będą nas chłostać aż miło, a ja, niechowany w prywatnych szkołach, za chłostą nie przepadam.

– Sierżant ma rację, panie inspektorze. Wezwałem również doktora Pottle'a; zobaczymy, co on powie.

Wzruszenie ramion Dalziela – jakby Atlas zaczynał się niecierpliwić – jednoznacznie wyrażało jego opinię na temat doktora Pottle'a.

Do pokoju wszedł sierżant Brady. Przejrzał najnowsze raporty o zaginionych. Weekendowe wieczory zawsze sprzyjały niewracaniu młodzieży do domów.

– Siedem dziewczyn – oznajmił. – Trzy wróciły dużo później niż powinny, za to pewnie bardzo zadowolone z wieczoru. Dwie następne też już wróciły, tylko rodzice nie pomyśleli, żeby dać nam znać. Zostają dwie. Najprawdopodobniej zwały do Londynu. Klasyczny profil, jak mawia komisarz Pascoe.

– Mimo wszystko pilnujcie tych dwóch – polecił Dalziel, po czym, już po wyjściu Brady'ego, zapytał: – Na litość boską, Peter, coś ty mu zrobił? „Klasyczny profil”! Jeszcze trochę i w słowie „psychologia” będzie robił nie więcej niż dwa błędy!

Brady jakby tylko czekał na taki sygnał: wrócił i powiedział, że przyszedł doktor Pottle.

– Nie powinien teraz grać w golfa? – mruknął Dalziel.

Cokolwiek zajmowało Pottle'owi sobotnie popołudnia, najwyraźniej z przyjemnością dał się od tego odciągnąć. Zabrał taśmę z nowym nagraniem do sąsiedniego pokoju i kilka razy ją odsłuchał.

– I nie macie ciała, tak? – spytał.

– Nie mamy – potwierdził Dalziel. – Uważa pan, że powinniśmy się go spodziewać?

– Tego nie wiem. Podobnie jak nie wiem, czy to człowiek, którego szukacie. Ale jedno jest pewne: to ktoś bardzo wzburzony. Jeżeli założymy, że mamy do czynienia z (A) z poprzedniego zestawu nagrań, to zmiana jest ewidentna.

– Też mi się tak wydawało – zawtórował psychiatrze Wiel. – Jakby był nieszczęśliwy.

Pottle spojrział na niego z podziwem.

– Ma pan czuły słuch.

Wiel odkaslnął prawie bezgłośnie, zasłaniając usta pięścią. Pascoe – jako początkujący student wiedologii – zanotował ten gest jako odpowiednik rumieńca zakłopotania.

– Poprzednio było słyhać w jego głosie żal, ale i determinację – ciągnął Pottle. – Tak jakby to, co robi, było dla niego przykrą koniecznością.

– Takie „krzywdząc was, krzywdzę siebie”? – spytał Dalziel. – Taki jeden sukinkot w mojej szkole też tak mówił, kiedy bił słabszych.

– Trochę tak... Ale raczej szedłbym w kierunku okrucieństwa, przez które okazuje miłość. I współczucie. Pisałem w raporcie z poprzednich nagrań, że są to tylko moje wrażenia, poparte jednak tym, jak traktuje ofiary, oraz tym, jak o nich mówi przez telefon. I jakie cytaty dobiera. Tutaj dostrzegam dwie istotne zmiany. Po pierwsze, w głosie słyhać wyraźny niepokój, brakuje mu tej poprzedniej władczej nuty. Po drugie, tym razem cytat odnosi się do niego, nie do jego ofiary. „*O Boże! Można by mnie zamknąć w łupince orzecha, a czułbym się królem niezmiernych obszarów, gdybym tylko nie miał złych snów*”. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że coraz trudniej jest mu żyć z samym sobą.

– Czy to odczucie powinno się jakoś przejawiać w zachowaniu? – spytał Pascoe.

– Niekoniecznie. Z początku na pewno nie.

– Mnie bardziej interesuje, czy przez to stał się bardziej, czy mniej niebezpieczny – wtrącił Dalziel.

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć.

Dalziel demonstracyjnie odął wydatne wargi, wsunął dłoń za pasek i zaczął się drapać po brzuchu.

– Jeszcze jedno – odezwał się Pascoe. – Przypuśćmy, że ostatnie dokonane przez niego morderstwo, to znaczy ostatnie, o którym wiemy, zostało spowodowane nie tym, co go gryzie w głębi duszy, ale zwykłą próbą uniknięcia wpadki. Jaki to mogło mieć na niego wpływ?

Pottle odpalił papierosa od papierosa.

– Czysto hipotetycznie? Czy wie pan coś więcej?

– Trochę wiem, trochę zgaduję.

– Zaryzykowałbym stwierdzenie, że samo zagrożenie życia może nie być dla niego dostatecznym usprawiedliwieniem morderstwa. Chyba, że naprawdę była to sytuacja absolutnie wyjątkowa i niepowtarzalna.

– Inaczej mówiąc, mógłby to zrobić i przysiąc sobie, że więcej nie będzie zabijał.

– Tak.

– A potem, gdyby się okazało, że przymus nie ustąpił i będzie musiał mordować dalej...?

– Rozumiem, do czego pan zmierza, panie Pascoe. I rzeczywiście, to by mogło tłumaczyć zmianę tonu głosu. Jeżeli zabił ponownie pod wpływem przymusu, to zdaje sobie sprawę, że może zabijać także po to, żeby przeżyć. I trudno mu się pogodzić z tą świadomością.

– Nie rozpędzajcie się tak – odezwał się Dalziel. – Jeżeli zabił tę dziewczynę z wesołego miasteczka tylko po to, żeby chronić siebie, to telefon po tamtym morderstwie powinien cały aż tętnić tym bezgranicznym nieszczęściem, które wyłowiły wasze wyczulone uszy.

– Niezupełnie. W chwili morderstwa miał dostateczną motywację, żeby nie mieć wątpliwości. Dlatego bardzo starannie wszystko zatuszował.

– Jak to, zatuszował?

– Układając dziewczynę na stole, a potem dzwoniąc do was z podobną wiadomością jak poprzednio, próbował skierować was na fałszywy trop. Chciał, żebyście myśleli, że dalej jest tym samym pozbawionym motywu Dusicielem co przedtem.

– Co zresztą od razu sugerował pan inspektor – przypomniał Pascoe.

– To prawda – przytaknął Dalziel. – Tylko, że zawsze zaczynam traktować swoje genialne pomysły podejrzliwie, kiedy znajdują poparcie różnych cwanych skurczybyków. Dziękujemy panu, doktorze. Bardzo nam pan pomógł.

Potter zamknął notes z takim trzaskiem, że kurz buchnął mu spomiędzy palców jak dym z kadzidła.

Bardzo słusznie, pomyślał Pascoe. Jest przecież naszym kapłanem.

Bezbożnik Dalziel odwrócił się już plecami do Pottle'a.

– Widzę, że inspektor nie przepada za „cwany miasteczkami” – mruknął Pottle. – Sam niby nie jest cwany? Bo że jest skurczybykiem, to nie wątpię.

– Jakoś sobie radzi – odparł lekkim tonem Pascoe. – Dlaczego *Hamlet*, panie doktorze? Ma pan jakieś nowe pomysły?

– Moim zdaniem kluczowa jest pierwsza ofiara – powiedział Pottle, podchodząc do drzwi. – Gdyby była nieco starsza, wyszła powtórnie za mąż po owdowieniu i miała syna, który w wieku trzydziestu pięciu lat wciąż był niedojrzały...

– Miała córkę, która zginęła.

– To też może być znaczące, ale żeby ustalić taki związek, potrzebuje pan innych talentów niż moje, panie komisarzu. Życzę miłego dnia.

– Komisarzu Pascoe? – zagrzemiał Dalziel, gdy drzwi zamknęły się za psychiatrą.

Pascoe stanął nad stołem, przy którym grubas tymczasem usiadł.

– Za dużo ludzi się tu kręci. – Dalziel skrzywił się z niesmakiem, oglądając zawalony papierami blat. – Jak w burdelu po zamknięciu pubów.

– Niezły ten nasz burdel... Dziewczyna, na którą czekamy, nie żyje.

– Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę. A na razie i bez tego mamy huk roboty. Dzisiaj kończy się jarmark. Rano będą zwijać lunapark. Chcę tam posłać ludzi po raz ostatni, może ktoś sobie coś przypomni; może coś znajdziemy, kiedy zakład oczyszczania miasta zgrabi śmieci. Druga sprawa: mam dość tych wszystkich ważniaków i ich przemądrzałych pierdów na temat tych taśm. Spróbujmy wycisnąć z nich coś naprawdę użytecznego. Trzeba nagrać głosy wszystkich osób zamieszanych w tę sprawę, dobrowolnie albo podstępem, wszystko jedno. Sierżant Wield jest mistrzem podsłuchu z mikrofonem w nosie, prawda, sierżancie? Przekonamy się, czy nasi eksperci wskażą kogoś jako faceta z telefonu.

Dalziel spojrzał spode łba na Pascoe, który nie dalej niż przed godziną sam wyszedł z taką propozycją.

– Świetny pomysł, panie inspektorze – powiedział Pascoe. – Biorę Wildgoose'a na siebie, i tak mam z draniem do pogadania.

– Ja chętnie porozmawiam z panem Mulganem – zaofiarował się Wield, który z ogromnym zainteresowaniem przestudiował raport językoznawców.

– A właśnie, Mulgan... Mamy w końcu tę listę ostatnich transakcji Brendy Sorby? – zainteresował się Dalziel.

Wield z miną winowajcy wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Dalzielowi.

– Zupełnie o niej zapomniałem, panie inspektorze. Przy tym zamieszaniu w taborze i tak dalej...

Dalziel chrząknął i spojrzał na listę. Tamtego dnia sklepy zamykano wcześniej i wielu miejscowych kupców po południu wpłacało utarg do banku. Był wśród nich także M.

Conrad, jubiler. Ktoś dokonał także wpłaty w imieniu aeroklubu. Ktoś inny wypłacił znaczną sumę z rachunku Middlefield Electric.

Podinspektor zmarszczył brwi.

– Miała wtedy na palcu pierścionek zaręczynowy, nieprawdaż?

Pascoe i Wield spojrzeli po sobie.

– Chyba tak, panie inspektorze – przytaknął sierżant. – O co chodzi?

– O nic. Przez was popadam w paranoję. No, spadajcie. Weźcie się do jakiejś roboty.

Przed wyjazdem w teren Pascoe włożył kopię najnowszej taśmy do koperty, którą zaadresował do Gladmanna i Urquharta na wypadek, gdyby któryś z nich wpadł do komisariatu podczas jego nieobecności. Po namyśle dorzucił też nagranie z seansu Rosetty Stanhope wraz z papierową kopią zapisu, oraz karteczkę z niezbyt precyzyjnym pytaniem: „Co panowie na to?”.

Wildgoose nadal nie odebrał mleka i gazety. Pascoe myślał już nawet o włamaniu się do jego domu, gdy przeszkodziło mu niespodziewane pojawienie się sąsiada: umierający na suchoty kudłaty młodzian, w serii świszczących pochrząkiwań przekazał mu informację, że wieczorem słyszał, jak Wildgoose wychodził, nie słyszał natomiast, żeby wrócił. Ta nowina niewiele wносиła, ale sama obecność młodego człowieka odwiodła Pascoe od kryminalnych zamiarów. Wrócił do samochodu.

Przyszło mu do głowy, że mógłby odwiedzić Lorraine Wildgoose, ale było mało prawdopodobne, żeby zastał tam jej męża, a nie chciał niepotrzebnie podsycać jej obsesji. Dlatego lepszym strzałem wydała mu się wizyta u nowej dziewczyny Wildgoose’a, Andrei Valentine. Z informacji Preece’a wynikało, że jej rodzice wracają w weekend, Wildgoose miał więc ostatnią okazję, żeby sobie poużywać.

Pascoe pojechał na Danby Row.

Wypatrzwszy właściwy dom, zwolnił i przejechał obok niego. Nie dostrzegł żadnych oznak życia. Także tutaj mleko stało na progu, co oznaczało, że rodzice Andrei prawie na pewno nie wrócili, a szczęśliwa para (o ile w ogóle była w domu) była zapewne nadal zajęta wzajemnym uszczęśliwianiem się.

Zawrócił na końcu uliczki i podjechał pod dom. Dalziel na pewno zareagowałby już

przy pierwszym przejeździe, pomyślał. Młoda dziewczyna bzykająca się z żonatym nauczycielem w średnim wieku... Rodzice mieli prawo o tym wiedzieć. Łagodność Pascoe nikomu nie pomagała, a już najmniej samej Andrei.

Sam widział, że w takim rozumowaniu jest sporo racji. Rzeczywiście, był łagodny aż do przesady. Teoretycznie powinien był zrobić nalot już poprzedniego dnia, skoro podejrzewał, że Wildgoose przeniósł na Danby Row swój zapas suszonych konopi: przeszukać mieszkanie, znaleźć towar i wlepić dziewczynie zarzut posiadania z takim impetem, że dla złagodzenia bólu zgodziłaby się być świadkiem w znacznie poważniejszej sprawie Wildgoose'a, któremu zarzuciłby uprawę i dystrybucję.

To właśnie powinien był zrobić – ale nie zrobił. Nie dręcz się tak, upomniał się w duchu filozoficznie, naciskając guzik dzwonka. Nie można być gliną, nie łamiąc zasad. Zresztą, może w boskim kosmicznym planie jego łagodność w sprawie konopi równoważyła porywczosć niektórych kolegów po fachu, którzy, zamiast przedstawiać argumenty, po prostu walili pięścią w brzuch.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji (i nie chcąc zwracać uwagi sąsiadów), obszedł dom dookoła. Od frontu znajdował się tylko wybrukowany placyk z usychającą z tęsknoty magnolią, za to z tyłu wąski, dyskretny ogródek, cichy, spokojny i nieprzystępny wskutek mnogości konkurujących ze sobą krzewów, ciągnął się aż do muru i znajdującej się w nim oplecionej bluszczem furtki, wychodzącej zapewne na uliczkę na tyłach domów.

Pascoe zapukał do drzwi kuchennych, a kiedy nikt nie odpowiedział, spróbował przekręcić klamkę. Ustąpiła bez oporu. Drzwi skrzypnęły, kiedy je otwierał.

Przeszedł przez próg i znalazł się w staroświeckiej kuchni: marmurowy zlew, kuchnia, zawieszona pod sufitem drewniana suszarka na pranie, wszędzie biała i niebieska glazura łazienkowa. Państwo Valentine najwyraźniej nie lubili wydawać pieniędzy na unowocześnianie domu. Jeśli jego wystrój dobrze ilustrował ich charakter, wściekną się, gdy odkryją, co kombinuje ich mała córeczka.

– Halo! – zawołał Pascoe, otwierając drzwi do sieni. – Jest tu kto?

Echo poniosło jego głos w górę ponurej klatki schodowej, malowanej na brązowo i wyklejonej tłoczoną ciemnozieloną tapetą.

– Halo?! – zawołał jeszcze raz, ale już ciszej, nie oczekując, że ktoś mu odpowie.

Czuł jednak, że ktoś – lub coś – kryje się w domu. Strach ścisnął go za serce. Wyobraził sobie Wiolda, który odchyła połę namiotu i wchodzi do środka. To, co Wiold tam znalazł, kompletnie go zaskoczyło – ale taka wyczekiwana groza, jaką w tej chwili odczuwał Pascoe, była chyba jeszcze gorsza.

Nie, jednak nie. Odczuł raczej rozczarowanie, niemal ulgę, kiedy otworzył kolejne drzwi, tym razem prowadzące do mrocznego salonu, w którym na wytartym szezlongu leżała Andrea Valentine. Okrywał ją tylko kusy ręczniczek, za to udrapowany w taki sposób, żeby jak najwięcej zasłaniać. Stopy w pantoflach miała złożone razem, ręce skrzyżowane na piersi. Na serdecznym palcu lewej dłoni lśnił szkarłatny kamień w srebrnej oprawie.

Pascoe dotknął tej dłoni. Była zupełnie zimna. Spojrzał na nabrzmiałą od krwi twarz. Dobrze wiedział, jakie żale i samooskarżenia budzi w nim ten widok.

Nie miał na nie czasu.

Minał stojący w przedpokoju aparat telefoniczny, cofnął się do samochodu tą samą drogą, którą przyszedł, i pośpiesznym, natarczywym głosem powiedział coś do radiotelefonu.

A potem wrócił do domu Valentine'ów i czekał.

Rozdział 23

Historia się powtarzała.

Dziewczyna została uduszona, a następnie ułożona w takiej pozie, która nie nasuwała żadnych skojarzeń z gwałtowną śmiercią. Zmarła między północą i drugą nad ranem.

Od innych ofiar różniło ją to, że niedługo przed śmiercią uprawiała seks. Na ciele nie znaleziono żadnych śladów przemocy.

We wciśniętym w kąt szafy pudełku po butach odkryto resztki konopnych plonów Wildgoose'a.

Wszędzie w domu były jego odciski palców – a przynajmniej odciski identyczne z tymi, które znaleziono w jego mieszkaniu.

Niczego więcej nie znaleźli.

Pascoe pojechał do domu Lorraine Wildgoose.

– Co się stało? – spytała.

Próbował odpowiedzieć wymijająco, ale pani Wildgoose nie chciała o tym słyszeć, więc powiedział jej prawdę.

– A pan chce się rozejrzeć po domu, żeby sprawdzić, czy go nie ukrywam. Jezu...

Pascoe poczuł się głupio, ale rzeczywiście trochę się rozejrzał. Na szczęście, dzieci nie było w domu.

– Nie wygląda pani na zaskoczoną – zauważył. – Ani wstrząśniętą.

– Wolałby pan, żebym była hipokrytką? – zachnęła się. – A kto was naprowadził na jego ślad?

– To na razie tylko domniemania – przypomniał jej łagodnym tonem. – Chcemy z nim po prostu porozmawiać.

– Jak to, domniemania?

– Zgoda, poszlaki wskazują na niego, ale najpierw musimy z nim porozmawiać. Da nam pani znać, gdyby się z panią skontaktował?

– Jeśli tylko będzie to możliwe, własnoręcznie rozwałę mu łeb i osobiście wam go dostarczę.

Pascoe obrzucił panią Wildgoose niepewnym spojrzeniem. Czy na pewno powinien ją zostawić samą?

– Mogłaby się pani gdzieś przenieść na jakiś czas? Wyprowadzić do rodziców? Z dziećmi...

- Wyprowadzić? Ale po co?
- Przez wzgląd na dzieci – wyjaśnił pośpiesznie. – Gdy tylko prasa zwęszy sprawę, dziennikarze zlecą się tu błyskawicznie. A są delikatni jak sfora wilków.
- Ich nieczułość mnie nie wzrusza, panie Pascoe.
- Pani dzieci mogą zareagować inaczej.
- To prawda – przyznała nieco przytomniej. – Dziękuję za radę.
- Jeżeli zdecyduje się pani wyjechać, proszę nam zostawić nowy adres. Do widzenia, pani Wildgoose.

Ucieszył się, kiedy wreszcie odjechał, ale mina mu zrzedła, gdy po powrocie na Danby Road odkrył, że państwo Valentine właśnie wrócili z urlopu. Byli drobni, niscy i z początku kompletnie powaleni żalobą, ale wkrótce złość wzięła górę i zaczęli traktować policjantów bardziej jak sprawców zbrodni niż ludzi, którzy ją próbują wyjaśnić. Wezwano sąsiadów, żeby ich ugłaskali – sąsiadów, którzy uprzednio zostali przesłuchani, ale w nocy nie słyszeli żadnych niezwykłych odgłosów dobiegających z domu; tylko jedna kobieta twierdziła, że kiedy około północy wyszła do ogródka, żeby zabrać kota na noc do domu, zdawało jej się, że słyszy jakiś szelest w zaroślach.

Ta sama kobieta kilkakrotnie widziała, jak Wildgoose przychodził do domu Valentine'ów, ale zjawiał się zawsze za dnia i nigdy nie zostawał na tyle długo, żeby „do czegoś mogło dojść”. Najwyraźniej jej zdaniem grzech wymagał czasu.

Wyglądało więc na to, że Wildgoose umiał zachować dyskrecję, co przy jego fachu było bezcenną zaletą. Uspokojeni państwo Valentine znali go wyłącznie jako jednego z nauczycieli Andrei. Sugestia, że mógł mieć romans z ich córką, zaskoczyła ich chyba nie mniej niż jej śmierć.

Pascoe wymknął się z miejsca zbrodni i zadzwonił do Ellie. Była osiemnasta, a widział już, że zapowiada się długa noc.

Odebrała telefon po niepokojąco długim czasie, ale zapewniła go, że po prostu opalała się w ogródku.

– Dawniej ludzie wynajmowali samoloty, żeby polatać nad naszym domem w nadziei na ujrzenie kawałka mojego nagiego ciała – zauważyła autoironicznie. – Teraz włączają radar, żeby przypadkiem się z nim nie zderzyć. Co u ciebie, kochanie?

Bardzo nie chciał psuć jej sielankowego nastroju, ale nie mógł nic poradzić na to, co usłyszy w radiowym serwisie informacyjnym.

– Jejku, Peter... Ile miała lat, powiedziałeś? Jezus, Maria... Jesteście pewni, że to Mark Wildgoose?

– No wiesz, w tej chwili z pewnością jest pierwszy na liście.

– Biedna Lorraine... Muszę do niej zadzwonić.

– Nie współczuj jej za bardzo. Właśnie u niej byłem i zdiagnozowałem poważny przypadek „a nie mówiłam?”.

– Jakoś musi sobie z tym radzić. Posłuchaj, nie wiem, czy to już wiecie i czy do czegoś się wam przyda, ale ja wiem, gdzie Mark Wildgoose spędził noc. I to pewnie razem z tą biedną dziewczyną.

– Naprawdę? Mów, Sherlocku. Ja słucham.

– Wiem od Thelmy. Była dziś u mnie, rozmawialiśmy o Lorraine i wtedy powiedziała, że widziała jej męża w dyskotecce w aeroklubie. Wygląda na to, że dyskoteki są tam w każdy piątek i sobotę.

– I Thelma na nich bywa?! – spytał z niedowierzaniem Pascoe.

– Czemu miałyby nie bywać? Chociaż nie, zwykle faktycznie nie bywa, ale akurat tym razem poszła, bo to była wyjątkowa sytuacja. Chodziły słuchy, że nieletni kupują tam alkohol. Bernard Middlefield, sędzia pokoju, na pewno go znasz, który jest w komitecie aeroklubu, zobowiązał się do przeprowadzenia śledztwa. Thelma się o tym dowiedziała, a że nie przepada za Middlefieldem i jego poglądami, postanowiła też tam wpaść i obiektywnie zrecenzować wyciągnięte przez niego wnioski.

– Obiektywnie! – prychnął Pascoe. – Co z tym Wildgoose'em?

– Dość późno zwróciła na niego uwagę. Niewiele tańczył. Powiedziała nawet, że sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. Właściwie trudno mu się dziwić: dorosły facet w otoczeniu szesnastolatek ze szkoły, w której uczy...

– Powinien był zostać w domu i poczytać jakąś dobrą książkę. Tak czy inaczej, dziękuję, skarbie. Prędzej czy później pewnie byśmy się tego dowiedzieli, ale oszczędziłaś nam sporo chodzenia. A teraz posłuchaj, nie czekaj na mnie, dobrze? Jeżeli będziesz zmęczona, po prostu kładź się spać i już. Teraz niczego ci nie trzeba?

– Nie, wszystko jest w najlepszym porządku – odparła lekko poirytowana Ellie. – Trzymaj się. I nie bij nikogo, kogo ja bym nie pobiła.

– Bardzo śmieszne. Pa.

Technicy z laboratorium skończyli z domem przy Danby Row i porzucili go na pastwę żalu i ciszy. Miło było wrócić do kipiącego aktywnością pokoju dochodzeniowego.

Dalziel puścił w ruch całą krajową maszynę pościgową. Sprawdzone wszystkie okoliczne dworce autobusowe i kolejowe, korporacje taksówkowe i firmy wynajmujące samochody, podobnie jak hotele i pensjonaty. Rozesłano rysopis do mediów. Zawiadomiono

nawet międzynarodowe porty lotnicze i morskie – mimo że paszport Wildgoose'a, opatrzone wszystkimi niezbędnymi w nadchodzącej podróży wizami, znaleziono u niego mieszkaniu.

– Jest pan pewien, że to właśnie on? – zaniepokoił się Pascoe.

– Jestem pewien, że chcemy z nim porozmawiać. – Dalziel beknął. – Chryste Panie, zrobiła się ósma, a ja nic dziś nie jadłem... Dlaczego to nie miałby być on?

– Bez powodu. To znaczy... Ten seks mi tu nie gra: przedtem nigdy...

– Pierwszy raz zabił kogoś, kogo posuwał – przerwał Pascoe Dalziel. – Wiem, to nie są zabójstwa na tle erotycznym; seks i morderstwo nie są u niego nierozłączne. Ale to jeszcze nie znaczy, że jedno i drugie nie sprawia mu przyjemności. Po prostu z tą dziewczyną miał romans, a z poprzednimi nie. I tyle.

– Dlaczego zabił ją akurat teraz?

– Kurna, Peter, znasz lepszy moment? To mi go wskaż!

– Jest jeszcze pierścionek – wtrącił Wiel.

– Pierścionek?

– Tak, panie inspektorze. Lewa ręka, serdeczny palec: jak po zaręczynach. Pan Pascoe powiedział, że pan Pottle powiedział...

– Wali mnie, co powiedział pan Pottle! – burknął Dalziel. – Co tu ma do rzeczy jakiś pierścionek? Po prostu znajdziemy gnoja i zaczniemy mu wyrywać paznokcie, aż powie nam to, co chcemy wiedzieć.

– Proszę się nie przejmować, sierżancie – rzekł Pascoe do Wiela, gdy Dalziel już poszedł. – On tak ma co miesiąc.

– Albo wcale nie jest pewien swoich racji.

– Ale ma rację z tym pierścionkiem. Gdyby to Wildgoose jej go dał, to przecież nie zabiłby jej za to, że go nosiła!

– Zresztą, trochę by się z tym pierścionkiem pośpieszył, nie uważa pan?

– Dowiemy się w aeroklubie. Preece, do mnie. Idziemy na dyskotekę.

W samochodzie wyjaśnił, dlaczego wybrał Preece a: po ciemku, z lampą stroboskopową za plecami posterunkowy Preece mógł się wmieszać w tłum, udając rozpustnego dwunastolatka. Okazało się jednak, że takie zabiegi dyplomatyczne nie będą do niczego potrzebne. Jak już dawno zauważył Pascoe, młode pokolenie, które podobno obawiało się policji i było wobec niej bardziej nieufne niż poprzednicy z dawniejszych epok, wyrażało swoje lęki i nieufność w bardzo dziwny sposób.

Mimo stosunkowo wczesnej pory w klubie zrobiło się już tłoczno. Okna zostały zasłonięte, żeby wieczorne światło nie kłóciło się z elektroniczną feerią barw. Całe wnętrze

pulsowało gwałtownym rytmem.

Ledwie rozpoznano w nich stróżów prawa, otoczył ich entuzjastyczny tłum potencjalnych świadków, o których wiele można by powiedzieć, ale na pewno nie to, że boją się policji.

– Sierzancie, proszę z posterunkowym Preece'em wy badać, czy znajdziemy tu coś ciekawego – polecił Pascoe. – Ja dołączę do swojej grupy wiekowej.

– Ja tu wszystkich chętnie zbadam – odparł Preece, ewidentnie rozkoszując się kontaktem z dwiema czternastoletnimi piersiami, których obfitość wystawiała doskonale świadectwo państwowej służbie zdrowia.

Grupa wiekowa Pascoe składała się z Bernarda Middlefielda, Thelmy Lacewing i Austina Greenalla, którzy stali nieco z boku, o wiele bardziej zdenerwowani niż którykolwiek z kolegów zamordowanej dziewczyny. Pierwsi dwoje dowiedzieli się o jej śmierci z radia, ogarnęli związek tego faktu z miejscem, w którym spędzili wieczór, i z nie do końca zrozumiałych powodów wrócili do klubu.

– Zna pan Marka Wildgoose'a? – spytał Pascoe Middlefielda.

– Ani trochę. Ale wczoraj zwróciłem na niego uwagę, bo wyraźnie wyróżniał się wiekiem. Dlatego zapytałem, kto to.

– A pan, panie Greenall? Zna go pan?

– Nie. Wczoraj był tu pierwszy raz. Ale Thelma, to znaczy panna Lacewing, go zna.

– Przyjaźnię się z jego żoną, o czym chyba pan już wie – powiedziała Thelma Lacewing.

– Istotnie. Co byście państwo powiedzieli o Wildgoosie? Było w jego zachowaniu coś dziwnego?

– A może być coś dziwniejszego niż to, co się tu wyrabia? – odpowiedział pytaniem Middlefield. – Zamierzam zasugerować komitetowi, żebyśmy przestali tu urządzać takie imprezy. To jest, a przynajmniej powinien być, aeroklub, a nie przedszkole, w którym grasują zбочeńcy!

– Większość rodziców tych młodych ludzi należy do klubu, oni sami też mogą w przyszłości zostać jego członkami, a teraz dzięki nim możecie przez resztę tygodnia serwować tanie drinki! – wypaliła panna Lacewing.

– Rzeczywiście, zachowywał się trochę dziwnie – odparł Greenall, udając, że nie słyszy pozostałej dwójki. – Czasem wpadają do nas jacyś starsi goście, ale zwykle starają się wtedy pokazać, że wcale nie są gorsi od tych młodych. A Wildgoose prawie nie tańczył. Przyszli późno; miałem wrażenie, że to dziewczyna wpadła na ten pomysł, a Wildgoose był

zszokowany, kiedy zobaczył, jaką mamy klientelę. Sam słyszałem, jak dzieciaki mówiły do niego „proszę pana”. Pewnie jego uczniowie.

– A pierścionek?

– Jaki pierścionek?

– Dziewczyna miała na palcu pierścionek zaręczynowy z dużym czerwonym kamieniem.

– Nie zauważyłem. Przepraszam na chwilę, barman chyba ma problem. Nieletni przy barze zawsze sprawiają trochę kłopotu. Pomogę mu.

– Trochę kłopotu! – zagrział Middlefield. – Powinniście tu zrobić nalot w któryś weekend, panie komisarzu, i wszystkich sprawdzić!

– Zastanowię się nad tym, proszę pana – obiecał mu ugodowym tonem Pascoe. – Jak zapewne panu wiadomo, każde naruszenie przepisów może spowodować odebranie klubowi koncesji na sprzedaż alkoholu.

– Ja widziałam pierścionek – powiedziała Thelma Lacewing. – Wyglądał jak rekwizyt teatralny. Widziałam, jak ta dziewczyna pokazywała go koleżankom.

– Wildgoose był wtedy z nią?

– Nie, siedział przy barze. Jakby nie chciał o niczym wiedzieć.

Rozmowa z Preece'em i Wioldem potwierdziła spostrzeżenia panny Lacewing.

Andrea Valentine już od dłuższego czasu czyniła w gronie rówieśników niedwuznaczne aluzje o tym, że udało jej się poderwać Wildgoose'a; ostatnio zaczęła wręcz przebąkiwać o stałym związku, który dojdzie do skutku, gdy tylko Wildgoose rozstanie się z żoną. A wieczorem w dyskotecie najwidoczniej postanowiła zademonstrować kolegom faktyczną bliskość i domniemaną przyszłą trwałość tych relacji.

– Pamiętam – powiedziała Preece'owi jedna z dziewczyn. – Myślałam, że tylko tak sobie go przymierza. Mogła go przecież nawet sama kupić, nie? Zwłaszcza, że Wildgoose wcale nie wyglądał na zachwyconego.

– Może to za to ją zabił? – zasugerowała inna.

– No jasne! – Pierwszej aż zabłyśły oczy. Przycisnęła się do Preece'a. – To na pewno przez to! Jak ją zabił, proszę pana? Co jej zrobił?

Preece wycofał się w popłochu.

Przed wyjściem z klubu Pascoe poprosił pannę Lacewing na stronę.

– Po co pani tu dziś wróciła?

– Zginęła kolejna kobieta, a to jest najprawdopodobniej ostatnie miejsce, w którym widziano ją żywą. Gdzie indziej miałabym pójść? Powinnam mu była wczoraj wygarnąć,

może wtedy...

– Niech pani da spokój – powiedział łagodnym tonem Pascoe. – I bez tego ma pani dość zmartwień, które wcale nie są pani zmartwieniami. Tak przy okazji, dziękuję, że odwiedziła pani Ellie. Ja jestem zabiegany, a wydaje mi się, że w tej chwili bardzo brakuje jej towarzystwa.

– W rzeczy samej – przytaknęła panna Lacewing. – W rzeczy samej.

O północy w dalszym ciągu nie natrafiono na ślad Wildgoose'a, a ludziom z WK pomału kończyły się pomysły na żarty z jego nazwiska.

– Zamykamy interes – powiedział znużonym tonem Dalziel. – Prędzej czy później i tak będzie musiał się gdzieś pokazać. Stawiam sto do jednego, że rano się znajdzie.

Nikt nie przyjął zakładu. I dobrze się stało, bo ten, kto by to zrobił, przegrałby.

Chociaż, prawdę mówiąc, Dalziel też nie do końca miał rację. Wildgoose rzeczywiście „się znalazł”, lecz wieczorem na pewno nikt nie przewidywał, że stanie się to w takich okolicznościach.

W niedzielę wcześniej rano Ted Agar wjechał rowerem na plac Centrum Ogrodniczego Linden. Rosa skrzyła się na krzakach róż, a kościelne dzwony nie zaczęły jeszcze przypominać dobrym ludziom z Shafton o obowiązkach dnia świętego: myciu samochodów, koszeniu trawników i tak dalej.

Agarowi płacono za minimalną opiekę nad Centrum (pół dnia przez pięć dni w tygodniu), ale on lubił mieć baczenie na wszystko, zwłaszcza w weekendy, kiedy to niedoszli klienci, rozczarowani zamknięciem Centrum, nie wahali się czasem wykopać paru młodych krzaczków i wrzucić ich do bagażnika samochodu. Poprzedniego dnia, w sobotę, miał inne zajęcie: kibicował lokalnej drużynie krykietowej, która wymęczyła remis w meczu o mistrzostwo hrabstwa. Na niedzielę zaś zaplanowano tylko mecz jednodniowy, a Agar święcie wierzył w to, że gdyby Bóg chciał, żeby mecze krykieta kończyły się po jednym dniu, odpocząłby już we wtorek zamiast czekać do końca tygodnia.

Zanim oparł rower o ścianę domu, już przebiegł wzrokiem plantację róż. Na pamięć znał sylwetkę każdego rządka – do tego stopnia, że natychmiast się zorientował, że ktoś przy nich grzebał. Niczego nie brakowało, ale w samym środku, gdzie pomarańczowo-cynobrowe róże „Super Star” rosły obok cętkowanych brzoskwiniowych sutter's goldów, coś mu nie pasowało, zakłócało idealnie prostą linię grządki.

Pewnie jakieś bezańskie psy, którym nie przyszło do głowy, że można rozkopywać ziemię w innym celu niż chowanie w niej kości.

Tyle, że psy nie mają w zwyczaju zasypywać wykopanych dziur. Nie rozsypałyby

również nadmiaru ziemi równo po sąsiednich rzędkach.

Cztery super star wypadały w porównaniu z sąsiadkami szczególnie kiepsko, jakby rosły trochę krzywo. I na górze.

Szturchnął ziemię motyką, którą odruchowo przyniósł z szopy za domem. Tuż przy korzeniach jednego z krzaków zobaczył coś małego i białego, jakby koniuszek świeżo przyciętego odrostu.

Schylił się i spojrzał z bliska. Długo się tak przyglądał. Dotknął. Sapnął.

To był mały palec.

Cofnął się powoli o pięć, sześć kroków, a potem okręcił się na pięcie i pośpiesznie pokuśtykał w stronę domu.

Rozdział 24

Ciało zostało szybko zidentyfikowane: w portfelu były dokumenty na nazwisko Wildgoose, Pascoe rozpoznał twarz, a na koniec, aby formalnościom stało się zadość, poproszono Lorraine Wildgoose o potwierdzenie.

– Czy to było samobójstwo? – zapytała lekkim tonem, kiedy było już po wszystkim.

Tak, jeżeli sam się ogłuszył, udusił i zakopał, odparł w myślach Pascoe.

Pokręcił głową.

– Nie – odparł, a nie widząc żadnej reakcji, dodał: – Wszystko wskazuje na to, że został zamordowany, proszę pani. Co oznacza, że najprawdopodobniej nie był Dusiciem.

– Tak? – powiedziała obojętnie pani Wildgoose. – Niby dlaczego? – Po czym, siłąc się na stosowniejszą reakcję, dodała: – Mimo wszystko, cieszę się, wie pan. Przez wzgląd na dzieci.

– Kto jak kto, ale ona raczej nie rzuci się na stos pogrzebowy męża – skomentował to Dalziel, gdy jedna z policjantek wyprowadziła panią Wildgoose do czekającego na nią samochodu.

– Na duszy na pewno jest cała obolała – rzekł Pascoe.

– Jak moje bebechy. – Dalziel poklepał się po brzuchu i beknął donośnie. – Nie wiecie czasem, co robiła wczoraj nad ranem, tak pomiędzy... północą, powiedzmy, i czwartą?

– Nie, ale nie sądzi pan chyba... Nie, panie inspektorze, przykro mi. Nie pomyślałem o tym.

– I pewnie słusznie. Kazałem tej dziewczynie, co z nią wyszła, jeszcze ją wypytać, może pogadać z dziećmi... Zobaczymy. Przezorny zawsze ubezpieczony. Nie cierpiała skurczybyka i wygląda mi na ostrą babę. Zresztą, tak by w ogóle było najlepiej: facet jest Dusiciem, zabija tę Valentine, szuka pociechy w domu, żona okłada go po łbie i zakopuje. Sprawa zamknięta.

– A kto wtedy dzwoni do „Evening Post” w sobotę po południu? – zapytał Pascoe.

– Cholera wie. Może oprócz Dusiciela mamy jeszcze żartownisia. Flip i Flap twierdzą, że na taśmie są cztery różne głosy, prawda?

– Urquhart i Gladmann – poprawił Dalziela Pascoe. – Tak, to się zgadza, ale wczoraj po południu tylko Dusiciel wiedział, że dziewczyna nie żyje.

– Dusiciel oraz wszyscy, którym zdążył o tym opowiedzieć, zanim sam zginął –

zauważył spokojnie Dalziel. – Co twoi eksperci mówią o tym wczorajszym nagraniu?

– Nic. – Pascoe sprawdził już, że koperta wciąż leży u niego na biurku. – Pewnie wyjechali na weekend.

Dalziel głośnym prychnięciem wyraził swoją dezaprobatę dla ludzi, którzy wyjeżdżają na weekendy – w tym także dla Wiolda, który, korzystając z dnia wolnego, pognął na motocyklu na północ na tyle wcześnie, że nawet długie ramię podinspektora nie zdołało go dosięgnąć.

Wildgoose został ogłuszony pojedynczym uderzeniem w sam czubek głowy; ten, kto to zrobił, musiał być albo świetnym fachowcem, albo wielkim szczęściarzem. Następnie Wildgoose'a uduszono. Był jeszcze jeden ważny fakt: niedługo przed śmiercią Wildgoose uprawiał seks.

– Załóżmy, że to nie on jest Dusicielem – zaczął Pascoe, odwołując się do słów Dalziela, chociaż w głębi serca przeczuwał, że to tylko prowokacja. – Wychodzi od dziewczyny i wtedy prawdziwy Dusiciel, który zapewne czekał przed domem, zakrada się do domu i ją zabija. A potem, kiedy próbuje uciec, wpada na Wildgoose'a, który po coś tam wrócił.

– Popieram – mruknął Dalziel upiornym tonem.

– Dusiciel zabija Wildgoose'a i wywozi ciało. Zakładam, że ma środek transportu.

– Ale po co? Dlaczego nie zostawił ciała w domu? Przecież lepiej byłoby złożyć te bebechy w sąsiedniej komnacie i wiać, gdzie pieprz rośnie, zamiast ryzykować, że natknie się na kogoś w zaułku na tyłach.

Pascoe zamurowało. Dalziel cały czas go zaskakiwał. „W sąsiedniej komnacie złożyć te bebechy...”. Powiedział to żartem, ale czyżby pilnie studiował *Hamleta* w poszukiwaniu wskazówek? A może to tylko zbieg okoliczności?

– Może nie chciał zakłócać powagi miejsca, w którym zostawiał dziewczynę? Ułożoną w skromnej pozie, przyzwoitej, niemal religijnej...

– A może po prostu chciał nas zmylić. Żebyśmy myśleli, że to robota Wildgoose'a.

– Tak czy inaczej, mamy kolejny trop. Chodzi mi o pochówek w Centrum Ogrodniczym.

– Domyślam się, ale co to oznacza?

– Właśnie za rozwiązywanie takich zagadek bierzemy pieniądze – odparł sentencjonalnie Pascoe.

Jeśli tak, to w tę niedzielę nie zarobili wiele.

Leżący w szpitalu Dave Lee wydobrał na tyle, żeby dojść do wniosku, że warto się

potargować: on nie będzie oskarżał Dalziela o brutalność, a Dalziel jego o współudział w przestępstwie. Panna Pritchard przysłała z panią Lee go odwiedzić, a potem obie przyjechały do komisariatu.

Dalziel napatoczył się na nie w holu. Odmówił prywatnej audiencji, przez chwilę słuchał ich z narastającą niecierpliwością, a kiedy wyłuskał myśl przewodnią, przerwał dudniącym basem:

– Rób, co chcesz. Ja mam ważniejsze sprawy na głowie, takie jak morderstwo. Albo Dusiciel.

– Z tym też pan sobie nie radzi – zauważyła oschle pani adwokat.

– Rzeczywiście – warknął Dalziel. – Nie radzę sobie. Między innymi dlatego, że kiedy twój klient, o ile Lee jest twoim klientem, prawie złapał mordercę na gorącym uczynku, to zamiast zawiadomić policję, wolał okraść ofiarę, ukryć ciało, wprowadzić nas w błąd, utrudnić śledztwo, a także, prawdopodobnie, walnie przyczynić się do śmierci co najmniej dwóch kobiet i jednego mężczyzny w ciągu ostatnich pięciu dni. Powiedz mu to, kochaniutka. A może wolisz, żebym ja to zrobił? Chętnie mu wrzasnę do ucha, aż mu szwy popękają.

– Nie ma powodu się tak podniecać – powiedziała panna Pritchard.

– Ty byś mnie nie podnieciła nawet na bezludnej wyspie, moja droga.

– Nie był pan przesadnie ugodowy – zauważył Pascoe, gdy pośpiesznie oddalali się z miejsca rozmowy.

– Z takimi jak ona nie warto się dogadywać. Niech już lepiej myślą, że jesteś gruboskórną, rasistowską męską szowinistyczną świnią. Wtedy cię lekceważą i zaczynają przeceniać swoje siły.

– Aha – przytaknął Pascoe.

Ciekawe, pomyślał, jakie wyobrażenie na swój temat hołubi w sercu Dalziel.

Dalszym przebiegiem dnia rządziła rutyna. Policjanci w cywilu chodzili po domach w całym Shafton, sprawdzali alibi, spisywali zeznania. Mundurowi przeczesywali tyralierą czerwone, żółte, różowe, pomarańczowe i białe grządki róż, co rusz schylając się i podnosząc coś z ziemi jak pokłósnice na ściernisku. Pascoe w pokoju dochodzeniowym z mozołem przedzierał się przez stopniowo spływające zeznania. Dalziel kręcił się po komisariacie, emanując hamowaną furią niczym tornado na Środkowym Zachodzie, widoczne z daleka i budzące grozę wśród wszystkich, którzy je zobaczą.

Długo trwało namierzanie taksówkarza, który wiózł Wildgoose i Andree Valentine do aeroklubu.

Łatwiej poszło z kierowcą, z którym wrócili, ponieważ od początku było wiadomo, w jakiej korporacji jeździ: z jego zeznań wynikało, że najpierw kazali mu jechać na Danby Row, a potem zmienili zdanie i poprosili o wysadzenie przy prostopadłej do niej Bright Avenue. Ponieważ z Bright Avenue można było skręcić bezpośrednio w uliczkę na tyłach domu dziewczyny, należało się domyślać, że chcieli wejść kuchennymi drzwiami, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Pierwszy taksówkarz podjechał po nich do mieszkania Wildgoose'a mniej więcej za kwadrans dziesiąta. Twierdził, że oboje byli mocno upaleni, ale jego zdaniem tylko dziewczyna nalegała, żeby wyjść się gdzieś zabawić; sam Wildgoose wcale się do tego nie wrywał. I to ona kazała kierowcy jechać do aeroklubu.

Dalziel polecił sprawdzenie miejsc pobytu wszystkich zamieszanych w sprawę mężczyzn w sobotę między północą i drugą nad ranem. Nawet dyżurującemu w szpitalu posterunkowemu kazał potwierdzić, że Lee i Ludlam spędzili całą noc w łóżkach. Osobiście porozmawiał z Alistairem Mulganem i Bernardem Middlefieldem. P. O. dyrektor banku oglądał sam nocny film w telewizji; jego żona położyła się z książką, słyszała telewizor i potwierdziła, że mąż położył się spać w pół do drugiej, zaraz po zakończeniu filmu.

– Dobry jakiś ten film? – spytał Dalziel.

Mulgan odchrząknął i szczegółowo streścił fabułę, czym niespecjalnie zaimponował podinspektorowi: ten film leciał w telewizji już co najmniej trzeci raz. Ale, o ile na Danby Row można było od biedy dojść z jego domu piechotą, o tyle przewiezienie zwłok Wildgoose'a do Centrum Ogrodniczego wymagałoby użycia samochodu, a pani Mulgan twierdziła stanowczo, że nikt nie wyjeżdżał z garażu, z którym sypialnia sąsiadowała przez ścianę.

Middlefielda Dalziel potraktował nieco mniej obcesowo. Nie pasował mu na mordercę, z pewnością nie takiego, jakiego profil określił doktor Pottle – ale był klientem banku, w którym pracowała Brenda Sorby, jego zakład produkcyjny sąsiadował z fabryką konserw, w której była zatrudniona June McCarthy, a w noc śmierci Andrei Valentine był w aeroklubie. Dalziel uznał go więc za świadka i tylko pośrednio wypytywał o poczynania w tamtą feralną noc.

Okazało się, że po zakończeniu dyskoteki Middlefield zasiedział się jeszcze w klubie. Nie zauważył, kiedy Wildgoose i dziewczyna wyszli. Pamiętał za to, że pożegnał się z Thelmą Lacewing.

– Która to była godzina?

– Jedenasta, może piętnaście po... Nie pamiętam dokładnie.

Jeszcze mniej precyzyjnie określił czas swojego wyjścia z klubu. Wypił dwa drinki z Greenallem, kiedy obsługa zaczęła już sprzątać, i dopiero wtedy pojechał do domu, trzy mile od klubu. Zdążył jeszcze obejrzeć z żoną końcówkę tego samego filmu, który Mulgan znał na pamięć.

Greenall, z którym Dalziel porozmawiał później, dostarczył więcej szczegółów: dochodziła za kwadrans pierwsza, zanim Middlefield pojechał do domu.

– Zapropnowałem, że go podrzucę – mówił Greenall. – Nie było po nim nic widać, ale ja wiedziałem, że sporo wypił. Obruszył się na moją propozycję i musiałem ją obrócić w żart. Patrzyłem, jak odjeżdża: powoli, spokojnie... Nawet pomyślałem, że jak się tak będzie skradał, to prędzej zwróci na siebie uwagę, niż gdyby przekroczył prędkość!

Spokojne trzy mile, czyli około dziesięciu minut. To by się zgadzało, pomyślał nie bez ulgi Dalziel. Gdyby teraz nabrał wątpliwości, nie pozostałoby mu nic innego, jak pogrzebać w bagażniku mercedesa należącego do sędziego pokoju, a tego nie dałoby się już zrobić dyskretnie. Dalziel zwykle miał w nosie opinię innych ludzi, ale dobrze wiedział, z kim warto trzymać sztamę.

W połowie popołudnia wrócił Wield. Zapytany, skąd ten zapach do pracy w dniu wolnym, wzruszył ramionami i wyjaśnił, że usłyszał w radiu o znalezieniu ciała Wildgoose'a i postanowił sprawdzić, czy się do czegoś przyda.

– Jakie on musi mieć smutne życie – komentował słowa Wielda sierżant Brady, gdy tylko ktoś zechciał go słuchać. – Żeby w wolną niedzielę nie mieć nic lepszego do roboty... A wystarczyłoby, żeby znalazł sobie jakąś krótkowidzkę.

Wield tego nie słyszał. Zresztą, nawet gdyby usłyszał, nie zareagowałby. Cały przeznaczony na ten dzień zapas emocji wyczerpał w burzliwej scysji z Maurice'em w jego mieszkaniu w Newcastle. Zupełnie zamienili się rolami: Maurice – żywiołowy ekstrawertyk – tym razem próbował załatwić sprawę na spokojnie. Tak, jest ktoś trzeci: interesujący młody człowiek z miejscowego biura geodezyjnego. Spodobałby się Wieldowi. Może Wield zostanie na drinka? Będzie miał okazję go poznać.

A Wield – zawsze spokojny, opanowany, nieprzenikniony Wield – eksplodował wściekłą, niemal histeryczną furia, która zdumiała go i przeraziła nie mniej niż jego przyjaciela. Droga powrotna z Newcastle zajęła mu siedemdziesiąt pięć minut zamiast normalnych stu dwudziestu. Przez następne dwie godziny siedział sam w pokoju i rozważał trawiącą go żądzę mordy, którą odkrył w sobie po porannym spotkaniu. Na koniec włął stojącą przed nim pełną szklaneczkę whisky z powrotem do butelki i pojechał do pracy.

Niewiele jednak działo się ciekawego – ot, rutyna. Żadnych nowych faktów. Żadnych

nowych tropów.

Kiedy o osiemnastej przyszedł Gladmann z gębą pełną radosnych opowieści o cudownych dwóch dniach spędzonych w towarzystwie zamożnych i hojnych przyjaciół w ich nadmorskim domku, Pascoe wepchnął mu do rąk kopertę z taśmą.

– Pieprzyć to! – rzucił na głos i wyszedł.

Wrócił do domu z poczuciem, jak to opisał Ellie, jakby cały dzień święty przesiedział na okropnie długim i okropnie nużącym nabożeństwie, na którym kaznodzieja miał do powiedzenia tylko jedno zdanie: „Daremne jest dla was wstawać przed świtem, wysiadywać do późna, dla was, którzy jecie chleb zapracowany ciężko”³.

Równie daremne wydawały mu się jego wysiłki następnego dnia rano. Zazwyczaj w zawodzie policjanta poniedziałkowe poranki niczym się nie różnią od innych dni tygodnia – co najwyżej przynoszą odrobinę wytchnienia po weekendzie, kiedy to liczba przestępstw znacząco rośnie i nawet jeśli przeważają wśród nich drobiazgi, to trzeba im poświęcić sporo czasu. Jednakże w ten konkretny poniedziałek miało się wrażenie, że wszystkie typowo poniedziałkowe odczucia, które do tej pory przy sprawie Dusiciela przyczaiły się gdzieś w kącie i czekały na dogodną okazję do ataku, zmówiły się i ruszyły do szturmu.

Gazety pękały od komentarzy, w większości nieprzychylnych. Autor wstępniaka w „Yorkshire Post” snuł heretyckie rozważania o tym, czy nie nadszedł czas, żeby poprosić o pomoc Scotland Yard.

Pottle zadzwonił z informacją, że został zaproszony do telewizyjnej pogadanki i chciałby ustalić, co może, a czego nie może powiedzieć.

– A co, frajer myśli, że coś wie? – spytał z niedowierzaniem Dalziel. – To dlaczego nam nic nie powiedział?

Pascoe opuścił dłoń, do tej pory mocno zaciśniętą na mikrofonie słuchawki telefonicznej, i powiedział:

– Pan Dalziel powiedział, że z pełnym przekonaniem zdaje się na pańską zawodową dyskrecję, panie doktorze.

– To bardzo miło z jego strony. A tak a propos... Gazety niczego nie pokręciły? Naprawdę podejrzewacie, że Dusiciel zabił tego Wildgoose’a, żeby zatuszować swoje ostatnie morderstwo?

– Mniej więcej. Jak to się ma do tego profilu, który pan opracował?

– Pasuje idealnie. Dusiciel z łatwością usprawiedliwia sam przed sobą zabijanie dziewczyn. Zdołał sobie wytłumaczyć nawet jednorazowe morderstwo w obronie własnej.

Ale drugie takie zabójstwo otwiera perspektywę trzeciego, czwartego i dalszych; taki ciąg może być właściwie nieskończony. Jeśli mam rację, twierdząc, że nie jest całkiem pozbawiony sumienia, musi to być dla niego bardzo stresująca sytuacja.

– Co powiedział? – spytał Dalziel, gdy Pascoe odłożył słuchawkę.

– Że Dusicielowi jest prawdopodobnie żal, że zabił Wildgoosea.

– Jeeezu...

O dziesiątej zadzwonił telefon.

Wield odebrał. Tego dnia był wyjątkowo blady, a oczy bardziej niż zwykle niknęły mu w przepastnych, sinych wąwozach.

– Do pana – powiedział, podając słuchawkę Pascoe. – Wojskowy Wydział Nauczania Dzieci i Młodzieży.

– Pewnie chcą, żebyś im zwrócił dyplom – mruknął Dalziel. – Kupiony.

Dzwoniła kobieta, przyjazna i skruszona. Przedstawiła się jako kapitan Casey.

– Przepraszam, że dopiero teraz oddzwaniamy, ale jak to zwykle bywa w urzędach państwowych, od pory obiadowej w piątek przez cały weekend trudno znaleźć kogoś, kto umiałby dodać dwa do dwóch inaczej niż na palcach. W policji pewnie jest tak samo.

– Identycznie. Co pani dla mnie ma?

– Wszystko. W każdym razie wszystko, o co pan prosił. Zgadza się, jakiś Peter Dinwoodie wchodził w skład grona pedagogicznego Devon School. Odszedł z pracy po letnim semestrze w 1973 roku. Od tamtej pory nie zatrudnił się w żadnej innej z naszych szkół. Wygląda zresztą na to, że w ogóle nie pracuje w sektorze publicznym, w każdym razie nie w swojej branży. Specjalnie sprawdziłam w ministerstwie, pomyślałam, że to się może panu przydać.

– To bardzo uprzejme z pani strony.

– To premia za to, że musiał pan czekać. Pytał pan również, czy jego żona pracowała w tej samej szkole, panie Pascoe, i odpowiedź brzmi: nie. Według naszych informacji pan Dinwoodie był kawalerem, kiedy dla nas pracował.

– Kawalerem? To znaczy, nie miał żony? – spytał (niezbyt mądrze) Pascoe.

– To zwykle mam na myśli, kiedy nazywam kogoś kawalerem.

– Ale jest pani pewna?

– Nasze akta są pewne.

– Bardzo pani dziękuję, pani kapitan.

– Proszę się jeszcze nie rozłączać. Chciał pan także wiedzieć czy niejaki Mark Wildgoose pracował w przeszłości jako nauczyciel w Niemczech. Odpowiedź brzmi: nie.

Absolutnie nie. Nawiasem mówiąc, to nazwisko wpadło mi dziś w oko, kiedy przeglądałam gazety. Jakiś Mark Wildgoose został zamordowany. Czy jest jakiś związek...

– Dziękuję, pani kapitan – powtórzył stanowczo Pascoe. – Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Polecam się na przyszłość, byle przed obiadem w piątek. Na razie!

– Co to miało być? – spytał Dalziel, który śledził przebieg rozmowy i obserwował reakcje Pascoe.

– Dalsze tajemnice.

Pascoe streścił rozmowę podinspektorowi.

– No dobrze, rozumiem. To znaczy, że ożenił się później, po powrocie do Wielkiej Brytanii. Coś z tego wynika?

– Mieli córkę. Zginęła na początku tego roku w wypadku samochodowym. Miała siedemnaście lat.

Pascoe patrzył, jak Dalziel rachuje na palcach.

– Wiem, co kombinujesz. Ożenił się z wdową. Co z tego?

– Ten starszy pan, Agar, powiedział coś, co od razu zwróciło moją uwagę, ale wtedy nie rozumiałem dlaczego. Jeśli pan powoli, pogadam z nim jeszcze.

– Jedź, to i tak będzie lepsze niż jak się tu tak kręcisz i mówisz zagadkami. Ale kiedy spłynie na ciebie objawienie, chcę wiedzieć pierwszy.

Piękna pogoda – jakby specjalnie zamówiona na czas jarmarku – już w niedzielę zaczynała się psuć, a w poniedziałek skończyła się definitywnie. Było jeszcze ciepło, ale na wschodnim niebie potężny wał sinofioletowych chmur przesłonił niebo, gdy Pascoe przejeżdżał nieśpiesznie wzdłuż pustego już Charter Park.

Odległa jeszcze burza zapędziła w głąb lądu mewy, które chciwie kołowały nad głowami sprzątaczy. Paru policjantów również kręciło się po okolicy, żeby przechwycić ewentualne cenne znaleziska, ale w tej konfrontacji Pascoe raczej stawiałby na mewy.

Jadąc do Shafton, kierował się wprost w paszczę burzy i zanim dotarł do Centrum Ogrodniczego Linden, niebo wyraźnie pociemniało. Miał wprawdzie domowy adres Agara, ale szybko przekonał się, że instynkt go nie zawiódł: na środku różanego ogrodu dostrzegł samotną postać uzbrojoną w motykę i zajętą naprawianiem zniszczeń po przejściu policyjnej tyraliery.

Na odgłos kroków Pascoe mężczyzna podniósł wzrok, ale nie przerwał pracy.

– Niektórzy wasi chłopcy mają ogromne stopy – powiedział, obcasem wbijając poluzowany korzeń w ziemię.

– Musieli dokładnie przeszukać ogród.

– To widać.

– Znosi się na deszcz – zauważył Pascoe, podchodząc do Agara.

– Przydałby się. Tylko, że jak przyjdzie ulewa, to powali wszystkie krzaczki, które nie są mocno zakorzenione.

– Nie chcę panu przeszkadzać w pracy, ale przypomniałem sobie coś, co pan powiedział w piątek, a co do mnie dotarło dopiero po jakimś czasie: że pani Dinwoodie obwiniała się za to, że pozwoliła córce uciec do Szkocji, żeby tam mogła wyjść za mąż. Jako wdowa, pani Dinwoodie była jedyną opiekunką prawną niepełnoletniej córki. Skoro jednak zgodziła się na małżeństwo, po co córka miałaby wyjeżdżać do Szkocji?

– A ja tak powiedziałem? Może niepotrzebnie... Ale teraz to już i tak nikomu nie zaszkodzi. Ta dziewczyna, Alison, nie była córką pana Dinwoodie. Używała jego nazwiska, ale jego córką nie była. Ja się tego dowiedziałem bardzo późno, jak już rodzina zaczęła się sypać i coś tam zdarzyło mi się podsłuchać... Pani Dinwoodie wiedziała, że może mi zaufać.

Pascoe położył Agarowi rękę na ramieniu. Zatrzymał go.

– Panie Agar, proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie.

Niewiele tego było. Na krótko przed śmiercią pana Dinwoodie Alison poznała chłopaka, sympatycznego osiemnastolatka, który przyjechał ze Szkocji na semestralne studia w Yorkshire Agricultural Institute. Zbliżyli się do siebie zwłaszcza po śmierci jej ojczyma (być może na skutek tejże) i postanowili się pobrać. Tymczasem na scenie pojawił się prawdziwy ojciec Alison, którego zgoda była niezbędna, żeby nieletnia córka mogła zawrzeć związek małżeński w Anglii, i który wcale nie zamierzał jej tej zgody udzielić. Dlatego Mary Dinwoodie nie zgłosiła sprzeciwu, gdy jej przyszły zięć zaproponował, że zabierze Alison do siebie do Szkocji i tam ją poślubi.

Pani Dinwoodie pojechała na ślub, po uroczystości wróciła pociągiem do Yorkshire, a w domu czekała już na nią wiadomość, że samochód wiozący nowożeńców wpadł w poślizg na oblodzonej drodze zaledwie dwadzieścia mil od miejsca, z którego wyruszyli. Oboje zginęli.

– Tak jak mówiłem, potem wyjechała. Mówiła, że do znajomych, ale mnie się wydaje, że chciała pobyć sama; wcale bym się nie dziwił, gdyby wtedy się zabiła. Przez ten czas opiekowałem się ogrodem najlepiej jak umiałem, bank pomagał prowadzić księgi, aż tu nagle przed miesiącem pani Dinwoodie wróciła i pomału wszystko zaczęło się układać. Resztę pan zna. Lepiej by było, gdyby nie wróciła. Może nawet gdyby się zabiła.

Przez ten czas chmury całkowicie zasnuły niebo i Pascoe poczuł pierwsze plaśnięcia na policzku – uderzenia dużych, ciepłych, szeroko rozbryzgujących się kropel.

– Powinien był pan komuś o tym wcześniej powiedzieć, panie Agar.

– Tak? Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Wydawało mi się, że to już nie ma znaczenia, skoro pani Dinwoodie nie żyje. Żadnego znaczenia.

– Jak się nazywał ten człowiek? Pierwszy mąż pani Dinwoodie. Ojciec Alison.

– Tego nie wiem, szanowny panie. Powiedziałem wszystko, co wiem. Wszystko.

Wróciwszy do komisariatu, Pascoe stwierdził, że Dalziel wyszedł, co bardzo mu odpowiadało. Czuł nieprzepartą potrzebę wyjaśnienia sprawy do końca i w tej chwili wszelkie tłumaczenia i hipotezy tylko by go drażniły i rozpraszały. Udając, że nie widzi zaintrygowanego spojrzenia Wiolda, poszedł prosto do swojego pokoju i zadzwonił do Londynu, do Wojskowego Wydziału Nauczania Dzieci i Młodzieży.

Wytropienie kapitan Casey zajęło mu kilka minut.

– Witam – powiedziała. – Nie spodziewałam się, że znów tak szybko się pan odezwie.

– Ja też nie. Ta szkoła w Linden, o której rozmawialiśmy, Devon School... Ma pani pełną listę zatrudnionego w niej personelu? Szczególnie interesują mnie ludzie, którzy odeszli ze szkoły w 1973 roku.

– Ma pan szczęście, jeszcze nie odesłałam akt do archiwum. Proszę poczekać, już patrzę... Mam. Czytać jak leci?

– Na początek ci, którzy wtedy odeszli.

Poza panem Dinwoodie były jeszcze dwie takie osoby, z których tylko jedna była kobietą.

– Chce pan całą listę?

– Nie, dziękuję... – odparł w zadumie Pascoe. – To mi chyba wystarczy.

Rozłączył się i zakreślił nazwisko długopisem.

Mary Greenall.

Sięgnął po telefon.

– Z Ministerstwem Lotnictwa poproszę. Z archiwum akt osobowych.

Dwadzieścia minut później wyszedł z pokoju, jeszcze bardziej nakręcony niż przedtem. Odszukał Wiolda.

– Pan Dalziel wrócił? – zapytał.

– Jeszcze nie.

– Szlag by to...

– Coś pan znalazł?

Pascoe się zawahał.

– Tak – odparł stanowczo. – I jestem prawie pewien, że to będzie przełom w tej cholernej sprawie. Muszę wyjść, proszę powiedzieć panu Dalzielowi, że będę w aeroklubie. Tak, właśnie tak: w aeroklubie.

To było głupie. Wcale nie musiał się tak śpieszyć – ale czuł wewnętrzny przymus. Może gdyby wcześniej bardziej się pośpieszyli, zamiast posuwać się naprzód mozolnie, krok po kroku...

W drzwiach na parking omal nie zderzył się z Dickym Gladmannem w ociekającym wodą foliowym płaszczu przeciwdeszczowym.

– Witam! – ucieszył się lingwista. – Muszę powiedzieć, że dostarczył mi pan ciekawych materiałów do posłuchania.

– To dobrze. – Pascoe postawił kołnierz. – Śpieszę się, później porozmawiamy.

– Wszystko spisałem. – Gladmann podał mu szarą kopertę. – To naprawdę bardzo interesujące. Nie wiem wprawdzie, co wniesie moja analiza...

– Dam panu znać. – Pascoe wsadził kopertę do kieszeni płaszcza. – Wielkie dzięki. Będziemy w kontakcie.

Wybiegł na deszcz i przez ten krótki czas, jaki zajęło mu dobiegnięcie do samochodu, przemókł na wylot. Zrobiło się tak ciemno, że musiał włączyć światła.

W lusterku wstecznym zobaczył Gladmanna stojącego smętnie pod drzwiami. Ze swoją staro-młodą twarzą, w foliowym płaszczu wyglądał jak załazek kolejki do pornokina.

Burza rozszalała się na dobre, gdy wjechał na teren starego lotniska. Nie wiało, pomarańczowy rękaw zwisał ciężko z masztu, ulewa przyćmiewała jego fluorescencyjny odcień. Pioruny rozświetlały kaniony wśród chmur, grzmoty przewalały się nad ziemią z łoskotem artyleryjskiego ostrzału. Dziś nie będzie latania, pomyślał Pascoe. Picia też zapowiadało się niewiele, jeśli sądzić po liczbie parkujących przed klubem samochodów.

Spojrzał na zegarek: dochodziło wpół do pierwszej.

Zaparkował najbliżej, jak się dało, w paru susach dopadł drzwi wejściowych, przypomniał sobie, że zostawił włączone światła, wybiegł, zgasił je i kiedy wszedł do klubu, znowu był mokry od stóp do głów.

– Myślałem, że zmienił pan zdanie – powiedział Austin Greenall. – Witam. Już zaczynaliśmy się obawiać, że pogoda pozbawi nas dzisiaj wszystkich klientów.

Siedział przy barze, za którym kelnerka porządkowała butelki i kieliszki. Pascoe spojrzał na nią znacząco i zapytał:

– Możemy porozmawiać, panie Greenall?

– Oczywiście. Zapraszam do biura. Napije się pan czegoś po drodze? Nie? W takim

razie proszę tędy.

Weszli do dusznego pokoiku z biurkiem, szafką i dwoma twardymi krzesłami.

– Proszę siadać, panie komisarzu. O czym chce pan ze mną porozmawiać?

Pascoe usiadł.

– Zacznijmy od pańskiej byłej żony, Mary Dinwoodie.

Rozdzwonił się telefon. Zadzwoił trzynaście razy. Obaj udawali, że go nie słyszą, a gdy w końcu ucichł, echo dzwonka wisiało w powietrzu niemal równie długo.

– Ona nigdy nie przestała być moją żoną, panie Pascoe. Jesteśmy katolikami. Nie było rozwodu.

Obaj westchnęli lekko, niemal niesłyszalnie, i w obu przypadkach było to westchnienie ulgi. Jakby zdając sobie z tego sprawę, wymienili nieśmiało uśmiechy, przelotne, prawie niezauważalne, ale i tak tworzące więź między nimi.

– Skoro o żonach mowa... Czy to pańska żona pana tu skierowała? – spytał Greenall lekkim, jakby imprezowym tonem, w którym jednak pobrzmiwała nuta zdenerwowania.

– Słucham?

– Kiedy była tu w zeszłym tygodniu, wspominała o tym seansie spirytystycznym. Miała różne głupie pomysły z nim związane, ale zobaczyłem wtedy leżący na stole zapis seansu i teraz pomyślałem, że... To dlatego musiałem...

Znów zadzwonił telefon. Tym razem Greenall skoncentrował się na nim bez reszty: nie podniósł wprawdzie słuchawki, ale wpatrywał się w nią tak natarczywie, jakby umilknięcie dzwonka miało być początkiem czegoś ważnego.

Pascoe wyjął z kieszeni kopertę od Gładmanna, zawierającą, zgodnie z przewidywaniami, taśmę z krótkim nagraniem ostatniego telefonu Dusiciela, kasetę z przerwanego seansu Rosetty Stanhope oraz kilka kartek papieru zapisanych celowo ozdobnym charakterem pisma Gładmanna.

Przejrzał, wybrał, przeczytał.

„Zła jakość nagrania utrudnia sporządzenie dokładnego zapisu, mimo to wydaje mi się co najmniej możliwe, jeśli nie prawdopodobne, że pierwsze słowa nagrania można interpretować następująco: »To Greenall, Greenall, nade mną, dusi mnie«⁴4.

Telefon przestał dzwonić.

⁴ Gra słów: nazwisko Greenall można też zrozumieć jako zlepek dwóch słów: *green* (ang. zielony) i *all* (ang. cały, wszystko) (przyp. tłum.).

Rozdział 25

– Byliśmy szczęśliwi – powiedział Greenall. – Może nie jakoś szaleńczo szczęśliwi, ale takie szaleńcze szczęście nigdy przecież nie trwa dłużej niż parę pierwszych miesięcy, prawda? Ja chyba byłem bardziej zadowolony od Mary. Można powiedzieć, że więcej zrobiłem. Więcej dokonałem. Tak relatywnie. Kiedy byłem z siebie niezadowolony, wystarczyło mi wrócić pamięcią do dni, kiedy jako brudny, niewykształcony dzieciak włóczyłem się po ulicach Derby. Bóg jeden wie, jakim cudem załapałem się do RAF-u. No, ale się załapałem. I dobrze mi szło. Szybko się uczę. Dziesięć lat później zostałem oficerem i ożeniłem się z Mary. A przede wszystkim mogłem latać.

Uśmiechnął się pod nosem, jak człowiek wspominający świetlaną przeszłość.

– To bardzo ciekawe – przyznał od niechcienia Pascoe. – Wie pan, że nie musi nic mówić? Cokolwiek pan powie, może zostać użyte jako dowód w sądzie. Ale będę notował. Chyba, że wolałby pan sam spisać zeznanie.

Kiepsko to wypadło jak na oficjalne pouczenie. W dodatku powinien wydebić od Greenalla podpisane oświadczenie, że został pouczony i że mimo pouczenia chce złożyć oficjalne zeznanie, które spisze ktoś inny. Instynkt szeptał mu jednak do ucha, że musi pielegnować kruchy nastrój chwili. Nawet przez chwilę myślał, że już za daleko się posunął, ale po krótkiej chwili Greenall podjął przerwany wątek, jakby Pascoe nie odezwał się ani słowem.

– Poznałem Mary na Cyprze. Stacjonowała tam moja jednostka, a Mary uczyła w tamtejszej szkole. Od razu przypadliśmy sobie do gustu i pewnie prędzej czy później i tak byśmy się pobrali, ale kiedy się okazało, że Mary jest w ciąży, nie było czasu do stracenia. Może to nam zaszkodziło. Pośpiech nigdy nie pomaga, teraz to wiem. Ale urodziła się Alison i byliśmy szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi. Kiedy Alison poszła do szkoły, Mary zrobiła się niespokojna. Chciała wrócić do pracy. Mnie się ten pomysł nie podobał, a przy moich ciągłych przenosinach z miejsca na miejsce był w dodatku trudny do zrealizowania. Ale ona się uparła. Kiedy dwa razy w ciągu czterech czy pięciu lat musiała rzucać szkołę, zachowywała się tak, jakby to ona była żywicielką rodziny, a ja zarabiałbym na drobne wydatki.

Pokręcił z niedowierzaniem głową, tak nedorzecznym wydał mu się ten pomysł.

– Ten drugi raz to był mój transfer do Hanoweru. Wtedy Mary zaproponowała, że chyba byłoby lepiej, gdyby przez jakiś czas pomieszkały z Alison w Anglii. Nie wydaje mi

się, żeby naprawdę myślała o Alison, prawdę mówiąc. Mniejsza z tym. W końcu jednak przyjechała do Hanoweru i po paru miesiącach los się do niej uśmiechnął. Jeden z nauczycieli w brytyjskiej szkole w Linden poważnie zachorował, a ona była idealną kandydatką do zastępstwa: na miejscu, z kwalifikacjami, z odpowiednim doświadczeniem... Przez jakiś czas naprawdę nieźle nam się potem układało. Bo wcześniej często się kłóciliśmy. Udało jej się nawet nastawić córkę przeciwko mnie. Wiem, pewnie sam nie byłem bez winy... Ale, jak powiedziałem, zaczęło nam się układać. – Greenall westchnął ciężko. – Na pewno się pan nie napije?

– Nie, dziękuję. Ale jeśli pan ma ochotę...

– Nie. Dam radę bez tego. W tej szkole poznała tego Dinwoodie. Był wicedyrektorem czy kimś takim... Udzielał się też w jakimś kółku teatralnym, w które i ona szybko się wciągnęła. Nie podobało mi się trochę, że zajmuje jej to tyle czasu. Nie chciałem burzyć naszej sielanki, więc siedziałem cicho, ale ludzie mówili różne rzeczy. Nigdy przy mnie. Po jakimś czasie człowiek uczy się rozpoznawać różne rodzaje ciszy. Albo specyficzną intonację. Dlatego też się wkręciłem do tego teatrzyku. Nie mogłem udzielać się regularnie, ale tak sobie myślałem, że jeśli będę użyteczny, na przykład przy oświetleniu... No dobrze, sam nie wiem, co sobie myślałem. Mary nie była może zachwycona, ale też jakoś strasznie nie protestowała. Urządzali akurat próby przed lokalnym festiwalem Shakespeare'a. Szwaby go kochają, chociaż chyba tylko Bóg jeden wie dlaczego. Nie chciałem wyjść na kompletnego tłuka, więc zacząłem sobie podczytywać. Przygotowywali pojedyncze sceny. Mary i Dinwoodie pracowali nad takim kawałkiem *Hamleta*, w którym Hamlet mówi Gertrudzie, że jest dziwką, a potem zabija schowanego za zasłoną Poloniusza. Przeczytałem tę sztukę z dziesięć razy, znałem ją chyba najlepiej ze wszystkich w tym przeklętym kółku teatralnym. Chciałem im zaimponować, rozumie pan? Wyzbyłem się podejrzeń. Może byłoby inaczej, gdyby przygotowywali coś z *Romea i Julii*... Ale kiedy Mary grała jego matkę, wydawało mi się, że nie mam się o co martwić. Głupie, prawda?

Pascoe pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, z czym się zgadza.

– Nawet kiedy ich nakryłem, nie działałem pochopnie. Wytłumaczyłem sobie, że to jednorazowy wyskok i że już jest po wszystkim. Co oczywiście nie znaczy, że chciałem jej to puścić płazem. Zasłużyła na karę i ja jej to jasno dałem do zrozumienia. Pomyślałem, że mógłbym odesłać Alison do Anglii, do szkoły z internatem, żeby jej w to nie mieszać, ale odłożyłem to na później. Na razie wołałem zachować dyskrecję. Wiedziałem, jaki skandal wybuchnie w jednostce; bałem się, że cała moja wieloletnia praca pójdzie na marne. A poza tym, rok szkolny się kończył, a ja wiedziałem, że temu Dinwoodie wygasa kontrakt i będzie

musiał wrócić do Anglii. Dlatego czekałem na rozwój sytuacji. Nadszedł koniec semestru i Dinwoodie wyjechał. Kiedy po kilkudniowych ćwiczeniach wróciłem do domu, odkryłem, że Mary zniknęła. I to razem z Alison. Wtedy wszystko się posypało.

W miarę jak Greenall mówił, zdarzały mu się najpierw pojedyncze chwile zawahania, potem coraz dłuższe przerwy – ale Pascoe łątał luki w jego wypowiedzi na podstawie informacji uzyskanych od urzędnika z archiwum RAF-u, który okazał się bardzo skory do pomocy, gdy tylko się dowiedział, że chodzi o sprawę Dusiciela.

Najpierw Greenall próbował zatuszować zniknięcie żony i córki, wmawiając wszystkim, że pojechały do Anglii na wakacje. Nikt w szkole ani w jednostce w to nie uwierzył. Wybrał się więc do Anglii na dwutygodniowy urlop, który samowolnie sobie przedłużył, kiedy nie udało mu się wytropić rodziny. Był to pierwszy krok na równi pochyłej, na której znalazła się teraz jego kariera. Nie poszło to wcale szybko, zdarzały mu się wzloty i upadki. Żona napisała do niego list, w którym wyjaśniała powody swojej decyzji i szukała cywilizowanego wyjścia z sytuacji. Umówili się w holu londyńskiego hotelu, żeby wszystko przedyskutować. Spotkanie zakończyło się w ten sposób, że Greenall wymierzył żonie policzek, po czym podbiegł do recepcji, gdzie chwycił przerażoną młodą dziewczynę, która dopiero co przyjechała do hotelu z rodzicami, i zaczął ją wlec w kierunku drzwi.

Potem kontakt urwał im się na dłużej. Najwidoczniej Mary doszła do wniosku, że – z powodów religijnych i osobistych – zniknięcie będzie lepszym wyjściem niż szukanie rozwiązania na drodze prawnej. Może przez zwykłą dyskrecję, a może przez fakt, że połowa lat siedemdziesiątych była fatalnym okresem dla wracających z zagranicy nauczycieli, którzy chcieliby się odnaleźć w rodzimym systemie edukacji, porzuciła nauczycielstwo na rzecz ogrodnictwa i otworzyła Centrum Ogrodnicze. Jeżeli w ogóle utrzymywała jakiś kontakt ze światem RAF-u, doniesienia o stanie zdrowia Greenalla z pewnością nie zachęcały jej do ujawnienia się. Picie i nasilające się dziwactwa spowodowały najpierw utratę statusu czynnego pilota, a następnie – po załamaniu nerwowym – zwolnienie ze służby z powodów zdrowotnych.

Wszystko to trwało w sumie blisko trzy lata.

– I tak oto pewnego dnia obudziłem się jako cywil – ciągnął Greenall. – Bez żony, bez córki, bez przydziału, bez kariery. I bez latania. Na początek musiałem odzyskać samoloty. Rozumie pan? Tutaj, na ziemi, nawet kiedy byłem na fali, zawsze czułem, że coś, nie wiem co, ciągnie mnie wstecz do punktu wyjścia. W górze wszystko wyglądało inaczej. Nadal wygląda. W górze byłem... jestem...

– Królem niezmierzonej przestrzeni? – podsunął Pascoe.

– O tak... Właśnie tak. Królem niezmierzonej przestrzeni. Dlatego zrobiłem uprawnienia instruktorskie, takie podstawowe, do latania na maszynach szkoleniowych. Wiedziałem, że nigdy już nie usiądę za sterami prawdziwej maszyny, ale przynajmniej mogłem się od czasu do czasu wzbic w powietrze. Na dodatek można z tego żyć. Dostałem robotę w aeroklubie w Surrey, dwa razy większym niż ten tutejszy. Podobało mi się tam, wszystko mi się podobało, nawet współpraca z personelem naziemnym.

Słowa Greenalla – jakby odzwierciedlając jego psychiczne odbicie się od dna – płynęły teraz gładko i swobodnie.

Pottle na pewno umiałby to wytłumaczyć, pomyślał Pascoe. I pewnie kazałby mi nasłuchiwać, kiedy znów pojawi się zgrzyt.

– Czy w tym okresie widywał się pan z żoną?

– Nie widziałem się z nią. W ogóle nie dała znaku życia. Ale kiedy się trochę wzięłem w garść, znów zacząłem szukać. Zabawiłem się w detektywa, kogoś takiego jak pan. To ciężki kawałek chleba, prawda? Sprawdziłem adres zwrotny tego jednego jedyne listu, ale trafiłem tylko do internatu. Szukałem w miejscowych szkołach, pytałem w ministerstwie. Nie mogli mi pomóc. Albo nie chcieli. Nie było łatwo.

– A policja? – zasugerował Pascoe. – Zawiadomił ją pan?

– A po co? – Greenall szczerze się zdziwił. – To nie była sprawa dla policji. Zresztą, w końcu przestałem szukać. Nie poddałem się, o nie, po prostu postanowiłem czekać. Wiedziałem, że pewnego dnia coś się musi... I miałem rację. To była gazeta. Dosłownie jeden akapit. Tragiczny wypadek: mężczyzna rozjechany przez ciągnik na Wystawie Rolniczej. Peter Dinwoodie. Pozostawił żonę Mary i córkę Alison. Czysty przypadek... Nie, nie przypadek. To było coś więcej. To była gazeta sprzed paru miesięcy. Wynajmowałem wtedy mały domek, z kominkiem. Używałem na podpałkę gazet, które przez całe lato gromadziły się w wielki stos. Kiedy napisali o tym w lecie, przegapiłem artykuł. Dopiero w pewien zimny poranek w styczniu tego roku szykowałem się do napalenia w kominku. Zgarnąłem trochę gazet i nekrolog wpadł mi w oko. Przypadek? Nie wydaje mi się. Tym razem okazałem się lepszym detektywem. Najpierw przez tydzień albo dwa zastanawiałem się, co zrobić. Miałem tylko ten jeden akapit, nic więcej. Wystawa Rolnicza. Przyjechałem do Yorkshire i zacząłem grzebać w gazetach. Łatwo poszło. W „Yorkshire Post” znalazłem więcej szczegółów: miasto i nazwę tego Centrum Ogrodniczego, Linden. No, wtedy już prawie miałem pewność. Ale skoro już tu przyjechałem, postanowiłem przejrzeć porządnie archiwalne numery gazet i w jednej z nich znalazłem zdjęcie. Dinwoodie. Powinienem odczuwać triumf, ale wcale tak nie było. Prawie mnie zemdliło; niewiele brakowało, żebym

od razu wrócił na południe. Ale doszedłem tak daleko... tak daleko... Wieczorem pojechałem do Centrum Ogrodniczego Linden. Mary była sama. Mój widok ją zaskoczył, ale tylko trochę. Usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałem jej o sobie. Uspokoilem ją, powiedziałem, że nie chowam urazy. Zrobiło się późno, a Alison nie wracała. Mary zasugerowała, że może powinienem wpaść następnego dnia, ale ja się już zaczynałem martwić. Alison miała dopiero siedemnaście lat, była jeszcze dzieckiem; nie podobało mi się, że o tak późnej porze włóczy się poza domem. Wtedy usłyszeliśmy samochód. Wyjrzałem przez okno. Rozpoznałem ją: siedziała na fotelu pasażera. Obściskiwiała się z kierowcą, i to tak konkretnie, wie pan. Chciałem wyjść. Mary mnie nie puściła, a po jakimś czasie Alison weszła do domu. Boże, ależ się zmieniła! Ja rozumiem, nie widziałem jej sześć lat, ale przecież nie przestała być moim dzieckiem. Moją córeczką. A jak się ubierała! I ta fryzura, ten makijaż... I ten pierścionek. Na lewej ręce. W pierwszej chwili w ogóle mnie nie zauważyła, taka była podekscytowana. Pokazywała pierścionek matce i mówiła, że się zaręczyła. Musiałem coś powiedzieć. Nie chciałem psuć tego spotkania, ale musiałem się odezwać. To ją ucieszyło. Zaskoczyłem ją znacznie bardziej niż Mary. Chyba ucieszyła się na mój widok, tak mi się wydawało, ale zarazem miała pretensje... Jakby to wszystko była moja wina. I taka była przy tym uparta. Jak jej matka. Powiedziała, że niedługo wychodzi za mąż. Za mąż! A co ona wiedziała o życiu? Dziecko... Powiedziała, że jej chłopak przyjechał do Yorkshire na jakiś kurs rolniczy; poznali się na tej wystawie, na której zginął Dinwoodie. To się nazywa ironia losu: facet, nawet umierając, jeszcze zrobił mi na złość. Chłopak niedługo kończył te swoje studia, chciał wrócić do Szkocji i zabrać ze sobą Alison. Powiedziałem, że to niedorzeczne. Oficjalnie nadal była przecież moją córką, zachowałem prawa rodzicielskie. Bez zgody rodziców można się żenić od osiemnastego roku życia; nie wiem, czy to głupie, czy nie, ale tak czy inaczej powinna jeszcze rok poczekać. Bo ja nie zamierzałem się na to zgodzić!

Tylko, że ona wcale nie potrzebowała twojej aprobaty, pomyślał Pascoe. W dzisiejszych czasach wystarczy zgoda jednego z rodziców. Boże, czemu ludzie nie sprawdzają, jak się zmienia prawo?

– Oczywiście wybuchła kłótnia – podjął Greenall. – Alison wybiegła z pokoju. Za to Mary zachowywała się całkiem rozsądnie: omówiliśmy to spokojnie i wyszedłem od nich ze świadomością, że doszliśmy do porozumienia. Było stanowczo za wcześnie, żeby mówić o pogodzeniu się, ale przynajmniej wydawało mi się, że się rozumiemy. Jak to człowiek może się pomylić...

Pascoe notował bez wytchnienia, bardzo się przy tym starając, żeby zapiski były

czytelne. Żelazo trzeba kuć póki gorące: takie zeznanie nie zniosłoby zwłoki starannego maszynopisania. Będzie musiał dopilnować, żeby Greenall parafował mu je strona po stronie.

– Potem przez prawie dwa tygodnie nie mogłem ich odwiedzić, a kiedy w końcu mi się udało, to wpadłem tylko na krótko, jeden wieczór. Nie zastałem Alison. Mary powiedziała mi, że nocuje u koleżanki, z którą przyjaźni się od dawna, i nie mogła tego odwołać. Przyjąłem to do wiadomości. Bo czemu nie? Każde z nas miało swoje życie, nie byliśmy rodziną... Jeszcze nie. Ale ja myślałem, że mamy szansę. Znalazłem takie ogłoszenie w branżowym piśmie: miejscowy aeroklub poszukiwał sekretarza/instruktora. Aeroklub nie umywał się – nadal się nie umywa – do tego w Surrey, a robota zapowiadała się raczej nieciekawie, miałem być takim facetem do wszystkiego, ale pomyślałem, że warto się tym zainteresować. Nie powiedziałem nic Mary, poprosiłem tylko, żeby przysłali mi szczegóły. Kiedy następnym razem przyjechałem, nikogo nie zastałem w domu. Jak pan pewnie pamięta, było wtedy dużo śniegu: napadało go tak do pół łydki, jeśli nie więcej. Centrum Ogrodnicze było oczywiście zamknięte, a dom pusty. Wróciłem do Surrey. Nie wiedziałem, co robić. Byłem chory z niepokoju. Nikomu jeszcze nic nie powiedziałem, więc teraz nie miałem nawet z kim pogadać. Przez dwa dni żyłem jak we śnie. A potem zadzwonił telefon. Podałem Mary swój numer. Wiedziałem, że to ona dzwoni, zanim jeszcze podniosłem słuchawkę, i wiedziałem, że ma złe wieści. Zakomunikowała mi rzeczowo, że wbrew mojej woli i moim prawom namówiła Alison, żeby uciekła z tym swoim chłopakiem. Pobrali się w Szkocji, a potem zginęli w wypadku. Nie wiem, co powiedziałem. Nie wiem, jak długo mnie słuchała. Wiedziałem jedno: to była jej wina. Mimo to, rozumiałem, że jej życie zostało zdruzgotane. Śmierć Alison była najgorszą rzeczą, jaka zdarzyła mi się w życiu, wyglądało jednak na to, że w pewnym sensie może się okazać błogosławieństwem, bo kiedy pomyślałem o bólu i rozczarowaniach, jakie musiałoby jej przynieść małżeństwo w tak młodym wieku, a właściwie małżeństwo w ogóle, to ta gwałtowna, szybka śmierć...

Greenall odetchnął głęboko.

– I wtedy znowu przypomniał mi się *Hamlet*, zupełnie nieoczekiwanie, pierwszy raz od sześciu lat. Jakże potrafią być kobiety, na co sobie pozwalają, jak nas traktują... Próbowałem się skontaktować z Mary; chciałem ją zganić, przekonać, wyjaśnić jej, pokazać, kim się stała, sprawić, że zrozumie... Chciałem wielu różnych rzeczy. Ale nie mogłem się dodzwonić. A kiedy przyjechałem, Centrum Ogrodnicze leżało pod śniegiem, a dom był w dalszym ciągu pusty. Złożyłem więc podanie o pracę tutaj. Proszę nie pytać po co; chyba głównie po to, żeby być blisko. Żeby czuć. Oczywiście dostałem tę posadę. W marcu

zaczęłam. W ogóle nie jeździłem do Shafton, nie chciałem straszyć Mary; gdyby wróciła i się dowiedziała, że ktoś o nią rozpytywał, mogłaby znowu uciec. Ale raz, czasem dwa razy w tygodniu dzwoniłem wieczorem do niej do domu, tak tylko, żeby sprawdzić, czy ktoś odbierze. Nikt nie odbierał. Przez ten czas wziąłem się ostro za aeroklub i postawiłem go na nogi. To była ciężka robota, ale ja lubię ciężką robotę. I umiem się dogadać z ludźmi. Ja w ogóle bardzo lubię ludzi, panie Pascoe. Dlatego było mi tak... trudno.

Przesunął dłonią po twarzy.

– Czy pańska żona odebrała w końcu telefon? – spytał ściszym głosem Pascoe. – Spotkaliście się przed...

– Przed „Cheshire Cheese”? Nie, nie spotkaliśmy się. O ile mi wiadomo, wróciła jakieś dwa tygodnie wcześniej, ale albo nigdy nie mogłem jej zastać, albo po prostu nie odbierała telefonów. Dlatego wyszło to zupełnie niespodziewanie. Dbam o formę, panie Pascoe. Co wieczór spacer, co rano przebieżka, taki trzymam reżim. Wystarcza mi pięć godzin snu. Sprawdziłbym się w Bitwie o Wielką Brytanię. Boże, to musiały być piękne czasy... Pamiętam, że tamtego wieczoru w klubie nie było wielkiego ruchu, więc poszedłem na spacer wcześniej niż zwykle i kiedy mijałem „Cheese”, jeszcze mieli otwarte. Naszła mnie ochota na piwo. Zajrzałem do baru, żeby sprawdzić, czy nie ma tłoku, i wtedy ją zobaczyłem. Mary. Trochę bledsza, trochę szczuplejsza, ale z kieliszkiem w ręce, roześmiana, otoczona przez znajomych. Nie wszedłem. Wyszedłem na parking i tam czekałem. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Samochody odjeżdżały. W końcu została dosłownie garstka klientów. I wtedy Mary wyszła razem z grupką znajomych. Pożegnali się, pokrzykując, i tamci wszyscy wsiedli do jednego samochodu. I odjechali. Mary podeszła do mini zaparkowanego blisko miejsca, w którym stałem. Przez chwilę byliśmy na parkingu sami. Zawołałem ją po imieniu, kiedy stanęła przy samochodzie. „Kto to?”, zdziwiła się, ale nie przestraszyła. „To ja, Austin”, odpowiedziałem. Podeszła do mnie; stałem w cieniu drzew, przy samym skraju parkingu. Zapytała, czego chcę. „Porozmawiać”, powiedziałem. Wtedy ktoś wyszedł z pubu. Wziąłem ją za rękę i pociągnąłem głębiej między drzewa. Nie opierała się. „Chcę porozmawiać o nas”, powiedziałem. „I o Alison?”. Na co ona odpowiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszałem: „Jestem taka przerażona i taka nieszczęśliwa”. I przytuliła się do mnie. Nagle wszystko, co chciałem jej powiedzieć, przestało się liczyć. Nie musiałem nic mówić.

Greenall zawiesił głos. Do tej pory mówił płynnie, nic nie zapowiadało rozpadu narracji, jak działo się to w chwilach kryzysu.

– Zabił ją pan – podpowiedział Pascoe.

– Tak – przytaknął Greenall. W jego głosie pobrzmiwało lekkie zaskoczenie, jakby odpowiadał na niepotrzebnie zadane pytanie. – Widzi pan, nic innego jej już nie zostało. A taka śmierć jest szybka. Czytałem o tym w wojsku. Potem przeniosłem ją nieco dalej i ułożyłem w takiej spokojnej pozie. Nie chciałem, żeby ktoś pomyślał, że ktoś ją napadł i molestował... Wie pan, o co mi chodzi.

– Co było potem?

– Wróciłem do domu. To była piękna noc, taka bezchmurna. Taka bezwietrzna. Idealna na nocny lot; pamiętam, że tak właśnie pomyślałem. Zobaczyłem poruszające się na niebie światła samolotu, wysoko, bardzo wysoko. To była jakaś duża i szybka maszyna. Trochę nawet zazdrościłem pilotowi. Ale czułem się przy tym taki spokojny. Wydawało mi się, że to koniec.

– Ale to wcale nie był koniec, prawda?

– Nie. Tego, przez co przeszedłem, nie zapomina się ot tak, w jedną noc. Po śmierci Alison zacząłem zwracać uwagę na młode dziewczyny. Właściwie dzieci. Sterczące na przystankach w deszczowe dni, harujące w jakichś obleśnych biurach, wśród wrzeszczących na nie facetów. Takie młode. Takie samotne. Na pewno mnie pan rozumie. Serce się krajało na ich widok, naprawdę. To przez nas mają takie krótkie dzieciństwo. Wpychamy je w dorosłość, a kiedy w nią wkraczają, nic tam na nie nie czeka. Muszą się zmienić w... Tak to w każdym razie odczuwałem. Zacząłem urządzać dyskoteki w klubie. W Surrey takie były i pamiętałem, jak dzieciaki świetnie się bawiły, po prostu były sobą, były dziećmi... Nikomu to nie szkodziło, chociaż takie wapniaki jak Middlefield gadają inaczej. Przy okazji małolaty zostawiały u nas pieniądze, a każdy grosz się liczył, jeśli chcieliśmy mieć porządny klub. Miałem plany, panie komisarzu, fantastyczne plany... Na dyskoteki przychodziła taka jedna dziewczyna; widziałem ją parę razy. Nie wiedziałem, jak się nazywa, ale była pełna życia, szczęśliwa. Aż nagle w któryś piątek przyszła i zaczęła się chwalić pierścieniem zaręczynowym. Miała chłopaka żołnierza, stacjonował w Belfaście. Mieli się pobrać, kiedy znowu przyjedzie na urlop. Pomyślałem, jak wygląda los żony żołnierza. Przypomniała mi się Mary. I Alison. Zrobiło mi się niedobrze.

– To była June McCarthy? – wtrącił Pascoe.

– Tak, ale tego dowiedziałem się później. W sobotę nie przyszła, musiała iść do pracy.

– Wiedział pan o tym? Zaplanował pan to, co się potem stało?

– Nie, skądże – zaprzeczył poruszony Greenall. – Niczego nie planowałem. To było przeznaczenie. Nie mogłem przestać o niej myśleć, ale nic o niej nie wiedziałem. W

niedzielę rano jak zwykle wyszedłem pobiegać. Wcześniej, koło piątej; w lecie to najlepsza pora. Czuję się mocny, pobiegłem dalej niż zwykle: zazwyczaj trzymam się okolic lotniska i rzeki, ale w niedziele na ulicach panuje taki spokój, że miło jest dla odmiany potruczać chodnikiem. Dotarłem aż na Pump Street; prawdę mówiąc, trochę się zgubiłem. Biegłem akurat wzdłuż działek, kiedy zobaczyłem jakąś dziewczynę. Klęczała. Wydała mi się znajoma. Podeszedłem do niej. Trochę ją wystraszyłem, kiedy się odezwałem, bo okazało się, że przyłapałem ją na „pożyczaniu” paru gałązek mięty do pieczeni jagnięcej, którą miała przyrządzić dla ojca. Kiedy się zorientowała, kim jestem, rozgadała się aż miło. Opowiadała mi o tym, że w sezonie mają w fabryce konserw huk roboty, codziennie na trzy zmiany, ale powiedziała, że chętnie pracuje na nocki, bo zbiera na wesele. Wtedy ją rozpoznałem: narzeczona żołnierza. Kiedy tak klęczała wśród mięty, wyglądała najwyżej na trzynaście lat. Nie mogłem znieść tej myśli: taka młoda i już zbezczeszczona. Więc skróciłem jej męki.

– Zabił ją pan? Udusił?

Greenall nie odpowiedział. Było to milczenie pełne zadumy, nie było w nim niepokoju ani wyrzutów sumienia, jakby Greenall dokładnie rozważał propozycję.

– Tak – przytaknął w tej samej chwili, gdy Pascoe już otworzył usta do kolejnej podpowiedzi. – Zabiłem ją. Udusiłem. Ocaliłem.

– Przed czym?!

– Przed rozczarowaniem. Rozwianiem złudzeń. Konsternacją. Czuję wobec niej miłość i litość. Tak samo jak wobec tej dziewczyny nad rzeką. Widziałem się z nią wtedy po południu. Odkąd zacząłem pracować w aeroklubie, często obsługiwała mnie w banku. Tylko, że tym razem zobaczyłem pierścionek. Zauważyła, że zwróciłem na niego uwagę, i się uśmiechnęła. Tak z dumą, wie pan. Dziecko. Aż mi się bebechy przewróciły, ale jej pogratulowałem. Podziękowała mi i wyszedłem, ale już wtedy wiedziałem, że jeszcze się spotkamy.

– Zaplanował to pan? – zapytał znowu Pascoe.

– Nie, proszę pana, nic z tych rzeczy. Prawdę mówiąc, miałem przecucie, że jest w tym wszystkim jakiś plan, ale na pewno nie mój. Zrobiło się wpół do siódmej wieczorem, największy ruch w aeroklubie już się przewalił... Latem zawsze tak to wygląda przy ładnej pogodzie: wychodzą z pracy, jadą do klubu, nie mogą się doczekać, kiedy pofruną. Trudno mieć do nich pretensje, prawda? Wszedłem się przejść, przez dziurę w płocie, potem przez ten ugór, aż do ścieżki nad rzeką. Wieczór był prześliczny i nigdzie żywego ducha. Ścieżka biegnie przez odludzie, ale w końcu dochodzi do głównej drogi przy Avro Industriai Estate. To jest ta sama droga, która dalej prowadzi do Millhill.

– Tak, wiem. – Pascoe zaczynał się niecierpliwić.

– I wtedy ją spotkałem. To nie mógł być przypadek. Stała w miejscu, gdzie zawracają autobusy do fabryki. Nikogo więcej nie było. „Cześć”, powiedziałem. Widziałem, że jest zdenerwowana. Powiedziała, że po pracy poszła do fryzjera niedaleko banku, potem autobus jej uciekł, a ona, wiedząc, że następny będzie za dwadzieścia pięć minut, pomyślała, że szybciej będzie przespacerować się dziesięć minut i złapać autobus tutaj. Ale ten też jej uciekł. I teraz będzie musiała czekać przynajmniej pół godziny, a zaplanowała jeszcze zakupy w centrum. Wiem, że w czwartki większość dużych sklepów zamykają dopiero o ósmej, ale była już za kwadrans siódma, więc zaproponowałem, że ją podwożę. Wy tłumaczyłem, że musielibyśmy wrócić do aeroklubu po samochód, ale że nawet wtedy zdążymy do centrum przed przyjazdem następnego autobusu. Zgodziła się, więc ruszyliśmy w drogę. Gadała jak najęta. Uparła się, żeby mieć porządny ślub i prawdziwe wesele. Między innymi po to jechała do centrum: wybrała już suknię i zamierzała wpłacić zaliczkę. Musiała też kupić inne rzeczy. Twierdziła, że nie chce przeciągać narzeczeństwa, bo ojciec będzie się niepotrzebnie złościł. On nic nie rozumiał. Za to ja rozumiałem go doskonale. Nagle przystanęła, zadarła głowę i zapytała: „To wasze szybowce? Są takie piękne... Jak ogromne ptaki. Latanie musi być wspaniałe, ale Tommy'emu by się pewnie nie spodobało. Dla niego liczą się tylko samochody”. To wtedy złapałem ją za gardło. Osunęła się na wznak na ziemię, prawie nie stawiała oporu, tylko wpatrywała się we mnie takimi wielkimi zdziwionymi oczami. Myślałem, że bardzo szybko umarła, ale kiedy ją puściłem, zaczęła się szarpać, tak konwulsyjnie, odruchowo. Byliśmy wtedy na samym brzegu rzeki; szarpnęła się jeden raz za dużo i wpadła do wody. I wtedy usłyszałem głosy dzieci. Wiedziałem, że tabor jest blisko, więc domyśliłem się, że to jakieś Cyganiątka. Nie chciałem jej tak zostawiać, ale nie miałem wyboru. Utonęła. A ja poszedłem dalej.

– Musiał się pan chyba spodziewać, że sprawa szybko się wyda.

– Być może, ale nie zastanawiałem się nad tym specjalnie. Wróciłem do klubu jak gdyby nigdy nic. Kiedy następnego dnia przeczytałem w „Evening Post”, że dziewczynę wyłowiono z kanału, zdziwiłem się trochę, ale w gruncie rzeczy nie byłem specjalnie zaskoczony. Martwiłem się, że ludzie nie zrozumieją, więc znów zadzwoniłem do gazety.

– Właśnie miałem zapytać, po co zadzwonił pan za pierwszym razem?

– Żeby się wytłumaczyć, w pewnym sensie. Chciałem, żeby było wiadomo, że te zabójstwa mają sens. Wydawało mi się to ważne.

– A czemu *Hamlet*

– Pierwszy mi przyszedł do głowy. Pasował.

– Dlaczego nie poszedł pan prosto do gazet, nie opowiedział swojej historii? – dociekał szczerze zaintrygowany Pascoe.

– Przecież wtedy bym się wsypał! – wykrzyknął Greenall. – Nie byłem na to przygotowany.

– To prawda. Bardzo się pan starał, żeby nie dać się złapać. Pauline Stanhope potwierdziłaby zapewne moje słowa. Gdyby żyła.

– Ach tak... Tak. Ona. I ten mężczyzna, Wildgoose. To się stało tak szybko, i z nią, i z nim... widzi pan, piloci są szkoleni do szybkiego podejmowania decyzji... tylko, że potem... potem czas już nie płynie tak szybko... i człowiek myśli...

Opowieść znów zgubiła spokojny, rozsądny rytm, stała się szarpana, niepewna, pełna wahania. Pottle miał rację: w tych dwóch przypadkach Greenall miał wyrzuty sumienia, bo zabił, żeby chronić siebie, a nie, jak w swoich urojeniach, młode dziewczęta. Usprawiedliwiał się potrzebą chwili. Najpierw zobaczył zapis seansu spirytystycznego, potem wyczytał w gazecie, że medium była Madame Rashid z wesołego miasteczka w Charter Park, i natychmiast tam pojechał, chociaż bez żadnych konkretnych zamiarów. Wszedł do namiotu, zapytał Pauline, czy jest Madame Rashid, uderzył ją pięścią w brzuch i udusił. Instynkt samozachowawczy przydał mu sprytu: znalazłszy kartkę z napisem ZARAZ WRACAM, przymocował ją do krzesła, które następnie wypchnął przed namiot, a sam rozebrał ofiarę i przebrał się w cygańską spódnicę, szal i chustkę.

– Potem ułożył pan dziewczynę w podobny sposób jak tamte – zauważył Pascoe. – I zadzwonił do gazety.

– Pomyślałem, że w ten sposób zatrę ślady... Poza tym czułem, że powinienem coś powiedzieć... byłem taki nieszczęśliwy... a potem jeszcze się okazało, że to nie ona... Boże. Czułem się chory.

– Ale nie próbował pan już później skrzywdzić prawdziwej Madame Rashid?

Urażony Greenall stanowczo pokręcił głową.

– Nie mógłbym... nie z premedytacją... z zimną krwią...

Dalziel będzie zachwycony, pomyślał Pascoe.

Greenall otrząsnął się na tyle, żeby opowiedzieć o Andrei

Valentine, którą podsłuchiwał na dyskotecie, kiedy przechwalała się koleżankom, że wyjdzie za Wildgoose'a, gdy tylko ten pozbędzie się żony.

– Śledził ich pan aż na Danby Row?

– Nie. Najpierw posprzątałem w klubie, dopiero potem tam pojechałem. Niczego nie planowałem, rozumie pan. Chciałem się tylko rozejrzeć.

– Skąd pan wiedział, dokąd jechać?

– To ja zamówiłem im taksówkę. Wildgoose sam podał mi adres.

Jakie to proste. Nic dziwnego, że Greenall czuł się jak narzędzie w rękach jakiejś opiekuńczej, dobroczynnej siły. Jakby ktoś nieustannie usuwał mu przeszkody z drogi.

Dotarłszy na Danby Row, objechał cały kwartał dookoła i wypatrzył tylną uliczkę. Przy niej znalazł furtkę prowadzącą pod numer 73 i wszedł na teren ogrodu w tej samej chwili, gdy Wildgoose się z niego wymykał. Wildgoose go złapał.

Łamiącym się głosem Greenall zaprzeczył, jakoby chciał mu zrobić krzywdę.

– Tylko, że on mnie widział... było ciemno, ale nie aż tak... rozpoznał mnie, widziałem to w jego oczach... dlatego musiałem... znowu...

Nieprzewidziane morderstwo wstrząsnęło nim, ale nie odwiódło od pierwotnego celu. Podszedł do domu. W kuchni paliło się jeszcze światło. Zapukał do kuchennych drzwi. „Kto tam?“, zapytała dziewczyna, ale była do tego stopnia przeświadczona, że musi to być wracający po coś Wildgoose, że po stłumionym „to ja” bez wahania przekręciła klucz w zamku.

– I wtedy ją pan zabił – dopowiedział Pascoe. – Ale dlaczego? Przecież nie mogła już wyjść za mąż po tym, jak zabił pan jej potencjalnego męża!

Greenall złapał się za głowę.

– Myśli pan, że o tym nie pomyślałem? Myślałem o tym cały czas, nawet kiedy już nie żyła. Ale przecież nie mogłem go zostawić przy życiu. Rozpoznał mnie. Musiałem go zabić.

Mówił błagalnym tonem, jakby szukał zrozumienia. Albo rozgrzeszenia.

Pascoe był mu gotów dać jedno i drugie, byle tylko Greenall podpisał mu się na wszystkich kartkach pracowicie zapisanego zeznania.

– Rozumiem – powiedział. – Rozumiem doskonale.

– Naprawdę?

– Naprawdę, zapewniam pana. Czy potem przeniósł pan zwłoki do samochodu?

Szczyście sprzyjało szaleńcowi. Nikt mu nie przeszkodził. Pomysł pogrzebania Wildgoose'a wśród róż w Centrum Ogrodniczym Linden wydał mu się triumfem logicznego myślenia. Po śmierci żony przejeżdżał tamtędy od czasu do czasu i wiedział, że zostało zamknięte. Idealne miejsce.

– Nie chciałem, żeby ktoś go znalazł; bałem się, że ktoś oskarży go o zabójstwo. Wszystko się pomieszało, za dużo było tego zabijania, za dużo niepotrzebnych śmierci. Miałem nadzieję, że jeśli zaczniecie szukać Wildgoose'a, będę miał chwilę wytchnienia,

żeby spokojnie pomyśleć.

Pascoe zmierzył wzrokiem drobnego, niskiego człowieka, który patrzył na niego z ufnością i nadzieją.

– To się da załatwić, proszę pana. Chciałbym teraz, żeby pan...

Rozległo się szybkie pukanie do drzwi, które zaraz potem otworzyły się z impetem i do środka zajrzał sierżant Wiel.

– Panie komisarzu...

– Później – uciał Pascoe, próbując połączyć w tym jednym słowie władczość z poufałością.

– Bardzo przepraszam, panie komisarzu, ale...

Pascoe darował sobie poufałość:

– Powiedziałem, później, sierzancie!

Wiel się nie poddawał:

– Próbowaliśmy dzwonić, ale pan nie odbiera. Chodzi o pańską żonę.

Pascoe wstał i odwrócił się do sierżanta.

– Co się stało?

Serce mu się ścisnęło. Rysy Wielda zmiękły na tyle, że rozpoznał malujące się na jego twarzy podenerwowanie.

– Musiała jechać do szpitala. Dzwonili do nas zaraz po tym, jak pan wyszedł. Próbowaliśmy pana tutaj złapać, ale...

– Co się stało? – powtórzył Pascoe.

– Nie wiem, panie komisarzu. Ale wiedziałem, że się pan martwił, więc pomyślałem...

Pascoe przeniósł wzrok na Greenalla, który w zadumie wyglądał przez okno, jakby to, co zrobił i powiedział, w ogóle do niego nie docierało. Może tak właśnie było. Może, może... Nie ma czasu na żadne „może”, nie, kiedy Ellie... Boże!

– Przepraszam na chwilę, panie Greenall – powiedział.

Wypchnął Wielę za próg, wyszedł zanim zamknął drzwi.

– Proszę posłuchać. – Wepchnął sierżantowi notatnik w dłoń. – To on. Wszystko tu jest. Niech to przeczyta i podpisze, na każdej stronie. To jest najważniejsze, absolutnie najważniejsze. Tylko proszę go nie naciskać. Nie przewozić do komisariatu. Rozumie mnie pan?

– Tak, panie komisarzu. A co potem?

– Kiedy już podpisze, to możecie go skuć choćby zaraz. Proszę się tym zająć. Ja

spadam.

– Mam nadzieję, że pani Pascoe nic nie jest! – zawołał za Pascoe Wiel, ale nie przypuszczał, żeby komisarz go usłyszał. Bez pośpiechu odwrócił się na pięcie i cicho otworzył drzwi. – Witam, panie Greenall.

Rozdział 26

– Czy tak brzmi werdykt?

– Tak, Wysoki Sądzie – potwierdził przewodniczący ławy przysięgłych.

Sędzia skinął głową i zwrócił się do postaci na ławie oskarżonych.

– Austinie Fredericku Greenall... – zaczął.

Słońce nadal świeciło na bezchmurnym niebie, nie było już jednak palącą kulą letniego oranżu, lecz bladym, cytrynowym jesiennym krążkiem. Kiedy Pascoe wychodził z gmachu sądu, suche, zbrązowiałe liście platanów zaścielały schody. Wcisnął ręce głęboko w kieszenie i z ponurą miną wpatrywał się w stojący po drugiej stronie ulicy średniowieczny ratusz.

Wield stanął za jego plecami.

– Przepraszam, panie komisarzu – powiedział.

– To nie pana wina, sierzancie. Nawet gdyby podpisał to całe zeznanie, sąd najprawdopodobniej i tak by go nie uwzględnił.

– Mimo wszystko...

– Ci prawnicy! – rozległ się głos Dalziela. – Zasrańcy, jeden z drugim!

Pascoe się odwrócił. Grubas wyglądał tak, jakby właśnie stoczył najcięższą bitwę w życiu. Co mogło być prawdą.

– Porozmawiałem sobie z tym oskarżycielem. Powiedziałem mu, że tak gównianego przedstawienia sprawy w życiu nie widziałem!

– I co on na to, panie inspektorze?

– Groził, że na mnie doniesie. Powiedziałem mu, że jeśli tak samo składa skargi, jak przesłuchuje oskarżonych, to mam szansę na awans.

– To były tylko poszlaki – przypomniał Dalzielowi Pascoe. – Nie mieliśmy żadnych mocnych dowodów.

– Wystarczyłyby, gdyby odpowiednio je zaprezentować. Gdybyśmy dostali jeszcze jedno odroczenie, zmiażdżyłbym tego skurczybyka.

Pascoe z Wieldem spojrzeli po sobie.

Upłynęły cztery miesiące. Dalziel przewlekał sprawę, jak mógł. Zaczęło się od aresztu śledczego. Już na tym etapie wprowadzono zakaz obecności prasy podczas postępowania – nie po to, żeby uniknąć powtarzania makabrycznych doniesień (jak powszechnie podejrzewano), ale po to, by (jak to cynicznie wytknął Wield) ukryć miałość

dowodów przed opinią publiczną. Na szczęście (albo nieszczęście), sędziów śledczych można przekonać nie tylko twardymi dowodami, ale czasem także zwykłą policyjną pewnością siebie, zwłaszcza przy takich dochodzeniach jak sprawa Dusiciela, dlatego udało im się postawić Greenalla przed sądem, co – zgodnie z prawem – musiało nastąpić najpóźniej po ośmiu tygodniach. Dwukrotnie doprowadzili do odroczenia rozprawy. W końcu jednak nawet sprawiedliwość może się zniecierpliwzić i pod groźbą zakwestionowania przez obronę zasadności aresztu sędzia był zmuszony wszcząć proces.

Zarzut był tylko jeden: morderstwo z premedytacją Mary Greenall, znanej również jako Mary Dinwoodie. W tym punkcie oskarżyciele czuli się najmocniejsi: mogli udowodnić motyw i wykazać sposobność; podkreślić załamanie nerwowe Greenalla; wykorzystać jego dziwaczne tłumaczenia, które powstrzymały go przed przyznaniem się do winy. Mogli zrobić całą masę rzeczy – poza jedną: nie byli w stanie udowodnić, że w tamtą noc znalazł się pod „Cheshire Cheese”.

Obrona zakwestionowała dopuszczalność dowodu w postaci dokumentacji medycznej; podkreśliła, że Greenall przez ponad trzy lata cywilnego życia wykonywał trudny i odpowiedzialny zawód, w którym nigdy nie zaniedbał obowiązków; próbowała wytłumaczyć milczenie klienta po śmierci żony tym, że – jak sam przyznał – był przerażony i otepiały, gdy usłyszał wstrząsającą wiadomość, a poza tym miał prawo się obawiać, że policja błyskawicznie odkryje jego związek z zamordowaną.

– Okazało się, że przecenił szybkość i skuteczność działań policji, jednakże winą za taki stan rzeczy można obarczyć co najwyżej prowadzących śledztwo funkcjonariuszy, nie zaś mojego klienta – zakończył beznamiętnie adwokat.

Oskarżenie podjęło desperacką próbę przedstawienia dowodów lingwistycznych. Gladmann włożył swój najlepszy garnitur (ten poplamiony kawiozem z bielugi, jak powiedział Pascoe), ale jego sen o sławie się nie ziścił.

Pierwszy telefon nastąpił dopiero po śmierci June McCarthy, podkreśliła obrona. A pierwsze nagrane rozmowy pochodziły dopiero z okresu po śmierci Pauline Stanhope.

Udowodnienie, że któryś z tych czterech głosów jest tym pierwszym, było nadzwyczaj trudne – a w dodatku nie miało żadnego znaczenia, ponieważ Greenall nie został oskarżony o żadne z późniejszych morderstw. Co więcej, o ile wszystkie późniejsze morderstwa łączył jeden oczywisty fakt – ofiarami były młode kobiety – o tyle morderstwo Mary Greenall należało traktować odrębnie, chyba, że policja może przedstawić jakiś dowód na związek pomiędzy nimi.

Ułożenie ciała, zasugerował oskarżyciel.

Poszlaka bardzo wąta, odparła obrona, w dodatku związek łatwy do wytłumaczenia zwyczajnym naśladownictwem, ponieważ gazety szeroko rozpisywały się o morderstwie przy „Cheshire Cheese”.

Sędzia, przed którym toczył się ten spór (bez udziału przysięgłych), przychylił się do zdania obrony. Nie mógł się zdecydować, czy surową mowę o niepotrzebnym zawracaniu głowy sądowi wygłosić od razu, czy zachować ją na później, kiedy – jak przewidywał – świadek zostanie uniewinniony. Ostatecznie, w ogóle jej nie wygłosił. Gazety rzuciłyby się na nią jak sępy, gdyby uniewinniony oskarżony został potem przyłapany na duszeniu następnej nieszczęsnej dziewczyny. Ostrożności nigdy za wiele. Sędziowie nie cieszyli się już takim poważaniem jak niegdyś. Nawet w nekrologach.

Prawdę mówiąc, przysięgli zaskoczyli go długością swojej narady: trwała pięć godzin i oskarżenie zaczynało już sobie robić nadzieje, kiedy wrócili gęsiego na salę – dwunastu prawych i sprawiedliwych. Austin Greenall wstał i spojrzał na nich bez lęku, ale i bez arogancji, i tylko kiwał w milczeniu głową, słuchając orzeczenia.

Niewinny.

– Jest – powiedział nagle Wiel.

Greenall wyszedł z sądu, załało go blade światło jesiennego słońca.

Otaczał go wianuszek dziennikarzy, którzy tłoczyli się i przepychali wokół niego, on jednak parł niewzruszenie naprzód, jak spokojne oko tworzonego przez nich cyklonu. Spojrzał na stojących na schodach policjantów, ale się nie zatrzymał. Pascoe wyłowił słowa „... wracać do pracy... ”, a potem drobny, elegancki mężczyzna oddalił się poza zasięg głosu. Po chwili zniknął im z oczu.

Jeden z dziennikarzy odłączył się od tłumu.

– Powie nam pan coś, panie inspektorze?

– Bez komentarza – wtrącił pośpiesznie Pascoe.

– Jak przebiega polowanie na Dusiciela? – dopytywał się reporter. – Czy to prawda, że chcecie wezwać na pomoc Scotland Yard? A może znów użyjecie kryształowej kuli?

– Na jedno by wyszło – burknął Dalziel. – Za jedno i drugie trzeba zapłacić.

Dziennikarz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mogę to zacytować?

– Niby co? – zdziwił się Pascoe. – Ktoś coś mówił? Zabieraj się stąd, Beaverbrook.

– Uwielbiają, kiedy wychodzimy na durni – powiedział Dalziel, kiedy dziennikarz się odsunął. – Dranie.

– Zmienią zdanie, kiedy znowu zaczną zabijać.

– Uważa pan, że to możliwe? – spytał Wield.

– Pottle twierdzi, że w swojej praktyce nie zetknął się jeszcze z człowiekiem, który miałby tego rodzaju motywację. Greenalla poruszyła myśl o splugawieniu młodej dziewczyny poprzez małżeństwo; widok pierścionka zaręczynowego sprowokował go do działania. Według Pottle'a, długi areszt mógł mieć działanie terapeutyczne: może być tak, że Greenall wszystko gruntownie przemyślał i ochłonął.

– W pierdłu rzadko się widuje młode zaręczone dziewczyny – zauważył Dalziel.

– Jeżeli rzeczywiście przemyślał swoje zachowanie, to może odezwą się wyrzuty sumienia i znów zechce się przyznać – zasugerował Wield.

– Według Pottle'a, to raczej nie wchodzi w grę. Wtedy się przyznał głównie z powodu niepotrzebnych morderstw, czyli tych wymuszonych przez instynkt samozachowawczy. Dla niego była to prawdziwa spowiedź, w sensie jak najbardziej religijnym. Nie zapominajcie, że jest katolikiem. Pottle twierdzi, że potraktował mnie jak księdza, a ja okazałem się fałszywym kapłanem; prawdziwy ksiądz nie wymyka się z konfesjonu i nie przysyła w zastępstwie wikariusza. Dlatego spowiedź się skończyła.

– Pieprzyć Pottle'a – mruknął Dalziel. – Jedno wam powiem: od tej pory sukinkot nawet nie pierdnie tak, żebym o tym nie wiedział.

– Jak to?

– Normalnie. Preece go pilnuje.

– Ale on zna Preece'a – przypomniał Pascoe.

– I pozna nas jeszcze wielu, zanim z nim skończymy. Będziemy przy nim dzień i noc.

– Oskarży nas o nękanie.

– Tak myślisz? – Dalziel posłał Pascoe zaciekawione spojrzenie. – Widzę, że ci się to nie podoba.

– Wiele rzeczy mi się nie podoba, panie inspektorze.

– Coś ci powiem, Peter. Kiedy zaczynałem pracować w tym fachu, obowiązywał wyraźny podział: byliśmy my i byli oni. Ich bronią była brutalność, kanty i obojętność, a naszą było prawo. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale z czasem prawo stało się także ich bronią. Dlatego zamierzam wykorzystać wszelkie dostępne mi środki.

– Nawet te odrzucone przez nich?

– Nawet psie gówna, jeśli będzie trzeba. Spadam stąd. Jeśli zobaczę tych przeklętych prawników, jak wychodzą z tego sądu cali zadowoleni z siebie, to im te ich peruki w dupę wsadzę.

Pascoe i Wield patrzyli, jak ciężkim krokiem schodzi po schodach.

– Nie jest zachwycony – zauważył Wiel.

– Ja też nie. I co z tego?

– Panie Pascoe? – rozległ się kobiecy głos.

Odwrócili się. Stopień wyżej stała Rosetta Stanhope.

– Witam, widziałem panią w sądzie – powiedział Pascoe. – Sierżanta Wiel. już chyba pani zna.

– Owszem. Rozmawialiśmy wcześniej.

– To ja już sobie pójdę – powiedział Wiel. – Zobaczymy się później, panie komisarzu. Do widzenia, pani Stanhope.

Odprowadzili go wzrokiem.

– Miły człowiek – powiedziała pani Stanhope. – Ale ostatnio jest chyba bardzo nieszczęśliwy.

– Tak? – zdziwił się Pascoe. Stan szczęśliwości lub nieszczęśliwości dziwnie nie pasował mu do Wiel.

– Nie zauważył pan? Pewnie nie, po nim tego nie widać. Myślę, że jeszcze będzie szczęśliwy. Za to mówił mi, że pan, panie komisarzu, jest ostatnio przeschęśliwy, i to nie bez powodu. Moje gratulacje.

Pascoe odpowiedział uśmiechem na jej serdeczny uśmiech i poczuł, jak zalewająca go fala radości całkowicie wypiera wywołane procesem przygnębienie.

– To prawda. Dziękuję. Ostatni tydzień był ciężki. Martwiłem się. Ellie, moja żona, była chora. Długo. Baliśmy się, że je straci. Przeleżała w szpitalu wiele tygodni. Urodziło się dwa tygodnie przed terminem.

– Ono?

– Ona. Jeszcze się nie przyzwyczailem. Nie była zbyt ciężka, ale jest zdrowa. To znaczy, doskonała.

– A pańska żona?

– W porządku. Niedługo wróci do pełni sił. To był dla niej trudny czas. Bardzo trudny.

Pascoe zmarszczył brwi. Pani Stanhope położyła mu rękę na ramieniu.

– Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze, czuję to.

– Tak... Dziękuję. A pani jak się trzyma? Przykro mi, że wszystko poszło na marne.

– Proszę się nie martwić – powtórzyła z uśmiechem. – To też jeszcze się ułoży. Czuję to. Wszystko będzie tak, jak chciałaby Pauline. Byłam wczoraj u Dave'a.

– Dave'a Lee? Jak się czuje? Na początku roku powinni go wypuścić, jeśli będzie się

dobrze sprawował. Gdyby nie bogata kartoteka, pewnie w ogóle by się wyłgał i wyszedł na warunkowe.

– Muszę przyznać, że ostatecznie potraktowaliście go bardzo łagodnie. Może ten gruby policjant zachował jednak jakieś resztki sumienia? Tłumaczyłam to Dave’owi, bo chciał, żebym rzuciła na niego klątwę.

– Klątwę? – Pascoe nie krył rozbawienia. – Na pana Dalziela?

Rosetta Stanhope wcale nie była rozbawiona.

– Na was wszystkich, ale na niego przede wszystkim.

– Nie zrobiłaby pani tego, prawda?

– I bez tego macie dość kłopotów.

Pascoe się uśmiechnął.

– Mimo wszystko, dziękuję.

Pani Stanhope też się uśmiechnęła.

– Ma pan prawo nie obawiać się zwykłej starej kobiety, takiej jak ja, ale proszę nie zapominać, że pod tym ubraniem kryje się czystej krwi Romka. Długo żyłam z dala od swoich, ale nie można wiecznie uciekać.

– Nie myśli pani chyba o tym, żeby wrócić?

– Żeby dożyć swoich dni, siedząc na schodkach *vardo*, pykając ze starej fajki i odpędzając gzy? O to pan pyta? Może ten pomysł wyda mi się atrakcyjny, kiedy powietrze znów zapachnie wiosną i drzewa się zazielenią. Tam przynajmniej byłabym kimś, bo tutaj... Tęsknię za nią, panie Pascoe. Dzięki niej przestałam tęsknić za nim, a teraz, kiedy jej zabrakło, tęsknię za obojgiem.

– Przykro mi – powiedział bezradnie Pascoe. – Przepraszam za wszystko.

– Wszystko będzie dobrze, zapewniam pana. Jeśli poda mi pan datę i godzinę urodzin córki, sporządzę dla niej horoskop. Gdyby pan chciał. Czuję, że będzie szczęśliwa. Wszystko będzie dobrze. Wszystko.

– Tak.

Rozdział 27

Prosto z sądu Austin Greenall udał się do aeroklubu, ale i tak wieść o jego uniewinnieniu go wyprzedziła. Bernard Middlefield również był w sądzie, a w odróżnieniu od Greenalla żaden dziennikarz ani adwokat nie utrudniał mu odjazdu.

Zapadał wieczór, cienie się wydłużały. Ostatni szybowiec w powietrzu właśnie podchodził do lądowania, w barze zebrało się kilkunastu członków klubu, którzy tak sobie ułożyli dzień, że już wcześniej zdążyli polatać. Pewnie nieprzypadkowo było wśród nich trzech członków komitetu, w którym zasiadał Middlefield. Mieli kworum.

Kiedy wszedł do klubu, najpierw zapadła cisza, a potem ktoś powiedział:

– Gratulacje, Austin.

Odpowiedziały mu liczne „Tak! Tak!”, „Dobra robota”, „Nigdy w ciebie nie wątpiłem”, ale ich strumyczek wysechł równie szybko, jak przed chwilą wytrysnął.

– Możemy przejść do biura? – spytał Middlefield.

– Naturalnie – zgodził się Greenall. – Śmiało.

– Razem z panem – wyjaśnił nieco zirytowany Middlefield. – Mamy do pogadania.

Odbyło się posiedzenie komitetu...

– Musiało być bardzo krótkie.

– Nie teraz, wcześniej, w tygodniu. Musieliśmy podjąć pewne decyzje.

– Plan awaryjny? Na wypadek gdybym został uniewinniony?

– Chcemy się po prostu dowiedzieć, jakie ma pan teraz plany.

– Pomyślałem, że na początek trochę sobie polatam. Przewietrzę umysł, rozruszam się. Roger, Peter... Pomożecie mi?

– Nie za późno, Austinie? – zaproponował pierwszy z wymienionej dwójki, Roger Minstrel, asystent Greenalla, który w ostatnich miesiącach sam kierował aeroklubem.

– Ja panu pomogę – zaproponowała Thelma Lacewing, stając w progach. W wysokich butach, różowych sztruksach i jasnoniebieskim anoraku wyglądała uroczo. – Ostatnio trudno tu o pomocną dłoń. Przy lądowaniu omal nie wpakowałam się na tę opuszczoną wioskę.

– Przepraszam, Thelmo – zmitygował się Minstrel. – Byłem na dworze, patrzyłem, jak ci idzie, naprawę, ale...

Zawiesił głos.

– Ale wróciłeś do klubu na przyjęcie powitalne – dokończyła za niego. – Powinien się pan pośpieszyć. W całym Yorkshire pomału robi się ciemno, u nas jak zwykle

najszybciej.

– To prawda. – Greenall skierował się do drzwi. – Roger?

– No dobrze. Ale naprawdę jest już późno.

– Później porozmawiamy! – zawołał za nimi Middlefield, usiłując przypomnieć wszystkim, kto tu rządzi.

Zanim Greenall się przygotował, Minstrel i Lacewing ustawili szybowiec w pozycji startowej. Minstrel poszedł do wyciągarki.

Greenall wspiął się do kabiny i zapiął pasy.

– Rozumiem, że został pan uniewinniony – zagaiła Lacewing.

Greenall skinął głową.

– Jak się pan z tym czuje?

– Nie jestem pewien.

– Policja uważa, że jest pan winny?

– Nie wiem, proszę zapytać swoją przyjaciółkę.

– Ellie Pascoe? – Lacewing zmarszczyła brwi. – Ona ma inne zmartwienia niż to, czy jest pan winny, czy nie. A pan? Jak pan uważa?

– Z tą niewinnością? – Greenall się uśmiechnął. – Jeszcze nie zdecydowałem.

– Radzę zdecydować przed lądowaniem. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Lacewing podeszła do opartego o ziemię koniuszka skrzydła i go podniosła. Dała znak Minstrelowi. Zagrał silnik wyciągarki. Szybowiec ruszył z miejsca.

Start wypadł idealnie. Umiejętność latania odcisnęła się tak głęboko w nerwach i ścięgnach Greenalla, że nawet długa przerwa nie była w stanie jej wyrugować. Spuszczony z liny szybowiec wzniósł się w powietrze, gdy pilot po mistrzowsku wykorzystał wiatr, który poniosł go nad fabrykami. Panujący tu układ prądów termicznych Greenall czytał jak mapę.

Zastanawiał się, dlaczego wybrał szybowiec. Cud wyniosłby go wyżej i dalej, dałby mu większą władzę.

I zaraz zdał sobie sprawę, że wie dlaczego. W małym samolocie zawsze przypominał sobie, jak to jest władać mocą i szybkością, o jakiej przeciętny człowiek nie może nawet marzyć. Król niezmierzonej przestrzeni... Szybowiec nie budził takich wspomnień. To było zupełnie inne uczucie.

Nie podbijał królestwa, nie zdobywał go siłą, lecz stawał się jego obywatelem w drodze swoistej naturalizacji. Obywatel niezmierzonej przestrzeni. Nie brzmiało to może równie fajnie, ale w tym momencie, na tym etapie jego życia to doświadczenie przynosiło mu pokój ducha i poczucie przynależności, których desperacko pragnął.

Middlefield zapytał go o plany na przyszłość.

Thelma Lacewing była ciekawa, co sądzi o swojej winie lub niewinności.

Głupie pytania. Wina, niewinność, przyszłość... O takich rzeczach się nie decyduje; o nich się nawet nie da sensownie pomyśleć. Wcześniej miał wyrzuty sumienia, bez dwóch zdań. Gdyby było inaczej, nie gadałby przecież tyle czasu z tym Pascoe, prawda? Tylko, że kiedy tak opowiadał, wyrzuty sumienia słabły, gasły, aż zniknęły zupełnie, gdy przyszedł ten sierżant z gębą jak u pomocnika kata.

Może jeszcze wróca, chociaż od tamtej pory nie wrócili. Zresztą, nawet gdyby tak się stało, to z doświadczenia wiedział już, że wróci także poczucie niewinności. Przyszłość niech się sama o siebie martwi, cokolwiek miałyby przynieść. I tak jest już określona. Był tego pewien.

Nie powiedział Pascoe wszystkiego, nie tak do końca. Kiedy zakradł się do namiotu Madame Rashid, nie od razu zamordował tę dziewczynę. Najpierw kazał sobie powróżyć z ręki. Obejrzała jego dłoń, wymamrotała parę wyświechtanych banałów, a potem nagle umilkła i znieruchomiała ze wzrokiem utkwionym w liniach na jego dłoni. Wstała, odepchnęła jego rękę i sama podniosła dłoń do ust. To wtedy uderzył ją w brzuch, bardzo mocno, a potem zabił. Na pewno wyczytała, że chce ją zabić. Stało się to, co się stać musiało. Wtedy miał wyrzuty sumienia. I drugi raz, silniejsze, po zabiciu Wildgoose'a. Ale Wildgoose był złym człowiekiem, rozpustnikiem, uwodzicielem młodych dziewcząt. Dziś było to dla niego oczywiste i ta śmierć już nie obciążała jego sumienia.

Lot dobrze mu robił. Tego się właśnie spodziewał. Czuł się teraz gotowy do powrotu na ziemię. Zajmie swoje miejsce i zrobi to, co konieczne.

Spojrzał w dół, żeby zorientować się w terenie. Wysoko w górze było jeszcze jasno, ale na poziomie gruntu słońce właśnie zniknęło za horyzontem – co jednak nie stanowiło żadnej przeszkody, nie dla obywatela niezmiętej przestrzeni. Mając wiatr w plecy, długim skosem obniżył lot i zrobił nawrót do lądowania, gdy ze zdumieniem stwierdził, że wciąż znajduje się dość wysoko. Może jednak wyszedł z wprawy bardziej niż mu się wydawało.

Aby skorygować wysokość – i przy okazji dodać sobie otuchy – uruchomił hamulec aerodynamiczny i ześlizgiem zaczął schodzić niżej, aż uznał, że podejdzie do lądowania pod właściwym kątem.

Na tej wysokości kula słońca zniknęła mu z oczu. Półmrok wczesnego wieczoru wyraźnie zgęstniał, chociaż wciąż jeszcze nie na tyle, żeby musiał się tym przejąć. Schodził równoległe do wybudowanego przez miasto ogrodzenia oddzielającego cygański tabor od

lotniska. Po prawej wyraźnie widział zabudowania aeroklubu. Maszt flagowy – biały, wyraźnie widoczny, mierzący dokładnie trzydzieści stóp wysokości – stanowił doskonały punkt orientacyjny, mimo że na samej ziemi coś się działo. Przemykała w dole mroczna i niewyraźna, spowita cieniem, który sam w sobie też był niejednorodny. Wydawało się, że niektóre cienie poruszają się nie wzdłuż, lecz w poprzek kursu szybowca. I wyglądały bardzo materialnie.

– O mój Boże... – mruknął, gdy zrozumiał, co widzi.

To nie były żadne cienie, tylko kuce, i to chyba całe cholerne stado, sądząc po tym, ile miejsca zajmowały. Kręciły się pod nim w kółko, biegały w tę i z powrotem, jakby spłoszone świstem lądującej maszyny.

Pewnie znów ktoś zrobił dziurę w ogrodzeniu. Te cholerstwa były dosłownie wszędzie! Krzyknął na nie. Wiedział, że go nie usłyszą i że nawet gdyby go usłyszały, niczego by to nie zmieniło – ale i tak krzyczał. A dudniły kopytami dokładnie pod kadłubem. Chryste Panie, ależ one pędziły! Leciał z prędkością prawie pięćdziesięciu węzłów i nie mógł ich wyprzedzić.

Przyszedł moment decyzji: mógł albo kontynuować lądowanie zgodnie z planem i mieć nadzieję, że te diabelstwa w końcu uciekną, albo lądować gdzieś dalej. Przypomniawszy sobie, jak wygląda teren z przodu: nierówny grunt porośnięty kolcolistami. Gąszcz. Potem rząd drzew i na końcu rzeka. Okolica byłaby niebezpieczna nawet gdyby ją dobrze widział – a w tej sytuacji, po ciemku... Katastrofa murowana.

Czyli lądowanie zgodnie z planem. Leciał już za wolno, żeby nabrać wysokości do jeszcze jednego skrętu i zostawić spłoszone stado w tyle. Tylko nowicjusz mógłby tego próbować. Skończony frajer. Idiota.

Ale to właśnie usiłowały zrobić jego ręce i nogi. Sklął je i oparł się ich wysiłkom, wyprostował lot, utrzymał poziom. Zwierzęta mają swój rozum. Uciekną.

I wygrał. Odprężony wyjrzał przez plastikową owiewkę. Nagle zrobiło się jaśniej, wszystko widział wyraźnie. Kuce zniknęły.

Wiedział, co się dzieje.

Zanim Dalziel i Pascoe dotarli na lotnisko, karetka już odjechała, a podekscytowani i zdjęci grozą członkowie klubu wrócili do baru, żeby tam wymienić się wrażeniami. Preece powitał ich na parkingu, równie podekscytowany i ucieszony, że wreszcie ma słuchaczy.

– Widziałem to! – powiedział. – Siedziałem w samochodzie. Czekałem, aż Greenall wyląduje. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że on pędził przed siebie i pędził, nie próbował zwalniać, nie lądował... Po prostu leciał. Aż wbił się w ogrodzenie. Nie wierzyłem

własnym oczom. Widziałem, co się dzieje, i nie wierzyłem!

– Zabił się? – spytał Dalziel.

– No jasne. Pierwszy przy nim byłem. Paskudny widok. Tak na pierwszy rzut oka, to złamał kark. Wezwałem karetkę, ale chyba lepiej bym zrobił, dzwoniąc po karawan.

– Obejrzyjmy to – zaproponował podinspektor.

We trzech podeszli do wraku. Szybowiec zderzył się z ogrodzeniem, przekoziółkował i z impetem uderzył o ziemię. Popękany metal, potrzaskane włókno szklane.

Połamane kości.

– Co wy na to? – zapytał Dalziel. – Samobójstwo?

– Wbił się w ogrodzenie – powtórzył Preece. – W ogóle nie próbował uniknąć zderzenia.

– Zrozumieliśmy, chłopcze. Peter? Co o tym myślisz?

– O wyrzutach sumienia? Połowa brytyjskiej opinii publicznej podchwyci tę teorię.

– A druga połowa?

– Druga powie, że fałszywe oskarżenia i szykany ze strony policji doprowadziły niewinnego człowieka do ostateczności.

– To wiem, ale co ty o tym myślisz?

Pascoe przeszedł kawałek dalej, do miejsca, w którym w półmroku zamajaczyły mu prostopadłe do ogrodzenia rzędy palików.

– Cyganie wyjechali – powiedział, wodząc wzrokiem po pustym placu.

– A, to fakt. Pozbyliśmy się ich do przyszłego roku. I chwała Bogu. Ile razy mam pytać: co o tym myślisz?!

– Myślę, że to tajemnicza i smutna sprawa. Tak, właśnie tak: smutek i tajemnica. Jak to w życiu.

– A żeby cię... – mruknął Dalziel.